Prószyński i S-ka

JACEK PIEKARA

ARIVALD z WYBRZEŻA

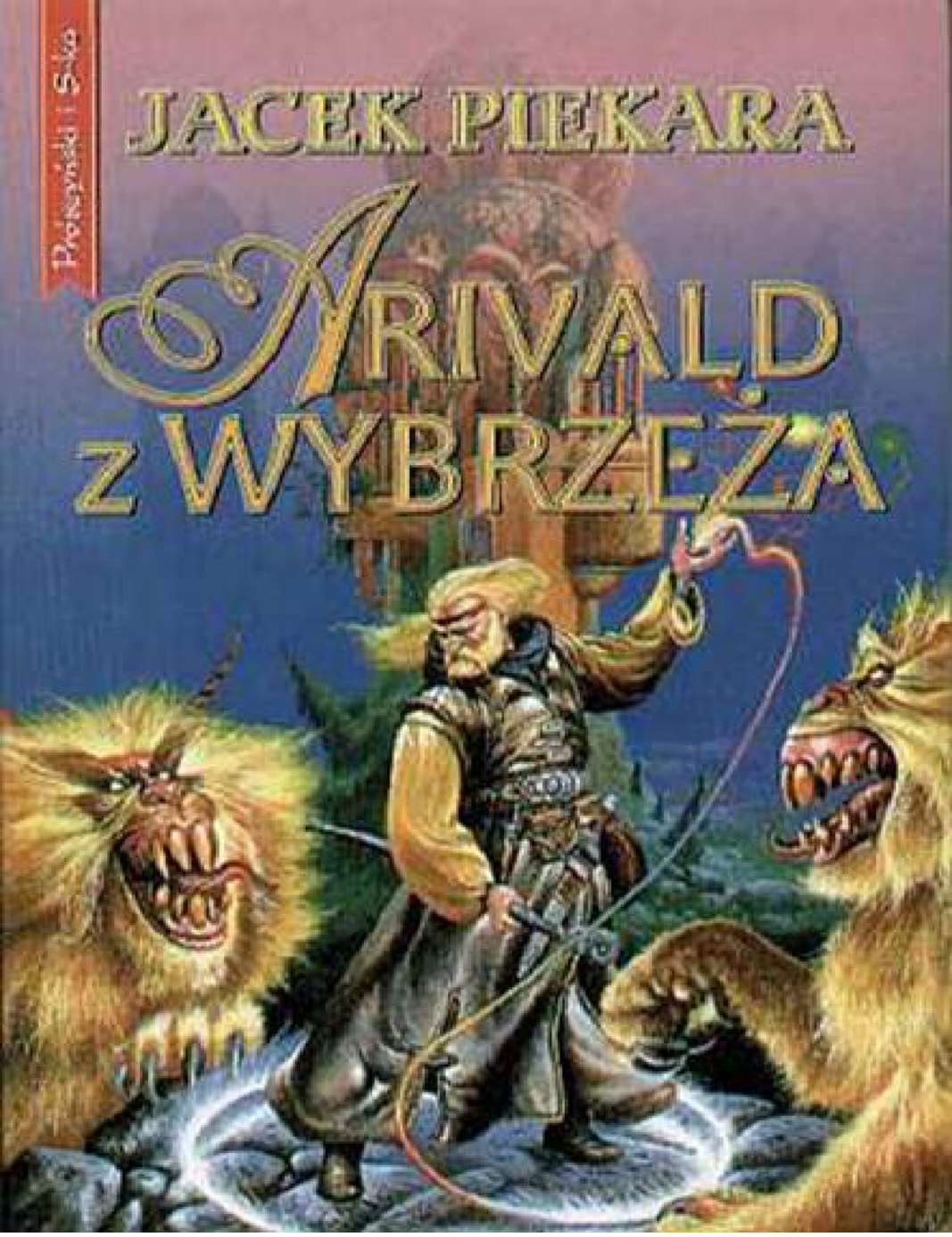

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Mimo podeszłego wieku, obdarzony nadzwyczajną siłą fizyczną i niemałymi (chociaż nie popartymi gruntownymi studiami) zdolnościami czarodziejskimi Arivald wiedzie żywot, jakiego nie powstydziłby się znacznie młodszy miłośnik kobiet i mocnych trunków. Ochoczo stawia czoło danskarskim piratom, rozprawia się z wampirami, spieszy z odsieczą księżniczkom uwięzionym w innym wymiarze, wyjaśnia zagadkę złowieszczych kopalń Ghorlagru. Z pewnością trudno by go nazwać ozdobą salonów, ale i jemu niezbyt tam było spieszno: po dniu pełnym przygód najchętniej zasiada w gospodzie przy suto zastawionym stole, z wiernymi kompanami u boku, i snuje opowieści o swych nadzwyczajnych dokonaniach, zerkając z ukontentowaniem na urodziwą karczmarkę…

- Jacek Piekara
  -
  - To, co najważniejsze
  - Arivald z Wybrzeża
  - Cudak z Cudakowego Lasu
  - Czarodziejki Chaosu
  - Arivald i wiedźmy
  - Ani słowa prawdy
  - Nie wszystko złoto, co się świeci
  - Robaczek Świętojański
  - Jacek Piekara

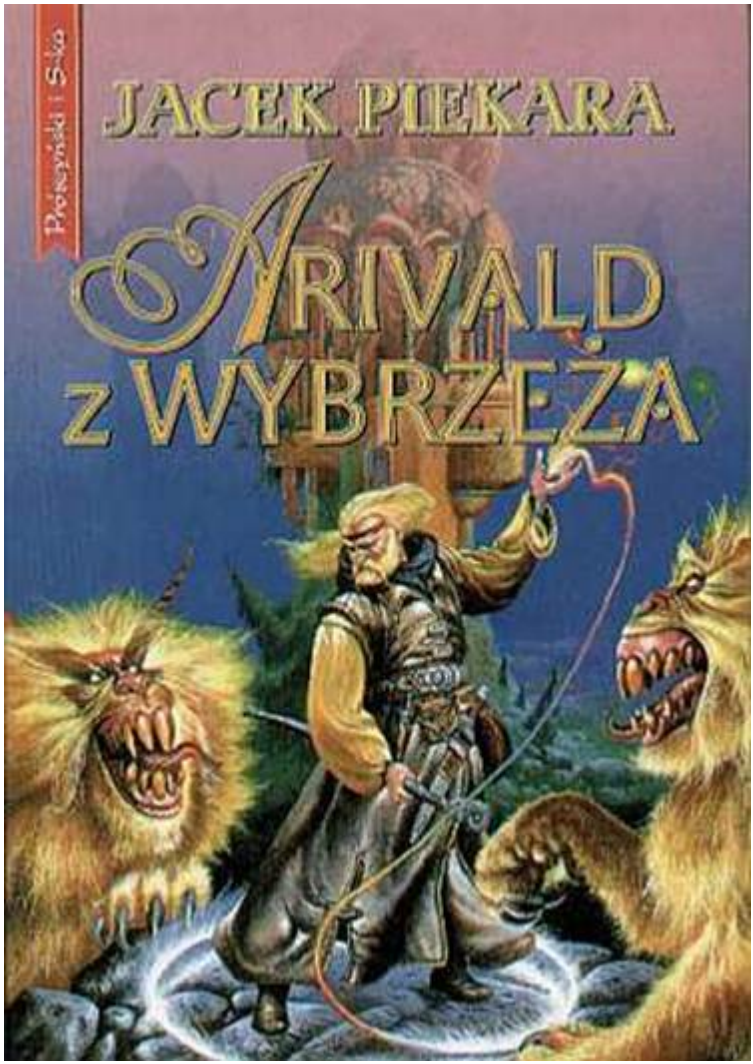
Prószyński i S-ka
JACEK PIEKARA
ARIVALD
Z WYBRZEŻA

Jacek Piekara

Arrivald z Wybrzeża

Chciałbym podziękować moim przyjaciołom, którzy deklarując swą sympatię dla Arivalda, wspomagali mnie w pracy i namawiali do zdwojenia wysiłków.

Przede wszystkim redaktorowi naczelnemu „Fenixa”, Jarkowi Grzędowiczowi, gdyż na łamach jego pisma Arivald zawsze czuł się jak w domu.

Adrianowi Chmielarzowi, który wprowadził Arivalda w świat komputerowej rozrywki, oraz Anecie Majewskiej i Justynie Liberadzkiej, które polubiły (i chwała im za to!) tego leciwego człowieka.

To, co najważniejsze

Arivald był magiem. W każdym razie za takiego uchodził w oczach mieszkańców Wybrzeża. Miał niebieski płaszcz w srebrne gwiazdy, kryształową kulę i Księgę Czarów. Potrafił mamrotać szybkie zaklęcia w obcym języku, o rzeczach jasnych i prostych mówić niezrozumiale i odwrotnie. Umiał leczyć nosaciznę bydła, przyrządzać maści na skaleczenia i oparzenia, wskazywać rybakom miejsca najlepszych połowów, dziewczętom i chłopcom warzyć lubczyk, a starym mężom potrafił dopomóc w kłopotach z młodymi żonami. Dlatego też powszechnie uważano go za czarodzieja i jednego z członków Tajemnego Bractwa. Lecz mieszkańcy Wybrzeża, którzy przez parę lat (dawno przed przybyciem Arivalda) mieli już innego maga, nigdy nie potrafili poważnie traktować nowego opiekuna. Może był zbyt wesoły i dobroduszny jak na kogoś parającego się magią i mającego do czynienia z Mocą, może zbyt wiele popełniał omyłek, z których sam się potrafił śmiać, może przyjmował za mało pieniędzy za swoje usługi. W każdym razie nauczono się już, że nie należy przychodzić do niego z poważnymi sprawami typu zapewnienia dobrej pogody, udanych zbiorów czy pomocy w poszukiwaniu skarbów.

Sama księżniczka bardzo lubiła Arivalda i często zapraszała go do zamku, aby posłuchać barwnych opowieści z dalekich krajów. Jednak miała wiele żalu o to, że nie potrafił wyczarować złotych kolczyków z brylantami, o jakich marzyła od dawna. Ale ludzie z Wybrzeża, chociaż często ukradkiem podśmiewali się z czarodzieja, nie wyobrażali sobie, że mógłby z nimi mieszkać człowiek zimny i wyniosły, jak sławni czarodzieje z Silmaniony. Arivalda zapraszano na chrzciny i wesela, przychodzono do niego po pomoc i radę, a niejednej zakochanej parze pomógł już przekonać opornych rodziców. Potrafił łagodzić spory, zapobiegać waśniom i zażegnywać awantury. Dlatego też cieszył się sympatią i przez palce patrzono na niedostatki jego czarodziejskiej wiedzy. Nikt nie mógł przecież przypuszczać, że już niedługo Wybrzeże będzie potrzebować prawdziwego maga znającego czary najwyższej jakości i umiejącego się posługiwać fortelami magii bojowej.

Arivald bowiem wcale nie był czarodziejem. Dawniej był najemnym żołnierzem, śpiewakiem i poetą, niestrudzonym podróżnikiem, który zwiedził chyba wszystkie krainy znanego nam świata. Jego prawdziwe imię było gminne i proste, a brzmiało po prostu Penszo. Właśnie jako Penszo, najemnik, bard, włóczęga, wieczny podróżnik przeszedł pierwsze półwiecze życia. Ale nadszedł dzień, który miał wszystko zmienić. Dzień, w którym na drodze Pensza stanął prawdziwy czarodziej, członek Tajemnego Bractwa.

Zafascynowany opowieścią Pensza o morribrondzkiej wojnie pomiędzy krasnoludkami a elfami i wiedźmiarzami, zabrał go ze sobą w podróż. Pewnego ranka, gdzieś na odludziu, mag umarł cicho i spokojnie w czasie snu, zostawiając Penszowi kłopot, co uczynić z jego ciałem i dobytkiem. Bard pochował maga, zgodnie z obyczajem układając go głową w stronę wschodzącego słońca. Początkowo zamierzał oddać zarówno niebieski płaszcz, jak kryształową kulę oraz różdżkę i Księgę Czarów w ręce kogoś z Bractwa. Ale gdy sięgnął do ciężkiej, obłożonej w skórę, okutej na rogach złotem Księgi Czarów, nie mógł się już od niej oderwać. Okazało się, że napisana była w języku krainy, którą Penszo kiedyś odwiedził. I tak w ciągu jednego dnia i jednej nocy zdecydował, że zostanie czarodziejem. Włożył niebieski płaszcz, wsadził za pas różdżkę, ulokował w jukach Księgę i kulę, po czym dosiadł konia i ruszył przed siebie.

Nie tak prosto jednak stać się z żołnierza, barda i włóczęgi magiem. Nie na darmo przecież czarodzieje całymi latami, od dzieciństwa uczą się korzystania z Mocy i posługiwania się Księgą Czarów. Ale Penszo (który już nazywał się Arivaldem, gdyż wyobrażał sobie, że to imię lepiej pasuje do jego obecnej pozycji) był dociekliwy, uparty i pracowity. A przy tym niebywale zdolny. Nikt chyba w tak krótkim czasie, korzystając tylko z własnej intuicji, nie potrafiłby nauczyć się tak wiele. Gdyby był szkolony od dziecka, zapewne mógłby stać się najwybitniejszym z żyjących magów. Ale i tak już po miesiącu zajadłych prób potrafił wyczarować sobie na śniadanie bułkę (fakt, że najczęściej czerstwą) oraz ser i mleko. Później dowiedział się, jak zapobiegać zmęczeniu, jak leczyć najprostsze choroby u ludzi i u bydła oraz jak wykonywać najbanalniejsze czarodziejskie sztuczki w rodzaju obłaskawiania dzikich zwierząt czy zapalania ognia z niczego. Po blisko trzech latach umiał już posługiwać się kryształową kulą, tworzyć złudne miraże i odróżniać słowa prawdziwe od kłamliwych. Nie nauczył się jednego: nie stał się taki, jaki powinien być czarodziej. Nie był więc zimny, wyniosły i wzgardliwy. Traktował wszystkich serdecznie i z życzliwością, często się uśmiechał, a z długiej siwej brody co rusz wytrząsał okruszki bułki lub sera. Nikt by nie wierzył, że niegdyś był najemnym żołnierzem, dowódcą tylnej straży samego krasnoludzkiego króla Wszobrodego. Starał się tylko nigdy nie natknąć na prawdziwego maga, bo sądził, że zbyt łatwo rozpoznano by w nim samozwańca. Wiedział już jednak, iż milczenie lub odpowiadanie zbitką niezrozumiałych formuł jest najlepszym sposobem na wszystkie podejrzenia. Może też z powodu obaw przed innymi czarodziejami wybrał się na Wybrzeże, które słynęło ze spokojnego życia oraz z tego, że niewielu gości kiedykolwiek tam przybywa. Wybrzeże, skaliste i nieurodzajne, żyjące głównie z morskich połowów, nie było miejscem, które chętnie odwiedzaliby kupcy, magowie czy rycerze. Życie snuło

się tu powolutku, od jednego połowu do drugiego, ludzie byli prości i spracowani, a krajem rządziła młodziutka księżniczka, którą zachwycało, że ma własnego maga, bo powszechnie wiadomo było, że czarodzieje nie lubią opuszczać Silmaniony.

Arivald już szósty rok przebywał na Wybrzeżu. Mieszkał w małym dwuizbowym domku, niedaleko plaży, przycupniętym tuż u stóp Wieży Strażników. Do codziennych obowiązków maga należało poranne wchodzenie na wieżę i przepatrywanie okolic za pomocą kryształowej kuli. Kryształowa kula co prawda równie dobrze spisywałaby się na plaży, ale mieszkańcy mogliby być niespokojni, nie widząc co rano na szczycie niewielkiej sylwetki czarodzieja w charakterystycznym spiczastym kapeluszu. Wieża była stara, miała strome, częściowo już spróchniałe schody, ale najgorzej było w czasie sztormu, kiedy wiatr starał się wywiać czarodzieja za balustradę, a wściekła ulewa całkowicie moczyła niebieski płaszcz. Tak więc życie maga miało i swoje złe strony. I o nich zawsze myślał rankiem z niechęcią i niecierpliwością.

Dzień, w którym rozpocznie się nasza historia, był jednym z tych pięknych słonecznych dni, kiedy niebo jest bezchmurne, wiatr uspokojony gorącem zaszywa się gdzieś w górach, a powierzchnia morza przypomina lustro. W taki właśnie czas Arivald, posapując cicho, wdrapał się na strome schody wieży i odpocząwszy chwilę na górze, ustawił przed sobą kryształową kulę. Od razu zdziwił go odmienny wygląd kryształu. Zwykle jasny i przejrzysty, teraz jakby pociemniał i zmatowiał. Mag splunął na palec. Potarł nim kulę, ale nic się nie zmieniło.

– Coś takiego – mruknął do siebie – sądzę, że nic dobrego to nie oznacza.

– Oczywiście – odezwał się nagle jakiś zgrzytliwy głos.

Arivald drgnął zaskoczony i dojrzał w kuli głowę niemłodego już człowieka w spiczastym niebieskim kapeluszu. Człowiek ten miał czarne, przenikliwe oczy. One właśnie patrzyły z pogardą i złośliwością na zdumionego czarodzieja.

– Będzie to bardzo niemiły dzień, mój drogi Penszo, kiedy zjawię się u ciebie – ciągnął głos – a nie zjawię się sam. Patrz.

Obraz w kuli zmętniał i nagle zamiast twarzy czarnoksiężnika pojawiło się w niej kilkadziesiąt smukłych okrętów o długich smoczych łbach, płynących przez morze pod wielkimi purpurowymi żaglami. Ale Arivald na tyle już doszedł do siebie, że raz-dwa wymamrotał zaklęcie przeciw omamom i szybko dotknął różdżką kuli. Błysnęło, zamigotało i pozostało tylko sześć okrętów. Mag uśmiechnął się sam do siebie.

– No, no – znów pojawiła się twarz czarnoksiężnika – nauczyłeś się czegoś, Penszo. Ale to, co widziałeś, to już nie omam. Niedługo te

sześć okrętów dobije do waszego Wybrzeża.

– Czego chcesz ode mnie? – spytał Arivald, przełykając ślinę.

– Od ciebie? Nic. Jesteś tylko nędzną kreaturą i spotka cię zasłużona kara za podszywanie się pod jednego z członków Tajemnego Bractwa. Już dawno nikt nie ośmielił się na taką bezczelność. Kara musi być więc surowa, aby odstraszyć innych niedoszłych samozwańców. Ale tobie poświęcę tylko chwilę. Płynę na Wybrzeże po księżniczkę, bo zapragnąłem jej. Niech się przygotuje do wyjazdu ze mną, bo jeśli nie… – czarnoksiężnik zawiesił głos – to kamień na kamieniu nie pozostanie z całego Wybrzeża. Powtórz jej to.

Arivald potarł mocno brodę i jak zwykle posypały się z niej okruchy chleba. Czarnoksiężnik w kuli zaśmiał się zgrzytliwie.

– Słyszysz, idioto? – syknął. – Powtórz jej, że przybywa oblubieniec i lepiej niech będzie gotowa, aby mnie czule powitać.

Twarz czarnoksiężnika zniknęła, ale kryształ pozostał ciemny, zmatowiały. Arivald usiadł na rozchwierutanym zydlu i starał się zebrać do kupy rozbiegane myśli. Naprawdę był wstrząśnięty i co tu dużo mówić, mocno wystraszony. Kiedy już jednak uspokoił trochę nerwy, pomyślał, że najważniejszą sprawą byłoby dowiedzieć się, jak daleko od Wybrzeża znajdują się okręty najeźdźcy. A na to znał tylko jeden sposób. Wygrzebał z obszernej kieszeni płaszcza, kawałek węgla i narysował na podłodze koło, potem wpisał w nie gwiazdę, której pięć ramion poznaczył odpowiednimi dla każdego symbolami. Stanął w środku koła i podrapał się po nosie.

– Zaraz, zaraz, jak to było… Murem takal faris? Muram pahnal oris?

Różnica była zasadnicza, bo jedno zaklęcie przywoływało któregoś z małych morskich demonów, a drugie leczyło katar. Arivaldowi bardziej zależało na demonie, zwłaszcza że od lat nie chorował na katar.

– Murem takal faris – powiedział w końcu, przymykając oczy i przywołując Moc.

Sprawa zresztą na tym się nie kończyła. Różdżką należało wykonać skomplikowaną sekwencję ruchów (a jeden błąd mógł popsuć wszystko), po czym wypowiedzieć długą formułę rozkazu, która Arivaldowi jakoś nigdy nie chciała na stałe wejść do głowy. Tym razem jednak wszystko musiało pójść dobrze, bo po chwili coś mokrego pacnęło o podłogę. Mag zobaczył małego zielonego demona omotanego wodorostami i złośliwie patrzącego na niego wyłupiastymi oczami.

– Czego chcesz, sklerotyczny czarodzieju, co? – zaskrzeczał.

– No, no – mag pogroził mu różdżką – bądź grzeczny, bo cię uspokoję. Zaraz, zaraz, jak to było… – Przypominał sobie, w jaki sposób karci się krnąbrne demony.

Demon westchnął głośno.

– Już dobrze, dobrze. Gadaj, czego chcesz. Nie mam czasu siedzieć tu godzinami, nim ty przypomnisz sobie formułkę przymuszenia. Wolę po dobroci. Tylko chciałbym wiedzieć, czy pamiętasz, jak mnie uwolnić od rozkazu.

– Zdaje się, że pamiętam – mruknął niepewnie Arivald.

– Mam nadzieję – odparł zrezygnowanym tonem demon. – No, czego chcesz?

– Sześć okrętów płynie w stronę Wybrzeża – powiedział mag.

– Kiedy tu będą?

– A skąd ja mogę wiedzieć, co ja wróżka jestem? – obraził się demon. – Mogę najwyżej powiedzieć, gdzie są – dodał pojednawczo.

– Właśnie o to mi chodzi.

– Swoją drogą ładny z ciebie czarodziej, skoro musisz mnie wzywać do takiego głupstwa – zauważył nie bez złośliwości demon.

– Trzydzieści dwie mile, ale wiatr słabnie i trzeba omijać skały. W tym tempie będą tu nie wcześniej niż pojutrze. No, zadowolony?

Arivald skinął głową i wyrecytował formułę odejścia. O dziwo, bezbłędnie. Demon zniknął tak szybko, jak się pojawił. Teraz przyszedł czas, aby poważnie zastanowić się nad całą tą niebywałą i zatrważającą sprawą. Mag usiadł na podłodze i w zamyśleniu przeczesał palcami długą brodę. Przez dwa dni można zrobić wiele. Na przykład na szybkim koniu opuścić Wybrzeże i znaleźć się w Górach Iglicowych, skąd już tylko trzy dni drogi do równin. Ale zostawić księżniczkę? Zostawić tylu dobrych, spokojnych ludzi na pastwę czarnoksiężnika? Lecz cóż innego pozostawało człowiekowi, który pochopnie przywdział maskę mędrca i czarodzieja? Przecież nie ma najmniejszych szans w walce z czarną magią! W walce z sześcioma okrętami morskich rozbójników, a na pokładzie każdego z nich co najmniej czterdziestu ludzi! Toż pokonanie tej potęgi było zadaniem nie tylko dla maga, ale i dla solidnego rycerskiego oddziału. Dwa dni. Cóż to są dwa dni! Przez dwa dni nie wezwie się posiłków zza gór ani nie ufortyfikuje zamku. Przez dwa dni nie można zrobić zupełnie nic! A może jednak? W końcu Arivald nie był byle kim. Dowodził oddziałami Wszobrodego, na jego rękach umierał krasnoludzki król. Przeżył masakrę na morribrondzkich bagnach, zasadzki elfów, czary wiedźmiarzy i bagienną trzęsawicę. Czas było obudzić się z długiego i spokojnego snu!

Kiedy otworzył furtkę do ogrodu, zobaczył, że księżniczka właśnie bawi się w chowanego. Poznał to po zaaferowanych minach dworzan i po nerwowym przetrząsaniu przez nich krzaków oraz wpatrywaniu się w korony drzew. Od kiedy księżniczka zaczęła karać najmniej gorliwych w tej zabawie, wszyscy bieganiną i zgiełkiem starali się udowodnić swoje zaangażowanie. Bo księżniczka karać umiała. Dla

każdego potrafiła wymyślić coś niezbyt przyjemnego. Hrubelowi Śpiewakowi odebrała na trzy dni harfę, Bomborowi Borsukowi zabroniła przez tydzień jeść ulubiony pasztet z zajęczych języków, Tardowi Wyniosłemu kazała przez cały dzień chodzić w kobiecym czepku, a Magnusowi Pięknowłosemu ścięła loki przy samej skórze. Księżniczka nie była uosobieniem łagodności. Była krnąbrna, złośliwa i pyskata, ale miała złote serce i wszyscy ją kochali.

– O, Arivald – zadyszany Magnus, który nawiasem mówiąc zupełnie idiotycznie wyglądał ostrzyżony na jeża, zatrzymał się obok. – Witaj. Czy nie mógłbyś znaleźć księżniczki? – spytał ciszej, a potem dodał już szeptem: – I tylko mnie powiedzieć, gdzie się schowała?

– Oczywiście, mój drogi – odparł mag. – Nad jeziorem, pod granitowym lwem. W takiej okropnej dziurze. Całą suknię ma ubłoconą.

– Dzięki, panie! – Magnus pognał pędem w stronę jeziora.

Czarodziej uśmiechnął się lekko do siebie. Takie rzeczy jeszcze potrafił. Zaraz jednak spoważniał. Nie było czasu na chichy, śmiechy i zabawy. Nadszedł czas walki!

Księżniczka wracała razem z zadowolonym Magnusem. Zastanawiała się, czy być nadąsaną, czy nie. W dziurze było wilgotno, brudno i ohydnie śmierdziało, ale dotąd nikt tej kryjówki nie odnalazł. A teraz ten Magnus, no! Wydawało się, że to taki niedorajda.

– Dzień dobry, pani – rzekł mag, pochylając głowę.

– O, Arivald! Od dawna tu jesteś? – spytała podejrzliwie.

– Dopiero co nadszedł – zapewnił spiesznie Magnus.

– No, nie wiem – księżniczka uważnie spojrzała na niego. – Coś wolno odrastają ci te włosy – dodała złośliwie.

Magnus się zaczerwienił. Arivald ujął księżniczkę stanowczo pod rękę i poprowadził parkową aleją w stronę zamku. Dał znak dworzanom, aby nie szli za nimi.

– Cóż to się stało? – księżniczka była zdumiona.

– Nieszczęście, pani – westchnął czarodziej.

– Cóżeś znowu sknocił? – spytała beztrosko i nieco złośliwie. Arivald puścił jej słowa mimo uszu.

– Czy słyszałaś, pani, o morskich rozbójnikach pływających okrętami o smoczych łbach?

– Oczywiście, Arivaldzie, ale cóż…

– Płyną tutaj – dokończył mag – w sześć okrętów. Księżniczka umilkła i odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Teraz nie była to już wesoła dziewczynka bawiąca się w chowanego i drocząca ze wszystkimi. Przed Arivaldem stała władczyni.

– Jesteś pewien?

– Tak, pani.

– Kiedy tu będą?

– Za dwa dni, pani.

– Dobrze, wyślę gońców w góry, ogłoszę wici po wioskach. Do pojutrza powinno stanąć z pięćdziesiąt zbrojnych, jak sądzisz?

– Zgadzam się z tobą, pani. Ale razem będziemy mieć tylko setkę mężczyzn umiejących władać toporem czy łukiem. Przeszło dwa razy mniej niż oni. A to są mordercy, pani. Najlepiej wyćwiczeni i najbardziej okrutni mordercy na świecie.

– A twoja magia? Nic nie poradzisz? Teraz trzeba było przejść do najgorszego.

– Płynie z nimi czarnoksiężnik, pani. Mag o potędze tak wielkiej, że nie śnię nawet, by mu dorównać.

– Czarnoksiężnik! – powtórzyła księżniczka i pobladła. – Czy utrzymamy się choć dwa tygodnie w zamku? Wyślę gońców za góry. Mój wuj…

– Nie utrzymamy się, pani – pokręcił głową Arivald. – Kilka dni, może tak, ale nie trzy tygodnie. Bo najmniej tyle potrzeba.

– Cóż robić? – księżniczka splotła nerwowo dłonie. – Czego oni tu chcą? Nie ma u mnie bogatych łupów ani… – spojrzała w twarz maga i umilkła. – Ty wiesz – szepnęła po chwili. – Wiesz, czego chcą, prawda?

– Tak, pani.

– Mów więc!

– Ciebie!

– Mnie… mnie… och, rozumiem. – Ukryła twarz w dłoniach. Znów była tylko małą dziewczynką. Teraz przestraszoną i zapłakaną. Arivald objął ją. Wtuliła głowę w jego ramię.

– Nie płacz, malutka – powiedział czule – ja cię obronię. I kiedy mówił te słowa, święcie w nie wierzył.

Hrenwig Wilk stał na dziobie statku i w milczeniu wpatrywał się w dal. Za sobą słyszał równy łomot wioseł i miarowy, monotonny głos żeglarza podającego rytm. Wiatr zupełnie ucichł, żagle wisiały sflaczałe, więc do Wybrzeża dopłyną dopiero za dwa dni. Hrenwigowi nie podobała się ta cała wyprawa, nie podobał mu się też ten, z którym ubili interes. Może dlatego że Hrenwig jak wszyscy Danskarczycy nie lubił czarnoksiężników i nie ufał im. Zresztą nikomu nie ufał. I pewnie tylko dlatego żył do tej pory. Nigdy nie popłynąłby z własnej woli na Wybrzeże, bo i po co? Okolica uboga, ludzie twardzi, nawykli do topora i oszczepu. Za niewielkie łupy zapłaciłby dużymi stratami. Ale czarownik obiecał im coś, co warte było o wiele więcej niż parenaście trupów, coś, o czym marzył każdy danskarski rozbójnik. Obiecał im mapę morza wokół Złotej Wyspy, mapę, na której ponoć zaznaczono wszystkie prądy i mielizny. Hrenwig znał wielu, którzy próbowali dotrzeć na wyspę, tyle że żadnego z nich nie widział już potem żywego. A na wyspie, jeśli wierzyć temu, co gadają

ludzie, złoto samo pcha się do rąk. Hrenwig cierpiał ostatnio na brak tego kruszcu, więc dał się skusić. Wprawdzie wszyscy czarownicy to chytrusi i oszuści, ale nie głupcy. Długo umiera ten, kto oszukał danskarskiego rozbójnika. A jak nawet ucieknie, świat stanie się dla niego bardzo malutki. Danskar wszędzie ma szpiegów, a krzywda jednego jest krzywdą wszystkich. Hrenwig zacisnął mocno dłonie w pięści. Czarownik dostanie, czego chce, dostanie dziewczynę, ale biada mu, jeżeli nie da mapy. Magia magią, a topór toporem. A Hrenwig miał wielką ochotę sprawdzić, czy czarownicy umierają tak samo jak zwykli ludzie.

Na Wybrzeżu trwały gorączkowe przygotowania. Ściągali już ludzie z niedalekich osad, gońcy pośpieszenie przemierzali kraj, kuźnia pracowała pełną parą, a u mistrza ciesielskiego aż kipiało. Arivald nie był od tego, aby nie spróbować siły swej magii. Ślęczał całą noc i następny dzień nad księgą, rysował jakieś znaki, powtarzał formuły i zaklęcia, wzywał demony. W efekcie nad ranem padał już z nóg, ale miał to, co chciał mieć. Wiedział już, jak wywołać burzę. Co tam burzę, mało powiedziane! Sztorm, cyklon, nawałnicę. Oto do czego doszedł!…

Lecz kiedy stanął na szczycie Wieży Strażników, kiedy po kilku pomyłkach wreszcie puścił w świat straszne zaklęcie, aż zadrżał. Bo na pełnym morzu miał się rozpętać żywioł przerażający w najwyższym stopniu. Próżno jednak Arivald czekał ni – pierwsze czarne chmury, grzmoty i błyskawice.

Czarnoksiężnik Vargaler przerwał na chwilę rozmowę ze sternikiem, popatrzył bacznie w stronę Wybrzeża, uśmiechnął się pod nosem, po czym wyciągnął zza pasa różdżkę, machnął nią kilkakroć w powietrzu, zamruczał coś i wrócił do przerwanego dialogu.

Burza niestety nie nadciągnęła; Arivald, szczerze mówiąc, był rozczarowany. Nie spodziewał się wiele po swoich umiejętnościach, ale liczył, no, chociażby na ulewę i grzmoty. A tymczasem niebo było bezchmurne jak poprzednio i pogoda robiła się iście letnia. Pocieszające było to, że ludzie na plaży dwoili się i troili, a praca paliła im się w rękach. Zresztą nic dziwnego. Nikt nie lubi odwiedzin danskarskich rozbójników.

Vargaler był coraz bardziej zadowolony. Okręty zbliżały się do Wybrzeża. Jeszcze godzina, może dwie i ląd stanie się widoczny. Czarnoksiężnik traktował tę wyprawę nader lekceważąco. Zresztą kogóż było się bać? Nędznego uzurpatora, który liznął jakieś okruchy magii? Vargaler nie zadał sobie nawet trudu, by zajrzeć w kryształową

kulę. W końcu nic ciekawego w niej nie zobaczy. A Penszo próbował, i to się czarnoksiężnikowi nawet podobało, bo lubił ludzi upartych. Próbował zrobić burzę, ale Vargalerowi chciało się śmiać na myśl o tym, ilu ważnych elementów brakowało w zaklęciu. Zresztą nie zlikwidował sztormu, tylko wysłał bardziej na wschód, niech tam się martwią.

Wytężył wzrok. Zdawało mu się, że widzi już linię brzegu.

– Dopływamy – doszedł go zza pleców głos Hrenwiga. – Mam nadzieję, że wiesz, co mówiłeś.

– Jestem pewien – odparł czarnoksiężnik. – Jak uzbierają setkę, to chyba będzie cud, ale nie sądzę, by księżniczka chciała bitwy. Zobaczysz, przyjdzie błagać o łaskę.

– Mam nadzieję – mruknął rozbójnik – a poza tym nienawidzę mieć przeciw sobie magów. Wcale mi się nie podoba, że jakiś tam mieszka.

– Bądź spokojny – uśmiechnął się lekceważąco Vargaler. – Jego biorę na siebie.

Hrenwig przyłożył dłoń do czoła i zmrużył oczy.

– Tam stoją ludzie – powiedział lekko zdziwiony, wytężając wzrok.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami.

– Tym lepiej, skoro witają nas na plaży. Wszystko pójdzie szybciej, niż gdyby zamknęli się w grodzie.

– Jest ich dużo – rzekł wolen Hrenwig i spojrzał badawczo w stronę Vargalena.

Czarnoksiężnik zniecierpliwiony, gdyż miał słabszy wzrok od rozbójnika, strzepnął tylko dłońmi.

– Zaraz zobaczymy, co się dzieje – mruknął. – Poczekajmy. Zbliżali się. Wiosła zwolniły rytm i sześć idących łeb w łeb okrętów sunęło jedynie siłą rozpędu. Byli już tak blisko plaży, że widoczny stał się każdy szczegół. No, może nie każdy szczegół, ale wszystko co wydawało się znaczące.

– Oszukałeś nas – warknął Hrenwig, chwytając czarnoksiężnika za ramiona.

Vargaler ogłupiały wpatrywał się w brzeg, na którym w pięciu szeregach długości może tysiąca kroków stali okuci w stal rycerze. Na przedzie widać było łuczników, co najmniej dwustu, a za nimi jeszcze trzystu zbrojnych z toporami, pikami lub mieczami. Tuż przy brzegu wody spoczywały trzy balisty, obok każdej leżał pokaźny stos kamieni.

– Głupcze! – krzyknął Vargaler. – To musi być omam! Hrenwig puścił go na chwilę i przeciągnął spojrzeniem po swoich ludziach, którzy zasępieni i zdumieni przypatrywali się obrońcom Wybrzeża.

– Rób, co chcesz, czarowniku – warknął Hrenwig – ale póki widzę to, co widzę, żadna łódź nie dobije do plaży.

Vargaler wyciągnął zza pasa różdżkę, machnął kilkakroć, wymamrotał jakieś zaklęcie, ale pięciuset wojowników jak stało, tak stało. Łucznicy szukali sobie najdogodniejszych miejsc, obsługa balist układała kamienie, a siwobrody starzec chodził między rycerzami.

– Nic nie rozumiem – potrząsnął głową czarnoksiężnik. – Przecież nie mogli zdążyć wezwać posiłków zza gór.

– Słuchaj, czarowniku! – Hrenwig oparł się o reling. – Nie boję się tych ludzi i chętnie bym przejechał im po karkach. Zwłaszcza że mogą to być przebrane kobiety, stąd przecież nie widać dobrze. Ale ciekaw jestem, z kim podbiję Złotą Wyspę, jak mi tu wytną połowę załogi. Wymyśl coś, mądralo.

Vargaler w zdenerwowaniu wzruszył ramionami.

– No, zrób coś – rzucił ponaglająco rozbójnik. – Burzę, ogień. Sam chyba wiesz najlepiej.

Czarnoksiężnik po raz kolejny zadumał się nad niewiedzą ludzi. Czy oni sądzą, że burza to tak jak pstryknąć palcami? Nad dobrą burzą należy siedzieć ładne pół dnia, a i wtedy nie zawsze wychodzi. Żeby jeszcze stali w lesie, ale tutaj? Co on ma palić? Piasek? Wodę? Też pomysł! Vargaler uznał, że czas użyć kryształowej kuli. Wygrzebał ją ze swego wora, zasłonił palcami przed rozbójnikiem i po chwili wiedział już wszystko. Tylko stu, może stu dziesięciu ludzi stało na brzegu. Reszta, ci w dalszych szeregach, to zręcznie wykonane manekiny w drewnianych zbrojach pomalowanych błyszczącą farbą. Pierwsze szeregi, kręcąc się i przemieszczając, sprawiały dla patrzącego z oddali wrażenie, iż cała plaża pełna jest ruchu. Vargaler uśmiechnął się triumfująco.

– To atrapy – powiedział radośnie. – Naprawdę jest ich tylko stu.

– Pokaż! – Hrenwig odepchnął go od kuli. – Nic w niej nie widzę – warknął.

– Tylko ja potrafię w nią patrzeć – odparł wyniośle Vargaler – ale wierz mi, możemy atakować.

Hrenwig nie był człowiekiem głupim. Zresztą gdyby był głupi, nie przeżyłby tyle lat jako hovding danskarskich rozbójników. Nie miał co prawda pojęcia, w jaki sposób liczba obrońców sięgnęła tak zawrotnej wysokości, ale nie podejrzewałby nikogo będącego przy zdrowych zmysłach, żeby budował na plaży sztucznych ludzi. Przecież na Wybrzeżu wiedziano, iż przypływa czarnoksiężnik, a jego nie próbowano by nabierać na tak prymitywną sztuczkę. Teraz oczywiście Vargaler chce walki, ale przecież jemu nie zależy, czy przeżyje ją dwustu rozbójników, czy żaden. Żaden to nawet lepiej, bo nie trzeba będzie nikomu dawać mapy. Hrenwig był za szczwanym lisem, aby złapać się w pułapkę.

– Ręczę – powiedział Vargaler – że trzy ostatnie szeregi to tylko imitacja, balisty zresztą z pewnością też. Uwierz mi.

Hrenwig dał znak dłonią i łódź z lewej pomknęła w stronę brzegu.

– Zobaczymy – mruknął absolutnie nieprzekonany.

Kiedy okręt był całkiem niedaleko i czarnoksiężnik zaczynał się już triumfalnie uśmiechać, nagle balisty jęknęły. Huragan kamieni uderzył w łódź, która wprawdzie zdołała umknąć, ale Hrenwig dobrze widział kilku swoich ludzi leżących na pokładzie.

– Idioto! – Oczy rozbójnika pałały gniewem. – Atrapa, co? Sztuczka, imitacja? Brać go, chłopcy! – ryknął nagle.

Czarnoksiężnik zajęczał w żelaznych ramionach żeglarzy. Nim zdołał uczynić choć ruch, związali mu linami ręce i nogi.

– Przeklnę was – zaczął. – Rzucę taki urok, że nigdy…

– Zatkać mu gębę! – rozkazał Hrenwig.

Popatrzył na omotanego czarnoksiężnika i podrapał się po głowie. W gruncie rzeczy jak na danskarskiego pirata był dość uczciwym człowiekiem, ale magów serdecznie nienawidził.

– Odpływamy – zadecydował – a ty, łotrze – zwrócił się do Vargalera – opowiesz wszystko, co wiesz o tej mapie. Bo jeśli nie – zawiesił głos i spojrzał na załogę – to już od dawna chcę usłyszeć, jak śpiewa przypiekany czarownik.

Odpowiedział mu rechot rozbójników. Łodzie płynęły na pełne morze.

Na zamkowy podwórzec wyniesiono stoły, suto zastawiono je jadłem i napojami. Zarżnięto wiele krów, świń, mnóstwo kur, kucharze księżniczki pracowali jak w ukropie przez cały dzień. Wytoczono beczki dobrego, marcowego piwa, a księżniczka kazała nawet sięgnąć po dwustuletnie wino trzymane na specjalne okazje. Okazja była przecież jedyna w swoim rodzaju. Wybrzeże odparło Danskarczyków i w dodatku czarnoksiężnika! Będzie co opowiadać dzieciom i wnukom, będzie czym zadziwiać przyjezdnych. Teraz goście jeden przez drugiego chełpili się, co kto zrobił dla wspólnej sprawy. Ten krzyczał, że najlepiej i najszybciej ciosał drewniane zbroje, ów twierdził, że gdyby nie hełmy, które zrobił, to kto wie, co by się stało, tamten na odmianę uważał, że zwycięstwo Wybrzeże zawdzięcza zręcznemu pomalowaniu sztucznych pancerzy. Najgłośniej wydzierali się otoczeni zachwyconymi dziewkami Magnus i mistrz Borhan. Oni bowiem doprowadzili do ładu stare i nieużywane od lat balisty, oni postarali się, aby były zdolne oddać choć jeden strzał.

O Arivaldzie nikt nie wspominał. Ale nie z niewdzięczności. Po prostu dla każdego było zupełnie jasne, że właśnie mag uratował Wybrzeże, a oni wszyscy mogli się spierać tylko o to, kto najlepiej wykonywał jego polecenia. Teraz wpatrywano się w niego z nabożnym szacunkiem, uważnie słuchano każdego słowa, które raczył wypowiedzieć, jego opinię uważano za ostateczną, a o tym, by kto go

poklepał po ramieniu, huknął pucharem w jego puchar, czy poprosił o zrobienie kilku niewinnych czarodziejskich sztuczek, nie było nawet mowy.

Arivald odszedł od stołów, od rozbawionych i pijanych ludzi. Plażą doczłapał do własnego domu i raz jeszcze rzucił tylko okiem na groźnie stojące zastępy drewnianych rycerzy. Usiadł za stołem i rozłożył Księgę Czarów. Czuł przepełniającą go Moc. Kiedy uczyni to, co zamierzał od dawna, wtedy będzie naprawdę magiem. Potężnym magiem Arivaldem.

Księżniczka była niewyspana, choć dawno minęło południe, ale na prośbę Arivalda wyszła z sypialni.

– Co tak wcześnie? – spytała ziewając.

– Mam dla ciebie prezent, pani – odparł dumnie mag.

– Prezent? – zainteresowała się księżniczka, zapominając o senności.

– Tak, pani. – Czarodziej położył na stole dwa niewielkie kamyki. – One zamienią się w to, o czym zawsze marzyłaś.

– Brylantowe kolczyki! – klasnęła w dłonie księżniczka.

– Otóż to – stwierdził z godnością Arivald.

– Poczekaj, zawołam wszystkich! – krzyknęła księżniczka i już wypadła z komnaty wołając: – Magnusie, Hrubelu, Tordzie, Bomborze!

Kiedy zjawili się na rozkaz, księżniczka obwieściła:

– Arivald stworzy dla mnie brylantowe kolczyki. Tylko mają być duże – zastrzegła.

Wszyscy zastygli w podziwie, z szacunkiem wpatrując się w skupioną twarz maga i w jego uniesioną różdżkę.

– Marraris, develtos, sambargo! – krzyknął Arivald, po czym wykonał kilka skomplikowanych ruchów i stuknął różdżką w kamienie. Błysnęło, pod sufit podniósł się dym, a kiedy opadł, obecni ujrzeli siedzącą na stole wielką ropuchę. Wyjątkowo wielką i wyjątkowo paskudną.

– Oj! – pisnęła zaskoczona księżniczka.

Dworzanie na chwilę zamarli, jakby zmienili się w posągi, a wreszcie gruchnęli potężnym śmiechem. Bombor aż się zatoczył i wpadł pod stół. Ropucha uciekła.

Arivald zwiesił głowę i wolno schował różdżkę za pas. Chciał odwrócić się i odejść, kiedy księżniczka rzuciła mu się na szyję i ucałowała w policzek.

– Przecież właśnie takiego cię kochamy – szepnęła.

Spojrzał po twarzach dworzan i uśmiechnął się. Był pewien, że następnym razem nikt nie będzie się bał stuknąć z nim pucharem ani poklepać po ramieniu. Dzieci znów poproszą o czarodziejskie sztuczki. A to przecież było najważniejsze na świecie.

Arivald z Wybrzeża

Słońce zachodziło purpurową smugą rozciągniętą tuż nad powierzchnią morza. Krzyk kołujących rybitw wibrował w powietrzu, fale przypływu miarowo łomotały o brzeg, a na horyzoncie, pod samym słońcem, rosły punkciki powracających łodzi. Arivald stał na plaży i gładząc długą siwą brodę czekał na przybycie rybaków. Lubili, kiedy ich witał, kiedy mogli pochwalić się zdobyczą, a i on był zadowolony, przyglądając się tym krzepkim ludziom, radośnie wyrzucającym z sieci na brzeg srebrzyste, trzepoczące się ryby. Ale tego popołudnia nie dane mu było powitać powracających z połowu. Jeszcze nim zobaczył zbliżających się jeźdźców, przeczuł, że nadchodzi ważna chwila. Chwila wyboru i podjęcia decyzji. Czarodzieje często odgadują podobne rzeczy, a Arivald mimo całej swej niewiedzy i ignorancji był przecież czarodziejem. I to czarodziejem obdarzonym wielką, choć niewykorzystaną jeszcze mocą.

Jeźdźców było dwóch. Obaj dosiadali karych, wypielęgnowanych rumaków z bogatą uprzężą, obaj mieli srebrzyste półpancerze i długie miecze. Szkarłatne płaszcze furkotały na wietrze. Nikt nie mógł wyglądać tak wspaniale i godnie oprócz rycerzy z Silmaniony. Nikt inny też nie mógł nosić na płaszczu tego charakterystycznego godła przedstawiającego oko zamknięte w trójkącie.

Wierzchowce zaryły kopytami w piachu, a obaj jeźdźcy jednocześnie zeskoczyli z siodeł i pochylili się w pełnym szacunku ukłonie. Byli zbyt doświadczeni, aby okazać zdziwienie, choć Bogiem a prawdą nie spodziewali się zastać kogoś takiego. Myśleli, że odnajdą bladego, wyniosłego starca o przenikliwym spojrzeniu i lodowatym głosie, a natknęli się na człowieka z rozwichrzoną srebrną czupryną i skołtunioną brodą okalającą ogorzałą twarz. Na człowieka o nosie jak spory kartofel i strzępiastych siwych brwiach, pod którymi błyszczały niebieskie oczy. Gdyby jednak przypatrzyli się uważniej, dostrzegliby, że te oczy nie patrzą wcale na świat z dziecinną naiwnością. Starszy z dwóch przybyszów od razu poczuł sympatię dla maga, który tak odbiegał od jego wyobrażeń.

– Jestem Hogwar Srebrnyliść – rzekł skłaniając głowę – a to mój towarzysz i przyjaciel, Mardil Niemowa. Przybywamy do ciebie, panie, na rozkaz Tajemnego Bractwa z Silmaniony.

Arivald poczuł się nieco zakłopotany. Zdawał sobie sprawę z niestosowności swojego ubioru. Płaszcz czarodzieja bowiem był utaplany w piasku, na niebieskiej materii wyraźnie odznaczały się plamy wczorajszego wina i dzisiejszej owsianki, a spiczasty kapelusz spłaszczył się i zdeformował, w niczym już nie przypominając

czcigodnego nakrycia głowy, jakim był dawno temu.

– Miło mi was powitać, szlachetni panowie – odezwał się pewnym głosem, choć wizyta wzbudziła w nim niepokój.

Stali przez długą chwilę, przyglądając się sobie nawzajem, aż wreszcie Hogwar przerwał milczenie.

– Mamy do przekazania ważne wiadomości. Czy… – zawiesił głos.

Mag kaszlnął.

– Cóż, porozmawiajmy u mnie – rzekł z wahaniem. – Jesteście pewnie głodni i spragnieni, a koniom przyda się łyk świeżej wody i trochę siana.

– Jesteś nadzwyczaj łaskawy, panie – odparł Hogwar – przyjmujemy z radością twoje zaproszenie.

Poszli plażą w stronę Wieży Strażników, pod którą przycupnął mały, dwuizbowy domek Arivalda. Wieża Strażników. Tak, no cóż, bardzo dumnie to brzmiało, lecz naprawdę wieża była wysoką na osiem metrów, mocno nachyloną ku ziemi i potwornie rozchwierutaną budowlą jęczącą i trzeszczącą przy każdym podmuchu wiatru. Nikt nie pamiętał, kto i kiedy postawił na plaży ten dziwny budynek. Nawet najstarsi mieszkańcy Wybrzeża twierdzili, że jest on tu od zawsze. Stojący obok domek Arivalda był zupełnie innego rodzaju. Prosty, lecz solidny. No ale w końcu zbudował go z sosnowych bali sam Arivald, który w czasie swego długiego i bogatego życia otarł się również o zawód cieśli. Czarodziej starał się nie okazywać tego po sobie, lecz nieoczekiwana wizyta bardzo go zaniepokoiła. Tajemne Bractwo z Silmaniony zdawało się zawsze czymś dalekim i mało realnym, a teraz właśnie przypomniało o swym istnieniu, wysyłając tych oto rycerzy. Czego potężni magowie mogą chcieć od skromnego i cichego czarodzieja, który już od sześciu lat z okładem nie wyściubiał nosa poza Wybrzeże? A może domyślili się podstępu, może przejrzeli oszustwa Arivalda i wzywają go, aby ukarać i napiętnować za to, iż samozwańczo zajął się magią, za to że przywłaszczył sobie Księgę Czarów i kryształową kulę? Arivald pełen był jak najgorszych obaw, ale łudził się jeszcze nadzieją, że wszystko da się wyjaśnić, a w razie czego, cóż, pozostawał tylko powrót do dawnego życia. Trzeba będzie zejść z oczu magom z Silmaniony, lecz na razie należało czekać i cierpliwie słuchać, jakie wieści przywożą obcy rycerze. Arivald wpuścił konie do niskiej, ciasnej obórki, gdzie znajdowało się koryto z wodą i żłób z resztkami siana. Stał tam zamyślony osiołek, ale posłusznie ustąpił miejsca wierzchowcom. Rycerze rozsiodłali konie, widząc, że nie ma służby, która zrobiłaby to za nich, po czym wyczyścili im kopyta, przetarli grzbiety i rozczesali grzywy. Po chwili byli już gotowi, aby udać się na poczęstunek do izby, a czarodziej zastanawiał się, czy rycerze lubią owsiankę, bo była to jedyna rzecz, prócz jakichś resztek sera i chleba, którą mógł ich ugościć.

– Czy mogę prosić o jeszcze jedną porcję? – spytał Hogwar, starannie oblizując łyżkę i odkładając pustą miskę.

Mag, który przedtem się bał, że dostojni goście wzgardzą jego skromnym pożywieniem, obecnie przypuszczał, że zapas owsianki, nagotowany na cały tydzień, niedługo się skończy. Chochla zazgrzytała o dno garnka i Arivald z tłumionym westchnieniem podał rycerzowi pełną miskę. Hogwar i Mardil jedli z apetytem nie tylko dlatego, że naprawdę zgłodnieli. Wędrówka przez Góry Iglicowe była dość długa i niełatwa, a w swojej rycerskiej karierze mieli już do czynienia z posiłkami stokroć gorszymi niż Arivaldowa owsianka. Poza tym jak wszyscy ludzie nie znający tajników sztuki czarodziejskiej przypuszczali, że wszystko, co otacza magów, musi być wyjątkowe, specjalne i nieosiągalne dla zwykłego człowieka. Tak więc wspólny posiłek z czarodziejem i raczenie się ugotowanymi przez niego przysmakami były dla nich zdarzeniem niecodziennym. Jako silmaniońscy rycerze służyli czarodziejom i widzieli już wiele, ale mieli przeświadczenie, że potrawy przygotowane ręką maga muszą zawierać w sobie coś z jego mocy. Nawiasem mówiąc, była to prawda, z której Arivald nie zdawał sobie nawet sprawy.

A kiedy wyciągnęli jeszcze z juków jeden i drugi bukłak dobrego wina, świat wydał im się całkiem piękny. Arivald pił również, bo lubił wino, choć zdecydowanie wolał mocny, krasnoludzki spirytus, po którym ludzie zwykle zachowywali się tak, jakby wypili kubek ognia w płynie. Częściowo wyzbył się obaw, gdyż obaj goście traktowali go z wielką atencją. Nadchodził wieczór. Mag napalił w piecu, bo noce ostatnio stawały się coraz chłodniejsze. Siedzieli przy blasku grubych woskowych świec (które były jedynym luksusem w ubogim domu Arivalda), leniwie sącząc wino. Rycerzom rozwiązały się języki, zwłaszcza Hogwarowi, ale i Mardil od czasu do czasu rzucał jedno lub dwa zdania, co jak na niego było szczytem krasomówstwa. Opowiadali, co dzieje się w wielkim świecie, a czarodziej słuchał z uwagą, gdyż Wybrzeże rzadko odwiedzali goście, którzy byliby tak dobrze poinformowani i orientowali się w meandrach wielkiej polityki.

Dowiedział się więc o rosnącej potędze króla Targentu Silmeverda Pięknego i wysłuchał peanów na cześć jego niezwyciężonej pancernej jazdy. Usłyszał o wielkiej bitwie na dalekich bagniskach Mardaru, gdzie padł kwiat esgravońskiego rycerstwa i gdzie teraz co noc straszą duchy poległych wojowników, a żaden wędrowiec nie śmie nawet zbliżyć się do tych terenów. Dowiedział się o najazdach okrutnych koczowników ze wschodu, przemierzających setki mil na wytrwałych włochatych konikach i pustoszących wszystko, co tylko się da spustoszyć. Opisano mu barwnie ślub córki Silmeverda z księciem

ościennego państwa oraz turniej, który nastąpił po ślubie. Hogwar pokonał wówczas samego szczęśliwego oblubieńca i w efekcie musiał salwować się ucieczką przed nasłanymi przez urażonego Silmeverda skrytobójcami. Wreszcie jednak nadszedł czas, kiedy goście musieli wyjawić cel odwiedzin. Hogwar westchnął ciężko w duchu. Jego reputacja zależała od powodzenia misji i wiedział, że musi przekonać czarodzieja do swoich planów.

– Myślę, panie – zaczął – iż pragnąłbyś wiedzieć, dlaczego pozwoliliśmy sobie niepokoić cię naszą wizytą.

– Zamieniam się w słuch – odparł uprzejmie Arivald.

– Wielki Mistrz Harburaler – przy tych słowach obaj rycerze powstali – Pan Czarnej Różdżki i Władca Tysiąca Zaklęć zaprasza cię, panie, na spotkanie Tajemnego Bractwa. Odbędzie się ono w siedzibie Bractwa, w Silmanionie i zjawią się tam najznamienitsi magowie z całego świata.

O mój Boże, pomyślał Arivald. To straszne. Trzeba się jakoś wykpić od wyjazdu. Przecież ci wszyscy potężni czarnoksiężnicy w mig odgadną, że jestem samozwańcem, i zjedzą mnie na drugie śniadanie.

– Jestem zrozpaczony, panowie – rzekł głośno – ale tak daleka i ciężka podróż nie jest wskazana w moim wieku. Zresztą niespełna rok temu mieliśmy pewne kłopoty z danskarskimi piratami i dlatego muszę pozostać tutaj, by chronić Wybrzeże.

– Któż nie słyszał, o dostojny – odezwał się grzecznie Hogwar – o pogromie Hrenwiga Wilka i klęsce czarnoksiężnika! Świat został olśniony twym triumfem, panie, i pragnie poznać tego, co rozgromił danskarskich rozbójników i mistrza czarnej magii, podłego Vargalera.

– No, no, coś takiego, nie sądziłem, że ta wieść gdziekolwiek dotrze.

– Ależ panie! – Hogwar rozłożył ręce. – W każdym porcie, ba, nawet daleko w głębi lądu twoje imię jest doskonale znane, a Danskarczycy na jego dźwięk zgrzytają zębami.

– Ha! – Arivald podrapał się po głowie. – Zdumiewacie mnie. Ale jeszcze jeden to powód, bym został w domu.

Hogwar przygryzł dolną wargę.

– Bractwo spotyka się, aby rozpatrzyć sprawy ogromnej wagi – powiedział z naciskiem. – Wielki Mistrz Harbularer – obaj rycerze znów powstali – własnymi ustami raczył mi przykazać, abym nie zjawiał się w mieście bez ciebie.

– To nieco komplikuje sytuację – mruknął czarodziej.

– Dzieją się dziwne rzeczy. – Hogwar zniżył głos. – Wierz mi, panie, coś złego wisi w powietrzu. Rzadko kiedy Tajemne Bractwo zbiera się, by rozważyć sprawy tak wielkiej wagi.

– Nie mogę jechać – stwierdził stanowczo Arivald. Rycerze

spojrzeli na siebie bezradnie. Po chwili milczenia odezwał się Hogwar:

– Jutro chcielibyśmy złożyć hołd księżniczce Wybrzeża. Czy sądzisz, że nas przyjmie, panie?

– Oczywiście. Księżniczka zawsze jest rada gościom, tym bardziej gdy są znamienici. A teraz, cóż – rozejrzał się po chatce – w drugiej izbie jest trochę świeżego siana i parę wełnianych koców. Musicie się, niestety, tym zadowolić.

Rycerze wstali od stołu i skłonili się.

– Błagam, panie, abyś raz jeszcze raczył przemyśleć swoją decyzję – poprosił Hogwar.

– Dobrze, dobrze – burknął niechętnie Arivald i zdmuchnął świece. – Dobranoc.

Księżniczka od rana była w doskonałym humorze, a teraz, widząc niespodziewanych gości, wręcz promieniała. Rycerze poddali się bez walki jej urokowi i siedzieli na ławie, wodząc wzrokiem za piękną panią zamku. Mardil był bardziej milczący niż zwykle (choć może się to wydać niemożliwe), a i Hogwarowi język często się plątał, zwłaszcza kiedy spojrzał we fiołkowe oczy księżniczki. Ale rycerz mimo to nadal pamiętał o swej misji, a teraz zdobył dodatkowy atut. Wiedział, że księżniczce nie sposób się oprzeć. A więc wystarczało ją tylko przekonać, by skłoniła Arivalda do wyjazdu. Czarodziej może się będzie opierał, lecz w końcu ustąpi. Tego Srebrnyliść był absolutnie pewien. Poza tym dojrzał szansę upieczenia dwóch pieczeni przy jednym ogniu i był zachwycony własną przemyślnością.

– Jaka szkoda – zauważył, kiedy księżniczka się żaliła, że mało kto odwiedza Wybrzeże – iż mistrz Arivald nie chce udać się z nami. Wielu na pewno zapragnęłoby odwiedzić kraj, któremu służy tak znamienity mag, uczestniczący w spotkaniach Tajemnego Bractwa.

– Nie ma o czym gadać – przerwał szorstko czarodziej, wietrząc już podstęp – najpierw obowiązki, potem przyjemności. A moim obowiązkiem jest strzec Wybrzeża. Kto wie, czy Danskar nie zechce pomścić klęski.

– Jestem pewien, panie – rzekł wolno Hogwar – że Wielki Mistrz zgodziłby się wysłać tu oddział zbrojnych, który strzegłby Wybrzeża i jego władczyni – tu skłonił się księżniczce – przed najazdem. Gotów byłbym sam stanąć na czele tych rycerzy i poczytałbym sobie to za zaszczyt.

– A, tuś mi, bratku! – mruknął cichutko Arivald, przejrzawszy grę Srebrnegoliścia. – Nie – powiedział stanowczym tonem – pomijając wszystko inne, podróż byłaby zbyt ciężka. Jestem już stary i słaby.

Siedzący obok maga gruby Bombor parsknął śmiechem. Właśnie w zeszłym tygodniu Arivald wygrał beczkę wina, kładąc go trzykrotnie na rękę. A warto dodać, iż Bombor nie był słabeuszem, potrafił

przedrzeć w palcach grubą talię kart, a za łamanie podków uwielbiał go miejscowy kowal, bo te popisy Bombora zwiększały mu obroty. Czarodziej surowo spojrzał na rycerza, któremu uśmiech zamarł na ustach.

Księżniczka głęboko zamyślona szeptała coś cichutko do samej siebie. Mag przełknął ślinę. Ten namysł nie wróżył nic dobrego.

– Pojedziesz, Arivaldzie – zadecydowała w końcu.

– Nie pojadę – odparł czarodziej i stuknął pięścią w stół.

Byli w podróży już od tygodnia. Hogwar nudził się potężnie, gdyż Mardil nigdy nie był rozmowny, a mag też nie odzywał się do nikogo. Jechał skwaszony i pochmurny, każdym gestem czy słowem wyrażając swoją dezaprobatę i oburzenie z powodu wyrwania go z domowych pieleszy. Już drugiego dnia wędrówki Srebrnyliść dostał czyraków w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, i ciężko było mu usiedzieć w siodle. Podejrzewał w tym złośliwość czarodzieja, w związku z czym jego sympatia do Arivalda słabła z każdym kilometrem i z każdym podskokiem konia. Ale był zbyt dumny, by prosić o zdjęcie uroku.

Siódmego dnia podróży stanęli po drugiej stronie Gór Iglicowych i zaledwie tydzień drogi dzielił ich od portu w Ravenie, a stamtąd już tylko półtora dnia statkiem do Silmaniony. Od tej pory mieli podróżować dobrą, bitą drogą i noce wreszcie spędzać w gościńcach i zajazdach, a nie przy ognisku. Srebrnyliść miał też nadzieję, że spotka kogoś, kto poradzi coś na ten uporczywy ból poniżej pleców. Zresztą wiedział, że na drodze do Raveny i w samej Ravenie są takie domy, gdzie pewne cudotwórczynie łagodzą wszelkie bóle, jakie cierpieć może mężczyzna. Nawet Mardil odzywał się nieco częściej niż zwykle, bo i on cieszył się na myśl o powrocie do Silmaniony. Obaj rycerze wiedzieli wprawdzie, że ich pobyt w mieście nie potrwa długo, gdyż mistrz Harbularer nie uznawał wakacji, za to sformułowanie „misja szczególnej wagi" aż nazbyt często gościło w jego słowniku. Hogwar miał nadzieję, że uda mu się powrócić na Wybrzeże. Wiedział, że dobrze byłoby mieć sojusznika w Arivaldzie, który przecież z czystej złośliwości mógł sobie zażyczyć, aby oddział mający strzec księżniczki i jej poddanych powiódł inny rycerz.

– Ile lat ma pani Wybrzeża? – spytał Srebrnyliść, który był tak zatopiony w myślach, iż dopiero kiedy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że mogą go jeszcze bardziej pogrążyć w oczach czarodzieja.

– Dziewiętnaście – burknął Arivald.

– Czy możesz mi wyjawić, panie, dlaczego nie wyszła do tej pory za mąż? – postanowił brnąć dalej Hogwar.

– Baron Furfanel dostał dwa lata temu polecenie odnalezienia

smoka i przywiezienia go na Wybrzeże. Nie wrócił do tej pory.

– Smoków nie ma – zauważył Mardil, któremu to, że mało mówił, nie przeszkadzało uważnie słuchać.

– Właśnie – potwierdził z naciskiem Arivald.

– Czy byli inni? – zapytał po chwili milczenia Srebrnyliść.

– Najmłodszy syn księcia Parilezu wyruszył na poszukiwanie kwiatu świętojańskiego. Było to zeszłego czerwca. Hrabia alchemik Vyncliff miał za zadanie odkryć tajemnicę kamienia filozoficznego.

– Znam Vyncliffa – powiedział zdziwiony Hogwar. – Odkrył ostatnio substancję, która w zetknięciu z ogniem wybucha z niespotykaną siłą, i nazwał ją prochem. Zeszłego Nowego Roku mieliśmy w Silmanionie piękne fajerwerki.

– A więc miłość do księżniczki sprzyja rozwojowi nauki. Miło o tym słyszeć – skwitował Arivald.

– Czy księżniczka przed każdym z ubiegających się o jej rękę stawia zadania tak…

– Globalne? – podpowiedział mag.

– No właśnie.

– Księżniczka czeka jeszcze na właściwego człowieka – odpowiedział Arivald, jeśli miało to być odpowiedzią – i nie sądzę, panie, abyś powinien zawracać sobie tym głowę.

– A to czemu? – Hogwar starał się nie dać po sobie znać urazy.

– Dla własnego dobra – wyjaśnił Arivald i uśmiechnął się, a uśmiech ten wyjątkowo nie spodobał się Srebrnemuliściowi.

Moglibyśmy jeszcze długo opisywać podróż do Silmaniony, która trwała dziewięć dni od zejścia w doliny. Moglibyśmy bajecznie opisywać skutki stykania pośladków Hogwara z siodłem, słów parę poświęcić złemu humorowi Arivalda i niskiemu poziomowi higieny w karczmach. Moglibyśmy przejmująco oddać piękno słońca zachodzącego nad morzem i dokuczliwość choroby morskiej (tu znowu musielibyśmy nawiązać do złego humoru Arivalda). Moglibyśmy też wiele stron poświęcić na drobiazgowy opis Silmaniony, ale Hogwar i Mardil znali tam każdy kamień, a i Arivald w czasie swych wędrówek odwiedził to miasto kilkakroć. Oszczędźmy więc sobie daremnych i nie mających związku z tą opowieścią szczegółów.

Kiedy w szybkim tempie najlepszego wyścigowego wielbłąda (wyścigi wielbłądów były jedną z ulubionych rozrywek na Południu, ale to też nie ma żadnego znaczenia) przemkniemy przez dni dziewięć, zobaczymy, że Arivald i eskortujący go rycerze znaleźli się w domu mistrza Harbularera. Nie był to zresztą zwykły dom, lecz pałac, gdyż Pan Czarnej Różdżki nie stronił od przepychu. Dlatego też były tam i fontanny, i rzeźby, i freski, i urocze oliwkowoskóre niewolnice oraz tabuny nikomu nieprzydatnej służby. Harbularer

ubierał się jednak skromnie. Przy czarnym płaszczu miał tylko jedną diamentową zapinkę, a rubin w gałce jego laski był z pewnością mniejszy od kurzego jaja. Mistrz z Silmaniony wyglądał dokładnie tak, jak prości ludzie (a może i nie tylko tacy prości) chcieli widzieć czarodzieja. Był bladym, wyniosłym starcem o oschłym głosie i stanowczych, acz pełnych dystynkcji ruchach.

– Panie Arivaldzie – powitał gościa, ignorując przybyłych z nim rycerzy, którzy skłonili się nisko i zaraz odeszli.

– Mistrzu – odrzekł Arivald, lekko pochylając głowę.

– Cieszę się, że przybyłeś. – Harbularer usiadł w rzeźbionym fotelu.

Arivald rozejrzał się i przyciągnął sobie zydel spod ściany. Władca Tysiąca Zaklęć zmarszczył brwi. Nie było przyjęte, aby ktokolwiek z Tajemnego Bractwa siadał w jego obecności bez bardzo wyraźnego zaproszenia. Ba, była to niewybaczalna niegrzeczność, na którą nie pozwalał sobie żaden z czarodziei, nawet pyskaty i mający dalekosiężne ambicje Bolgast Szczwacz. Harbularer również pozwolił sobie na niegrzeczność i ostentacyjnie spenetrował umysł Arivalda. To, co zobaczył, zdumiało go tak dalece, że czym prędzej się wycofał. Spotkał bowiem (pierwszy raz w życiu!) maga, który potrafił zasłonić się całkowicie. No, prawie całkowicie, gdyż na powierzchni pozostawił jedynie jakieś szczątki najprostszych zaklęć. Harburalerowi nie spodobało się zwłaszcza to, że gość siedział zasępiony, niezadowolony widać z poczynań gospodarza.

– Wybacz mi – powiedział, wiedząc jednak, że ta niegrzeczność może być usprawiedliwiona jedynie pełnionym przez niego wysokim stanowiskiem – lecz nie spotkaliśmy się dotychczas.

Arivald nie domyślił się, czego dotyczy ta prośba o wybaczenie, gdyż wcale się nie zorientował, że ktoś gmera w jego pamięci. Uśmiechnął się z przymusem, bo w każdej chwili obawiał się zdemaskowania. Ale był bardzo doświadczonym człowiekiem, który z niejednego pieca chleb jadał. Był na bagniskach Morribrondu w czasie pogromu armii Wszobrodego, a kto widział atakujące hordy elfów, ten nie przelęknie się starca w czarnym płaszczu. Choćby starzec ten był mistrzem silmanionskich magów. Arivald wiedział też, że wielu ludzi demaskują nie umiejętności przeciwników, lecz ich własny strach. Dlatego postanowił grać do końca niezależnie od tego, jaki ten koniec miałby być.

– Ale dużo o tobie słyszałem. Od lat nie mogliśmy dać sobie rady z tym łotrem Vargalerem. Gdy przybywał do Silmaniony, wszyscy dostawaliśmy bólu głowy.

– Czy nie można go było po prostu aresztować? – spytał Arivald.

– Hm, to dość dziwne postawienie sprawy jak na członka Bractwa. – Harbularer z uwagą przyjrzał się gościowi. – Ach, czyżbyś

był zwolennikiem teorii Drestrina? Mój Boże, sądziłem, że jego nauka umarła wraz z nim.

– W każdej teorii jest ziarno prawdy – wzruszył ramionami Arivald i postanowił koniecznie sprawdzić, kim był Drestrin.

– Tak – przyznał niechętnie mistrz, bo sam zaliczał się do zagorzałych przeciwników koncepcji Drestrina. Jeśli oczywiście można być przeciwnikiem tego, co w zasadzie nie istnieje. – No cóż – powiedział po chwili – pozwól, że rozmowę o konkretach rozpoczniemy, kiedy zbiorą się wszyscy zaproszeni członkowie Bractwa. Dziś wieczorem. Jeśli do tego czasu miałbyś jakieś życzenia, to Srebrnyliść jest na twoje rozkazy. Jeśli zechciałbyś odwiedzić Bractwo, wystarczy oczywiście, iż podasz swój numer polisy, a… – Harbularer dostrzegł cień, który przemknął po twarzy Arivalda – ach, no tak, ty jesteś wolnym magiem, prawda? Więc zgłoś się, proszę, do mistrza Velvelvana. On załatwi wszystkie formalności. A tak na marginesie, kto był twoim mistrzem, jeśli można wiedzieć?

Wszyscy magowie wychowywali się w Silmanionie, od dziecka studiowali pod okiem najwybitniejszych czarodziei. Zdarzały się jednak wyjątki, ludzie nazywani wolnymi magami, którzy uczyli się sztuki od swego mistrza i patrona gdzieś poza Silmanioną. Arivald nie mógł tego wiedzieć, ale obecnie wolni magowie stanowili nikły margines, nieodzowne bowiem stawały się studia w bogato zaopatrzonej bibliotece, a poza tym nawet najwybitniejszy mag nie mógł uczniowi przekazać takiej wiedzy, jak grono fachowych nauczycieli.

– Artaanel – odparł Arivald, wymieniając imię maga, z którym wędrował i po którego śmierci przywłaszczył sobie Księgę Czarów, różdżkę i kryształową kulę. Nie był jednak zadowolony, że rozmowa zmierza w tym kierunku.

– Czcigodny Artaanel – rzekł Harbularer z szacunkiem w głosie. – Nie sądziłem, że miał ucznia, ale nie widzieliśmy go w Silmanionie od czterdziestu sześciu lat. Zawsze był samotnikiem.

– Zacząłem dość późno – wyjaśnił Arivald.

– Wiem coś o tym – pokiwał głową Pan Czarnej Różdżki – sam zostałem uczniem mając aż osiem lat. Mój Boże, ileż czasu i wysiłku musiałem włożyć, aby dogonić rówieśników.

Arivald uznał, że nie byłoby dobrym pomysłem przyznanie się, że on miał lat pięćkroć więcej, kiedy zaczynał karierę maga.

– Mistrz Velvelvanel zechce z pewnością obejrzeć twą Księgę. Przygotował ją sam Artaanel, nieprawdaż?

– Tak, to jego Księga – przytaknął Arivald.

– Co masz na myśli mówiąc: „jego Księga”? – zapytał zdumiony Harbularer, a Arivald poczuł, że wypłynął na wody głębokie i rwące. – Czyżby dał ci swoją Księgę?

– Właśnie tak.

– Nieprawdopodobne! Od lat nie słyszałem o czymś takim! Musisz mieć ogromną moc, Arivaldzie, skoro potrafiłeś dostroić się do obcej Księgi.

– Chciałbym, aby była większa – cynicznie, lecz szczerze odrzekł Arivald.

– Tak, tak, któż z nas by tego nie chciał. Z twoich słów wnioskuję jednak, że czcigodny Artaanel zakończył już życie. Czy możesz powiedzieć mi, jak to się stało?

– Niespodziewanie. – Arivald złożył dłonie na stole. – Jak każda zła śmierć. Zginął od strzały elfa, na Pograniczu.

– Co robiliście na Pograniczu? – zdumiał się Harbularer.

– Czcigodny Artaanel chciał się tam spotkać z pewnym człowiekiem, aby dostarczyć Tajemnemu Bractwu pewne wiadomości o rychłej wojnie z wiedźmiarzami oraz elfami.

– Znowu – rzekł z goryczą Wielki Mistrz. – Od lat przysyłał nam ostrzeżenia, które nigdy się nie potwierdziły. A więc zginął, goniąc za swymi złudzeniami. Jakież to przykre.

Milczeli przez chwilę.

– Wybacz, że cię teraz pożegnam – rzekł Harbularer – to bardzo, bardzo niezwykłe, co mi opowiedziałeś. Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję jeszcze porozmawiać.

Arivald wstał i westchnął z ulgą (ale tylko w myślach). Katorga na razie się kończyła.

– Mistrzu – pożegnał się i pochylił głowę.

– Panie Arivaldzie…

Mistrz Velvelvanel był zażywnym, łysiejącym mężczyzną, ciągle uśmiechniętym, z palcami pobrudzonymi atramentem. Jego wygląd zwodził wielu, zwłaszcza początkujących uczniów, którzy jednak na pierwszej już lekcji boleśnie przekonywali się, że nie należy oceniać ludzi po wyglądzie. Velvelvanel był szefem kancelarii Tajemnego Bractwa (czyli zajmował się nudną papierkową robotą) oraz bezpośrednim przełożonym bibliotekarzy. Stanowczo uważał, że zajęcie to nie jest godne jego możliwości, ale był też pewien, że nieprędko awansuje wyżej. A to ze względu na błędy młodości, kiedy poważył się bawić nekromancją. Od tego czasu minęło już przeszło sześćdziesiąt lat, lecz pełnego wybaczenia mógł się w najlepszym wypadku spodziewać za drugie sześćdziesiąt. I tak zresztą miał szczęście, że nie odebrano mu mocy. Był więc człowiekiem zgorzkniałym, choć zapewne jednym z najbieglejszych silmaniońskich magów.

– Czy długo zabawisz u nas, panie Arivaldzie? – spytał zaniepokojony, bo obecność nieznanego nikomu, a słynnego maga wcale nie była mu na rękę.

– Mam nadzieję, że nie – odparł szczerze Arivald i zdał sobie sprawę, że popełnił gafę. – Nie weź mi tego za złe, ale bardzo przywiązałem się do Wybrzeża – dodał tonem wyjaśnienia i przeprosin.

– I ja bym się chętnie zaszył na prowincji, gdzie z dala od światowego zgiełku mógłbym pogłębiać swą wiedzę – westchnął nieszczerze Velvelvanel, który nienawidził wycieczek poza miasto i ciężko odchorowywał każdy wyjazd, podejrzewając, że w czasie jego nieobecności wszyscy starają się pod nim kopać dołki. – Proszę, to twoja polisa – powiedział po chwili, podając Arnoldowi krążek ze srebrzystego metalu – uaktywnia się pod wpływem czwartopoziomowego z Seszeni.

– Dziękuję ci. – Arivald, znów nieco spanikowany, włożył krążek do kieszeni płaszcza.

– Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić, panie Arivaldzie?

– Dużo słyszałem o silmanionskiej bibliotece.

– Drugie drzwi na lewo i wejdziesz do zachodniego skrzydła. Mistrz Baalbos cię oprowadzi. Ale czy mógłbym przedtem przejrzeć twoją Księgę?

– Proszę. – Arivald położył Księgę na stole i skierował się ku drzwiom.

– Zostawiasz mi ją? – Velvelvanel był zaskoczony.

– Coś nie tak?

– Panie Arivaldzie, wierz mi, że potrafię docenić to niezwykłe zaufanie – powiedział wzruszony Velvelvanel.

Kiedy Arivald opuścił pokój, czarodziej pokręcił głową i otworzył Księgę.

– Albo ta Księga ma wyjątkowe zabezpieczenia, albo ten człowiek jest święty – mruknął do siebie i zagłębił się w lekturze.

Arivald tymczasem, zgodnie ze wskazówkami, skręcił w drugie drzwi na lewo i aleją wśród kwiatów przeszedł do zachodniego skrzydła.

– Mistrz Arivald, jak sądzę… – Nie wiadomo skąd wyłonił się niski człowieczek. Za uchem miał gęsie pióro. – Jestem Baalbos. Czym ci mogę służyć?

– Chciałbym się rozejrzeć – ostrożnie odparł Arivald.

– Oczywiście. Czy mogę spytać o twoje uprawnienia? Zauważył, że Arivald się zawahał.

– No tak, ta kancelaria – westchnął Baalbos – niczego nie potrafią załatwić do końca. Mogę zobaczyć polisę? Ach, cztery A! – wykrzyknął z zazdrością, kiedy przyjrzał się krążkowi. – A mnie za parę lat obiecano pierwsze B. Jak można być bibliotekarzem i nie móc korzystać z najciekawszych woluminów? – dodał z rozgoryczeniem.

– Zawsze możesz skorzystać z mojej polisy – zaproponował

Arivald.

– Słucham? Nie tak głośno! – Baalbos nerwowo rozejrzał się wokół. – To wielce, wielce szczodrobliwa propozycja, panie Arivaldzie. Będę twoim dozgonnym dłużnikiem. Mój Boże, od dziecka marzyłem, aby przeczytać traktaty Finnarena Wilczypyska, a to trzecie A. Musiałbym czekać jeszcze ze trzydzieści lat albo więcej. Czy byłoby wielkim nadużyciem z mojej strony, gdybym prosił cię, panie Arivaldzie, o spotkanie jeszcze dziś wieczorem, oczywiście po zebraniu Rady?

– Czemu nie? A czy ty będziesz tam, panie Baalbosie?

– Ja? Z drugim B? Gdzieżbym śmiał nawet o tym myśleć? A teraz czym mogę ci służyć?

– Interesuje mnie teoria Drestrina i potencjalne możliwości czwartopoziomowych z Seszeni. – Arivald miał nadzieję, że nie popełnił błędu.

– Ach, ten szaleniec Drestrin. Trzecie piętro, siódmy rząd trzeciej kondygnacji, druga półka od góry, jedenasty wolumin od lewej. A czwartopoziomowe z Seszeni, no tak, to ciekawy temat, ale zapewniam, panie Arivaldzie, że wszystkie ich możliwości wymienił już Gundus Gdacz w swoim „Traktacie o obrotach". Tam znajdziesz i treść zaklęć, i komentarze Gundusa. Dostępny już przy trzecim D. Ulubiony temat prac magisterskich. Tak jak perpetuum mobile. Trzecie piętro, pierwszy rząd ósmej kondygnacji, trzecia półka z dołu, czwarta księga od lewej.

– Dziękuję – powiedział Arivald, starając się zapamiętać.

Przeszedł z małego pokoiku Baalbosa do głównej sali bibliotecznej i aż wstrzymał oddech. Nigdy nie widział czegoś bardziej, hm… monumentalnego. Kiedy spojrzał w górę, nie zobaczył sufitu; kiedy spojrzał w głąb korytarza, nie zobaczył jego końca. Nic, tylko rzędy półek i jednakowe, oprawione w brązową skórę woluminy.

– A gdzie są schody? – spytał sam siebie na głos.

– Proponuję użyć trzeciego czaru Gaussa – odezwał się głos z powietrza i Arivald drgnął przestraszony. – Gdzie pragniesz się znaleźć?

Arivald powiedział, gdzie pragnie się znaleźć. Chciał zacząć od traktatu Gundusa.

– Podaję parametry: dwa, super jedenaście, minus igrek cztery jeden. Życzę miłej lektury.

Na szczęście wszystkie teleportacyjne zaklęcia Gaussa Arivald znał. Największy problem tkwił w wyznaczaniu parametrów, ale skoro zostały podane, to reszta była jak bułka z masłem. Tak więc Arivald po chwili doznał znajomego i wcale przyjemnego uczucia rozpłynięcia się w powietrzu oraz nieco mniej przyjemnego zawrotu głowy, po czym zmaterializował się dokładnie tam, gdzie powinien. Sięgnął po

właściwą książkę. Na brązowej skórze okładki złote litery głosiły: Gundus z Silmaniony, zwany Gundusem Gdaczem, „Traktat o obrotach". Arivald chciał otworzyć książkę, ale okładka stawiła niespodziewany opór.

– Proszę uaktywnić polisę – zażyczył sobie ten sam głos z powietrza.

– I oto ślepy zaułek – mruknął Arivald, który spodziewał się czegoś w tym rodzaju.

– Polisa nadal nieaktywna – obwieścił głos – do uaktywnienia polisy proponuję użyć szesnastego czwartopoziomowego zaklęcia z Seszeni.

– Czy możesz mi przypomnieć jego treść? – spytał w pustkę Arivald.

– Szesnaste czwartopoziomowe zaklęcie z Seszeni jest do odnalezienia w „Traktacie o obrotach" mistrza Gundusa.

Arivald podrapał się po głowie.

– Wolałbym, abyś mi je przypomniał – powiedział, zastanawiając się, czy ze ślepego zaułka jest jednak wyjście.

– Oczywiście. Otwieram kredyt. Proszę uaktywnić polisę.

– No i koniec. Podaj parametry miejsca aktualnego pobytu mistrza Baalbosa.

Arivald bał się przez chwilę, że i z tym będą kłopoty, a wtedy chyba umarłby w tej bibliotece, nim zdołałby odnaleźć wyjście.

Ale głos teraz nie stwarzał problemów i po chwili Arivald był już przed Baalbosem.

– Mam kłopoty z uaktywnieniem polisy – poskarżył się.

– No tak, zawsze ta kancelaria – mruknął Baalbos. – Pozwolisz? Szybko wypowiedział zaklęcie.

– Polisa aktywna – oznajmił głos.

– Działa – zdziwił się Baalbos.

– Czy to możliwe, żebym źle wypowiedział zaklęcie? – udatnie zdumiał się Arivald. – Chyba się starzeję. Najprostsze formuły czasami wypadają mi z pamięci. No nic, dziękuję ci bardzo.

– Ależ nie ma za co. Żaden z nas nie staje się młodszy – powiedział uprzejmie Baalbos, lecz myślami był już przy dzisiejszym wieczorze.

Arivald spędził bardzo zajmujący dzień, rozgryzając „Traktat o obrotach" i wgłębiając się w tezy Drestrina. Zrozumiał też, dlaczego były tak mało popularne. Drestrin twierdził bowiem, że magowie powinni być poddani jurysdykcji cywilnej, a nie, jak dotąd, tylko władzom Bractwa. Ale dzieło było niezwykle interesujące, bo napisane zrozumiałym językiem i pozbawione czarów. Był to po prostu traktat historyczno-prawniczy, ubarwiony licznymi anegdotami. Drestrin może i był nielubiany, za to nieźle pisał.

– Czy mogę? – spytał dużo później Arivald, stojąc nad zaczytanym Velvelvanelem.

– Tak, tak… – mag z trudem oderwał się od lektury. – Cóż za niezwykła kompilacja – wskazał palcem tekst zaklęcia, którego Arivald nigdy nie potrafił zrozumieć, a tym bardziej zastosować. – Ale zauważyłem brak wielu tez, zwłaszcza dotyczy to ostatnich kilkunastu lat. Widać, że spędziłeś wiele czasu z dala od Silmaniony.

– Czy mógłbyś mi je zapisać, mistrzu Velvelvanelu?

– Zapisać w twojej Księdze? – zdumienie Velvelvanela sięgnęło zenitu. – Taki zaszczyt! Nie jestem godzien! A ty naprawdę będziesz potrafił je odczytać?

– Oczywiście – powiedział Arivald, który nie miał kłopotów z odczytywaniem zaklęć zapisanych piórem Artaanela i nie wiedział nawet, że każdy mag, zapisując zaklęcia w Księdze, tworzy jakby własny język. Umiejętność odczytywania tego języka była więcej niż wyjątkowa. – Spotkamy się jutro, dobrze? – uciął Arivald, bo był już bardzo zmęczony. – Do widzenia.

Rada zebrała się tak, jak powinna się zebrać Rada Tajemnego Bractwa. W ciemnym, przestronnym pokoju, przy palisandrowym stole, na którym stały nigdy nie gasnące trzynastoramienne świeczniki. Magowie siedzieli na wysokich, niewygodnych krzesłach ubrani w błękitne szaty i równie błękitne spiczaste czapy ze złotymi gwiazdami.

– Witajcie, o dostojni – zagaił Harbularer. – Gościmy dziś w swym gronie znamienitego gościa z dalekiego Wybrzeża, mistrza Arivalda, ucznia czcigodnego Artaanela, oraz potężnego Dagolara z Targentu, zaufanego króla Silmeverda Pięknego.

Arivald spojrzał w stronę Dagolara, gdyż pamiętał imię Silmeverda z opowieści Hogwara Srebrnegoliścia. Jak z niej wynikało, król Targentu postępował nie najpiękniej. Dagolar był rosłym, młodym jeszcze, a w każdym razie młodo wyglądającym mężczyzną o jasnych, prawie białych włosach i lodowatych błękitnych oczach. Przy pasie nosił długi na stopę sztylet z inkrustowaną złotem rękojeścią. Pierwszy raz Arivald zobaczył maga noszącego broń. Widocznie obyczaje dworu w Targencie były inne niż w Silmanionie.

– Mów, mistrzu Dagolarze.

Mag z Targentu wstał i skłonił się zebranym.

– Zło się przebudziło, dostojni – rzekł, nie bawiąc się w ogólniki. – Konkweror Hadżdżistanu rusza na Zachód. Jego armia jest bezkresna jak morze i niepoliczalna jak gwiazdy na niebie.

Arivald chrząknął, bo nie przepadał za poezją.

– W wojskach konkwerora służą zaciężne oddziały goblinów z Tihkageth i gnolle z Bardagalaru. Wzięto na służbę wiedźmiarzy z Gór Słonych. Ale nie to jest najstraszniejsze. Nasi szpiedzy mówią, a mamy

powody, aby im wierzyć, iż konkweror pragnie przebudzić Najstarszego. Ołtarze Bahrostu znów spłynęły krwią.

– To bajki – przerwał ostro Lineal, wiekowy rektor Akademii. – Prace Lemuela Ballizeta dawno wykazały, że Najstarszy jest tworem legendy.

– Cenię niezwykle wagę teoretycznych prac – rzekł Dagolar, a brzmienie jego głosu wyraźnie zaprzeczało słowom – ale powtarzam: nie mamy powodów, aby nie wierzyć raportom naszych agentów. Konkweror zajął Świątynię Bahrostu.

– To, że konkweror wierzy w Najstarszego, nie sprawi, iż Najstarszy ożyje – zadrwił Bolgast Szczwacz. – Hadżdżistan jest daleko stąd. Czy muszę wymieniać, przez ile krain musiałby przejść konkweror, aby dojść do Silmaniony? Rozumiem, że króla Targentu niepokoi wzrastająca potęga konkwerora. W końcu od kiedy sięgam pamięcią, władcy Targentu walczą z Hadżdżistanem o dostęp do morza, ale nie rozumiem, co z tym wszystkim wspólnego ma Tajemne Bractwo. Nasza potęga jest niezmienna i niezmierzona. Wszelkie zawirowania władzy nie dotyczą Bractwa i zawsze pilnowaliśmy, aby nie mieszać się w spory królów. Tak być powinno.

Szmer głosów potwierdził słowa Bolgasta.

– Tak być powinno – przytaknął Dagolar – ale czy nie powinniśmy stanąć przeciw naszym odwiecznym wrogom, wiedźmiarzom?

– Jeśli używa się pewnych sformułowań, powinno się używać ich poprawnie – mentorskim tonem odezwał się rektor Lineal. – Wiedźmiarze żyją tylko w Ker-Paraveh, ci nieszczęśnicy z Gór Słonych to tylko magicy i iluzjoniści, niewiele mający wspólnego zarówno z wiedźmiarzami, jak i z nami.

– Hadżdżistan dąży do zniszczenia Bractwa – rzekł ostrym tonem Dagolar.

– Bractwa nie można zniszczyć – wtrącił wyniośle Harbularer – i ty, mistrzu Dagolarze, jako znany historyk, powinienneś najlepiej zdawać sobie z tego sprawę.

– Można zniszczyć magię – powiedział cicho Dagolar. Bolgast roześmiał się.

– Czyś się najadł szaleju? – spytał, nie starając się ukryć obraźliwego tonu.

Harbularer uciszył go, gniewnie unosząc dłoń.

– Jesteś młody i niedoświadczony – rzekł – więc milcz. Bolgast poczerwieniał i zacisnął dłonie w pięści, ale posłusznie umilkł.

– To najściślej strzeżona i najbardziej zakazana wiedza – rzekł Harbularer. – Jedynie ja, mistrz Dagolar i dostojny rektor Lineal mieliśmy dostęp do dzieł Vilenny Szalonej.

– A któż to taki? – spytał zdumiony Faldron, który szczycił się

tym, że przeczytał wszystkie książki silmaniońskiej biblioteki, choć nikomu nie wydawało się to możliwe.

– Vilenna była najpotężniejszym z magów, jaki żył kiedykolwiek i jaki prawdopodobnie żyć kiedykolwiek będzie – wyjaśnił Dagolar.

– Nigdy kobieta nie była magiem! – zaprotestował Bolgast. – Każdy uczeń wie, że dostęp do prawdziwej mocy jest dla kobiet nieosiągalny. Kobieta może być czarownicą, biegłą w magii leczniczej, a nawet bojowej, ale nigdy nie stanie się magiem!

Dagolar spojrzał w stronę Harbularera. Pan Czarnej Różdżki westchnął.

– To w zasadzie prawda, ale od każdej reguły są wyjątki. Vilenna była wybitnym teoretykiem magii, autorką koncepcji Podwójnego Lustra, która zrewolucjonizowała sztukę magiczną.

– Zawsze uczono nas, że autor jest nieznany – mruknął Bolgast, pocierając brodę. – Nie podoba mi się, że członków Rady trzymano w nieświadomości co do spraw tak wyjątkowej wagi.

– Vilenna napisała również traktat „O początku" – powiedział Dagolar – i mówi w nim, jak powstała magia oraz jak magia może się skończyć.

– To praca czysto teoretyczna – zastrzegł rektor Lineal, widząc, że słowa Dagolara wzbudziły niepokój – zresztą Vilenna nie zaprzecza, że może to być nie likwidacja magii, tylko jej przejście w nowy etap.

– Na którym to etapie nie byłoby jednak miejsca dla Bractwa – wtrącił Dagolar.

– To prawda – niechętnie przyznał Lineal – ale przecież wszystko to jest tak niejasne i zagmatwane. Vilenna…

– Nie będę rozprawiał na temat dzieła, z którym nie raczono mnie nigdy zapoznać. Dodam tylko, że utajnienie wiedzy tej wagi można uznać za poważne przestępstwo. – Bolgast bezceremonialnie przerwał rektorowi, a szmer aprobaty upewnił go, że wypowiedział słowa miłe większości zebranych. – Być może, należałoby się zastanowić nad wyciągnięciem daleko, daleko – powtórzył z naciskiem – idących konsekwencji.

– Czy chcesz głosowania? – spytał Harbularer.

Bolgast zastanawiał się tylko przez chwilę. Wiedział, że jeszcze nie wygra z Wielkim Mistrzem. Członkowie Rady mogą być oburzeni, iż ukryto przed nimi pewne fakty, ale nie odsuną Harbularera. Bolgast był zbyt młody, ambitny i niedoświadczony, aby objąć przywództwo.

– Nie chcę – burknął – ale żądam dostępu do prac tej Vilenny. Dagolar, Harbularer i Lineal porozumieli się wzrokiem.

– Niemożliwe – stwierdził w imieniu ich wszystkich Lineal. – To absolutnie zakazana wiedza.

– Nad tym możemy głosować – rzekł z uśmiechem Bolgast.

– Nad tym nie będziemy głosować – uciął Harbularer. – Od setek

lat tylko trzem ludziom wolno poznać prace Vilenny: mistrzowi Bractwa, rektorowi Akademii oraz wybranemu przez nich członkowi Rady. Taka jest tradycja i takie jest prawo. Jeśli kiedyś znajdziesz się na moim miejscu, Bolgaście, docenisz słuszność tego prawa.

– Jaką możemy mieć pewność, że teoria tej kobiety jest prawdziwa? A nawet jeśli jest, to daleka droga dzieli praktykę od teorii. I co to wszystko ma wspólnego z konkwerorem Hadżdżistanu? – spytał Feldron.

– Jeśli obudzą Najstarszego, wtedy może stać się to, co przewidywała Vilenna – powiedział Dagolar.

– Podsumujmy. – Bolgast zabębnił palcami po stole. – Najpierw każesz nam uwierzyć, że Najstarszy nie jest postacią z legend. Potem w to, że w ogóle można go, jeśli naprawdę istnieje, obudzić. A następnie, że już obudzony będzie chciał zniszczyć magię, o której zniszczeniu napisała w dziele, którego nikt z nas nie zna, kobieta, o której nigdy nie słyszeliśmy. A której przydomek świadczy, że nie cieszyła się wielkim poważaniem.

Większość członków Rady uśmiechnęła się w tym momencie.

– Król Targentu musi być w nie lada opałach – podsumował Bolgast – ale nie sądzę, aby Bractwo dało się wykorzystać w nie swojej walce.

– Cóż więc proponujesz? – ponuro spytał Dagolar.

– Rozejść się i przeprosić dostojnego mistrza Arivalda, że prosiliśmy go, by fatygował się z Wybrzeża w sprawie, która nie przedstawia Bractwa w najlepszym świetle.

Arivald uśmiechnął się pod wąsem. Bolgast bardzo wyraźnie szukał stronników.

– Właśnie. A co powie nam dostojny Arivald? – spytał Harbularer, a ton jego głosu wskazywał, że mistrz pogodził się z porażką.

– Byłem kiedyś w Hadżdżistanie – rzekł Arivald. Zebrani spojrzeli na niego ze zdziwieniem, bo niewielu magów lubiło podróże, a już z pewnością nie podróże w tak dzikie i dalekie strony. – I nie podobało mi się to, co tam zobaczyłem. Konkweror jest okrutnym człowiekiem. Powszechnie stosowaną karą za nieposłuszeństwo jest smażenie w wielkim miedzianym kotle, w świątyniach Hadżdżistanu składa się ofiary z ludzi, a ofiara jest tym bardziej udana, im dłużej żyje torturowany. Umiejętność zadawania bólu podniesiono do rangi sztuki. Kiedy byłem w Hadżdżistanie, konkweror zwyciężył właśnie plemiona mieszkające w dorzeczu Rzeki Mulistej. Zabito wtedy prawie sto tysięcy ludzi. Przez pole pełne nabitych na pal szło się trzy dni.

– Plotka zawsze wyolbrzymia postępki surowych władców – wtrącił niepewnie Lineal.

– Ja szedłem przez to pole – rzekł łagodnie Arivald, a jego oczy pociemniały na pamięć tego wydarzenia.

– No cóż, nie wspominałem o tym aspekcie sprawy – powiedział Dagolar – ale konkweror rzeczywiście nie należy do ludzi łagodnych.

– Nie jesteśmy od tego, aby zajmować się moralną stroną postępowania władców – wzruszył ramionami Bolgast. – Kto w to wątpi, powinien jeszcze raz przeczytać Pięć Tez.

– Od czego więc jesteśmy? – spytał cicho Arivald. – Czy nasza nauka nie ma służyć również temu, aby życie ludzi uczynić znośniejszym?

– Z całym szacunkiem, mistrzu Arivaldzie, ale to herezja o daleko idących skutkach praktycznych. – Dagolar ciekawie przyjrzał się Arivaldowi.

– Nie jestem biegły w teorii – rzekł gniewnie Arivald – wiem tylko, że pomagam leczyć ludzi i bydło, ostrzegam rybaków przed nadchodzącym sztormem i pokazuję im miejsca, gdzie połowy będą najlepsze. Tyle mogę zrobić, aby uczynić ich życie łatwiejszym. I jeśli to herezja… tak, jestem heretykiem.

– Mistrzu Arivaldzie, oczywiście dbamy o rozwój społeczności, wśród której żyjemy – powiedział Bolgast. – Ale nie możemy ustalać biegu historii. Jeśli armia Hadżdżistanu stanęłaby pod murami Silmaniony, będziemy się bronić, gdyż zagroziłoby to interesom Bractwa. Lecz wojna konkwerora z Targentem jest dla nas obojętna.

– Berril Złotousty twierdził, że nie ma dobra i zła, jest tylko bieg historii – powiedział Molinar, który milczał aż do tej chwili.

– To również pogląd skrajny – zaprotestował Harbularer – i Bractwo nigdy nie włączyło tej teorii do Pięciu Tez. Mimo nacisków – dodał z przekąsem, wyraźnie pijąc do Molinara.

– Cóż więc robimy? – zapytał Bolgast.

– Należy bliżej przyjrzeć się poczynaniom konkwerora – stwierdził Harbularer i powiódł wzrokiem po zebranych, czekając na ich reakcję.

– Tak – powiedzieli jednocześnie Lineal i Dagolar. Poparli ich jeszcze trzej członkowie Rady, sześciu pozostałych było przeciwko. Wszyscy spojrzeli w stronę Arivalda.

– Zgadzam się z mistrzem Harbularerem – powiedział wolno Arivald.

– Czy mistrz Arivald ma w ogóle prawo głosu? – zapytał wyraźnie wściekły Bolgast.

– Nie kompromituj się – syknął Molinar na tyle głośno, że wszyscy zebrani usłyszeli jego słowa.

– A więc postanowione – stwierdził wyraźnie zadowolony Harbularer – pięciu z nas wyruszy z mistrzem Dagolarem do Targentu. Wyślemy też dwustu zbrojnych eskorty. Pojadą dostojni Lineal, Arivald, Bolgast, Molinar i Druskin.

Arivald zauważył, że mistrz Harbularer wybrał trzech magów,

którzy głosowali za ingerencją, i trzech, którzy byli przeciwko. Nie przypuszczał tylko, że sam się znajdzie wśród powołanych do wyjazdu. I wcale mu się to nie podobało. Ale protesty niewiele by zapewne dały. W tej sprawie decyzja Wielkiego Mistrza była prawem. Arivald postanowił jednak wykorzystać swą uprzywilejowaną pozycję. Harbularer miał w stosunku do niego dług wdzięczności.

– Chciałbym, aby wyruszył z nami mistrz Velvelvanel – powiedział.

Magowie nieprzychylnie przyjęli jego słowa.

– To nie jest człowiek godzien zaufania – odparł Lineal, który był w składzie sądu skazującego Velvelvanela za nekromancję.

Mimo że było to bardzo dawno temu, Rada miała długą pamięć i nieskoro wybaczała. Ale Harbularer poparł Arivalda, choć wbrew sobie. Velvelvanel pojedzie do Targentu.

Nie tak łatwo wybrać się w drogę dwustu zbrojnym i siedmiu magom. Dlatego też prawie dwa tygodnie upłynęły od spotkania Rady do dnia wyjazdu. Arivald cały ten czas spędził w silmanionskiej bibliotece, robiąc jedynie krótkie przerwy na praktyczne ćwiczenia zaklęć i bardzo, bardzo krótkie przerwy na sen. Oczywiście niewiele można poznać przez dwa tygodnie nawet najpilniejszej pracy, lecz Arivald miał nadludzkie wręcz zdolności zapamiętywania, jeśli coś chciał zapamiętać. Był tak oszołomiony bogactwem wiedzy, z jakim się zetknął, że zaczął poważnie myśleć, czy nie przenieść się do Silmaniony chociaż na rok. Zrozumiał chyba, dlaczego magowie niechętnie opuszczali siedzibę Tajemnego Bractwa. Mimo wytężonych zajęć Arivald znalazł jednak czas, by spotkać się ze Srebrnymliściem; załatwił mu delegację na Wybrzeże, o co rycerz szczerze i żarliwie błagał. Hogwar nie byłby złą partią dla księżniczki, myślał Arivald. Jedyny syn z morganatycznego związku księcia Elskina, bardzo bogaty, bardzo odważny i bardzo ciekaw świata, skoro zamiast zaszyć się we własnych włościach lub robić karierę na dworze cesarza, wybrał trudną i niewdzięczną służbę u silmanionskich czarodziei.

Arivald wiedział, że księżniczka musi w końcu wyjść za mąż (poddani z roku na rok domagali się tego coraz usilniej), i zdawał sobie sprawę, że życie jej przyszłego nie będzie lekkie. No chyba że znajdzie człowieka o stalowej woli i gołębim sercu, choć wydaje się to dziwnym połączeniem.

W końcu wyruszyli. Podróż zapowiadała się na długą, gdyż jedynie Dagolar i Arivald jechali konno, pozostali magowie woleli kolasy, a i to narzekali, że za małe i niewygodne. Towarzyszyło im stu pięćdziesięciu pikinierów, dwudziestu kuszników z doborowego oddziału osobistej gwardii Harbularera oraz dziesięciu rycerzy wraz z giermkami i służącymi. Z tyłu wlókł się tabor objuczony zapasami żywności i wina, prześcieradłami, puchowymi pierzynami, obrusami,

srebrną zastawą, kilkunastoma kompletami ubrań dla każdego z magów, turniejowymi zbrojami rycerzy, którzy wzięli je na wypadek, gdyby na dworze w Targencie odbywał się właśnie jakiś turniej.

Na początku wyprawa ciągnąć miała gościńcem aż do Sinego Brodu, a potem skręcić na północ w stronę Wzgórz Stołowych, za którymi rozciągały się już włości lenników króla Targentu. Stamtąd czekał ich miesiąc marszu, między innymi przez Góry Spalone. Podróż zapowiadała się więc na nudną, długą i uciążliwą. Arivald wiedział, że tak czy inaczej będą musieli przezimować w Targencie. Oczywiście inaczej rzecz by się miała, gdyby szli szybkim rycerskim pochodem. Dagolar dotarł z Targentu do Silmaniony w niespełna trzy tygodnie, ale zmieniał konie w przydrożnych zajazdach, no i nie wlókł ze sobą taboru ani zrzędliwych czarodziei. Dlatego Arivald pierwszego dnia, pod wieczór (a przebyli zaledwie osiem kilometrów, bo w jednej z kolas pękło koło), zdecydował się porozmawiać z Dagolarem.

– Obawiam się, że w tym tempie dotrzemy na zimę – powiedział zgryźliwie targencki mag.

– O tym właśnie chciałem z tobą pomówić – uśmiechnął się Arivald. – Czy nie byłoby lepiej, abyśmy wyprzedzili resztę i dotarli szybciej do twego króla? Może któryś z dostojnych magów zechce nam jeszcze towarzyszyć.

– To niezły pomysł – mruknął Dagolar – ale nie wiem, czy mistrz Harbularer będzie zachwycony, gdy się rozdzielimy.

– Droga jest bezpieczna.

– W miarę. Na Wzgórzach Stołowych straciłem trzech ludzi w walce z rabusiami. Ale wzięlibyśmy przecież kilku zbrojnych. Dobrze, panie Arivaldzie, zobaczmy, jak to przyjmą inni.

Inni przyjęli to bardzo źle. Zwłaszcza Molinar i Druskin, którzy wiedzieli, że z pewnością nie pojadą wierzchem, a byli przeciwni całej wyprawie i Arivald przypuszczał nawet, iż postarają się ją opóźnić. Ale Dagolar się uparł i w zasadzie nie mogli nic zrobić poza namówieniem Bolgasta Szczwacza, aby również jechał. Bolgast, rad nierad, zgodził się z nimi, a wtedy sędziwy rektor Lineal, ku niezadowoleniu Molinara i Druskina, zdecydował się towarzyszyć awangardzie.

– Z każdą decyzją czekajcie na nas – rzekł wyniośle Molinar.

– Jest was dwóch, dostojny Molinarze – powiedział Dagolar – czyli my stanowimy większość. Nikt ci nie broni pojechać z nami.

Molinar prychnął rozdrażniony, bo nie utrzymałby się na koniu nawet pięciu minut.

Oderwali się od wyprawy następnego dnia o świcie. Poranek był chłodny i chmurny, zapowiadał się wymarzony dzień na podróż. Dagolar jechał strzemię w strzemię z Arivaldem, za nimi podążali

pozostali magowie (jedynie Velvelvanel wlókł się na samym końcu, bo nie bardzo umiał poradzić sobie z wierzchowcem) i pięciu rycerzy z giermkami. Reszta eskorty pozostała z Molinarem i Drustrinem.

– Byłeś kiedy w Targencie, panie Arivaldzie? – spytał Dagolar.

– Bardzo dawno temu – odparł Arivald, a widząc, że Dagolar czeka na jego dalsze słowa, dodał: – panował tam jeszcze ojciec Silmeverda. Ale nie zostałem długo, bo podróżowałem do Hadżdżistanu.

– Czy mogę spytać, w jakim celu odwiedzałeś Hadżdżistan? Arivaldowi nie podobała się ciekawość Dagolara, ale uznał, że rozsądniej będzie sprawiać wrażenie człowieka, który nie ma nic do ukrycia.

– Wiedza może być kształtowana tylko przez poznanie, a poznanie przez doświadczenie – powiedział.

– Jak wiem, czcigodny Artaanel również wiele podróżował.

– O tak! – Arivald uśmiechnął się na wspomnienie długich wypraw, w których towarzyszył magowi. Gdzież oni wtedy nie byli…

– Jego śmierć była wielkim ciosem dla Bractwa.

– Dla mnie również – westchnął Arivald, bo rzeczywiście z głębokim żalem żegnał Artaanela, mimo że starzec był tak wyniosły i tak ogromną pogardę żywił dla tych, którzy nie parali się magią.

U podnóża Gór Spalonych stanęli po dziesięciu dniach i po drodze nie spotkało ich nic godnego uwagi ani przykrego (poza siniakami i odleżynami, jakich nabawił się Velvelvanel). Arivald i – rzecz jasna – Dagolar znali Góry Spalone, ale reszta podróżnych długo nie mogła dojść do siebie, zobaczywszy te nagie skalne szczyty ginące gdzieś pod niebem.

– Mamy przez nie przejść? – jęknął Velvelvanel, kiedy pierwszy raz ujrzeli groźny masyw.

– Och, przełęczami – odparł Dagolar. – Nawet nie sięgniemy połowy gór. Po drodze zatrzymamy się w twierdzy Iliten-osleth.

– Oczy Południa – przetłumaczył Arivald – niegdyś ostatni zamek Cesarstwa na południowych rubieżach. Gdy ostatni raz byłem w Targencie, szykowano się, by go odbudować.

– I odbudowano – westchnął Dagolar – choć nie wiem, ilu ludzi zginęło przy tym. Zresztą nikt nie dałby rady przywrócić świetności całemu zamkowi. Odbudowano tylko warownię, ale wystarczy to, aby strzec Gór Spalonych.

– Iliten-osleth to przeklęte miejsce – rzekł Velvelvanel – i żaden człowiek nie powinien przywracać życia tej ruinie. Mówią, że nim trzęsienie ziemi pochłonęło zamek, oddawano się tam najczarniejszej magii i składano ofiary z ludzi.

– To było kilkaset lat temu – zaśmiał się Dagolar – jeśli w ogóle było. Teraz to tylko niewielki fort z równie niewielką załogą. Tak

przemija chwała świata – dodał.

– Jeśli cokolwiek, co działo się w Iliten-osleth, można nazwać chwalebnym – mruknął Velvelvanel.

Nagle jeden z rycerzy zatrzymał konia i gestem poprosił magów, by się zbliżyli. Tuż przed kopytami niespokojnie kręcącego się wierzchowca wyrastała góra łajna. Nieco już zeschłego łajna.

– Trolle – burknął Dagolar – co za pech.

– Trolle? – spytał zaniepokojony rektor Lineal.

– Trolle? – jęknął Velvelvanel.

– Nienawidzę trolli – stwierdził Bolgast Szczwacz.

I miał rację, gdyż trolle były odporne na ogromną większość magicznych zaklęć. Czarodzieje poczuli się więc bezbronni, a Lineal nawet zaczął się głośno zastanawiać nad celowością podróżowania z tak wątłą obstawą.

– Zabijałem już trolle w górach Peredinu – powiedział pocieszająco jeden z rycerzy. – Są głupie i powolne, choć silne. Ale ten, który zastąpi nam drogę, gorzko tego pożałuje – pogłaskał czule rękojeść swego miecza. – Nie ma takiego stworzenia, którego nie imałoby się dobre ostrze.

Arivald pomyślał, że rycerz zapomniał dodać, iż skóra trolli była równie dobrą ochroną jak płytowa zbroja. Jak się okazało, rycerz nie w porę wypowiedział słowa o zastępowaniu drogi przez trolle, jeszcze bowiem przed zachodem słońca zobaczyli prawdziwego i żywego przedstawiciela tego gatunku. Stał sobie spokojnie na wąziutkiej ścieżce, ledwo się mieszcząc, bo po prawej ręce miał skalną ścianę, a po lewej przepaść. Głęboką przepaść.

– Czy nie ma innej drogi? – spytał Velvelvanel, a głos mu leciutko zadrżał.

Dagolar gniewnie pokręcił głową.

– Musielibyśmy nadłożyć trzy dni – rzekł. – Zabijcie go – rozkazał rycerzom.

– Zaraz, zaraz! – wtrącił Arivald, który zdawał sobie sprawę, jak niewielkie szansę ma człowiek w spotkaniu z trollem. Gdyby potwór stał na otwartej przestrzeni, to inna sprawa, ale tu, na wąskiej ścieżce…

Przełknął ślinę, bo zaschło mu w ustach, i podjechał bliżej. Troll spojrzał na niego leniwie, ale w jego spojrzeniu nie było wrogości. Jeżeli oczywiście człowiek jest w stanie cokolwiek wywnioskować ze spojrzenia trolla. Arivald zadarł głowę, bo mimo iż był na koniu, troll przewyższał go o dobre pół metra.

– Czy byłbyś łaskaw przepuścić nas, panie trollu? – zapytał grzecznie czarodziej.

Troll przesunął po nim wzrokiem, potem spojrzał w stronę zachodzącego właśnie słońca. Skrzywił się lekko, a jego potworny

pysk nabrał wyjątkowo złowrogiego wyglądu. Jeden z rycerzy dobył miecza, drugi wycelował kuszę, giermkowie silniej ścisnęli styliska toporów.

– Parzy – poskarżył się troll.

Jego głos tak wstrząsnął końmi, że jeden, nie bacząc na lata dobrego wychowania, zrzucił jeźdźca (był nim rycerz z kuszą) i pognał ścieżką w dół.

– To dlaczego nie siedzisz w jaskini? – troskliwie spytał Arivald, bo powszechnie wiadomo, jak trolle nienawidzą słońca. Co prawda nie kamienieją od jego promieni, jak to opowiadają różne pleciugi i wypisują różne bajkopiórki, ale darzą słońce głęboką niechęcią.

– W jaskini – powtórzył troll i zadumał się głęboko.

W końcu podniósł rękę i paluchami, z których każdy miał grubość męskiego ramienia, podrapał się po kudłatej głowie.

– A gdzie jest jaskinia? – spytał wreszcie.

– Widziałem jakąś pół godziny drogi stąd – rzekł skwapliwie rycerz z kuszą, który pozbierał się już z ziemi – tą ścieżką w dół i po lewej stronie.

– Znaczy po tej stronie. – Arivald gestem pokazał trollowi, która jest lewa.

– Aha – odparł troll i poruszył się. Ze ścieżki sypnęły się w przepaść kamienie. – No to idem – dodał.

Wszyscy cofnęli się do rozszerzenia drogi, bo nikt nie chciał być blisko przechodzącego trolla, nawet jeśli ten troll zachowuje się spokojnie. Kiedy zniknął za zakrętem, Lineal otarł pot z czoła, a jeden z giermków odbiegł na stronę.

– Jesteśmy ci głęboko wdzięczni, panie Arivaldzie – powiedział sędziwy rektor.

– O tak – dodał rycerz, któremu wypadłoby zmierzyć się z trollem jako pierwszemu.

– Większość stworzeń zabijamy, gdyż boimy się ich – rzekł Arivald – a boimy się, ponieważ nie znamy ich obyczajów.

– Jak wejdzie do tej jaskini, możem go przydusić ogniem – odważnie zaproponował jeden z giermków.

– No to idź, głupcze! – zezłościł się Dagolar. – I widzisz, panie Arivaldzie? Nie da się odzwyczaić ludzi od bezsensownej przemocy.

– O tak – przytaknął czarodziej, nie przypominając Dagolarowi, że właśnie on chciał natychmiast rozprawić się z trollem. – Jedźmy już, mam nadzieję, że nie ma ich tu więcej.

No i na szczęście nie było, a nawet jak były, to nie weszły podróżnym w drogę. Bezpiecznie więc, po dwóch dniach, dotarli do miejsca, skąd widać było ruiny zamku i świeżo odbudowane mury warowni.

– Iliten-osleth – westchnął Velvelvanel, który mimo tylu dni w

siodle nadal nie czuł się dobrym jeźdźcem. – Wreszcie!

– Hrhwarin! – dobiegł ich nagle ostry, chrapliwy głos.

Na skalnej półce stały trzy koboldy w długich po łydki kolczugach i z kuszami w dłoniach.

– Dwehre hrhwarin – odpowiedział Dagolar i koboldy opuściły broń.

– Co one tu robią? – spytał zdumiony Lineal.

– To załoga twierdzy – wyjaśnił Dagolar.

– Nie wejdę do zamku, którego pilnują koboldy – rzekł Bolgast Szczwacz. – Jak mogłeś zataić to przed nami, Dagolarze?

– Te koboldy złożyły przysięgę krwi memu władcy – wyjaśnił Dagolar. – Ludzie potrafią łamać przysięgi i nie dotrzymywać obietnic, a koboldy pozostają wierne temu, z którym połączyła je przysięga. Iliten-osleth jest zbyt ważną twierdzą, aby pozostawić tu byle kogo.

– Ale mnie nie składały przysięgi – rzekł wyniośle Bolgast – nie zatrzymamy się więc w Iliten-osleth.

– O nie – rzekł stanowczo Lineal. – Choć jedną noc chcę spędzić w łóżku, a nie na ziemi. Ty rób, jak chcesz, Bolgaście, ale ja nie zamierzam omijać Iliten z powodu jakichś przesądów.

Arivald przyjrzał się uważnie koboldom. Stały nieruchomo, niczym posążki wyrzeźbione z zeschłego rudobrązowego drewna i nie dawały znać po sobie, czy rozumieją, o czym mowa. Mag wiedział, że Bolgastowi nie chodzi o przesądy, lecz o rzecz stokroć ważniejszą. Żaden czarodziej, choćby najbardziej znamienity, nie był w stanie wniknąć w umysł kobolda i odgadnąć jego zamiarów. A czarodzieje starali się unikać tego, czego nie mogli kontrolować. O koboldach krążyło też mnóstwo niepochlebnych opowieści (mówiło się wszak: złośliwy jak kobold), podejrzewano te stworzenia o oddawanie się czarnoksięskim praktykom przekraczającym ludzką zdolność rozumienia. No cóż, były wszak koboldy rasą starszą jeszcze od ludzi, choć teraz wymierającą i tępioną. Tak jak bowiem ludzie nienawidzili i lękali się elfów oraz podziwiali krasnoludy (głównie za ich bogactwa), tak serdecznie pogardzali koboldami, uważając je za istoty bardziej zbliżone do zwierząt niż istot rozumnych. Kiedy prawie dwieście lat temu padła ostatnia forteca koboldów, wojska cesarza i krasnoludzkiego króla Targhana Oczopląsego urządziły koboldom taką rzeź, że w krwi broczyło się po kolana. Koboldy wtedy przyczaiły się gdzieś w górskich ostępach i tam wegetowały, czekając lepszych czasów. Niekiedy ten i ów władca najmował ich oddziały, a Silmeverd oddał im nawet skrawek ziemi, by mogły się osiedlić. Bo też wojownikami koboldy były znamienitymi i w czasie wojen potrafiły sprostać nawet wytrawnym krasnoludzkim topornikom.

– A jakie jest twoje zdanie, panie Arivaldzie? – zapytał Dagolar.

– Skoro przysięgły Silmeverdowi na krew, nie byłoby zbyt

uprzejmie unikać Iliten. Znaczyłoby to, że nie ufamy królowi.

Najstarszy z rycerzy, Firron, zbliżył się do czarodziei.

– Jesteśmy za tym, by nie zatrzymywać się w Iliten – rzekł.

– A kto was pyta o zdanie? – prychnął Lineal. Dagolar roześmiał się.

– A więc jedźmy – zdecydował – jak tam, Bolgaście, gdzie dziś nocujesz?

Szczwacz wzruszył ramionami.

– Skoro tak wam zależy na łóżku i pościeli…

Aby przejść ścieżką prowadzącą do warowni, musieli zsiąść z koni i ostrożnie prowadzić je samym skrajem przepaści. Arivald rozejrzał się wokół. Tu rzeczywiście starczyłoby parunastu ludzi do zatrzymania całej armii. Spojrzeniu Arivalda nie umknęły przygotowane na zboczu głazy, spod których wystarczyło wyjąć żelazne podpory, aby runęły w dół, zagradzając i tak już wąskie przejście.

Za skalnymi załomami przywarowali łucznicy, gdzieś tam wystawało ramię katapulty.

Szli w stronę twierdzy, a Dagolar swobodnie rozmawiał z koboldami w ich języku, choć nie było to zbyt uprzejme w stosunku do pozostałych magów, którzy języka koboldów nie znali. Arivald zrozumiał co prawda kilka oderwanych słów, ale nic poza tym. Kiedy przeszli drewniany most spinający dwa brzegi przepaści, znaleźli się na terenie twierdzy. Iliten-osleth było małym bastionem z dwiema pękatymi wieżycami, niewielkim dziedzińcem i wysokimi murami, najeżonymi stanowiskami łuczników. Na dziedzińcu czekał już stary kobold w czarnym płaszczu obramowanym purpurą.

– Oto dowódca garnizonu – przedstawił go Dagolar – książę Vikrahnouk, wielki podziemnik Saravatty, Topór Toporów Valatelu, ofiarnik Złożonego Kamienia.

Rektor Lineal bez słowa skinął koboldowi głową i wtedy Arivald uznał, że czas zareagować. Z opowieści wiedział, jak ważne dla koboldów są wszelkie ceremoniały, formuły i tytuły.

– Magowie Silmaniony witają cię, dostojny – powiedział – oby twój topór zawsze był syt krwi, a słońce zgasło nad Saravattą.

Vikrahnouk pochylił głowę.

– Dwoje złoffa som jag balzam – rzekł uprzejmie – bondź mym goździem.

Kiedy kobold odwrócił się, by wydać rozkazy podwładnym, Lineal nachylił się do ucha Arivalda.

– Co to miało znaczyć? – zapytał.

– Stare powitanie – odparł Arivald. – Koboldy wierzą, że czas ich świetności powróci, kiedy słońce zgaśnie nad równinami Saravatty. Artaanel nauczył mnie obyczajów niektórych ludów.

– Potrzebne im więc zaćmienie – uśmiechnął się Lineal.

Czas prawdy nadszedł w czasie kolacji. Jeszcze przed posiłkiem Dagolar wstał i przeczytał pismo króla Silmeverda. Kiedy jego słowa przebrzmiały, zapanowała dzwoniąca w uszach, martwa cisza.

– To śmieszne – rzekł w końcu Lineal. – Ten człowiek oszalał. Rycerz Firron porwał się z miejsca, sięgając po miecz, lecz Arivald chwycił go za ramię i osadził w miejscu. Widział przecież, jak podczas czytania listu Silmeverda do komnaty cichutko weszli łucznicy i stali teraz pod ścianami, gotowi w każdej chwili do akcji – Firron klapnął z powrotem na ławę, zdumiony siłą czarodzieja. Przez moment myślał, że Arivald złamał mu ramię.

– To jakiś żart – odezwał się Bolgast, popatrując po zebranych i jakby oczekując, że za chwilę wszyscy wybuchną śmiechem.

– A więc jesteśmy uwięzieni – powiedział Velvelvanel spokojnie.

– Powiedzmy… internowani, mój drogi – grzecznie sprostował Dagolar.

Rektor Lineal stracił zimną krew. Błyskawicznie wydobył zza pasa różdżkę, ale nim zdołał rzucić zaklęcie, w powietrzu gwizdnęła strzała i przeszyła mu dłoń. Z jękiem opadł na ławę, różdżka potoczyła się pod stół.

– Spokój! – ryknął Arivald wielkim głosem, a gdy jego krzyk wstrzymał rycerzy i magów, dodał spokojniej: – Nie chcemy tu rzezi. – Zatoczył łuk dłonią, wskazując gotowe do walki koboldy. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, jak zakończyłaby się walka.

– Bardzo mądrze – uśmiechnął się Dagolar i dał znak, a wtedy do Lineala podbiegł kobold z bandażem w dłoni i zaczął opatrywać ranę. – Teraz zostaniecie odprowadzeni do swoich komnat. Wszystko zostało tak przygotowane, aby było wam jak najwygodniej. Mam nadzieję, że kiedy ochłoniecie z gniewu, będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Odprowadzić – rozkazał koboldom.

Czterech magów i Firron zostało wprowadzonych do obszernej komnaty, w której stały pięknie rzeźbione fotele i ogromny stół. W zakratowanych oknach wisiały gęste zasłony, a światło dawały jasno płonące lampy. Dwoje drzwi prowadziło do dwóch niedużych sypialni.

– No to masz łóżko i pościel – rzekł Bolgast, przyglądając się wygodnemu, zdobionemu łożu z baldachimem.

– Jeśli nie weszlibyśmy z własnej woli, wzięliby nas z drogi – powiedział Lineal. – Jak ocena?

– Blokada ogniowa – jednocześnie odpowiedzieli Velvelvanel i Bolgast.

– Osłona?

– Szyfr skrzynkowy.

– Zgadza się – mruknął Lineal.

– Co to znaczy? – zmarszczył brwi Firron.

Lineal spojrzał na rycerza, jakby chciał go uciszyć, ale potem zdecydował, że sytuacja wymaga, aby i on wiedział, co się dzieje.

– Każdy czar użyty w tej komnacie spowoduje wyzwolenie ogniowej pułapki, która najprawdopodobniej upiekłaby nas żywcem. Zaklęcie blokujące jest zaszyfrowane pośród pięciu silnia możliwości. Wynika z tego, że czary nam nie pomogą.

Arivald był szczerze wdzięczny Firronowi za pytanie, a Linealowi za odpowiedź. Przez jakiś jeszcze czas mógł ukrywać swoją ignorancję.

– W sypialniach też są okna – powiedział Firron.

– I kraty – dodał Velvelvanel.

– I kraty – powtórzył jak echo rycerz.

– A więc co? – spytał Bolgast i siadł w fotelu. – Co mamy robić?

– Możemy tylko czekać – westchnął Lineal.

– Czy Rada się zgodzi? – zapytał Velvelvanel.

– Ja bym odmówił – rzekł twardo rektor.

– Poświęciłbyś nas? – Bolgast poczerwieniał z wściekłości.

– Nasze życie jest niczym, Bractwo jest wszystkim. Czym będziemy, kiedy Bractwo upadnie? Tak, Bolgaście, poświęciłbym i was, i siebie, aby uratować nasz świat.

Bolgast zaklął i podparł brodę na pięściach.

– A ja nie – rzekł. – Mam tylko jedno życie i nie zamierzam go tracić.

– Panie Arivaldzie – zagadnął Lineal – jakie jest twoje zdanie?

– Nadchodzi nowe – mruknął Arivald. – Klasyczna gra interesów, walka postępu i zachowawczości. A co się z tego wykluje, Bóg raczy wiedzieć.

– Skandal – skwitował Bolgast słowa Arivalda. Mag wzruszył ramionami.

– Trudno oczekiwać, że zawsze wszystko pozostanie, jak było.

Arivald miał mieszane uczucia co do całej tej sprawy. Z jednej strony nie mogło mu się podobać, że stał się więźniem, z drugiej rozumiał pobudki kierujące władcą Targentu. Silmeverd żądał bowiem ni mniej, ni więcej, tylko obalenia monopolu Tajemnego Bractwa i upowszechnienia magii. Pierwszym krokiem ku temu miało być wysłanie do Silmaniony skrybów i przekopiowanie ksiąg (swoją drogą praca na lata) oraz założenie na dworze w Targencie konkurencyjnej Akademii. Poza tym likwidacja ograniczeń w dostępie do czarodziejskiej wiedzy. Arivald zdawał sobie sprawę, że żądania króla padną na podatny grunt. Czy bibliotekarz Baalbos nie zechciałby zapoznać się z księgami, na których przeczytanie czekał już od lat?

Silmeverd postanowił wykorzystać wysłanych przez Wielkiego Mistrza magów jako zakładników. Ale czy Harbularer ulegnie, czy raczej zdecyduje się poświęcić przyjaciół? Arivald obawiał się, że

raczej to drugie, choć niewątpliwie Silmeverdowi po cichu będą sprzyjać mniej znamienici magowie, dotąd pozostający w cieniu. I to nie ze względu na brak umiejętności, lecz z powodu niedopuszczania do tajemnic Bractwa.

Velvelvanel nagle zachichotał.

– Wreszcie ktoś wziął was za łeb – powiedział. – Daję słowo, że będę pierwszym, który zgodzi się wykładać na nowej Akademii. Czas na uczciwość i sprawiedliwość, a nie przywileje. Niech decydują umiejętności!

Arivald nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Tok jego rozumowania okazał się słuszny. Szydło wyszło z worka nadspodziewanie prędko.

– Ty zdrajco! – warknął Bolgast. – Czego można się było spodziewać po nekromancie?

– To niegodne, co obaj mówicie – rzekł surowo Lineal – i nie życzę sobie na przyszłość podobnego zachowania. Niezależnie od tego, jaki mamy pogląd na wewnętrzne sprawy Bractwa, pewne jest jedno: to są sprawy wewnętrzne i żadnemu królowi nic do tego. Ty, Velvelvanelu, nie sądzisz chyba, że Silmeverd zamierza pomóc biednym czarodziejom wykorzystywanym przez Radę. Tu rzecz idzie o ogromne pieniądze i ogromne wpływy, o przesunięcie ośrodka magii z Silmaniony do Targentu, o niezależność Bractwa. Wybór jest prosty: albo Bractwo ustąpi i zdecyduje się na patronat króla, albo nie ustąpi, co będzie wyrokiem na nas, a prędzej czy później powodem wojny z Targentem. Targent zaś takiej wojny nie wygra, choćby zwerbował koboldy z całego świata.

– Racja – zgodził się Bolgast.

– Ale na wojnie nikt nie zyska – rzekł Arivald. – Zamiast jednak radzić nad losem świata, zajmijmy się lepiej własnym. Jak stąd się wydostać?

– Trzeba czekać – mruknął Lineal. – Nie przełamiemy szyfru.

– Przyjrzyjmy się więc kratom – zaproponował Arivald.

– Bardzo solidne – rzekł Firron. – Już próbowałem.

Arivald podszedł jednak do okna i pomacał kraty. Rzeczywiście były solidne. Grube na dwa palce i głęboko wpuszczone w mur. Nawet gdyby je wyłamać, droga ucieczki prowadziła po gładkiej ścianie wprost w przepaść. Ziemia była jakieś czterdzieści łokci poniżej krawędzi okna. Zresztą nie ziemia, raczej grzebień skalnych złomów.

– Pięknie – powiedział Arivald i odwrócił się od okna. Rektor Lineal wskazał Arivaldowi portret wiszący na ścianie.

– Patrz, co za wyrafinowane poczucie humoru. – Zauważył, że czarodziej nie rozumie jego słów, i dodał: – To Silmeverd.

– Ach tak – odparł Arivald i zamyślił się głęboko.

– Wrzuć to do kominka – rozkazał Lineal Firronowi, a potem z

satysfakcją przyglądał się, jak rycerz łamie ramy i wrzuca w palenisko sponiewierany obraz.

Wieczorem przyniesiono im kolację, smaczną i obfitą, oraz sporo doskonałego korzennego wina. Bolgast i Velvelvanel kosztowali je zbyt namiętnie, po czym pokłócili się i o mało nie pobili.

– I to dopiero pierwszy dzień – stwierdził ponuro rektor, gdy skończył już rugać obu przeciwników. – Co za wstyd.

Kiedy wszyscy już spali (a Bolgast donośnie chrapał), Arivald cichutko podniósł się z łóżka i zbliżył do okna. Do pełni brakowało jeszcze dwóch dni, ale księżyc jasno świecił na czystym niebie i skały kąpały się w srebrnym blasku.

– Bardzo zła pora na ucieczkę – szepnął czarodziej i pomacał kraty. Cóż, były grube i mocne, ale nie aż tak grube i nie aż tak mocne dla kogoś, kto nawet w krasnoludzkiej armii słynął z niezwykłej siły.

Popluł w dłonie i przymierzył się do prętów. Wziął głęboki oddech, szarpnął. Kraty wyraźnie drgnęły. Czarodziej uśmiechnął się z satysfakcją, podniósł leżący na podłodze płaszcz Bolgasta i bezceremonialnie go rozdarł. Dwoma pasami ściśle owinął dłonie i tym razem wziął się już do roboty na poważnie. Krew uderzyła mu do głowy, mięśnie, jak rozrywane rozpalonymi kleszczami, zawyły z bólu, lecz Arivald nie zważając na nic parł z całej mocy. Zagryzł zęby tak mocno, że wydawało mu się przez chwilę, iż szczęka rozpadnie się na połowy. Kraty jęknęły i w końcu się poddały. Czarodziej usiadł na ziemi i długo masował obolałe dłonie, a potem wziął kilka długich wdechów.

– I otom jest u celu – rzekł, kiedy wstał i przyjrzał się wygiętym prętom.

Teraz rzecz była już bajecznie prosta. Starczyło przecisnąć się przez otwór, zawisnąć na parapecie i rzucić teleportacyjny czar Gaussa lub Łabędzi Puch Passhovera. Ale Arivald miał zawsze kłopoty z prawidłowym wyznaczaniem współrzędnych do czarów Gaussa, natomiast Łabędzi Puch czasami mu wychodził, a czasami nie. A tu niestety nie byłoby już okazji do naprawienia błędu. Dlatego też postanowił użyć metody równie starej, jak skutecznej i wypróbowanej. Podarł na pasy prześcieradło i poszwę, skręcił materiał, pieczołowicie zasupłał i jeden z końców tak powstałej liny przywiązał do kraty, a drugi rzucił w dół. Potem przełazi przez okno i modląc się tylko o to, aby żadnemu z koboldów nie przyszło do głowy patrzeć w tę stronę, zaczął powolną podróż na dół.

Nie czas i miejsce tu, aby opisywać wędrówkę Arivalda przez góry. Możemy tylko powiedzieć, że w najbliższych dniach zrozumiał, jak ciężkie jest życie kozicy. Kto chciałby wiedzieć więcej, zawsze może sięgnąć do poematu Hyrkwista Białorękiego „O pomocnym trollu” czy cyklu sonetów Biruna Petrary „W Górach Iglicowych”. Ba,

ślady peregrynacji Arivalda odnajdujemy nawet w ludowej przyśpiewce „Góry, moje góry” czy we wstrząsającym magithrillerze Ali ben Barcera (na Południu znanym jako Barcerius Grafomanius), zatytułowanym „Dagolarrr”. Ale najwybitniejszym dziełem opisującym dokonania Arivalda pozostaje apokryficzny epos Andreasa Puffera (zwanego Konfabulą) „O magii, magach i magnetyzmie”.

Nie wchodząc w zbędne szczegóły dodajmy tylko, że po miesiącu czarodziej dotarł do Battlomarchii, gdzie panował Winifred Ponury, wuj księżniczki Wybrzeża. Stamtąd jeszcze dziesięć dni drogi i oto Arivald znalazł się na swym ukochanym Wybrzeżu. Nim jednak przekroczył progi zamku, wpierw odwiedził pewnego rybaka, który znany był ze swego miłego wyglądu i równie miłego charakteru. Człowiek ten łatwo dał się namówić, aby wziąć udział w przygodzie (gwoli prawdy, to właściwie wcale go nie trzeba było namawiać), gdyż od dziecka marzył o smokach oraz uwięzionych dziewicach (jako człek dobry i poczciwy wierzył w jedno i drugie). Dlatego też z radością przyjął propozycję czarodzieja, a jego zapał dorównywał tylko niewiedzy o czyhających po drodze niebezpieczeństwach. Arivalda denerwowały też jego ciągłe pytania o magiczne miecze, magiczne pierścienie i magiczne zbroje, ale cierpiał dla dobra sprawy, mając nadzieję, że Miłorząb (tak zwał się rybak) szybko wydorośleje.

Na zamku tymczasem trwała nieustająca uczta, gdyż dwunastu wesołych rycerzy z Silmaniony (na czele z Hogwarem Srebrnymliściem) i grono ich równie wesołych sług gorliwie zajmowało się opróżnianiem bogatych (choć w tej chwili już nie aż tak bogatych) piwnic księżniczki oraz flirtowaniem z dworkami. Słynny Tremens z Lancaster co dzień popisywał się swą koronną sztuczką i opróżniał jednym tchem pięciolitrową beczułkę wina, a Bombor Borsuk zawstydził silmanionskich rycerzy podczas turnieju, zręcznie zrzucając wszystkich z konia. Grubas Bombor uchodził bowiem za niezrównanego mistrza kopii, pod warunkiem iż miał czas i chęć, aby wdrapać się na grzbiet wierzchowca (i pod warunkiem że wierzchowiec przetrzymał to doświadczenie). Arivald musiał zniszczyć ten radosny nastrój, a potem długo przekonywać Srebrnegoliścia, że zbrojna wyprawa na Iliten-osleth nie jest najlepszym pomysłem.

– Jest nas tu kilkunastu dzielnych rycerzy – rzekł Hogwar – i trzykroć tyle zbrojnych sług. Jeśli dołączą do nas rycerze Wybrzeża i ludzie Winifreda Ponurego, zbierzemy z pięć setek żołnierzy. A nikt mi nie powie, że jakaś zgraja koboldów oprze się takiej sile.

– Ja widziałem Iliten-osleth – zauważył Arivald. – To twierdza nie do zdobycia.

– Nie ma twierdz nie do zdobycia – stwierdził butnie Hogwar.

– Oczywiście – zgodził się Arivald – jeśli ma się bardzo dużo ludzi

(i nie liczy z ich życiem), bardzo dużo czasu, machiny oblężnicze, no i pieniądze. A my nie mamy żadnej z tych rzeczy.

– Odwagi, Arivaldzie, pokażę ci, jak zdobywa się twierdze – zaśmiał się Srebrnyliść, choć jako żywo, żadnej twierdzy nigdy nie zdobył, ale wiedział już teraz, że to chyba jego przeznaczenie.

– Nie trzeba nam pięciuset trupów – stwierdziła bardzo chłodno księżniczka – i słuchaj Arivalda, jeżeli chcesz zachować moją życzliwość.

Hogwar nieco posmutniał, ale pochylił głowę.

– Ty tu jesteś panią – odparł kornie.

– No właśnie – rzekła księżniczka i zamknęła się z Arivaldem sam na sam w swych prywatnych apartamentach.

Kiedy wysłuchała czarodzieja, roześmiała się.

– Jesteś absolutnie, absolutnie szalony! – krzyknęła. – Co za zdumiewający pomysł!

Jej oczy błyszczały podnieceniem, bo księżniczka również marzyła o wielkiej przygodzie.

– Chociaż z pewnością byłoby o wiele zręczniej, gdybyś rzucił na nas wszystkich czar niewidzialności. Wtedy moglibyśmy niepostrzeżenie wejść do zamku.

Arivald w odpowiedzi stwierdził, że księżniczka czyta za dużo bajek, a księżniczka w odpowiedzi się obraziła. Na szczęście nie na długo.

Tak więc ruszyli w skromnym orszaku, aby pochód był szybki, gdyż Arivald wiedział, że im prędzej dotrą do Iliten-osleth, tym lepiej dla wszystkich. Niepokoił się też nieco o pozostawionych w twierdzy magów, zastanawiając się, czy Dagolar nie obrzydził im życia po jego ucieczce.

A Dagolar naprawdę był wściekły. Kiedy tylko doniesiono mu o ucieczce więźnia, rozesłał kilka grup poszukiwawczych.

– Jak on rozwalił mój kod? – wrzeszczał na silmaniońskich magów, którzy zresztą zadawali sobie to samo pytanie.

Ale mimo złości trudno było mu nie podziwiać sprytu Arivalda. Bo nie dość, że czarodziej z Wybrzeża złamał kod i do wyważenia krat użył Trollego Czaru Gaudeamiusa (Dagolar był przekonany, że musiał to być Trolli Czar, bo nawet nie podejrzewał, iż ktokolwiek mógłby wyłamać je z muru bez pomocy magii), to w dodatku nad wyraz chytrze zrezygnował z zastosowania teleportacyjnych Gaussa lub Łabędziego Puchu. A skończyłoby się to opłakanie, gdyż Dagolar rozregulował Aurę wokół Iliten-osleth i wszelkie współrzędne po prostu szalały. Ale do szewskiej pasji doprowadzał go fakt, że Arivald tak dokładnie zatarł ślady po Trollim Czarze, iż nie było szans pójścia śladem ektoplazmatycznego ogona.

– Bogowie! – warczał Dagolar. – Ten człowiek zachowywał się

tak, jakby miał na zbyciu mnóstwo czasu.

Nawet nie próbował szukać Arivalda poprzez zawirowania Aury, gdyż trwałoby to bardzo długo, a przypuszczał, że uciekinier mógł na spiralach pozostawić niemiłe niespodzianki. Ograniczył się więc do rozesłania grup pościgowych, a poza tym próbował wezwać demony. Ale demony w okolicach Iliten-osleth były pewne siebie, rozwydrzone i nieskore do pomocy. Jeden złożył Dagolarowi nieprzyzwoitą propozycję, inny zgodził się na pomoc, jeśli Dagolar rozwiąże zadane przez niego zagadki (zagadek miało być dziesięć tysięcy, gdyż demon wymyślał je przez ostatnie sto lat). Jedyny chętny do współpracy okazał się notorycznym oszustem, a jego pomocnik był miriadorękim wijunem i pokazywał wszystkie kierunki naraz (problemy związane z miriadorękimi wijunami, jakże celnie, opisał słynny mistrz sztuki czarnoksięskiej Lemas Stary).

Dagolar zamknął się więc w swej komnacie i upił, a uwięzionych magów kazał, w ramach restrykcji, przenieść do zamkowych podziemi i odebrać im wszelkie luksusy. Arivalda, oczywiście, nie odnaleziono. Próbował winą za jego ucieczkę obarczyć koboldy, co o mały włos nie zakończyło się ogólnym mordobiciem. W każdym razie był w paskudnym humorze i ten paskudny humor trwał bardzo długo, a powiększył się po otrzymaniu listu od króla Silmeverda, który to list zawierał słowa ogólnie uznane za obraźliwe. Natomiast silmaniońscy magowie, choć nudzili się w podziemiach i ciągle kłócili, wyśmiewali Dagolara w żywe oczy i kpili z każdej jego propozycji polubownego załatwienia sprawy.

Ale zdumienie Dagolara nie miało granic, kiedy koboldzi patrol doniósł o zbliżającym się orszaku. Gdyż w orszaku tym jechał Arivald i sama księżniczka Wybrzeża. Mag z Targentu uznał, że wreszcie może nastąpić przełomowy moment, i na powrót zaczął wierzyć w swą szczęśliwą gwiazdę. Upił się więc znowu, tym razem z radości. Rankiem następnego dnia witał przybyłych.

– To zaszczyt dla mnie ujrzeć cię, pani – rzekł kłaniając się głęboko przed księżniczką – i wielka radość z powrotem gościć w tych skromnych progach dostojnego Arivalda – dodał, a ironia w jego głosie była prawie niewyczuwalna.

Księżniczka, jak zwykle piękna i uprzejma, zupełnie podbiła serce Dagolara. A kiedy potem wyłuszczyła magowi swoje plany, nie posiadał się z radości.

– Pani, natychmiast wydam wam przepustkę i pchnę gońca do króla. Możecie wyruszyć, kiedy tylko wypoczniecie. Albo – zastanowił się przez moment – pojadę razem z wami. Tak, pojadę.

Arivald stropił się nieco, bo decyzja Dagolara komplikowała jego plany, ale nie dał nic znać po sobie.

– Myślę, że znajdziemy czas, abyś wyjaśnił mi, panie, jak

przełamałeś kody, jak wyśledziłeś zawirowania Aury i jak zatarłeś ślady. Przyznam, iż niepomiernie mnie zdumiało, że mag o takiej potędze był do zeszłego roku nieznany.

– Lubię spokój i lubię też mieć swoje własne małe sekrety – odparł Arivald uprzejmie, lecz chłodno. Z rozbawieniem, ale i z pewnym strachem pomyślał, co zrobiłby Dagolar, gdyby dowiedział się całej prawdy. No cóż, życie stałoby się ciężkie.

Dagolar w pojednawczym geście kazał przenieść uwięzionych magów do wygodnych komnat i obiecał, że niczego im nie zabraknie.

– Dostojny Arivald przeszedł na naszą stronę – obwieścił im z nietajoną satysfakcją.

– Co za bajdy! – roześmiał się Bolgast Szczwacz.

– Każdy ma swoją cenę – rzekł Dagolar. – Piękne będą te nowe Akademie, nieprawdaż? Jedna w Targencie, a druga na Wybrzeżu.

– A więc to tak – rektor Lineal zagryzł wargi, przeklinając w duchu Arivalda, ale jednocześnie miał cichą nadzieję, że to tylko jakiś fortel.

Chociaż Arivald, nieustannie podkreślający swoje przywiązanie do Wybrzeża i jego władczyni…

Tak, przyznał sam przed sobą Lineal. Ten człowiek mógł to zrobić. Jesteśmy zgubieni.

Wiedział bowiem, że jeśli łańcuch pęknie choć w jednym miejscu, rychło posypią się dalsze ogniwa. Wielu będzie mogło sobie teraz tłumaczyć, że nie stają przeciw Tajemnemu Bractwu, lecz są po prostu stronnictwem w łonie samego Bractwa.

Dagolar widział niepewność więźniów, w duszy rozśpiewały mu się anielskie chóry.

– I wy decydujcie się szybko, bo jeszcze trochę i nie będziecie potrzebni. Niedługo to Silmeverd będzie musiał ustawić dodatkową straż, żeby magowie nie pchali mu się drzwiami i oknami.

– Bardzo zabawne – skwitował kwaśno Bolgast i chciał jeszcze coś dodać, ale Dagolar odszedł bez pożegnania.

Arivald nie spodziewał się, iż Dagolar tak łatwo da się wprowadzić w pułapkę.

– A jeśli on wie? – spytała księżniczka, która prześlicznie wyglądała ze zmarszczonymi brwiami.

– Kto sam zdradza, ten łatwo uwierzy w zdradę innych. Dagolar każdego mierzy swoją miarą. Dlaczego, jak myślisz, miałbym nie chcieć, aby na Wybrzeżu powstała Akademia Magii? Wyobrażasz sobie te tłumy przyjezdnych? Jedni szukający porady, inni pragnący przystąpić do terminu albo oddać do niego swoje dzieci. Wybrzeże stałoby się sławne i bogate.

Hogwar Srebrnyliść odwrócił się gwałtownie, tknięty złym przeczuciem.

– Patrz, księżniczko – roześmiał się Arivald – nawet nasz przyjaciel nie wie już, co o tym myśleć. Czy nie tak, Hogwarze?

Rycerz spłonął rumieńcem.

– No nie – powiedział niezbyt pewnym głosem – ja ci wierzę, panie Arivaldzie. Choć czasem nachodzi mnie taka myśl: cóż my, zwyczajni ludzie, mamy do spraw czarodziei? Dlaczego mamy walczyć czy umierać w ich kłótniach i sporach?

– Bardzo rozsądnie – pokiwał głową Arivald. – Właśnie mamy uczynić wszystko, aby nikt nie musiał walczyć ani umierać.

W drogę ruszyli następnego dnia, tuż po południu. Dagolarowi towarzyszył niewielki oddział koboldów. Raczej tylko ze względów prestiżowych i reprezentacyjnych, gdyż Dagolar dobrze wiedział, że nie sposób, aby Arivald i księżniczka opuścili Targent bez jego wiedzy i zgody. Po kilku dniach spotkali się z wysłannikami króla, którzy przywieźli księżniczce list od Silmeverda, słodki jak miód, i bogate dary. Arivald otrzymał przepiękną różdżkę z drzewa czarnego dębu, u której szczytu tkwił nefryt wielkości dziecięcej pięści, a księżniczka dostała wspaniałą siwą klaczkę, dumę targenckiej stadniny, i złoty diadem z osiemdziesięcioma małymi brylantami.

– Strasznie to odpustowe – zauważyła księżniczka, kiedy została już sama z Arivaldem. – W życiu nie włożyłabym czegoś takiego.

– Ależ włożysz – zaśmiał się czarodziej. – Silmeverd będzie oczarowany. A nawet więcej, będziesz go nosić przy każdej okazji. Bądź pewna, że szpiedzy dokładnie nas obserwują. I ślą równie dokładne raporty.

– Zastanawiałam się nad twoim planem – powiedziała księżniczka, patrząc gdzieś w bok. – To stawia mnie trochę w złym świetle.

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, a taką mam nadzieję, nawet nie spostrzeżesz, kiedy cała sprawa się skończy.

– Ale ludzie będą plotkować – skrzywiła się księżniczka.

– Chciałbym, abyśmy mieli tylko takie zmartwienia – westchnął Arivald. – Jeżeli coś nie wyjdzie, księżniczko, ty wylądujesz w celi, a ja na szafocie. I to uważam za największy problem.

– Pewnie masz rację – smętnie odparła księżniczka – ale czy Silmeverd uwierzy, że ja mogę się zachować jak, hm, jak…

– Jak kurtyzana – poddał Arivald. Księżniczka niechętnie przytaknęła.

– Moja droga, Silmeverd jest tak przekonany o własnej doskonałości, że twój podziw i twoje uwielbienie dla niego wydadzą mu się najzupełniej naturalne.

– No, może – księżniczka nie była do końca przekonana – miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Podróżowali spiesznie, więc niewiele czasu minęło, jak stanęli u murów Garadżikan – twierdzy strzegącej wrót do serca Targentu. I tu czekała ich niespodzianka. Silmeverd postanowił okazać swą życzliwość i powitać gości w Garadżikanie, zamiast czekać na nich w stolicy. A ponieważ uwielbiał dramatyczne efekty, w czasie uczty wyprawionej przez komesa na cześć władczyni Wybrzeża nagle pojawił się na sali. Niezapowiedziany i z początku nawet niedostrzeżony z uwagi na ogólny rozgardiasz. Zabawne, ale pierwszy w sytuacji zorientował się Arivald i natychmiast szepnął na ucho księżniczce parę słów. A ona doskonale wiedziała już, co robić. Wstała z miejsca i podeszła do stojącego przy ścianie króla, który chłodno obserwował ucztujących i zaczynał się już złościć, że nikt na niego nie zwraca uwagi.

– Panie – powiedziała i skłoniła się głęboko – jestem zaszczycona, że raczyłeś udać się w podróż.

– Poznałaś mnie, pani? – Silmeverd aż stracił dech, patrząc na księżniczkę.

Jej rude włosy płonęły w blasku lamp, a diadem zdawał się otaczać głowę świetlistą aureolą. Silmeverd nieopatrznie spojrzał w jej oczy i utonął w nich bez szans na ocalenie. Pochylił się do dłoni księżniczki.

– Oczywiście, że poznałam – powiedziała księżniczka – choć konterfekty, które widziałam, z całą pewnością nie mówiły prawdy.

– Ja, pani, gdybym wiedział choć połowę prawdy o twej piękności, szedłbym na kolanach do samego Wybrzeża.

– To bardzo miłe – odparła księżniczka i uśmiechnęła się promiennie, nawet nie zmuszając się do tego uśmiechu, gdyż król Targentu był naprawdę uroczy.

Teraz wreszcie wszyscy dostrzegli, kto zaszczycił ucztę wizytą, i jak na komendę zaczęli się wić w pokłonach. Muzykanci ucichli, ale Silmeverd zmarszczył gniewnie brwi.

– Bawić się – rozkazał – i nie przeszkadzać.

Księżniczka była zdumiona tym, jak zmienił się ton jego głosu. Ale król już obracał się do niej ze słodkim uśmiechem na twarzy i odezwał się głosem jak aksamitne zasłony, rozświetlone południowym słońcem:

– Czy pozwolisz, pani, aby odwiedził cię mój malarz? Twój portret stanie się najwspanialszą ozdobą pałacu, choć nie wierzę, aby żył mistrz zdolny uchwycić to niebiańskie piękno, które ja, niegodny, mogę oglądać na własne oczy.

Uznała, iż Silmeverd jest naprawdę bardzo miły, i zrobiło go jej się trochę żal.

– Czy mogę cię prosić o taniec, pani? – zapytał. Księżniczka, lekka jak piórko, wirowała w ramionach Silmeverda przez cały bal.

Zazdrosny król nie pozwolił zatańczyć z nią nikomu innemu. Dagolar pokręcił głową i z podziwem przyjrzał się najpierw tańczącym, a potem Arivaldowi.

– Co za piękna para – mruknął – a ty wysoko mierzysz, panie Arivaldzie.

Arivald ucieszył się z jego słów, gdyż teraz wiedział, że jeżeli nawet Dagolar węszył jakiś podstęp, to właśnie znalazł wyjaśnienie.

To oczywiste, powie sobie Dagolar. Arivald pragnie wykorzystać urodę księżniczki, by opanować księcia. Dagolara to nie interesowało. Interesowała go tylko Akademia w Targencie i zapanowanie nad Tajemnym Bractwem. Silmeverd był ledwie narzędziem. Jego królestwo nieważnym i chwilowym tworem. Liczyło się tylko Bractwo, potężniejsze od wszelkich królestw świata (oczywiście nie należało zwierzać się Silmeverdowi tych planów). A nad Bractwem Wielki Mistrz Dagolar. Potężniejszy od wszystkich królów świata. Dagolar aż przymknął oczy rozkoszy.

Po balu Silmeverd odprowadził księżniczkę aż na próg komnaty, a tam długo jeszcze prawił piękne słówka i całował dłonie księżniczki.

– To najwspanialszy wieczór w moim życiu – powiedział na pożegnanie. – Pani, jestem na twoje rozkazy. Od teraz na zawsze. Wiem, że mamy dyskutować nad ważnymi sprawami, ale nie będzie żadnej dyskusji. Zrobię wszystko, czego tylko zapragniesz.

– Dobranoc, panie. – Księżniczka pozwoliła jeszcze raz, aby pocałował jej dłoń.

– A może wypijemy jeszcze pożegnalnego drinka? – zaproponował uwodzicielsko Silmeverd.

– Jutro. – Księżniczka miała rozkosznie obiecujący uśmiech. – Jestem dzisiaj już taka zmęczona…

Zamknęła za sobą drzwi komnaty, a Silmeverd odszedł pijany miłością, nadzieją i pożądaniem.

– No i co? – spytał Arivald, który bezceremonialnie rozłożył się na łóżku księżniczki.

Stanęła przy oknie i odetchnęła świeżym powietrzem. Przeciągnęła się, z ulgą zrzuciła ze stóp pantofelki.

– Trzy razy nadepnął mi na nogę – powiedziała – siedemnaście razy pytał, czy może przysłać swojego malarza, dwadzieścia trzy razy stwierdził, że moje włosy są jak ruda burza, z tym że pięć razy zmienił burzę na huragan, a raz na tajfun. Pięćdziesiąt siedem razy zachwycał się, jaką to mam aksamitną skórę, a trzydzieści trzy razy stwierdzał, że tańczę jak ptak. Szkoda, że nie mogłam odpowiedzieć mu podobnym komplementem.

– Masz doskonałą pamięć.

– I obolałe nogi. – Księżniczka rzuciła diadem w kąt pokoju, rozpuściła włosy. Zawirowały wokół jej głowy jak, hm, ruda burza. – I

jestem śmiertelnie znudzona. On mi się z początku nawet podobał – dodała po chwili – ale mój Boże, jeśli sądzisz, że kobiecie potrzeba, aby ktoś ciągle gadał same oklepane dusery, to się grubo mylisz.

– A czego trzeba kobiecie? – zainteresował się Arivald.

– Gdybym wiedziała, napisałabym książkę. – Księżniczka ziewnęła. – A ty co – zmieniła temat – będziesz tu spał?

Czarodziej roześmiał się.

– Zastanawiałem się, czy nie będzie potrzebna ci pomoc – powiedział.

– To ładnie z twojej strony. – Usiadła na łóżku. – Mam dość imprez na rok.

– Obawiam się, że jutro czeka cię to samo. Tylko tym razem z gorącym finałem.

Księżniczka splotła palce i Arivald wiedział, że jest bardzo zdenerwowana. Choć próbuje tego nie okazywać.

– A jak się nie uda? – spytała cichutko. – Co wtedy się stanie?

– Wszystko, co najgorsze – pocieszył ją Arivald, ale potem objął jej drżące ramiona. – Nie martw się, dziecko. Vargaler i danskarscy piraci, to był prawdziwy przeciwnik. Pamiętasz?

Księżniczka uśmiechnęła się przez łzy.

– Nigdy tego nie zapomnę. Czy my zawsze musimy mieć kłopoty?

– Te kłopoty będą jeszcze większe, moja pani. Piękna, samotna dziewczyna, w dodatku władczyni, zawsze wzbudzi albo czyjąś niechęć, albo czyjeś pożądanie. Potrzeba ci opiekuna.

– Ty jesteś moim opiekunem – powiedziała księżniczka. Wiedziała już, w którą stronę zmierza rozmowa, i kierunek ten wcale jej się nie podobał.

– Nie o takim opiekunie myślałem. No, ale o tym porozmawiamy, jak wszystko się wyjaśni.

– Nie wyjdę za mąż – twardo stwierdziła księżniczka – a przynajmniej nieprędko.

– A ten piękny, odważny i bogaty książę z Goldenmarchii? Jak on cię kochał!

– Aha, i co drugie zdanie wtrącał: „i właśnie w tem problem". Może zniosłabym to, gdyby mówił „w tym", a nie „w tem". Wyobrażasz sobie, jak ja mówię na przykład: „Tak bardzo chcę cię dziś kochać", a on na to: „No i właśnie w tem problem" – księżniczka bardzo zręcznie udała głos księcia Goldenmarchii.

– Jak żyję nie widziałem kogoś tak złośliwego – powiedział Arivald zadowolony, że księżniczka nabiera animuszu. W końcu nie mogłoby być nic gorszego, niż gdyby martwiła się i płakała w rękaw. – A hrabia Roszczysław?

– Przecież on wyglądał jak kelner – powiedziała z oburzeniem księżniczka.

– To jakiego ty w końcu chcesz mężczyzny? – rozłożył ręce Arivald. – Przysięgam, że nie dam ci umrzeć w staropanieństwie.

– Fu, nie ma nic gorszego od starej panny, ale ja chciałabym, żeby on był silny, piękny i odważny. No, to jest oczywiste…

– Miałaś takich na pęczki – mruknął Arivald.

– I żeby siedząc przy mnie nie zachowywał się, jakby go coś trafiło w głowę ani jak zgłodniały osioł przed kępą ostu, i żeby umiał mi się sprzeciwić, a nie tylko: tak, księżniczko, oczywiście, księżniczko, zawsze masz rację, księżniczko, już biegnę, księżniczko. Co za nuda.

– Potrzebujesz po prostu, żeby ktoś trafił do twojego serca za pomocą pasa – prychnął Arivald.

– Wiesz, kim jest jedyny normalny mężczyzna, którego znam?

– Wiem – powiedział Arivald.

– Tak? – zdumiała się księżniczka.

– Tak. I gdybym miał trzydzieści lat mniej, z pewnością nie mogłabyś mnie gościć o tej porze w swoim pokoju. W dodatku prawie rozebrana.

– Czy nie mogłabym znaleźć kogoś podobnego do ciebie? – spytała księżniczka, nie reagując na zaczepkę.

– To się nazywa kompleks Elektry – powiedział Arivald i pogłaskał ją po włosach. – Śpij dobrze. Musisz jutro wyglądać co najmniej tak ładnie jak dziś. Dobranoc.

– Aha, Arivaldzie – zatrzymała go przy drzwiach – i nie bajdurz o swoim wieku. Teria Delane wszystko mi opowiedziała.

– Kobiety mają zdecydowanie za długie języki – mruknął Arivald i wyszedł.

Dla niego wieczór jeszcze się nie skończył. Teraz musiał odwiedzić zacnego rybaka Miłorząba i wtajemniczyć go w całą sprawę. Miłorząb spał w dużej hali, wraz z żołnierzami. Arivald obudził go i wyszli do ogrodu.

– Przygoda się zaczyna – rzekł Arivald, a Miłorząb w odpowiedzi uśmiechnął się zuchwale. W miarę jak czarodziej wyjaśniał mu swój plan, uśmiech rybaka powoli gasł, aż wreszcie skonał w bólach.

– I to już wszystko – skończył czarodziej i ziewnął. – No, czas spać.

Zostawił Miłorząba na środku ogrodu, zdumionego i przerażonego. A kiedy obejrzał się przez ramię, za nic w świecie nie mógł go odróżnić od reszty posągów.

Bal był wspaniały. Muzykanci grali, jakby mieli po cztery ręce (za opieszalstwo Silmeverd obiecał im wizytę u mistrza Nadiciusa, o którego komplecie narzędzi opowiadano już legendy), wino lało się strumieniami, a księżniczka była jeszcze bardziej zachwycająca niż

poprzedniego wieczoru.

Arivald przysiadł się do targenckiego maga.

– Panie Dagolarze, chciałbym ci coś pokazać. Czy znajdziesz dla mnie chwilę?

Dagolar miał już nieco zmętniały wzrok.

– Tak. Czemu nie? – starał się mówić wyraźnie i nawet mu to wychodziło.

– Więc chodźmy.

Wyszli z sali, a księżniczka zauważyła to i odważnie przytuliła się do Silmeverda. Nie na tyle odważnie, aby uznano to za skandal, ale dość, aby król odczuł różnicę.

– Cudownie ci w tej sukni, pani – szepnął Silmeverd.

– Siedemnaście – szepnęła księżniczka.

– Słucham? – szepnął uprzejmie Silmeverd.

– Jeszcze mi piękniej bez niej – szepnęła odważnie księżniczka i serce skoczyło jej do gardła.

Silmeverd nic nie szepnął, bo stracił mowę.

– Czy słyszałeś, co powiedziałam? – spytała księżniczka.

– Ja… nie jestem pewien – król przez moment zadawał sobie pytanie, czy nie wypił zbyt dużo.

– Powiedziałam, że jestem o wiele piękniejsza bez sukni. Czy chcesz się o tym przekonać?

– Ja?

Księżniczka z irytacją wzięła go za rękę.

– Chodźmy, panie. Czeka cię wielka niespodzianka.

Silmeverd wreszcie doszedł do siebie i próbował ją całować i obściskiwać jeszcze na korytarzach, ale księżniczka powstrzymała jego zapędy.

– Poczekaj – zaśmiała się, choć ten śmiech przyszedł jej z niebywałym trudem – zaraz dojdziemy do pokoju.

– Nie wytrzymam, kochana. Słońce moje, nie wytrzymam! – zarzekał się król, ale posłuchał.

– Komnata księżniczki? – zmarszczył brwi Dagolar.

– Siadaj, proszę. – Arivald wskazał mu krzesło.

– Czy na coś czekamy? – spytał mag.

– Cierpliwości – uśmiechnął się Arivald.

– A teraz zamknij oczy, kotku – usłyszeli zza drzwi głos księżniczki.

Dagolar tym razem uniósł brwi. Nie zdążył inaczej wyrazić swojego zdumienia, bo Arivald stuknął go pięścią w głowę. Nie za mocno, lecz skutecznie. Dagolar zwalił się nieprzytomny na ziemię. Do pokoju weszła księżniczka, holując za sobą Silmeverda, który miał posłusznie zamknięte oczy. Księżniczka starannie zamknęła drzwi.

– Czekaj grzecznie – szepnęła bardzo, bardzo uwodzicielsko. Z

pokoju obok, cichutko, wyszedł Miłorząb. Z włosów zmył już czarną farbę, starł też paskudną sinoróżową bliznę, która przecinała mu do tej pory twarz od oka aż do brody. Księżniczka gestem pokazała mu, aby stanął naprzeciw króla.

– A kuku! Niespodzianka! – krzyknęła księżniczka, odsuwając się nieco na bok. – Otwórz oczy, panie!

Silmeverd uśmiechnięty od ucha do ucha otworzył oczy i wyciągnął już ramiona, aby zagarnąć w nie księżniczkę. Zatrzymał się w pół ruchu, bo przed nim stała nie naga księżniczka, ale całkowicie ubrany mężczyzna. Znajomy mężczyzna. Z pewnością znajomy. Silmeverd przysiągłby, że już gdzieś widział tę twarz. Ale w momencie, kiedy uzmysłowił sobie, kim jest ten człowiek, przestał myśleć. Twarda pięść Arivalda tym razem spadła na jego głowę.

– Przebieraj się – rozkazał czarodziej Miłorząbowi i obaj szybko zaczęli odzierać króla z ubrania.

Księżniczka, jako niewiasta dobrze wychowana, odwróciła się do okna.

– Całkiem nieźle – stwierdził potem Arivald. Wpakowali króla pod łóżko. – No to teraz krzycz.

– Ratunku! – krzyknął na próbę Miłorząb.

– Głośniej, człowieku!

– Ratunku!!! – wrzasnął potężnie Miłorząb i wrzeszczał tak długo, aż przybiegła straż. Żołnierze wpadli z obnażonymi mieczami w dłoniach.

– Ten człowiek – wrzasnął histerycznie Miłorząb, pokazując na nieprzytomnego Dagolara – chciał mnie zabić. Moja głowa! Co on zrobił z moją głową…

– Szybko! Biegnij po medyka, durniu – rozkazał Arivald jednemu z wartowników – a to ścierwo – wskazał Dagolara – do lochu. Ale przedtem zwiążcie go i zakneblujcie, bo inaczej zabije was czarami! – Arivald utopił w wartowniku wzrok. – Odpowiadasz za to życiem, żołnierzu.

– Moja głowa! – lamentował Miłorząb tym głośniej, im więcej ludzi się zbiegało. – Co zrobił z moją głową ten przeklęty czarownik? Dzięki ci, panie, uratowałeś mi życie – ściskał Arivalda. – Ale kto ty jesteś właściwie, panie? Och, moja głowa.

– To dostojny Arivald z Tajemnego Bractwa w Silmanionie, wasza dostojność – wyjaśniał medyk, już ostukując chorego.

– Ach, pomnę już, pomnę – jęczał Miłorząb.

– Co za aktor! – powiedział kilka godzin później Arivald. – Mój Boże, każdy teatr dałby za niego majątek.

– Ja też byłam niezła – przypomniała księżniczka.

– Kochanie – rzekł czarodziej uroczystym tonem – byłaś

najwspanialsza na świecie.

Uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Ależ on miał głupią minę. A właśnie, co z nim?

– Już przytomny, ale dobrze ukryty i dobrze pilnowany.

– Trochę mi go żal – przyznała księżniczka, bo miała dobre serce.

– Miłorząb z pewnością będzie lepszym królem – stwierdził Arivald – nie wiem tylko, czy Silmeverd będzie dobrym rybakiem.

– No nie – wybuchnęła śmiechem księżniczka – nie zamierzasz chyba…?

– Czemu nie, żaden…

Ale księżniczka nie dowiedziała się już, co żaden, bo w tym momencie do drzwi zapukał, a potem wszedł Hogwar Srebrnyliść.

– Pani, Arivaldzie – skłonił się bardzo zdecydowanie.

– O, Hogwar. Siadaj, proszę.

– Pani – rzekł bardzo stanowczo rycerz, nadal stojąc.

– Tak?

– Pani.

– Tak?

– Pani.

– Długo jeszcze? – warknął zirytowany czarodziej.

– Kocham cię i chcę, abyś została moją żoną – bardzo twardym głosem powiedział Hogwar.

– Pani. Kocham cię i chcę, abyś została moją żoną, pani – poprawiła go księżniczka.

– Kocham cię, Leilanno – powiedział Hogwar – kocham twoje włosy jak…

– Hm – chrząknął groźnie Arivald.

– Po prostu kocham cię – powiedział rycerz – i wiem, że ty mnie też kochasz. A jeśli nawet nie – roześmiał się i jeden tylko Arivald wiedział, ile go to kosztowało – to z pewnością szybko pokochasz. Nauczę cię, jak się daje i bierze szczęście, Leilanno.

– Lubię mężczyzn pewnych siebie – zwierzyła się księżniczka Arivaldowi. – Dobrze, mój panie. Ale łatwo się mówi o miłości. Nieco trudniej jednak udowodnić, że się naprawdę kocha. Chcę sprawdzić twoją stałość. W Górach Szmaragdowych mieszka…

Hogwar nie chciał się dowiedzieć, kto mieszka w Górach Szmaragdowych.

– Masz minutę na odpowiedź – powiedział chłodno – tak albo nie. Księżniczka milczała przez chwilę.

– Tak to się zdobywa twierdze – powiedziała trochę niejasno – a nie kobiety. Czy nikt nie nauczył cię uprzejmości, Hogwarze?

– Dwadzieścia sekund – stwierdził Hogwar i tylko surowy wzrok Arivalda powstrzymywał go, by nie rzucić się księżniczce do stóp, nie błagać na kolanach i nie mówić, jak bardzo kocha jej włosy, co są jak

ruda burza.

– No cóż. Więc odpowiedź brzmi… brzmi… ona brzmi…

– Brzmi: tak – dokończył Arivald.

– Z całym szacunkiem – wtrącił Hogwar – ale nie żenię się z tobą, panie Arivaldzie. Księżniczko?

Czarodziej bał się przez moment, że rycerz przeholował.

– Arivald jest moim opiekunem – księżniczka opuściła wzrok – i skoro on uważa to za słuszne, zgadzam się.

– Wspaniale! – Hogwar skłonił się sztywno. – Dzisiaj każę ogłosić nasze zaręczyny.

I wymaszerował z pokoju. Księżniczka na moment osłupiała, a potem tak strzeliła pięścią w stół, że przewróciła kielichy z winem. Spojrzała dzikim wzrokiem najpierw na Arivalda, potem na drzwi, potem znowu na Arivalda, aż w końcu wybiegła.

– Może byś mnie chociaż, cholera, pocałował?! – krzyknęła na cały korytarz.

Czarodziej westchnął i nabił sobie spokojnie fajkę. Słyszał już plotki o jakimś niezwykłym, nowym zielu pochodzącym z Nowego Świata, którego palenie oczyszczało oddech i budziło jasność umysłu, ale sam jeszcze nigdy go nie próbował.

– Tak bardzo cię kocham – dobiegł go zza drzwi głos Hogwara – kocham twoje oczy jak jadeitowe jeziora, i włosy, co są jak ruda burza. Tak bardzo cię kocham!

– Och, kocham, jak tak mówisz – szepnęła księżniczka. Arivald pokręcił głową, uśmiechnął się i zaczął się zabawiać puszczaniem kółek z dymu. Kiedy skończył fajkę, wyszedł na korytarz.

– Może was zdziwię – powiedział – ale ten zamek ma oprócz korytarzy również komnaty.

Oni jednak stali przytuleni do siebie przy ścianie, a księżniczka z błogim uśmiechem słuchała, jak Hogwar szepce jej coś na ucho. Nie wydaje się, aby którekolwiek z nich zauważyło Arivalda.

Całą prawdę Arivald powiedział tylko Harbularerowi. Pomijając, rzecz jasna, kwestie dotyczące jego znajomości magii. Nie było to wszak istotne dla sprawy. Ale tylko Wielki Mistrz dowiedział się o nowym królu Targentu. Reszta myślała, że to nadzwyczajne zdolności perswazji Arivalda i zdrada Dagolara odmieniły serce Silmeverda. Na Wybrzeżu nieco boczono się na Arivalda. Wyciągnął w świat takiego zacnego człowieka jak Miłorząb, a ten wrócił jakby odmieniony. Za dużo pił, gadał coś do siebie, sieci mu się plątały i nie umiał nawet postawić żagla. Ale w końcu wprowadziła się do niego pewna bardzo zdecydowana kobieta i wybiła mu z głowy wszelkie głupoty. Bardzo szybko spodziewali się dziecka i tylko czasem ktoś widział rybaka, jak wychodzi w nocy i patrzy gdzieś w stronę północy. Niektórzy mówili, że płacze. W każdym razie nigdy nie był tak wesoły jak przed

wyprawą.

Dagolar miał uczciwy proces, po którym Harbularer wypowiedział słowa, jakich nie wypowiadano od dawien dawna.

– Dagolarze – rzekł – twoja różdżka jest złamana.

Potem Harbularer długo jeszcze rozmawiał z Arivaldem w cztery oczy.

– Twoje zasługi dla Bractwa są wyjątkowe – powiedział na koniec. – Czy jest coś, co mogę dla ciebie uczynić?

– Jest coś takiego. – Arivald zmrużył oczy. – Filia silmanionskiej Akademii na Wybrzeżu.

Pan Tysiąca Zaklęć roześmiał się.

– Wiedziałem, naprawdę wiedziałem, że o to poprosisz. Dobrze. Już dzisiaj każę, aby skrybowie zajęli się kopiowaniem ksiąg. Wyślę też na Wybrzeże mojego osobistego architekta. Przecież nie wypada, aby filia Akademii Magii mieściła się w byle budzie. Jesteś zdziwiony? No cóż, przychodzi nowe. Skostnieliśmy tutaj, w Silmanionie. Czas na świeży powiew. Ale jeszcze nieprędko pozwolę na powszechny dostęp do ksiąg. Wszystko w swoim czasie. Może kiedyś ty zostaniesz po mnie Wielkim Mistrzem i może właśnie ty wprowadzisz jakieś rewolucyjne zmiany. I szczerze mówiąc, święcie wierzę, że wszystko, co uczynisz, obróci się Bractwu na dobre. I oczywiście Wybrzeżu. – Harbularer mrugnął porozumiewawczo.

Cudak z Cudakowego Lasu

– Zawróć, zawróć! – szepnęło drzewo. Lea od wróciła się gwałtownie.

– Kto to mówi? – spytała drżącym głosem. Drzewo roześmiało się złośliwym, suchym śmiechem.

– Umrzesz, umrzesz, umrzesz…

Lea pobiegła przed siebie, jedną dłoń opierając na rękojeści noża, a drugą rozgarniając malinowe krzewy, które bujnie zarastały ścieżkę. Całe ręce miała już pokłute, czuła, że krwawi jej policzek draśnięty ostrym kolcem. Serce łomotało jak oszalałe, jakby chciało wyrwać się z piersi, trzepotało gdzieś w gardle, dławiło i dusiło.

– Boże, Boże, pomóż! – szeptała, chłostana malinowymi cierniami. – Ja muszę dojść.

Potknęła się na korzeniu skręconym jak odrąbane ludzkie ramię. Upadła, a przenikliwy ból w lewym nadgarstku wyrwał z jej ust jęk. Drzewa stały nad nią pochylone, jak brunatnozielone olbrzymy o zeschłych, zastygłych w gniewnym grymasie twarzach. Dziewczynie zdawało się, że wyciągają w jej stronę konary niczym starcze, zniszczone reumatyzmem ramiona.

– Umrzesz! – pisnęła czarno-pomarańczowa jaszczurka i przemknęła obok jej policzka.

Lea rozpłakała się i wtuliła twarz w ziemię, aby nie widzieć i nie słyszeć już nic. I nagle kątem oka zobaczyła but. Duży męski but z krawędziami podkutymi metalem. Ale nie miała siły, by krzyczeć, nie miała nawet siły, by przestraszyć się jeszcze bardziej.

– Moje dziecko – usłyszała czyjś głos – a cóż to za pomysły, aby zapuszczać się do Cudakowego Lasu?

Jakaś silna dłoń ujęła ją pod ramię i bez wysiłku uniosła. Lea podniosła oczy. Zobaczyła siwego, barczystego mężczyznę o skołtunionej brodzie i wielkim jak kartofel nosie. Mężczyzna był ubrany w skórzany kaftan oraz wełniany płaszcz, w ręku trzymał gruby kij podbity żelazem.

– Co tu robisz, dziecko? – spytał, a jego przenikliwe niebieskie oczy spoglądały bardzo, bardzo uważnie.

– Szukam Cudaka, panie – szepnęła i otarła krew z ust. – I tak się boję!

Rozejrzała się szybciutko wokół i zdumiona dostrzegła, jak daleko są najbliższe pnie. Teraz wyglądały zwyczajnie, nie było w nich nic podobnego ani do olbrzymów, ani do sękatych ramion. Ale strach ucichł tylko na moment. W każdej chwili był gotowy pojawić się znowu.

– Szukasz Cudaka – zdziwił się mężczyzna. – Mój Boże, a czyż nie

masz nic lepszego do roboty? Chodź, moje dziecko, odprowadzę cię na skraj lasu. To niedobre miejsce dla młodej panienki. Młoda panienka nie powinna słuchać tego, co mówią drzewa i jaszczurki. Zwłaszcza że czasem przestają mówić, a zaczynają brzydkie zabawy.

– Nie wrócę – szarpnęła się Lea, ale dłoń nieznajomego była bardzo mocna. – Muszę znaleźć Cudaka.

– A po cóż to? – spytał siwobrody.

– Mój ojciec i brat zaginęli w lesie. Wszyscy mówią, że Cudak ich porwał. Czy wiesz, co Cudak robi z ludźmi, panie?

– Przemienia w drzewa albo kamienie – odparł siwobrody – albo w różne inne rzeczy. Jak chcesz nakłonić Cudaka, aby ci ich oddał?

– Nie wiem. – Lea się rozpłakała. – Och, mój Boże, nie wiem. Ale zrobię wszystko, czego zażąda. Czy ty znasz Cudaka, panie?

– Znam bardzo dobrze.

Nagle Lea przeraziła się jak jeszcze nigdy w życiu. Domyśliła się, że oto ma przed sobą tego, do którego zmierzała. Cudaka z Cudakowego Lasu. Ale mężczyzna roześmiał się szczerze.

– Nie, moje dziecko. Nazywam się Arivald i jestem magiem z Wybrzeża. Słyszałaś kiedyś o Wybrzeżu?

Lea skinęła głową.

– To bardzo daleko stąd – powiedziała.

– Przybyłem tu, aby odwiedzić Cudaka, gdyż znamy się z dawnych lat.

– Naprawdę jesteś prawdziwym magiem, panie? Prawdziwym czarodziejem z Tajemnego Bractwa w Silmanionie? Dlaczego nie masz więc szaty haftowanej w srebrne gwiazdy, spiczastego kapelusza, różdżki, Księgi Czarów i kryształowej kuli?

– Cóż, na maga nie wyglądam, prawda? – zaśmiał się Arivald.

– Mam w torbie Księgę Czarów i kryształową kulę, a tu różdżkę – poklepał się po pasie i Lea dopiero teraz zauważyła, iż z niewielkiego futerału wystaje kościana rączka. – A co do haftowanej szaty i kapelusza… Myślisz, dziecko, że to wygodny strój na leśne wycieczki?

Lea przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

– Czy przybyłeś, aby zabić Cudaka? – zapytała w końcu i leciutko zadrżała.

– Skąd ten pomysł? – obruszył się Arivald. – Chcę mu wytłumaczyć, że nie postępuje zbyt ładnie i jeżeli nie obieca poprawy, zmuszę go, aby pojechał ze mną do Silmaniony wytłumaczyć się przed Radą Czarodziei. Nie można ludzi zamieniać w drzewa czy kamienie.

– Zmusisz go? – nadzieja wypełniła serce Lei. Oto ktoś, kto nie boi się Cudaka i mówi o nim jak o niegrzecznym dziecku.

– Zapewne nie będzie to łatwe, bo choć był moim uczniem, jest zdolnym czarodziejem. Może i zdolniejszym niż ja – dodał w zadumie.

Leę znowu ogarnęła czarna rozpacz.

– No dobrze, moja droga. Chodźmy więc. Chata Cudaka jest już całkiem niedaleko. Wytrzymasz?

– Tak, panie.

– Możesz zobaczyć tam rzeczy, które niezbyt ci się spodobają – rzekł Arivald dobrze znający poczucie humoru tego, który kazał się nazywać Cudakiem z Cudakowego Lasu.

– Pójdę! – wykrzyknęła Lea. – Choćbym miała trupem paść na miejscu!

– No cóż – uśmiechnął się Arivald – nie ma potrzeby tragizować. Chodź.

Mag szedł pierwszy i Lea była zdumiona, iż malinowe krzewy zdawały się usuwać z jego drogi. W każdym razie nie zauważyła, aby musnęła go choć jedna gałązka. Kiedy wyszli zza zakrętu, zobaczyli przed sobą tabliczkę.

„Tu mieszka Cudak z Cudakowego Lasu" – przeczytała Lea z pewnym trudem i rozejrzała się na boki.

Zaraz potem pojawił się następny znak.

„Pamiętaj, NIE byłeś zaproszony" – głosił napis.

– No, jesteśmy naprawdę blisko – obwieścił Arivald, a Lea poczuła się jak przed wizytą u kowala, który miał zaradzić na bolący ząb.

„Kto pójdzie dalej, zostanie zjedzony!" – ostrzegał kolejny napis wymalowany czerwonymi błyszczącymi literami.

Arivald objął Leę i poczuł, że jej ramiona drżą jak w febrze.

– Nie bój się, dziecko. To takie żarty.

„To BYŁO ostatnie ostrzeżenie" – przeczytała Lea i w tej samej chwili na ścieżce przed nimi stanął smok.

Wielki karmazynowy smok. Z nozdrzy buchały mu kłęby dymu, z gardzieli powoli wydobył się ryk. Ryk tak przeraźliwy, aż Arivaldowi przez moment wydawało się, że ogłuchnie. Jedną ręką mocno przytrzymał dziewczynę, bo nie był pewien, czy zechce mdleć, czy uciekać, a drugą wyszarpnął zza pasa różdżkę. Smok zionął pod niebo ogniem.

– Meangil massumo xanath! – krzyknął czarodziej, kreśląc różdżką Prawdziwy Łuk.

Smok zniknął.

– Tego już za wiele, Cudaku – rzekł gniewnie Arivald. – Naprawdę mnie rozzłościłeś.

– Umrzesz, um… – zaskrzypiało drzewo.

– Och, zamknij się – warknął mag.

Pogłaskał Leę po policzku, a ona wtuliła się w jego płaszcz.

– Pogromca Smoków – szepnęła jeszcze trwożnie, ale już z podziwem.

Arivald uśmiechnął się i uniósł głowę. Zaledwie o trzy kroki przed nimi stał Cudak. Stał i uśmiechał się złośliwie.

– Obrzydlistwo – mruknął Arivald, a Lea pisnęła i znowu schowała głowę w płaszcz maga.

Bo Cudak rzeczywiście wyglądał obrzydliwie. Twarz koloru zeschniętej kory, pomarszczona i złuszczona, nos jak zagięty konar, a zamiast włosów rudobrązowe liście. Jedno oko miał zielone, drugie pomarańczowe, oba zaś ciągle na przemian mrugały, co dawało naprawdę niesamowity efekt.

– Powinieneś się wstydzić – powiedział Arivald i wymruczał Piąty Czar Hyalla z Zapewnieniem Trustowym.

Teraz zobaczył przed sobą już nie Cudaka, lecz dobrze znaną postać czarodzieja Galladrina. Galladrin miał złote włosy, duże błękitne oczy i jasną cerę. Jak zwykle ubierał się w dobrany do koloru oczu kubrak ze złotym pasem, u którego nosił sztylet z rękojeścią w kształcie smoczej głowy.

– Witaj, Panienko – powiedział Arivald i Galladrin od razu się rozzłościł.

– Zabroniłem raz na zawsze, aby mnie tak nazywano – rzekł wyniośle.

Lea ostrożnie wychyliła głowę spod płaszcza Arivalda. Ona nadal widziała Cudaka, ale była zdumiona, że nie doszło jeszcze do walki. Spodziewała się zaklęć. Kul ognia, stożków lodu, ścian mgły, może nawet tego, że magowie zmienią się w potwory. Spodziewała się burzy i hałasów i wezwania demonów. Ale tego się nie spodziewała.

– Zjesz ze mną obiad? – spytał Galladrin.

– Z przyjemnością – odparł Arivald.

– A to kto? – Galladrin wskazał Leę. – Co ona taka poszarpana? Ach, ty stary zbereźniku, nie mogłeś poczekać, aż dojdziecie do mnie, tylko musiałeś to robić w lesie?

– On zabił twojego smoka! – krzyknęła Lea. – Poddaj się!

– Szczerze przyznaję, że nieudolnie zrobiłem tę halucynację – roześmiał się Galladrin. – Chodźcie.

Chata Galladrina stała pośrodku niedużej polany, obok przyczaiła się rozchwierutana szopa i pieniek na drzewo z wbitą siekierą.

– Śmierć, śmierć! – wrzasnęła siekiera.

– Bardzo niesmaczne – skwitował Arivald.

– Cóż, każdy musi mieć swoje drobne radości – stwierdził filozoficznie Galladrin, nie precyzując, czy chodzi mu o siekierę, czy o samego siebie. Weszli do środka. Na kuchni buzowało coś w rondlach, wokół rozchodził się aromatyczny zapach. – Zupa grzybowa i kotlety z kani – zapowiedział, przestawiając rondle.

– Nadal nie jadasz mięsa?

– Oczywiście, że nie. Każde stworzenie ma prawo do życia.

– Na przykład grzyby – dodał złośliwie Arivald.

– Mój drogi – uniósł się Galladrin – nieśmiertelny Pantaleon

Poliwajtes w swojej pracy „O odczuwaniu” dawno udowodnił, iż…

– Dobra, dobra – przerwał niegrzecznie Arivald – dawaj te grzyby. Grzyby nie mają co prawda żadnych wartości odżywczych i są ciężkostrawne – wyjaśnił Lei – no ale na bezrybiu i rak ryba.

Usiadł na ławie, a Lea przezornie wcisnęła się pomiędzy niego a ścianę. Z lękiem przyglądała się krzątającemu przy kuchni Cudakowi.

– Nie mógłbyś się odmienić? Widzisz, że dziewczyna się boi.

– A kto ty w ogóle jesteś? – spytał Leę Cudak. Jego oczy zamrugały szczególnie groźnie.

Arivald sapnął z niezadowoleniem.

– Jestem Lea, panie Cudaku, i przyszłam prosić, abyś uwolnił mojego tatę i brata – wyrecytowała szybciutko i jeszcze mocniej przylgnęła do Arivalda.

– Ach, to tak. A ciebie pewnie przysłali z Bractwa. – Galladrin surowo spojrzał na starego czarodzieja. – Mogłem się spodziewać, że to nie jest towarzyska wizyta.

– Masz zwolnić zaklęcia. – Arivald wymierzył palec w Cudaka. – Jak śmiesz zamieniać ludzi w drzewa i kamienie? Mistrz był bardzo rozgniewany, kiedy się o tym dowiedział. Poza tym powinieneś wiedzieć, że stosowanie tak silnej magii może poważnie zaszkodzić twojemu zdrowiu! Choć zdaję sobie sprawę, że zważywszy na twoją słynną koncentrację, mogłeś niezbyt uważnie uczestniczyć w zajęciach.

– A jeśli nie zwolnię zaklęć?

– Będę zmuszony odprowadzić cię na sąd Bractwa.

– To ciekawe… Jak ty to sobie wyobrażasz? – Galladrin uśmiechnął się złośliwie.

– Mój drogi, jestem tu w oficjalnej misji i jeżeli odmówisz, czy nawet mnie pokonasz, Bractwo nigdy ci tego nie wybaczy. Wcześniej lub później przyślą kogoś innego. Dodam, że sam poprosiłem o tę misję, bo początkowo miał jechać Velvelvanel, a on zrobiłby z ciebie kotlety i to, sam wiesz, jeśli trzeźwo oceniasz własne umiejętności, bez najmniejszego trudu.

– Palą las – powiedział Galladrin. – Całe olbrzymie obszary. Tłuką bobry, co pomijając aspekt moralny, spowodowało rozchwianie gospodarki wodnej. A ja lubię bobry – przymrużył porozumiewawczo oko – w każdej postaci. Czy nie rozumiecie, mieszczuchy z Silmaniony – kontynuował znowu poważnie – że ja ich chronię przed nimi samymi? Ostatnio mieli pomysł, by zmienić koryto rzeki i wykopać sztuczny staw. Wyliczyłem, że dzięki temu przemieniliby w pustynię ładnych parę kilometrów łąk i pól. I niedługo zdychaliby z głodu albo musieli się przenieść gdzieś indziej. Ale jak kilku zmieniłem w kamienie, zaraz się uspokoiło. Nikomu nie zaszkodzi, gdy parę lat czy miesięcy pobędzie w zmienionej formie. Przynajmniej mają czas na

przemyślenie błędów. Poza tym mistrz Chałates Srebrnogórzec zawsze twierdził, że zmiana formy zewnętrznej sprzyja wewnętrznemu rozwojowi.

– Co za demagogia! – obruszył się Arivald. – Nienawidzę, kiedy ktoś wyrywa twierdzenia z kontekstu. Poza tym, znając twój poziom umysłowy, ręczę, że nigdy nie doczytałeś do końca traktatu „O zmianie".

– Wypraszam sobie!

– Mój drogi, nie zapominaj, że przez trzy lata miałem przyjemność – mocno zaakcentował ostatnie słowo – być twoim nauczycielem i przyznam, że rzadko kiedy spotyka się osobników tak odpornych na wiedzę.

– Może więc mały sprawdzian sił? – policzki Galladrina pokryły się purpurą.

– Czemu nie – burknął gniewnie Arivald i wstał z miejsca, wymachując swoim okutym żelazem kijem.

– Chwileczkę! – Galladrin cofnął się pod ścianę. – Czy nadal potrafisz złamać w ręku podkowę?

– Nadal – ponuro odparł mag.

– A czy nadal podrzucasz trzydziestopudowy worek?

– Tak.

– W takim razie traktuj moją propozycję jako niebyłą – powiedział Galladrin wesoło – i porozmawiajmy jak przyjaciele.

– A co z nią? – wskazał Leę Arivald. – Zabrałeś jej ojca i brata. Nie wstyd ci?

Galladrin wzruszył ramionami.

– Wszystko kosztuje – powiedział – bardzo mi przykro, ale takie jest życie. Każda rewolucja wymaga ofiar.

– Ilu ich tam przemieniłeś?

– Kilkunastu. Ale część już wypuściłem. Arivald gwizdnął.

– Masówka – powiedział. – To chyba przesada. Musisz wypuścić resztę.

– Mowy nie ma! I nie strasz mnie Velvelvanelem. Też coś. Przysłać do mnie tego starego nekromantę. Co to w ogóle za pomysł? Wcale nie jestem pewien, kto komu da radę, jak przyjdzie co do czego. Oczywiście, że nie będę ich trzymał zbyt długo – dodał łagodniej, widząc, że palce Arivalda znów zacisnęły się na kiju – należy umiejętnie stosować bat i marchewkę.

– To są amoralne metody. Co za bzdury gadasz o rewolucji, ofiarach, bacie i marchewce? Dziwię się, że nie mogłeś wymyślić czegoś bardziej finezyjnego. Jesteś w końcu absolwentem Akademii! Który to byłeś na roku? Przypomnij mi…

– Skosztuj może zupy – uśmiechnął się wdzięcznie Galladrin, który nie chciał sobie przypomnieć. A poza tym był przekonany, iż

Arivald doskonale to pamięta.

Arivald skosztował zupy.

– Co za paskudztwo – powiedział – zdecydowanie za dużo soli i za dużo wody.

– Niezwykle uprzejmie z twojej strony – kwaśno odparł Galladrin.

– Nigdy nie miałem zaufania do wegetarian. Jest w tym coś z choroby umysłowej. Powiem więcej, coś z…

– Nie pozwolę, aby w moim własnym…

– Panie Cudaku, co z moim tatą i bratem? – ośmieliła się przerwać im Lea i silniej przytuliła się do Arivalda.

– A co mi dasz w zamian za ich wolność? – Cudak spojrzał na nią z uwagą, a Galladrin mrugnął do Arivalda.

– Wszystko czego zażądasz – odważnie odparła Lea, ale Arivald czuł, jak drżą jej dłonie.

– A więc dobrze, Leo – podniósł głos Cudak, a z uszu spłynęły mu kłęby błękitnego dymu. – Ty zostaniesz tu zamiast nich i będziesz moją żoną.

Lea zakrztusiła się zupą.

– Ga-lla-dri-nie – wycedził Arivald – nie posuwaj się za daleko. Czy chcesz, abym powtórzył Velvelvanelowi, że nazwałeś go starym nekromantą? A mistrzowi szepnął, iż wspominasz o rewolucji?

– Zgadzam się – powiedziała Lea cicho i spuściła wzrok. – Zrobię wszystko, aby ich ocalić. Na pewno masz dobre serce, panie Cudaku, tylko potrzeba ci miłości. Zostanę z tobą.

– Nienawidzę bajek – warknął Galladrin. – Patrz, Arivaldzie, co za oklepane schematy. Pobliska znachorka ciągle leczy z parchów dziewczęta, które zbyt intensywnie całują żaby. Mój Boże, ja już nie mam siły do tego wszystkiego. Chciałbym zamieszkać w mieście, wieczorem chodzić do teatru i na przyjęcia, mieć własnego krawca i piwniczkę ze stuletnimi winami. Chciałbym studiować dzieła z silmanionskiej biblioteki i pogrążyć się w atmosferze nauki i uduchowienia… – Galladrin wzniósł oczy do nieba, starając się wywołać przekonujący obraz uduchowienia.

– Chcesz mnie rozśmieszyć? – burknął Arivald i pogłaskał Leę po włosach. – Nie bój się, moje dziecko. On tylko żartował. Uwolni ich tak czy inaczej.

I wtedy usłyszeli głos sprzed drzwi.

– Wyłaź, ohydny Cudaku! Wyłaź przed chatę i skosztuj błysku mego ostrza.

– Znowu! – westchnął Galladrin smętnie. – To już trzeci rycerz w tym miesiącu. A w dodatku nie umie nawet poprawnie mówić. Co za upadek obyczajów. Kiedyś wyzwanie na pojedynek było istnym popisem poetyckim, a teraz co? Skosztuj błysku mego ostrza. Jakież to niskie.

Pstryknął palcami i zamienił się w chimerę. Rozdziawił paszczę najeżoną ociekającymi jadem kłami.

– Śmierć!!! – wrzasnął tak, że Arivald myślał, iż pękną mu bębenki. Lea dawno była pod ławą.

Wyskoczył na zewnątrz, a Arivald powoli wyszedł za nim. Lecz kiedy stanął w progu, zaniepokoił się, na polanie bowiem stał potężny rumak w czarnym czapraku, a na jego grzbiecie siedział kobold w długiej po łydki kolczudze, z czterostopowym mieczem w dłoni. Galladrin cofnął się. Czarodzieje nie potrafią wpływać ani na trolle, ani na koboldy. Toteż kobold od razu ujrzał Galladrina w jego prawdziwej postaci.

– Zginiesz, magu – rzekł i zakręcił młyńca mieczem – z ręki Assvihawera syna Tssymaxa. Zawieszę u boku twą czaszkę i…

– Cholera! – Galladrin zamierzał rzucić szybko Czar Gaussa, ale nim zdążył się przygotować, kobold bodnął konia ostrogami i już był tuż przy nim. Uznał, że potem dokończy historię czaszki Galladrina. Mag przetoczył się pod końskim brzuchem i wypuścił z dłoni różdżkę.

– Ha! – ryknął kobold, spinając rumaka.

Arivald uznał, że czas wejść do akcji. Skoczył w stronę napastnika, chwycił jego konia przy pysku. Uchylił się przed ciosem koboldziego miecza i grzmotnął jeźdźca kijem w potylicę. Kobold jęknął i spadł z siodła. Arivald uklęknął mu na piersi, chwycił za gardło. Kobold machnął pięścią w okutej stalą rękawicy, ale czarodziej zatrzymał cios. Kobold wrzasnął, kiedy chrupnął mu nadgarstek.

– Magia magią, a siła siłą – mruknął niezdyszany nawet Arivald i walnął kobolda otwartą dłonią w głowę.

Assvihawer syn Tssymaxa zrozumiał, że nie ma się co stawiać.

– Broń, zbroja i koń zostaje, a ty do domu – rozkazał Arivald. Kobold pojękując zdjął kolczugę i pas.

– Spotkamy się jeszcze – warknął masując nadgarstek i zniknął w lesie. – I zawieszę u boku twoją czaszkę! – ryknął zza ściany drzew.

Galladrin stanął obok Arivalda.

– Jestem twoim dłużnikiem – rzekł, ocierając krew z twarzy. – Mój Boże, zawsze o twojej sile krążyły legendy, ale nigdy nie widziałem cię w walce. Żebyś ty miał takie zdolności magiczne, jaką masz krzepę!

– Skoro jesteś moim dłużnikiem, to słuchaj teraz… – powiedział Arivald.

Weszli do chaty, Galladrin już we własnej postaci, ale w kolczudze kobolda i z mieczem w dłoni. Kolczuga, co prawda, sięgała mu zaledwie do pasa, ale i tak robiło to imponujące wrażenie. W każdym razie z pewnością robiło to wrażenie na kimś, kto miał nikłe pojęcie o tym, jak powinien wyglądać prawdziwy rycerz.

– A gdzie Cudak? – Lea patrzyła na nich, jeszcze przerażona

wspomnieniem o chimerze.

– Nie ma Cudaka – obwieścił uroczyście Arivald. – Ten oto rycerz zwyciężył go w uczciwej walce i wygnał. Ale zostanie tu, aby się wami opiekować, aby nigdy już Cudak nie śmiał powrócić do Cudakowego Lasu. A ja odczaruję tych, co zostali zaklęci przez Cudaka.

– Och, jesteście ranni, panie – szepnęła nieśmiało Lea i krajem rękawa otarła krew z policzka Galladrina.

Po kilku dniach Arivald był już w drodze do Silmaniony, aby zameldować Wielkiemu Mistrzowi Harbularerowi o wykonaniu zadania. Zatrzymał się w karczmie przy gościńcu i nim położył się spać, zdążył jeszcze wysłuchać pieśni o Cudaku z Cudakowego Lasu, Pogromcy Smoków (smok nosił imię Halucacja) Arivaldzie i Nieustraszonym Rycerzu. Wysłuchał jej trzykrotnie, gdyż była to pieśń niezwykłej piękności. Arivald dorobił się w niej, co prawda, spiczastego kapelusza, płaszcza haftowanego w srebrne gwiazdy oraz „oblicza pełnego mądrości i dostojeństwa", ale uznał, że w poezji niekonieczna jest nadmierna dbałość o szczegóły.

– I oto cała historia – rzekł Arivald. – Teraz naprawdę chciałbym już wrócić na Wybrzeże.

Wielki Mistrz Harbularer, Pan Czarnej Różdżki i Władca Tysiąca Zaklęć, pogładził się wolno po brodzie.

– Cała? – spytał nieco kpiąco. – Naprawdę cała, dostojny Arivaldzie?

Arivald westchnął.

– Nic nie ujdzie twojej przenikliwości, Mistrzu. No dobrze, ślub był dwa dni później. To bardzo piękna dziewczyna.

– A więc wszystko się dobrze skończyło – powiedział Harbularer, nalewając wina do kielichów. – Wypijmy.

– Za co?

– Za bajki. Wypili.

– No to wracam na Wybrzeże – sapnął Arivald i podniósł się z krzesła.

– Chwileczkę, Arivaldzie. Doszły mnie słuchy, że komesowi Berbezzy niezbędna jest pomoc Bractwa. A ponieważ nie mam akurat nikogo wolnego…

– Ty naprawdę nie znasz słowa „wakacje" – westchnął Arivald i napełnił sobie kielich – ale nim wyjadę, każ przyjść tu swemu minstrelowi. W drodze słyszałem pewną zajmującą pieśń i myślę, że powinien ją włączyć do swego repertuaru. Powiedziałbym nawet: koniecznie włączyć.

– Szczerze? – zapytał Arivald.

Wielki Mistrz Harbularer westchnął tylko.

– Jak szczerze, to nie słyszałem – rzekł Arivald i lekko wzruszył ramionami.

– Nie ma się co dziwić. – Harbularer popatrzył gdzieś przed siebie. – Sam Baalbos nie wiedział, że mamy coś takiego w bibliotece. A rektor Lineal też nie znał nazwiska autora!

– Cóż, nie po każdym pozostanie pamięć u potomnych – skwitował sentencjonalnie Arivald tonem, który dawał do zrozumienia, że po nim ta pamięć pozostanie. – A gdzie jest pies pogrzebany?

– Musimy na nowo przeprowadzić inwentaryzację – westchnął ciężko Wielki Mistrz. – Ostatnia, pełna, była, o ile mnie pamięć nie myli, jakieś czterdzieści lat temu.

– A co to ma ze mną wspólnego? – zaniepokoił się nagle Arivald. – Nie masz chyba na myśli…

– Ach nie! – Harbularer uśmiechnął się blado. – Nie zamierzam ci wcale powierzać tego zadania.

– Ja myślę. A kogo w to wpakowałeś?

– Skatalogowanie dzieł silmanionskiej biblioteki jest zaszczytem i dowodem uznania – rzekł poważnie Wielki Mistrz.

– No więc dobrze. Kto w takim razie został tym zaszczytem i dowodem uznania obdarzony?

– Velvelvanel.

– A to się ucieszy – powiedział złośliwie Arivald.

– Dostanie trzydziestu uczniów do pomocy. Nie powinno im to zająć więcej jak pięć do siedmiu lat. Nie możemy sobie pozwolić na bałagan. To skandal, żebyśmy nie wiedzieli, co mamy we własnych zbiorach.

Arivald upił łyk wina z kielicha. Było bardzo kwaśne i niesmaczne. Za to miało prawie dwieście lat. Herdońskie wytrawne, ze zbiorów z 1057 roku. Wzgórze Gardonu, południowo-wschodnie zbocze. Butelka po sto trzydzieści denarów. Paskudztwo. Ale Harburalerowi smakowało.

– Pozwól, że zapytam jeszcze raz. Co ja mam z tym wspólnego?

– Och, nic. Chciałbym tylko, żebyś przeczytał tę księgę. Jest w bardzo interesujący sposób zaklęta.

– Tak? – Arivald wcale nie był zachwycony perspektywą przedzierania się przez szyfrujące zaklęcia jakiegoś antycznego i zapoznanego czarodzieja.

– Tak. Pierwsza wersja to zupełny bełkot, rozważania filozoficzne

na poziomie egzaminu wstępnego. Drugi poziom to bardzo poważna rozprawa naukowa o wpływie Czterech Urnigijskich na zawirowania Aury. Ale dopiero trzeci poziom to prawdziwa rewelacja. Znalazłem tam dwa zaklęcia do tej pory nikomu nieznane!

– A co to za rewelacja? – zdziwił się Arivald. – Przyrodnicy co roku odkrywają nikomu do tej pory nieznane gatunki owadów, a my odkrywamy takież zaklęcia.

– Ale nie zaklęcia tej mocy – rzekł z naciskiem Harbularer. – Przesiedziałem nad nimi trzy noce, lecz nie odważyłem się ich zastosować, bo wydaje mi się, że mogą być dodatkowo strzeżone. Nie mówiąc już o nieznanych skutkach ubocznych. Zanalizowałem ich strukturę i przyznam, że dawno nie widziałem czegoś tak perfekcyjnie zbudowanego.

– Ja widziałem wczoraj coś perfekcyjnie zbudowanego u madame Jekilli – wtrącił Arivald, aby ożywić rozmowę.

Harbularer przez chwilę patrzył na niego, nie rozumiejąc. W końcu zrozumiał i po raz kolejny westchnął.

– Te twoje plebejskie upodobania – rzekł wreszcie.

– Wybacz, ale ja nie mam pałacu z gronem urodziwych służebnic.

– One są dodatkiem estetycznym, a nie narzędziem seksualnej rozrywki – warknął Wielki Mistrz.

– I szkoda – podsumował Arivald. – No dobrze, co dalej z tą książką, bo jestem na dziś wieczór umówiony w celu hołdowania plebejskim rozrywkom.

Harbularer znów chciał westchnąć, ale się powstrzymał. Arivald widział, że ostatnia lektura musiała na nim wywrzeć naprawdę duże wrażenie, i wcale nie był tym zachwycony. A nie był zachwycony dlatego, że skończy się to tym, iż sam Arivald również będzie musiał prześlęczeć kilka czy kilkanaście dni nad jakimś pożółkłym ze starości manuskryptem. No, pożółkłym to oczywiście przenośnia, bo wszystkie woluminy były strzeżone zaklęciami ochronnymi.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia – stwierdził Harbularer – po prostu ją przeczytaj. A jak już przeczytasz, przyjdź do mnie i powiedz, co o tym wszystkim myślisz.

– Dobrze. – Arivald uniósł się z krzesła. – Gdzie ją znajdę? Harbularer wyciągnął z szuflady grube tomiszcze.

– Proszę – rzekł.

– Nie kazałeś zrobić kopii? – zdumiał się Arivald.

– Na razie nie – odparł Wielki Mistrz po pewnym namyśle – zrobiłem tylko na wszelki wypadek odpis w Aurze.

Arivald nic już nie powiedział i wziął książkę z rąk Harbularera. Wielki Mistrz najwyraźniej nie życzył sobie, aby ktokolwiek, nawet kopista, zapoznał się z tym dziełem. Odpis w Aurze był, po pierwsze, bardzo nietrwały, a po drugie, Aura pełna była informacji, najczęściej

zresztą bezużytecznych. Tak więc przypadkowe znalezienie tego odpisu w Aurze przez kogoś niepowołanego byłoby bardziej zdumiewające niż znalezienie igły w stogu siana.

– W środku jest kartka z kodami rozszyfrowującymi – powiedział Harbularer, kiedy Arivald był już w progu – żebyś nie musiał się tak męczyć jak ja.

– O, to miło z twojej strony – ucieszył się Arivald i pomyślał, że w takim wypadku z pewnością znajdzie czas, aby odwiedzić dziś wieczór dom madame Jekilli.

Kiedy czekała na niego praca, do której wcale się nie palił, Arivald potrafił znaleźć sobie mnóstwo zajęć. Nagle dochodził do wniosku, że posegregowanie książek i przejrzenie ich jest wręcz nieodzowne. To samo dotyczyło wytarcia kurzu czy zrobienia innych porządków. Niestety, wcześniej czy później przychodził czas, kiedy należało usiąść i zabrać się do pracy. Tak więc Arivald usiadł i nieszczęśliwym wzrokiem wpatrzył się w księgę otrzymaną od Harbularera. Nawet nie miał ochoty jej otwierać, a co dopiero mówić o czytaniu i wyciąganiu wniosków.

– Diabli! – warknął. – Źle mi było na Wybrzeżu? W końcu jednak westchnął i otworzył księgę. Stronice zapisane były wściekle czerwonym atramentem, a zapomniany czarodziej miał też wyjątkowo paskudny charakter pisma. Arivald wolno wyrecytował Kaligrafię Tubelkusa i litery przybrały kształt druku. Nadal były, co prawda, nieco kulfoniaste, lecz wynikało to nie z błędu Tubelkusa, tylko z nieprecyzyjnego wypowiedzenia zaklęcia przez Arivalda. Ale przynajmniej teraz dało się coś odczytać.

– Co za brednie – rzekł po chwili Arivald, kiedy przeczytał już pierwszą stronę – to nawet gorzej niż na egzamin wstępny.

Sięgnął po notatki Harbularera i zaczął powoli, aby nie popełnić błędu, rozszyfrowywać tekst. Minęła godzina, potem druga i trzecia, a Arivald z zaciśniętymi zębami kontynuował pracę. Wizyta u madame Jekilli powoli zmieniała się tylko w pobożne życzenie. Ale wreszcie, kiedy zaczynało już świtać, Arivald skończył pracę. Zobaczył od razu te dwa zaklęcia, o których wspominał Wielki Mistrz, i coś zaniepokoiło go w ich strukturze. Wydawały się obce. Nie nieznane, do tego w końcu Arivald był przyzwyczajony, ale po prostu obce. Jakby rządziły nimi inne reguły. Jakby ułożył je ktoś, dla kogo nie istniała normalnie obowiązująca logika. Arivald potrząsnął głową, aby wyzwolić się od tego dziwnego uczucia. Nalał sobie kielich wina, przyzwoitego wina z pomarańczy, które leżakowało nie dłużej niż rok. Ale było w tych zaklęciach coś hipnotyzującego i przykuwającego uwagę. Nagle kredowobiała stronica rozpłynęła się przed oczami czarodzieja.

WYPOWIEDZ MNIE – pojawił się ciemnozłoty napis, a był w nim

tak nieprawdopodobny ładunek nadziei, że Arivaldem aż zatrzęsło.

WYPOWIEDZ MNIE, WYPOWIEDZMNIE, WYPOWIEMIE, WYWIEDZNIE – litery zaczęły wirować jak oszalałe.

Natężenie Aury wzrosło do granic wytrzymałości. Arivald chciał odsunąć krzesło od stołu, lecz nogi krzesła jakby wrosły w podłogę. Nie mógł oderwać wzroku od skaczących i tańczących liter. Próbował przywołać któreś z zaklęć ochronnych, ale formuły uciekły mu z pamięci. Nie było już nic poza tym jednym czarem, tym jednym zaklęciem, które krzyczało, wyło i domagało się: Mniemiewypowiedzmnienie!

I Arivald w końcu nie wytrzymał napięcia. Wypowiedział zaklęcie. Wszystko ucichło. Uspokoiło się. Zamarło. Ale to była cisza tego rodzaju, jak ta, która panuje w oku cyklonu. Chwilowa przerwa w działaniu kataklizmu. Czarodziej siedział otumaniony, a przed oczami mroczniało mu i nie mógł skupić ani myśli, ani wzroku. Nagle poczuł za plecami jakiś ruch. Obrócił gwałtownie głowę i zobaczył, że z lustra wyłania się potężna czerwona łapa najeżona pazurami. Nim zdołał zrobić choć ruch, łapa sięgnęła po niego z przerażającą szybkością. Poczuł tylko chłodny ucisk w okolicach piersi i został porwany w mleczną toń.

– Zapytaj w tym domu wszetecznic – warknął Wielki Mistrz. – Pewnie zaspał.

– Sprawdzałem i tam, mój panie – odparł Kleifast, kłaniając się z lekka. – Nie było go wczorajszego wieczoru.

Harbularer złożył dłonie i przez chwilę przyglądał się swym równo obciętym i wypolerowanym paznokciom.

– Wyważcie drzwi – rozkazał w końcu. – Może zasłabł. Kleifast pozwolił sobie na leciuteńki uśmieszek. Czarodziej Arivald był ostatnią osobą, którą by podejrzewał o zasłabnięcie.

– Tak jest, mój panie – rzekł jednak i natychmiast wydał stosowne rozkazy.

Potem czekali w milczeniu. Harbularer przy stole, Kleifast stojąc naprzeciwko niego. Wreszcie do komnaty wszedł jeden z policjantów Kleifasta.

– Nie ma nikogo – zameldował.

Harbularer postanowił sam pofatygować się do domku, który Arivald zajmował w Silmanionie. Tym razem niepokój i zdumienie służących wzbudził fakt, że Wielki Mistrz wybrał się wyjątkowo prędko i tylko w towarzystwie Kleifasta oraz jednego z jego policjantów. W pracowni Arivalda od razu rzuciła mu się w oczy leżąca na biurku księga, którą dał wczoraj magowi. Zamknięta. Obok widać było notatki świadczące o tym, że ktoś musiał ją przeglądać. Kleifast natychmiast dostrzegł zdenerwowanie Wielkiego Mistrza, ale

nic nie powiedział. Nic też nie powiedział widząc, jak Harbularer zabiera księgę i okrywa ją iluzyjnym czarem. Pracując od lat w służbie silmaniońskich magów, nauczył się nie zadawać zbyt wielu pytań.

– Każ przyprowadzić do mnie rektora Lineala i Tulbercjusza – polecił Wielki Mistrz. – Aha – dodał po chwili namysłu – i Velvelvanela.

Zasępiony wrócił do swego pałacu. Czekał na wezwanych czarodziei i tylko po tym, że bębnił palcami w blat stołu, można było poznać, jak bardzo jest zdenerwowany. Trzej magowie przybyli prawie natychmiast. Sędziwy Lineal, rektor Akademii, i Tulbercjusz, jeszcze starszy od Lineala i kto wie czy nie bardziej uczony. Zaraz po nich zjawił się Velvelvanel, dość jeszcze młody i zgryźliwy, bo wciąż pamiętano mu oskarżenie o nekromancję sprzed kilkudziesięciu lat, choć tej niechęci nie ujawniano już tak natarczywie. Między innymi dzięki wstawiennictwu Arivalda.

– Mistrz Arivald zaginął – rzekł prosto z mostu Harbularer i opowiedział im wszystko, co zeszłego wieczoru mówił Arivaldowi.

Lineal i Tulbercjusz natychmiast się obrazili, że nie im Wielki Mistrz powierzył tajemniczą księgę, ale nie dali znać po sobie tej urazy. Velvelvanel skrzywił tylko wargi. Zbyt lubił i szanował Arivalda, aby martwiły go teraz jakieś spory ambicjonalne. Poza tym rozsądnie uznał, iż gdyby to jego obdarzył zaufaniem Wielki Mistrz, czarodzieje mogliby się teraz zastanawiać: gdzież podział się Velvelvanel? A to wcale nie musiało być miłe.

– Należy zwołać konsylium i przeprowadzić odpowiednie analizy – rzekł uczonym tonem Tulbercjusz.

– Pewnie – mruknął złośliwie Velvelvanel – a dostojny Arivald niech tymczasem sam sobie radzi.

Harbularer chrząknął, bo nie spodobał mu się ton Velvelvanela, choć w zasadzie zgadzał się z samą ideą. Nie było czasu na konsylia i uczone narady, które potrafiły ciągnąć się całymi dniami (lub miesiącami, kiedy w grę wchodziło osobiste bezpieczeństwo konferujących czarodziei). Arivald mógł naprawdę potrzebować pomocy i choć zwykle radził sobie z wszelkimi kłopotami, ostatnie wydarzenia wykazywały niezbicie, że wreszcie sobie nie poradził.

– Należy działać zdecydowanie i hm… pośpiesznie – ostatnie słowo z trudem przeszło mu przez gardło, gdyż pośpiech był rzeczą, której czarodzieje serdecznie nienawidzili.

– Pośpiesznie? – z niedowierzaniem spytał Tulbercjusz.

– Tak – odparł Harbularer – ale jeżeli okaże się, że dostojny Arivald udał się na jakąś niewinną wycieczkę, własnoręcznie obedrę go ze skóry.

– Nie sądzę – rzekł poważnie Velvelvanel. – Myślę, iż naprawdę coś niezwykłego musiało się wydarzyć.

– Idźcie teraz do domu Arivalda i dokonajcie pełnej analizy Aury – rozkazał Wielki Mistrz. – Trzeba szybko podjąć decyzję.

Arivald zorientował się, że musiał w pewnej chwili stracić przytomność, gdyż nic nie pamiętał od momentu, kiedy pochwyciła go ta pazurzasta czerwona łapa. Teraz leżał wygodnie na ogromnym łożu z baldachimem, pełnym poduszek, poduszeczek, piernatów i kobierców. Wokół unosił się miły zapach, podobny nieco do zapachu różanych perfum. Czarodziej wolno podniósł się na nogi i rozejrzał po komnacie. Była urządzona z przepychem, który walczył o lepsze z brakiem gustu. Na ścianach wisiały malowidła przedstawiające sceny z życia rusałek i pastuszków, podłogę wyścielał krwistoczerwony dywan o włosiu długim na palec, a meblami były palisandrowe krzesła, sekretery i szafki, bogato zdobione złoceniami.

Nagle powietrze przed czarodziejem zgęstniało i wyłonił się z niego złotowłosy młodzieniec wielkości trzyletniego dziecka z różowymi skrzydełkami wyrastającymi z ramion.

– Jestem Lohanni lai Simenei – oznajmił głosikiem brzmiącym jak słodka muzyka – i jestem na twe usługi. Co rozkażesz, mój panie?

Arivald pomyślał, że mógł trafić zdecydowanie gorzej. Miejsce, mimo pretensjonalności wystroju, nie sprawiało wrażenia kazamat (a jeśli nawet, to niezwykle ekskluzywnych).

– Po pierwsze, możesz mi służyć odpowiedzią na pytania, Lo – rzekł czarodziej. – Pozwolisz, iż będę nazywał cię Lo?

– Brzmi to trochę mało poważnie – uśmiech na moment zniknął z twarzy złotowłosego młodzieńca – ale oczywiście twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

– A więc, po pierwsze: gdzie ja jestem?

– Jesteś w pałacu Estellon, mój panie.

– To bardzo dużo mi mówi – odparł sarkastycznym tonem Arivald – a jak się tutaj znalazłem?

– Zostałeś zaproszony i przyjąłeś zaproszenie, mój panie.

– Ach, to było zaproszenie! – rzekł Arivald. – Dobrze wiedzieć, że pewne słowa oznaczają tu zupełnie coś innego. A gdzie jest pałac Estellon?

– Oczywiście w stolicy.

– Dobrze, kontynuujmy – czarodziej nie tracił dobrej woli. – Stolicy czego?

– Stolicy Cesarstwa, mój panie.

Jedyne Cesarstwo, o którym Arivald słyszał, leżało na południowy zachód od Silmaniony i z pewnością nie było tam miasta o nazwie Estellon.

– Jakiego Cesarstwa?

– Cesarstwa Hallanor nazywanego Inaczej Krajem Smoka o

Tęczowych Oczach.

– Dlaczego tak je nazywają?

– Naszym symbolem jest mityczny smok, o którym mówi się, że był założycielem Cesarstwa i jego pierwszym władcą.

Arivald ucieszył się, że smok jest tylko mityczny, gdyż nie miał ochoty na spotkanie z żadnym przedstawicielem tego gatunku, niezależnie od tego, czy miałby oczy tęczowe, czy jakiekolwiek inne. Co prawda wszyscy wiedzieli, że smoki wyginęły dawno, dawno temu (a może w ogóle były tylko mitem), ale nadal sama nazwa budziła jakiś irracjonalny niepokój. Mistrz Harbulerer nazywał to pamięcią genetyczną. Cokolwiek mogłoby to oznaczać.

– Kto rządzi Cesarstwem?

– Pani Solyenna i jej dwie dostojne siostry panują w Cesarstwie od pięćdziesięciu siedmiu lat. – Lohanni wyrzekł te słowa z ogromnym szacunkiem w głosie.

– Czy będę miał zaszczyt poznać te dostojne staruszki?

– Oczywiście, mój panie. – Lohanni wydawał się nieco zdziwiony. – Kiedy tylko sobie zażyczysz.

– Ach tak. – Arivald spojrzał na siebie krytycznym wzrokiem, gdyż był ubrany w wełniany szlafrok, w którym wyrwano go (dosłownie przecież) z domu. – Chętnie bym się przebrał.

– Wszystko, co potrzebne, znajdziesz w szafach, mój panie. Gdy będziesz gotowy, zawołaj mnie.

– Jasne. Dzięki.

Czarodziej zajrzał do szaf i skrzywił się lekko. W końcu udało mu się wybrać najmniej ekstrawagancki strój, czyli kubrak z zielonego aksamitu, takiegoż koloru płaszcz spinany srebrną broszą, brązowe ni to pończochy, ni spodnie (niestety bardzo obcisłe) oraz pantofle z zawijanymi czubkami. Przejrzał się w lustrze i uznał, iż wygląda jak podstarzały klown. W jednej z sekreter odnalazł srebrne nożyczki (nadzwyczaj tępe) i grzebyk, więc doprowadził do jakiego takiego wyglądu brodę, aby nie przypominała starej szczotki wystrzępionej ze wszystkich stron.

– Hej, Lo. – zawołał, kiedy uznał, że jest już w miarę gotowy na spotkanie z sędziwymi władczyniami.

– Tak, panie – złotowłosy chłopiec pojawił się tym razem błyskawicznie, bez poprzednio widzianego efektu gęstnienia powietrza.

– Jak ci się podoba? – Arivald zakręcił się na pięcie.

– Zachwycające, mój panie.

– Hm, być może. W końcu czemu nie? Czy mógłbym dostąpić zaszczytu…

– Ależ oczywiście – przerwał czarodziejowi Lohanni – bądź łaskaw podać mi dłoń, mój panie.

Arivald wyciągnął rękę i poczuł na palcach delikatny, jakby widmowy (tak mu się właśnie kojarzyło) dotyk. Nie było to nieprzyjemne. Potem doznał podobnego uczucia jak przy stosowaniu teleportujących czarów Gaussa. Czyli chwilowego zawrotu głowy. I oto już znajdował się w niewielkim pokoju, naprzeciw suto zastawionego jedzeniem i trunkami stołu. Na otomanie siedziały trzy młode, bardzo ładne kobiety. Zapewne dworki władczyń. Arivald skłonił się im lekko i usiadł obok, kiedy zaprosiły go gestem. Nastała chwila milczenia.

– Częstuj się, drogi gościu – powiedziała ruda, z oczami jak jeziora malachitu.

– Wypada chyba, bym zaczekał na panie tego zamku – rzekł grzecznie Arivald.

Ruda spojrzała na niego, jakby nie rozumiejąc, a potem wybuchnęła perlistym śmiechem.

– Ależ to my jesteśmy paniami tego zamku i całego Cesarstwa, i witamy cię serdecznie. Ja nazywam się Ilyenna, a to moje starsze siostry, Solyenna i Kylyenna.

Solyenna była zachwycającą blondynką o niebieskich oczach i niewinnej buzi, a Kylyenna miała włosy czarne jak skrzydła kruka i oczy ciemne jak noc. Obie uśmiechnęły się rozbawione.

Arivald wstał zmieszany i zakłopotany.

– Wybaczcie, ale wasza młodość i uroda nie pasują do wieku.

– Jako czarodziej powinieneś być przyzwyczajony do długowieczności – rzekła Kylyenna.

– Jestem Arivald, mistrz Tajemnego Bractwa z Silmaniony. Czuję się zaszczycony waszym miłym, choć niespodziewanym zaproszeniem.

– Wiemy, kim jesteś, Arivaldzie z Silmaniony. Kiedy tylko wziąłeś do rąk naszą księgę, od razu wiedziałyśmy, kim jesteś – powiedziała Kylyenna.

– I modliłyśmy się, abyś przybył do nas – dodała Ilyenna.

– Z pewnością miło spędzimy czas – rzekła jasnowłosa Solyenna, kładąc dłoń na dłoni czarodzieja.

– A teraz częstuj się, Arivaldzie, i nie omieszkamy odpowiedzieć na twoje pytania.

– Bo słyszałyśmy, jak zadawałeś je Lohanniemu.

– Ale on jest dosyć głupiutki. Wszystkie trzy się roześmiały.

– W końcu to ty go zrobiłaś – powiedziała Kylyenna do Solyenny.

– Och – bladoróżowe palce Solyenny rozbłysnęły na moment światłem – teraz z pewnością udałby mi się lepiej.

Czarodziej upił łyk wina z ozdobnego kielicha. Wino było bardzo mocne i bardzo smaczne. Prawdopodobnie leciutko zaczarowane, gdyż pijąc je, poczuł nieznaczne drgnienie Aury.

– Zacznijmy więc od samego początku – rzekł. – Czy możecie mi

powiedzieć, gdzie się znajdujemy?

– Jesteś w naszej samotni, naszym więzieniu i naszej pustelni – westchnęła omdlewająco Kylyenna. – Zesłano nas tu dawno, dawno temu.

– Całkiem miłe zesłanie – zauważył Arivald.

– Byłyśmy księżniczkami i czarodziejkami w królestwie Peallanor – wyjaśniła Ilyenna.

– Zły stryj wygnał nas tutaj po śmierci naszego ojca – dodała Solyenna.

– Gdzie leży Peallanor? – spytał Arivald, który doskonale orientował się w geografii, ale takiej nazwy jako żywo nigdy nie słyszał.

– Hm… – Kylyenna zastanawiała się przez chwilę. – To trudno wytłumaczyć.

– Zresztą same dobrze nie wiemy – westchnęła Ilyenna. – Nasz stryj był potężnym magiem.

Arivald od pewnego czasu domyślał się już, że zaklęcie przerzuciło go do innego świata, leżącego gdzieś w odmiennej rzeczywistości. Nie był aż tak bardzo zdumiony tym faktem, bo w końcu w jego własnym świecie żył jaszczuropodobny czarodziej Krullg, pochodzący z odmiennego wymiaru. Peallanor, o którym mówiły siostry, musiał leżeć jeszcze gdzieś indziej.

– Byłyście czarodziejkami? – zapytał, starając się ukryć nieufność. – Mędrcy z Silmaniony dawno wykazali, że żadna kobieta nie jest w stanie czerpać mocy z Aury.

– A cóż to jest ta Aura? – zapytała ciekawie Ilyenna.

– Źródło wszelkiej magicznej siły, z którego mogą korzystać jedynie wtajemniczeni.

– Och, jemu chodzi o Zasłonę! – krzyknęła Solyenna. – Oczywiście, że potrafimy przenikać Zasłonę. Natomiast wiadomo, iż nie potrafił tego w Peallanorze żaden mężczyzna. Nasz stryj korzystał z mocy, jaką pozostawiają po sobie umarli…

– Nie był nekromantą – wyjaśniła szybko Kylyenna – brał siłę z energii, jaką pozostawiają na świecie ci, którzy odeszli.

– Rzeczywiście, był dla nas podły, ale nie parał się nekromancją – powiedziała Ilyenna.

– Jesteśmy takie wielkoduszne. – Solyenna uśmiechnęła się do Arivalda. – Nie potrafimy powiedzieć nic złego nawet o osobie, która nas skrzywdziła.

Kylyenna złożyła dłonie na piersiach (a piersi miała wspaniałe).

– Wracajmy do właściwego tematu. Stryj wygnał nas do krainy rządzonej przez Lorda Chaosu…

– Czyli tutaj – szeptem wyjaśniła czarodziejowi Ilyenna, lekko się ku niemu pochylając. Biust miała chyba jeszcze ładniejszy niż siostra.

– …przez prawie rok ten potwór więził nas i dręczył. Wreszcie udało nam się go pokonać i zepchnąć do pałacowych katakumb…

– Siedzi tam do dzisiaj – znowu odezwała się Ilyenna.

– …a my rządzimy tym Cesarstwem, gdzie jedynym naszym poddanym jest Lohanni, którego stworzyła magiczna sztuka Solyenny. – Kylyenna westchnęła.

– Jesteśmy takie samotne – również westchnęła Solyenna.

– I spragnione towarzystwa – rozjaśniła się ciemnooka Ilyenna. Wszystkie trzy znowu westchnęły.

– Najchętniej wróciłybyśmy pomiędzy ludzi – kontynuowała Kylyenna – dlatego też stworzyłyśmy zaklęcie, które rozesłałyśmy do różnych światów…

– Nie wiedząc, czy gdziekolwiek dotrze – dodała Ilyenna.

– …czekając, aż trafi w ręce kogoś znającego Sztukę.

– I trafiło! – Solyenna chwyciła dłoń Arivalda.

Czarodziej czuł lekkie zawirowanie w głowie. Z pewnością nie od alkoholu, bo wino, choć mocne, nie miało siły krasnoludzkiego spirytusu, ale na pewno podziałała tu uroda trzech władczyń, odurzający zapach ich perfum i szczypta delikatnej magii. Arivald zdawał sobie sprawę, że dziewczęta starają się go magicznie oczarować, ale póki wiedział o tym, kontrolował to i nie miał się czego obawiać. No, przynajmniej dopóki tę właśnie kontrolę zachowa. Arivald sięgnął tym razem po jeden z owoców leżących na paterze (nieco przypominający potomstwo gruszki i pomarańczy) i zastanowił się głęboko. Nie miał zielonego pojęcia, jak trafić stąd do domu. Podróże pomiędzy wymiarami dopiero niedawno zostały uznane za teoretycznie możliwe, ale tak naprawdę nikt nie wiedział, jak można tę teorię wykorzystać w praktyce. Wyjątkiem był tu pochodzący z innego wymiaru szalony Krullg, lecz jego przeniesienie nie było dziełem czarodziei z Silmaniony, tylko potężniejszych magów z innego świata. Jedna z koncepcji głosiła nawet, że przesunięcie materii (obojętnie jak wielkiej) z wymiaru do wymiaru musi spowodować anihilację tejże materii. Koncepcja była ostro zwalczana, jednak dawała do myślenia. Na razie, co prawda, Krullg od lat żył sobie szczęśliwie w świecie Arivalda, więc i Arivald miał nadzieję przetrwać w świecie ślicznych czarodziejek. Swoją drogą, kto powiedział, że anihilacja ma nastąpić błyskawicznie?

– Nie potrafiłyście się same stąd wydostać? – zapytał Arivald niezbyt inteligentnie.

– Nie potrafimy przełamać zaklęć – powiedziała Kylyenna. – A są to zarówno zaklęcia naszego złego stryja, jak i Lorda Chaosu.

– Studiowałyśmy sztukę Chaosu, ale te czary są zbyt silne. – W błękitnych oczach Solyenny zakręciły się łzy.

– Musisz nam pomóc – tym razem Kylyenna położyła dłoń na

dłoni Arivalda. Miała piękne, długie palce z wypolerowanymi paznokciami.

– Przecież uwięziłyście tego całego Lorda Chaosu – zauważył Arivald.

– Tak – odparła Ilyenna – ale nie mamy nad nim żadnej władzy. On nie może wydostać się z katakumb, a my nie możemy go zmusić do ujawnienia tajemnic.

– I boimy się walki. – Solyenna przysunęła się bliżej Arivalda.

– Lecz tak potężny czarodziej jak ty… – Ilyenna uśmiechnęła się promiennie. Arivald zatonął w jej zielonych oczach.

– Nie wiem, czy jestem aż tak potężnym czarodziejem – zauważył ostrożnie. – Wolałbym wydostać się stąd w inny sposób.

– Nie ma innego sposobu – powiedziała smutno Solyenna.

– Ale będziesz naszym bohaterem – ciepło szepnęła Ilyenna.

– I damy ci wszystko, czego zażądasz. – Kylyenna znowu spojrzała mu głęboko w oczy.

– Naprawdę wszystko – obiecała Solyenna.

***

Tulbercjusz, Velvelvanel i rektor Lineal stali w pokoju Arivalda, skoncentrowani i uważni. Analiza Aury jest zawsze rzeczą bardzo skomplikowaną, a co dopiero w tak nasyconym magią miejscu jak Silmaniona.

– Nic – mruknął w końcu Tulbercjusz – znaczy…

– Coś czujesz, prawda?

– To obca magia! – warknął zdenerwowany Velvelvanel. – Niczego mi nie przypomina! Ani wiedźmich czarów, ani wiedźmiarskich, ani iluzyjnych. Ale ktoś tu solidnie wstrząsnął Aurą. Jedyne co naprawdę widać, to że nasz przyjaciel próbował się bronić jakimś zaklęciem ochronnym.

– Zgadza się – przytaknęli Lineal i Tulbercjusz. Ten ostatni pogłaskał się po bokobrodach.

– Jak można być tak nierozważnym – powiedział – tak pochopnym i niecierpliwym?

– Biedny Arivald – westchnął Lineal. – Kto wie, jak straszne przeżycia są teraz jego udziałem?

– Zamierzacie tu stać i jęczeć jak płaczki na pogrzebie? – zapytał bardzo niegrzecznym tonem Velvelvanel. – Zastanówcie się lepiej, co robić, by mu pomóc.

– Trzeba zrobić to samo co on – odezwał się głos od progu. Trzej

czarodzieje spojrzeli w tamtą stronę.

– Galladrin! – ucieszył się Velvelvanel.

– Galladrin – skwitował o wiele mniej radosnym tonem Lineal.

Tulbercjusz nic nie powiedział tylko znowu pogłaskał się po bokobrodach. A przed nimi rzeczywiście stał we własnej osobie Galladrin, zwany Panienką (choć nie znosił tego przezwiska). Jak zwykle nienagannie ubrany, z długimi złotymi włosami i laską ze srebrną gałką w dłoni.

– Jakżeś tu się znalazł? – zapytał Velvelvanel.

– Dzisiaj przyjechałem – odparł Galladrin – a że całe miasto o niczym innym już nie mówi, jak o zaginięciu dostojnego Arivalda…

– Chyba nie twierdzisz poważnie, że powinniśmy zrobić to samo co on? – zapytał z niepokojem Velvelvanel, którego przyjaźń dla Arivalda miała jednak pewne granice.

– Co innego nam pozostaje? – Galladrin z wdziękiem wzruszył ramionami. – Ja w każdym razie zamierzam tak zrobić.

– Jeśli Wielki Mistrz wyrazi zgodę – przypomniał Lineal.

– Oczywiście. – Galladrin wyraźnie dawał do zrozumienia, że niespecjalnie będzie się przejmował decyzjami Harbularera. Co z pewnością byłoby bardzo poważną niesubordynacją, w związku z którą Tajemne Bractwo nie zapomniałoby wyciągnąć konsekwencji. Może nawet wyjątkowo nieprzyjemnych konsekwencji.

– Ależ to niepoważne i pochopne – zdenerwował się Tulbercjusz. – Kto wie, czy nie tylko nie pomożemy naszemu dostojnemu koledze, ale i sami nie wpadniemy w tarapaty?

– Właśnie, to problem – rzekł bardzo złośliwym tonem Galladrin.

– Mój drogi młodzieńcze… – zaczął Tulbercjusz.

– Nie jestem żadnym twoim drogim młodzieńcem, tylko dostojnym Galladrinem, członkiem Bractwa i mistrzem magii – przerwał mu wyniośle Panienka – a przy tym jedynym tu chyba przyjacielem Arivalda.

– Bez przesady – sapnął Velvelvanel – dostojny Arivald jest też moim przyjacielem, ale zgadzam się, że każdą akcję musimy solidnie przemyśleć i rozważyć. Tak aby pomóc jemu i nie zaszkodzić sobie.

– Tak jest – stwierdził Lineal, niechętnie zgadzając się z Velvelvanelem, za którym nie przepadał.

– Myślmy więc i ważmy – warknął Galladrin – byle szybko, bo być może, Arivald właśnie umiera z głodu, pragnienia czy ran.

– Jeszcze raz – zamruczała Kylyenna.

Arivald ponownie namydlił jej plecy i przetarł ostrą gąbką.

– Mhm… – zamruczała tym razem z zadowoleniem i wyprężyła się jak kotka, podając do przodu biust.

– A ja? – upomniała się Solyenna, robiąc naburmuszoną minkę.

– Nie zapominam o tobie, moja droga – czarodziej pocałował Solyennę w nagie ramię.

– A o mnie? – rude włosy Ilyenny splotły się z brodą Arivalda.

– O tobie też nie, kochanie – powiedział czarodziej, muskając jej czoło pocałunkiem – jakżebym mógł?

We czwórkę siedzieli nago w basenie (miał oczywiście kształt konchy), w wodzie pokrytej grubą warstwą pachnącej różami piany. Arivald nigdy nie stronił od uciech związanych z obcowaniem z płcią piękną (co wielekroć budziło niezadowolenie poważnych czarodziei, tłumaczących, iż członek Bractwa powinien zachowywać pewien umiar), ale tym razem miał do czynienia z trzema przepięknymi dziewczętami, czułymi, oddanymi i aż nadto sympatycznymi. Już pierwsza noc spędzona w ogromnym miękkim łożu dostarczyła magowi niezapomnianych wrażeń. Było tak gorąco (w znaczeniu tego słowa bynajmniej nie klimatycznym), że Arivald musiał wspomóc się pewnymi zaklęciami, które nad wyraz skutecznie pomagały w czasie damsko-męskich zmagań. Dziewczęta były zachwycone, czarodziej również. Po upojnej nocy nastąpił równie upojny ranek (zaklęcia znowu się przydały), po nim śniadanie z małą przerwą na rozkoszne figle (jak określiła to Ilyenna). Potem postanowili udać się do łazienki, ale wpierw Kylyenna chciała wypróbować pewien fotel w komnacie po drodze, a zaraz potem Solyennie bardzo się spodobał dywanik przed kominkiem. Ilyenna wytrzymała aż do holu przed łazienką, gdzie co prawda nie było żadnych sprzętów, ale przecież były ściany, o które można oprzeć się dłońmi (zaklęcia znowu się przydały). Arivald był zachwycony, zarówno ochotą, jak i biegłością swych przyjaciółek, ale zaczynał odczuwać lekkie zmęczenie.

– Podrap mnie po futerku – szepnęła Ilyenna.

– Zobacz, jaka tu jestem aksamitnie gładka… – Kylyenna wzięła Arivalda za rękę i pokazała mu, w którym miejscu ma sprawdzić.

– Wcale się mną nie interesujesz – powiedziała z wyrzutem Solyenna.

– Nie roztroję się – rzekł Arivald nieco mniej łagodnym tonem, niż zamierzał. – Zaraz się tobą zajmę, kotku – dodał zaraz, widząc wyrzut na twarzy Solyenny.

– Tak na to czekałyśmy! – Ilyenna otarła się o Arivalda swymi krągłościami.

W basenie spędzili dość długi czas. Arivald wychodził z wody, lekko chwiejąc się na nogach. Po cichu wypowiedział Czerwonobyczność Lazaniasza i poczuł, jak zaklęcie wlewa w niego życiodajną energię. Ale nadmierne faszerowanie się czarami wzmacniającymi nikomu jeszcze nie wyszło na dobre. Każdy organizm ma pewne granice wytrzymałości, a stosowanie czarów mogło je co prawda zmienić, lecz za wszystko kiedyś się płaci. Poza tym Lazaniasz

stworzył, niestety, zaklęcia uzależniające, które powodowały, że chciało się je stosować coraz częściej (dawały bowiem siłę i pozorną świeżość umysłu). A takie uzależnienie było bardzo niebezpieczne. Dlatego czary Lazaniasza należały do czarów wyższego stopnia wtajemniczenia i uczeń musiał wykazać się dużą odpowiedzialnością, aby dostąpić zaszczytu ich poznania.

– Czas chyba na obiad – zauważyła Kylyenna.

– Arivaldzie, doradzisz mi, co mam włożyć do obiadu? – Ilyenna znacząco mrugnęła do czarodzieja.

– Spryciara – fuknęła Solyenna.

Ale ponieważ Ilyenna pierwsza wpadła na ten pomysł, siostry wielkodusznie postanowiły pozwolić jej na pozostanie sam na sam z Arivaldem. Czarodziej doradzał strój przez jakąś krótką godzinkę (było to nawet ekscytujące uczucie: być wreszcie tylko z jedną kobietą), lecz porady nie wypadły widać dobrze, bo kiedy zniecierpliwione Solyenna i Kylyenna zajrzały do komnaty siostry, Ilyenna nadal była naga.

– Dzisiaj wieczorem muszę popracować nad zaklęciami – rzekł stanowczo Arivald w czasie obiadu – skoro mam spotkać się z tym waszym Lordem Chaosu.

– Mamy tyle czasu. – Solyenna uśmiechnęła się promiennie. – Co to za różnica tydzień czy dwa?

– A ty jesteś taki kochany. – Kylyenna pocałowała Arivalda w usta.

Czarodziej się zaniepokoił. Perspektywa tygodnia lub dwóch spędzonych na miłosnych igraszkach z trzema dziewczętami o wielkich wymaganiach może wydawać się atrakcyjna tylko temu, kto nie zabawiał się tak przez poprzednią noc i prawie cały dzień. Arivald wyobraził sobie, co by się stało, gdyby zamiast niego trafił tu Wielki Mistrz, i mimo woli parsknął śmiechem. Przypuszczał, iż Harbularer wykombinowałby zaraz jakieś sprytne zaklęcie. Powodujące na przykład, aby dziewczęta przesypiały spokojnie większość dnia. Albo budziły się tylko raz w tygodniu. Choć nie trzeba zapominać, że były czarodziejkami. Kto wie, czy podobne zachowanie by ich nie zirytowało? Czy nie poczułyby się niechciane i wzgardzone? Arivald wolał, aby się tak nie poczuły, zarówno ze względu na własne bezpieczeństwo (wiadomo, wzgardzona kobieta!), ale przede wszystkim dlatego, iż były naprawdę bardzo miłymi osóbkami.

Po obiedzie udało mu się wybłagać godzinę samotności, po wielu dąsach, zapewnieniach i pieszczotach. Pomknął więc do swojej komnaty i momentalnie zabrał się za przygotowywanie zaklęć. Wiadomo od razu było, że wystąpią pewne kłopoty przy stosowaniu bardziej skomplikowanych zaklęć. Należało zgrać się z Aurą, która tutaj różniła się nieco od tej znanej Arivaldowi (na szczęście były to różnice minimalne), a potem wziąć się do roboty bez Księgi Czarów i

różdżki. Wprawdzie oba te przedmioty odgrywały tylko pomocniczą rolę, ale do opracowania sporej części zaklęć różdżka była wręcz niezbędna. Dlatego kolejnym kłopotem, z jakim musiał się borykać czarodziej, było przypomnienie sobie takich czarów, przy których jej działanie nie było konieczne. Na szczęście miał dobrą pamięć (nawet wyjątkowo dobrą), co zresztą odróżniało go od wielu magów, którym zdarzało się czasem zapominać podstawowych zaklęć (mimo iż mnemotechnika była jedną z poważniej traktowanych dziedzin wiedzy).

Arivald nie pragnął na razie przygotowywać się do spotkania z Lordem Chaosu. Zamierzał po prostu wytworzyć na tyle silną barierę ochronną, aby nikt nie mógł przeszkadzać mu w pracy. A myśląc nikt, myślał oczywiście o trzech uroczych siostrzyczkach. Pierwszy czar musiał być na tyle skuteczny, aby zapewnił dodatkowe godziny na przygotowanie silniejszego zaklęcia, ale jednocześnie musiał być prosty i łatwy w konstrukcji. W końcu mag przypomniał sobie pewne zaklęcie zwane Klatką Gazboego – od imienia czarodzieja, który je stworzył. Klatka służyła Gazboemu do izolowania różnych niebezpiecznych zwierząt, był on bowiem wybitnym specjalistą zoologiem. Niestety czarodziejem był nieco gorszym i dlatego skończył jako obiekt zażartej kłótni o posiłek, toczonej przez dwa lwy i pumę. O ile Arivald dobrze pamiętał, stosowanie Klatki zdecydowanie odradzano we wszystkich podręcznikach, ale postanowił wzbogacić to zaklęcie, by w wypadku dotknięcia wytwarzanej przez nie bariery pojawiały się wstrząsające efekty świetlne i dźwiękowe. Poza tym mógł dołożyć od siebie kilka dodatkowych szyfrów utrudniających magiczne przełamanie. Miał nadzieję, że siostry nie są na tyle wytrawnymi czarodziejkami, żeby od razu poradzić sobie z tym problemem i zyska choć kilka godzin na przygotowanie silniejszego zaklęcia. A nad takowym należało się już poważnie zastanowić.

Istniała słynna Zapora Firacego, ale wymagała kilku dni bardzo intensywnej pracy. Za to czar ten w swej formie idealnej (a więc wzbogacony szyframi losowo tworzonymi przez Aurę) był wręcz niewiarygodnie trudny do przełamania. Inna sprawa, że utrzymywanie go wymagało poświęcenia ogromnych ilości energii. Wyliczono na przykład, że aby otoczyć nim niewielki dom, powinno bez przerwy pracować nad jego utrzymaniem co najmniej trzech czarodziei. Arivald chciał jedynie izolować swój pokój, ale i tak zabrakłoby mu, po pierwsze, czasu, a po drugie, siły do ciągłej aktywacji zaklęcia. W grę wchodził również Izolator Gurenmansa lub wiele zaklęć typu Magiczna Ściana, spośród których za najpewniejszy z najłatwiejszych uważano czar wymyślony przez Hillarego Pajęczarza. Nazywano go również nieoficjalnie Wysychaczem Hillarego, gdyż rzeczony mag (bardzo już posunięty w latach) zapomniał formuł odkodowujących i

nim ktokolwiek zdołał się zorientować, umarł z pragnienia, odgrodzony od świata własnym, bardzo zresztą skutecznym zaklęciem.

Ale wszystko to był śpiew przyszłości. Na razie Arivald musiał popracować nad Klatką Gazboego i wzmacniającymi ją efektami. Zajęło mu to równo godzinę i siedem minut, a kiedy kończyła się ósma minuta, do drzwi ktoś cichutko zapukał.

– Czyżbyś o nas zapomniał? – doszedł czarodzieja głos Solyenny.

– Wejdź, proszę, kochanie – odparł Arivald i zacisnął kciuki na szczęście.

W momencie kiedy Solyenna dotknęła klamki, jednocześnie rozległ się huk, przeraźliwy pisk gwizdków i głuche warczenie rozwścieczonego psa. Czarodziej wiedział też, że drzwi zamieniły się w czerwoną paszczę potwora kłapiącego zębiskami. Potem usłyszał krzyk Solyenny i bardzo szybki stuk obcasów na podłodze. Wiedział jednak, że sprawa na tym z pewnością się nie zakończy. I rzeczywiście. Już po chwili wszystkie trzy siostry stanęły pod drzwiami. Arivald czekał z zapartym tchem.

– Odgrodziłeś się od nas zaklęciem – rzekła surowo i z wyrzutem Kylyenna. – Jak mogłeś nam to zrobić, Arivaldku?

Czarodziej skrzywił się na takie zdrobnienie i potarł z zakłopotaniem nos.

– Muszę pracować, moje drogie – powiedział. – Jesteście urocze i kochane, ale nie mogę poświęcać wam całego czasu. Same chciałyście, abym zmierzył się z Lordem Chaosu. Czy nie powinienem więc pracować nad zaklęciami?

– Przecież możemy ci pomóc – powiedziała Ilyenna.

– Zrobimy wszystko co w naszej mocy – obiecała słodko Kylyenna.

Arivald domyślał się, na czym mogłaby polegać ta pomoc, więc przezornie się nie odezwał.

– Jesteśmy bardzo rozczarowane – rzekła po chwili milczenia Kylyenna.

– Bardzo zawiedzione – dodała Ilyenna.

– I nieszczęśliwe – dorzuciła Solyenna.

– Oczywiście nie będziemy ci się narzucać – stwierdziła bardzo godnie Kylyenna.

Arivald odetchnął z ulgą.

– Ale stanowczo żądamy, byś zdjął zaklęcie.

– Wykluczone – powiedział zdecydowanym tonem.

– Cóż, w końcu jesteśmy czarodziejkami – zauważyła Ilyenna. – Same sobie poradzimy.

– Zobaczymy – mruknął cicho Arivald i dopowiedział formułę, która czyniła Klatkę Gazboego nieprzeniknioną dla dźwięków. Wiedział już, iż nie może marnować czasu na rozmowy. Musi

poważnie zabrać się do pracy.

Zdecydował się na Magiczną Ścianę Hillarego Pajęczarza, gdyż nie był człowiekiem przesądnym, a poza tym bez różdżki i tak miał niewiele większy wybór. Gorzej, że nie przygotował sobie żadnych zapasów jedzenia i picia, a zarówno Klatka, jak i Magiczna Ściana nie pozwalały, oczywiście, na użycie żadnego z teleportujących czarów Gaussa, który mógłby Arivalda przenieść, na przykład, do kuchni. Czarodziej potrafił, rzecz jasna, wyczarować sobie żywność, lecz w Bractwie czary takie uważano za mało istotne i dlatego nie przykładano do nich wagi. Poza tym wszelkie zaklęcia materializacyjne były niezmiernie skomplikowane i wyczarowanie (a nie przywołanie) zwykłej bułki z serem kosztowało masę trudu. Tak więc czarodziej nie znajdował się w najlepszej sytuacji, ale liczył na swoje szczęście, któremu znacznie bardziej zawierzał niż umiejętnościom. Nad problemem powrotu do Silmaniony wolał się na razie nawet nie zastanawiać. Miał nadzieję, że Bractwo zdecyduje się na jakąś akcję ratunkową, choć doskonale zdawał sobie sprawę ze ślimaczego tempa, w jakim czarodzieje podejmują wszelkie ważkie decyzje. No ale chyba nie pozwolą, aby zaginął jeden z najbardziej znanych członków Bractwa!

Następne trzy godziny wytrwale pracował nad Magiczną Ścianą, a rozpraszały go zarówno inność tutejszej Aury, jak i świadomość, że dziewczyny w każdej chwili mogą przerwać mu proces tworzenia zaklęcia (a czasem miało to nieodwołalne skutki). Wreszcie jednak, spocony i zmęczony, Arivald wypowiedział ostatnią sekwencję, naznaczył w powietrzu ostatnie kręgi i poczuł, jak Magiczna Ściana powstaje wokół pokoju, tworząc wibracje i zawirowania Aury. Jeżeli dziewczyny miały takie kłopoty z dezaktywacją Klatki Gazboego, pomyślał czarodziej, to Magiczna Ściana powinna dać mi już sporo czasu. Zwłaszcza że jej powstanie nie naruszało przecież samej Klatki. Był więc teraz podwójnie chroniony i mógł spokojnie zastanowić się, co robić dalej. Niestety ani Klatka, ani Magiczna Ściana Hillarego nie należały do czarów, które można chwilowo dezaktywować. Chwilowa dezaktywacja polegała, w uproszczeniu, na odwołaniu zaklęcia, które następnie można było przywołać z powrotem w bardzo prosty (i wcześniej zakodowany w Aurze) sposób. W tym wypadku jednak Arivald potrafiłby tylko zlikwidować zaklęcia, co automatycznie otworzyłoby drogę do jego pokoju. Był więc pozbawiony możliwości ruchu. Nikt nie mógł dostać się do niego, ale za to stworzył sobie całkiem przemyślnie skonstruowane więzienie.

Mógł spróbować teraz nałożyć jakieś dodatkowe zaklęcie podlegające chwilowej dezaktywacji, po czym zdjąć Klatkę i Ścianę, ale niestety nie przypominał sobie żadnego, które nie wymagałoby użycia różdżki. Wiedział, że kilka takich ma zapisanych w swojej

Księdze (wydawało mu się, iż nawet pamiętał, na których stronach), ale co z tego, skoro Księga była nieosiągalna? Pogrążył się na moment w apatii, czując, że rozpoczął przegraną kampanię. Bo w końcu jak długo uda mu się przeżyć na wyczarowywanym jedzeniu (nigdy nie było tak dobre jak prawdziwe, a przy tym nie miało tych samych wartości odżywczych), jak długo można się nie kąpać i w ogóle jak długo można spędzać czas w jednym małym pokoju? Arivaldowi tylko raz zdarzyło się trafić do więzienia i w ciasnej celi przesiedział dwa lata (w wyniku pewnego nieporozumienia dotyczącego ciągłego wypadania dwunastki po rzucie dwoma kościami). Było to wyjątkowo nieprzyjemne zdarzenie, a cela wyjątkowo mało wygodna. Teraz przynajmniej mógł cierpieć wśród luksusu. Myśl o tym jednak nie poprawiła mu radykalnie humoru.

Musiał zastanowić się nad dwoma sprawami: wydostaniem się z tego świata oraz, ewentualnie, pokonaniem Lorda Chaosu. W zasadzie zdawał sobie sprawę, iż przygotowanie zaklęcia, które z powrotem przeniosłoby go do Silmaniony, jest niewykonalne. Niewykonalne bez różdżki i Księgi, no i z umiejętnościami Arivalda, który choć ostatnimi czasy bardzo się podkształcił, to jednak nie na tyle, by dokonać samodzielnie tego, nad czym biedzili się bez powodzenia inni magowie. Pozostawał tajemniczy Lord Chaosu, może się okazać przydatny. Pozostawało także czekać na pomoc z Silmaniony. Która może nadejdzie, a może nie.

Arivald nie wyczuwał żadnej magicznej aktywności na zewnątrz pokoju, więc przypuszczał, że śliczne czarodziejki albo zastanawiają się nad jakimś silnym zaklęciem przełamującym, albo uznały, że Arivald wcześniej czy później zmięknie sam. Zresztą wstyd się przyznać, ale zaczynało mu już brakować ich słodkiego szczebiotu i pieszczot.

Nagle powietrze wokół Arivalda zgęstniało i z pustki wyłonił się Lo, czyli Lohanni lai Simenei.

– O cholera! – zaklął Arivald. Nie spodziewał się, że jego zapory zostaną tak szybko złamane.

Lo skłonił się uprzejmie.

– Dostojny czarodzieju, czy nie potrzebujesz czegoś?

– Jak tu się dostałeś? – spytał mag.

– Ach, te zapory! – Lo machnął lekceważąco dłonią. – Nie działają na istoty takie jak ja. Ilyenna myśli, że mnie stworzyła – zachichotał – a tak naprawdę obudziła mnie ze snu. Strasznie już się nudziłem. Nawet śniłem o tym, że jest mi nudno. Przerażające, prawda?

Arivald miał większe kłopoty niż zastanawianie się nad snami Lo, ale uprzejmie przytaknął.

– Dały ci w kość, co? – zagadnął po chwili Lo tonem towarzyskiej pogawędki. – Bajka się powtarza.

– Jaka bajka? – czarodziej zmarszczył brwi.

– Lord Chaosu zjawił się tu również na ich zaproszenie i wytrzymał pół roku, po czym uciekł do katakumb, tworząc magiczne bariery, których do tej pory nie są w stanie przełamać. Dlatego sprowadziły ciebie. Ty wytrzymałeś niespełna dwa dni – zaśmiał się.

– Jestem już stary i schorowany. – Arivald podrapał się po brodzie w zamyśleniu. Czasem lubił robić z siebie ofiarę losu, na co zresztą nie dawali się nabierać ci, co go znali. – Nie zamierzam zostać tu na zawsze. Czy nie ma jakiegoś zaklęcia, które odesłałoby mnie z powrotem?

– Nie wiem. – Lo uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Zaklęcia nigdy nie były moją mocną stroną. A w każdym razie nie tak poważne zaklęcia. Może spotkasz się z Lordem?

– Obawiam się, że nie byłoby mi łatwo przełamać jego zasłony.

– Och, przecież ja mu stale dostarczam różne rzeczy. Książki, jedzenie, wino. Jak chcesz, dostojny czarodzieju, powiem mu o twojej obecności. Tylko nie wydaj mnie przed królowymi – zastrzegł. – Gdyby wiedziały, że odwiedzam Lorda, zamordowałyby mnie. No, to żart – dodał po chwili – bo jestem nieśmiertelny, ale urządziłyby mi niezłe piekło. A poza tym, mówiąc szczerze, lubię je. Nie chciałbym, aby się na mnie obraziły.

– Obiecuję. – Arivald przyłożył dłoń do serca. – Czy mógłbyś zanieść mu wiadomość już teraz?

– Czemu nie. – Lo powoli rozwiał się w powietrzu. – Zaraz wrócę z odpowiedzią – dodał znikając.

Arivald nie zdążył się jeszcze zastanowić nad tym, jaki sprawa przybrała zdumiewający obrót, kiedy Lo zmaterializował się tuż przed nim.

– Lord zaprasza! – wykrzyknął z zapałem.

– Jak to? – zdumiał się Arivald. – Minęła zaledwie chwila!

– Nie chciałem, abyś za długo czekał, i lekko zakrzywiłem czas. Tak naprawdę to pogadaliśmy sobie niezłą godzinkę.

– Zakrzywiłeś czas?! – Czarodziej wiedział, że coś takiego jest teoretycznie możliwe, bo fakt ten udowodnił Varely Virus w swym nieśmiertelnym dziele „O obrotach wskazówek”, ale od teorii do praktyki droga była daleka. – I ty mówisz, że nie masz pojęcia o czarach?

– To nie czary – odparł Lo po chwili zastanowienia. – Ja zawsze umiałem to robić. Lecimy?

– Jak?

– Po prostu weź mnie za rękę.

Arivald bez wahania uścisnął dłoń Lo i znowu poczuł ten delikatny, jakby widmowy dotyk, po czym charakterystyczne zawirowanie, jak przy czarach Gaussa. Kiedy otworzył oczy, był już w

surowej komnacie o kamiennych ścianach. Na nich szczerzyły się pyski wypchanych monstrów, których czarodziej nigdy przedtem nie widział, a o których mógł tylko powiedzieć, iż całe szczęście, że były wypchane. Na podłodze, również zbudowanej z kamienia, leżała skóra przypominająca niedźwiedzią, tyle że niedźwiedź ten musiał mieć ze cztery i pół metra wysokości. Obok pysków potworów wisiała broń przeróżnego rodzaju. Zwłaszcza budziła respekt niezwykle masywna gizarma o ostrzach, które zdawały się przecinać powietrze.

– Piękne, nieprawdaż? – Arivald usłyszał głos od progu komnaty i obrócił w tamtą stronę wzrok.

Zobaczył wysokiego mężczyznę o długich włosach splecionych w dwa warkocze i szarej brodzie. Gospodarz miał na sobie surowy ciemny płaszcz, a u jego boku kołysał się krótki miecz o szerokiej klindze.

– Jestem Varrad Bar-dur, nazywany tu Lordem Chaosu – rzekł.

– Arivald z Silmaniony, nazywany czasem Arivaldem z Wybrzeża – czarodziej skłonił głowę. – Miło, że zechciałeś mnie przyjąć.

Varrad skinął krótko głową, jakby spodziewał się tych podziękowań.

– Dawno już nie widziałem człowieka – rzekł z westchnieniem. – Siadaj – wskazał krzesło stojące nieopodal kamiennego parapetu.

Parapet był o tyle zabawny, iż za nim nie było żadnego okna, tylko tak jak wszędzie lity kamień.

– Jesteś czarodziejem, prawda? – spytał Varrad Bar-dur, a Arivald przytaknął. – Czy wiesz, jak nas stąd wydostać?

– Nie mam tu swej Księgi Czarów, nie mam różdżki, a magiczna Aura jest nieco inna niż w moim świecie. Krótko mówiąc, wydostanie się stąd graniczyłoby z cudem. Nie – zastanowił się na moment – ono byłoby cudem.

– Właśnie! – Varrad stuknął pięścią w otwartą dłoń. – Tak jak ze mną. Zostawiłem mój Skyrfang w domu, a bez niego jestem bezradny jak dziecko.

Arivald pomyślał, że Lord Chaosu w żadnym wypadku nie wyglądałby bezradnie jak dziecko. Choćby zgubił o wiele więcej niż ten cały Skyrfang.

– Co to jest Skyrfang?

– W moim świecie są czarodzieje tacy jak ty. Różdżki, Księgi Czarów, kryształowe kule, setki długich zaklęć i skleroza. Są też ludzie tacy jak ja, nazywani mistrzami żywiołów. Czerpiemy moc z wiatru, z gór i lasów. Żyjemy poznając Naturę. Nie znamy zaklęć ani magicznych inkantacji. Wyrażając to zrozumiałym dla ciebie językiem, tworzymy zaklęcia na poczekaniu, w zależności od tego, co chcemy osiągnąć, w zależności od mocy żywiołu i wielu innych detali. Nieważne zresztą. Ważne jest to, że do tego wszystkiego potrzebny jest

Skyrfang. Bez niego mogę tworzyć zaledwie namiastki prawdziwych zaklęć.

– To niezwykle interesujące. – Arivald nawet nie zwrócił uwagi, a raczej postarał się celowo zignorować nieco obraźliwą formę wypowiedzi Varrada. – W moim świecie nie istnieje ten rodzaj magii. Nawet wiedźmy, wiedźmiarze, iluzjoniści czy znachorzy posługują się zaklęciami. Hm… – zastanowił się przez chwilę – jakże chciałbym odwiedzić twój świat.

– Wyobraź sobie, że ja również nie miałbym nic przeciw temu – rzekł szorstko Varrad, ale spojrzał na Arivalda z lekkim zdziwieniem i nawet pewną sympatią.

To spojrzenie, rzecz jasna, nie umknęło uwagi czarodzieja.

– A czy wiesz, kim są one? – Arivald pokazał palcem w górę, choć i bez tego gestu obaj dobrze by wiedzieli, o kogo chodzi.

– Znam bajeczkę – wzruszył ramionami Varrad – zły stryj i tak dalej. Powiedz mi lepiej, jak tu trafiłeś.

Arivald krótko opowiedział historię tajemniczej księgi i wypisanego w niej zaklęcia.

– To samo. – Mistrz żywiołów pokiwał głową. – Chciałem wykorzystać siłę pewnego zdumiewającego wiatru. No i tak to się skończyło. Ale… zaraz, z twoich słów wynika… Czy istnieje szansa, że twoi przyjaciele domyśla się, co się stało, i wyślą pomoc? Od razu mówię, że w moim wypadku taka możliwość niestety nie istnieje.

– Zbierze się konsylium i będą radzić – westchnął Arivald – ale nikomu nie będzie spieszno narażać własnej skóry. Dlaczego jednak twierdzisz, że w twoim przypadku pomoc jest niemożliwa?

– Mamy pewne zwyczaje – odparł z ledwo zauważalnym wahaniem w głosie Varrad – zwyczaje, które nie pozwalają nam na ingerowanie w życie innych mistrzów żywiołów. Krótko mówiąc, zasada jest taka: wszystko czynisz na własną odpowiedzialność.

– To dziwne. – Arivald pokręcił głową. – W moim świecie nie spotkałem się jeszcze z grupą, która parałaby się magią, a której członkowie nie byliby skłonni pomagać sobie w trudnych sytuacjach. A przynajmniej – dodał – pomoc taką deklarować.

– Co kraj, to obyczaj – odparł dość szorstkim tonem mistrz żywiołów, któremu temat rozmowy najwyraźniej średnio odpowiadał.

– Czy sądzisz, że one potrafiłyby coś poradzić? Rzecz jasna, gdyby zechciały?

– Bo ja wiem? – Varrad wzruszył ramionami. – Ich możliwości są bardzo ograniczone. Już pół roku powstrzymuję je bez Skyrfangu, czyli nie mogąc korzystać z prawdziwej magii i na razie się to udaje. Swoją drogą, gdyby ktoś mi powiedział jeszcze niedawno, że będę się chował przed trzema pięknymi, uroczymi i pragnącymi mego towarzystwa kobietami, to powiedziałbym mu, iż jest niespełna

rozumu.

– I tak wytrzymałeś dłużej niż ja – parsknął Arivald – ale rzeczywiście: dowiedzieliśmy się, jak to jest, kiedy chce się uciec z raju.

***

– Zamierzam wypowiedzieć to zaklęcie – powiedział Galladrin lekkim tonem, jakby zapowiadał, iż wybierze się na przechadzkę przed pałac.

– To wymaga zastanowienia – rzekł Wielki Mistrz.

– Z całym szacunkiem – skłonił głowę Panienka – ale powołuję się na Szóstą Poprawkę.

Szósta Poprawka mówiła, iż w niektórych sytuacjach czarodziej jest zwolniony od obowiązku posłuszeństwa wobec Rady i Wielkiego Mistrza. Przy pewnej dozie dobrej woli można było uznać, że sytuacja taka właśnie zaistniała. Aczkolwiek z całą pewnością można było sobie wyobrazić niezwykle interesujący spór dotyczący tego tematu, który to spór mógłby ciągnąć się miesiącami, zanim uznano by, iż nie istnieje rozwiązanie.

– Bzdury – syknął Lineal – ja na pewno nigdzie się nie wybieram.

– I nikt ci nie każe. – Galladrin wzruszył pogardliwie ramionami. – Myślę, że dostojny Velvelvanel i ja doskonale sobie poradzimy.

– Ja? – zdumiał się Velvelvanel i nieopatrznie jego wzrok zetknął się z lodowatym spojrzeniem Galladrina. – No tak. Oczywiście… służę pomocą. W miarę skromnych możliwości – dodał.

– Obecnym przypomnę tylko, że gdyby nie dostojny Arivald, do tej pory gryźliby mury w więzieniu króla Silmeverda. Widać wdzięczność nie jest dobrą lokatą kapitału. – Galladrin jak zwykle był bezwzględnie szczery.

– To zniewaga – po chwili wydusił z siebie rektor Lineal.

– Tak? – zdziwił się uprzejmie Galladrin. – I cóż z tym zrobisz?

– Dość! – Harbularer klasnął w ręce. – Nie trzeba nam przypominać zasług dostojnego Arivalda i nie trzeba nam przypominać, że mamy wobec niego dług do spłacenia. Że wspomnę tylko o niezwykłej wiedzy z ksiąg biblioteki w Passadenie, którą odzyskujemy dzięki jego pomocy. Ale to nie znaczy, iż mamy skakać na głowę do wody, kiedy nie znamy dna…

– …ani nie widzimy, czy w wodzie są rekiny – dodał Lineal, kontynuując metaforę Wielkiego Mistrza.

Harbularer podziękował mu skinieniem głowy.

– Z was wszystkich najmniej zawdzięczam Arivaldowi – powiedział Panienka. – Owszem, poznał mnie z moją żoną, czego czasem zresztą nie uważam za tak wielką przysługę, jak mogliby sądzić ludzie pochopni. Ale na pewno nie uratował mi życia, nie wydostał z lochów ani nie pomógł zwalczyć niechęci innych czarodziei – przy ostatnich słowach spojrzał na Velvelvanela – i widzę, że tylko ja jestem skłonny zaryzykować życie, by ruszyć mu na pomoc. Cóż, skoro tak właśnie ma być…

– Wydostało się pisklę z jaja i pieje jak kogut na śmietniku – warknął Tulbercjusz.

– Ciekawe jest twoje zdanie o Silmanionie. – Galladrin ostentacyjnie ziewnął. – Pójdę już. Czas się przespać przed podróżą.

– Pozwól sobie towarzyszyć – rzekł po chwili wahania Velvelvanel.

– Na razie nie dostaniecie ode mnie księgi – powiedział Wielki Mistrz.

– Pozwoliłem sobie zrobić własny odpis w Aurze – odparł uprzejmie Galladrin.

– Dobrze. – Harbularer skinął głową. – Róbcie, co chcecie. Ale pamiętajcie, że Bractwo może wam zapamiętać nieposłuszeństwo. Kto wie, czy nie zaszkodzicie zarówno sobie, jak i Arivaldowi.

– Ja natomiast zapamiętam, jak chętnie Bractwo staje w obronie swych członków. Żegnam was, dostojni panowie.

Galladrin skłonił się z wyszukaną grzecznością i skierował w stronę drzwi. Za nim podreptał bardzo nieszczęśliwy Velvelvanel.

Harbularer spojrzał zasępionym wzrokiem na Tulbercjusza i Lineala.

– Proponuję zwołać zebranie Rady i ukarać Galladrina – powiedział drżącym z gniewu głosem rektor Lineal.

– Nie chcemy, aby jeden z najbardziej popularnych wśród młodych czarodziei członek Bractwa stał się symbolem i wzorem postępowania dla innych, prawda? – zapytał łagodnie Wielki Mistrz. – A proces przeciwko niemu taki skutek by spowodował. Nie mówiąc już, że karanie kogoś za chęć niesienia pomocy przyjacielowi mogłoby być źle odczytane.

– Czy zamierzasz im więc pozwolić na ten popis niesubordynacji? – zapytał Tulbercjusz.

– Czemu nie? Skoro jako jedyni zdobyli się na podjęcie takiej decyzji? Podobnego zachowania spodziewałbym się po Borrondrinie, ale od tak dawna nie ma go w Silmanionie…

– Przecież on nie znosi Arivalda od czasu ich wspólnej podróży – zdumiał się Lineal.

– Jak ty mało znasz ludzi – pokręcił głową Wielki Mistrz. – No dobrze. Pozwolę działać Galladrinowi i Velvelvanelowi. Zobaczymy,

co z tego wszystkiego wyniknie.

– Czasem bardzo mi ich brakuje – przyznał Mistrz Żywiołów – ale zawsze bałem się zlikwidowania zapory. Kto może wiedzieć, jakich sposobów by użyły, abym nie mógł ponownie odejść?

– Wydają się nieszkodliwe – rzekł Arivald.

– I owszem. W tym samym stopniu nieszkodliwe co rozwścieczona kobra.

– Nie przesadzasz?

– Znam kobiety. I wiem, jak się zachowują, kiedy zawiodłeś ich nadzieje. Nie mówiąc już o tym, jak się zachowują, kiedy śmiesz je porzucić.

– Prawda. To bywa męczące – westchnął Arivald – ale nie możemy siedzieć tu w nieskończoność. Mam nadzieję, iż wreszcie któryś z moich przyjaciół odważy się skorzystać z tej samej drogi co ja.

– Twój czas oczekiwania na nich będzie odwrotnie proporcjonalny do siły ich przyjaźni – rzekł Varrad. – Wolałbym, aby nie okazało się, że jesteś mniej popularny, niż sądzisz.

– Też bym wolał – powiedział Arivald, zastanawiając się, na kogo może liczyć.

Mistrz Harbularer z całą pewnością nie zaangażuje się osobiście, zresztą było to oczywiste i wynikało ze stanowiska, jakie piastował. Galladrina i Borrondrina nie było w Silmanionie, Velvelvanel miał za mało siły przebicia, a chyba również odwagi, by samotnie próbować pomóc Arivaldowi. A reszta czarodziei? Młodzi, najbardziej mu oddani, dawno siedzieli na Wybrzeżu, tworząc tam filię Bractwa.

– A gdyby spowodować, że one same zechciałyby się nas pozbyć? Czy myślisz, że to jest możliwe? – Arivaldowi ten pomysł przyszedł niespodziewanie do głowy.

– Czyli żeby miały nas już dosyć i wysłały do domu? – sceptycznie zapytał Varrad. – To wiązałoby się ze sprawianiem im przykrości, a tego nie chciałbym robić.

– Fakt – westchnął czarodziej – są tak miłe, że nie zniósłbym ich płaczu czy żalu.

– Mamy za dobre serca – skwitował mistrz żywiołów.

– A gdybyśmy nie byli w stanie… hm… sprostać ich oczekiwaniom?

Varrad roześmiał się rubasznie.

– Niechbym tylko teraz zobaczył którąś z nich, a sprostawałbym jej oczekiwaniom przez najbliższych kilka dni bez przerwy – rzekł nieco niezgodnie z zasadami gramatyki, ale zgodnie z prawdą.

– To da się załatwić.

– Niby jak?

– Znam odpowiednie zaklęcia.

– Nie wiem, czy chciałbym zostać, nawet tylko czasowo, impotentem. To strasznie upokarzające. – Mistrz żywiołów spojrzał na Arivalda. – Nie podoba mi się ten pomysł. Poza tym czy one nie mogłyby zastosować magii odwrotnej w działaniu?

Arivald westchnął ciężko. Wiedział, iż podobne zabiegi mogłyby spowodować zagrożenie ich zdrowia. Bardzo bowiem niebezpieczne było poddawanie organizmu nawzajem znoszącym się czarom.

– Gdyby nie Lohanni, oszalałbym tu z nudów – rzekł Varrad – i prędzej czy później wróciłbym pod ich słodkie skrzydełka. Tak przynajmniej mam dobre jedzenie, wino i książki do czytania.

– Nie tęsknisz za domem?

– Każdego dnia – smętnie odparł mistrz żywiołów.

Galladrin i Velvelvanel siedzieli pochyleni nad tajemniczą księgą, która co prawda była tylko odpisem z Aury, ale dzięki zaklęciom Galladrina sprawiała wrażenie normalnej, grubej książki ze skórzaną twardą okładką i pozłacanymi tłoczonymi literami.

– Co o tym sądzisz?

– Zaklęcie jest, ale nie czuję w nim żadnej mocy. Pewne jednak, że to jakiś dziwny rodzaj czaru teleportacyjnego – odparł Velvelvanel.

– Właśnie – pokiwał głową Panienka – wygląda, jakby ktoś przestał utrzymywać jego moc albo je zdezaktywował. Czy w takim razie będziemy potrafili się nim posłużyć?

– Przedtem powinniśmy chyba się przygotować. Arivald nie zdążył zabrać nawet swej Księgi Czarów i różdżki. Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób mógłby powrócić o własnych siłach.

– Ja mam wszystko przy sobie.

– A więc – starszy czarodziej odetchnął głęboko – do dzieła!

Galladrin w skupieniu wypowiedział słowa zaklęcia, ale jeszcze w połowie zdania wiedział, iż nic z tego nie będzie. Owszem, wypowiadał prawidłowe formuły, lecz były pozbawione mocy i znaczenia. To tak jakby wyznawać miłość osobie, która marzy tylko o tym, abyśmy sobie wreszcie poszli.

– Nic z tego. – Velvelvanel westchnął i nie udało mu się ukryć ulgi, bo jednak niespecjalnie kusiła go podróż w nieznane.

– Trzeba próbować do skutku – zadecydował Galladrin ku rozpaczy Velvelvanela, który już był zadowolony, iż tak małym kosztem spełnił obowiązek wobec przyjaciela.

– Może jest jakiś inny sposób – powiedział Velvelvanel. – Spróbujmy się skontaktować z dostojnym Arivaldem poprzez Wiązania Aury.

Prace nad wykorzystaniem Wiązań Aury dopiero co zostały wszczęte przez Tajemne Bractwo, gdyż sądzono, że właśnie one mogą

być motorem przyszłego postępu. Na razie sformułowano kilka ciekawie brzmiących tez, ale przede wszystkim nie ulegało wątpliwości, iż Wiązania mogą stać się sposobem błyskawicznej komunikacji pomiędzy osobami potrafiącymi z Aury korzystać. Poprzez stosowanie Wiązań można byłoby zarówno wysyłać, jak i przyjmować informacje o teoretycznie nieograniczonej objętości. Nie trzeba było nadmiernie lotnego umysłu, by stwierdzić, jak wielkie możliwości rozwoju oraz wpływu na świat dałyby takie rozwiązania Bractwu. Na razie jednak wykorzystanie Wiązań pozostawało piękną teorią. Prowadzono prace nad komunikowaniem się na odległość, ale wyniki nie napawały optymizmem. Kończyło się zwykle na tym, że osoba, z którą próbowano się porozumieć, miała niejasne przeczucie, iż ktoś jej w jakiejś sprawie poszukuje. Daleko jeszcze było stąd do przesyłania konkretnej wiadomości.

– Czy wiesz – spytał Galladrin – że niektórzy sądzą, iż poprzez Wiązania będzie kiedyś można przesyłać przedmioty materialne?

– A kto o tym nie słyszał? – Velvelvanel parsknął śmiechem. – Tylko że w Silmanionie lepiej nie wygłaszać takich bzdur.

– Bo ja wiem – zastanowił się Galladrin – teoretycznie nie ma różnicy pomiędzy materią a informacją, gdyż każda informacja zawiera kod…

– Arivald – stary czarodziej sprowadził na ziemię swego młodszego kolegę.

– Tak, wybacz mi. – Galladrin potarł czoło. – Możemy spróbować porozumienia z Arivaldem. Nawet jeśli nie odczyta konkretnej informacji ani nie będzie mógł jej przesłać, to może chociaż odczuje, że próbujemy go ratować.

– Tonący brzytwy się chwyta – westchnął Velvelvanel zadowolony, iż Galladrin zaakceptował ten bezpieczny w realizacji pomysł.

Arivald i Varrad siedzieli nad kolejnym dzbanem wina doniesionym przez Lo. Niezawodnego, acz mocno zdumionego ich tempem picia. Czarodziej znalazł sobie wreszcie godnego kompana, bo mistrz żywiołów po opróżnieniu czwartego dzbanka zaczynał odczuwać dopiero lekki, miły szumek w głowie. Obu znacząco poprawił się nastrój.

– Musisz mnie odwiedzić – rzekł Varrad, patrząc gdzieś ponad głowę Arivalda. – Nie uwierzysz, jak piękny może być świat, póki nie zobaczysz mojego. Góry wznoszą się pod samo niebo, tak wysoko, iż na ich szczytach nie ma już powietrza, którym można by oddychać. Kiedy staniesz na wierzchołku, widzisz chmury płynące gdzieś w dole, skotłowane na samym dnie bezkresnych przepaści. – Mistrz żywiołów przymknął oczy. – Ach, to jest świat, w którym chce się żyć.

Arivald wzdrygnął się nieco. Cierpiał na bardzo łagodną odmianę lęku wysokości i świat, w którym podróżuje się powyżej chmur, nie wydawał mu się specjalnie pociągający.

– Konstruujemy latające machiny napędzane magią, które nazwaliśmy chmurolotami – ciągnął mistrz żywiołów. – Potrafimy unosić się w powietrzu całymi godzinami i sterować ich ruchem.

To Arivalda zainteresowało. W jego świecie zarówno morskie głębie, jak i powietrzne przestworza pozostawały obce i niezdobyte przez człowieka. Próbowano wiele razy stworzyć podstawy magii, jak ją nawet nazwano, awiacyjnej, ale nic z tego nie wyszło. Poza kilkoma pogrzebami.

Nagle Varrad przerwał swoją opowieść i zerwał się od stołu. Czujny i skupiony.

– Ktoś przełamuje moje bariery – rzekł.

– Lo! – zawołał Arivald. Duszek zjawił się natychmiast.

– Co się dzieje? – spytali obaj magowie.

– Są bardzo niezadowolone i bardzo zdecydowane – wyjaśnił pogodnie Lo. – Chyba zabrały się serio do pracy nad waszymi zasłonami.

Varrad uśmiechnął się złośliwie.

– Nie mam mojego Skyrfanga, ale i tak zajmie im to trochę czasu. Możemy spokojnie wypić następny dzbanek.

– Na pewno?

– Nie ufasz mej biegłości? – Mistrz żywiołów zmarszczył brwi.

– Och, to tylko wrodzona ostrożność – odparł Arivald. Stuknęli się pucharami.

– Na zdrowie. I za bezpieczny powrót do domu – dodał Varrad.

– A co z podmorskimi głębinami? – zapytał czarodziej. – Czy też potraficie je penetrować?

Mistrz żywiołów roześmiał się.

– Znam pojęcie morza i oceanu, wiem, co to głębiny, ale nigdy nie widziałem tego na własne oczy. W moim świecie zobaczysz tylko górskie strumienie i kilka setek mniejszych lub większych, lecz płytkich jezior. Słyszałem, że w innych światach można stanąć na brzegu wody i nie zobaczyć brzegu przeciwległego. Jakże silna musi tam być magia! Ach, zobaczyć choć raz w życiu kilkumetrową falę wody pędzącą z oszałamiającą szybkością!

– Zaręczam ci, iż widok ten nie jest taki przyjemny, kiedy znajdujesz się właśnie na statku, na który pędzi taka fala.

Varrad pokiwał głową nie przekonany. Nagle Arivald poczuł coś dziwnego. Jakby był nadal w tym kamiennym pomieszczeniu z mistrzem żywiołów, ale jednocześnie też przebywał gdzie indziej. Gdzie, tego nie wiedział, gdyż miejsce to było przesłonięte jakby silną mgłą. Nie dobiegały go też żadne odgłosy. Opadł na oparcie fotela i

próbował się skoncentrować. Jak zza ściany dobiegał go zaniepokojony głos Varrada.

– aldzie, aldzie, aldzie… – słyszał nawoływanie z tej drugiej strony mgły, ale nie wiedział, co ono mogło oznaczać.

– wamy ocą, aldzie – echo zniekształcało słowa wypowiadane nie wiadomo skąd i nie wiadomo przez kogo. – Ysz as? Ysz as?

Czarodziej czuł, iż ten dziwny kontakt powoli zaczyna zanikać. Mgła stawała się coraz gęstsza, coraz bardziej nieprzenikniona, uczucie przebywania i tu, i tam znikało. Arivald wyprostował się w fotelu i dopiero teraz dostrzegł, że mistrz żywiołów silnie potrząsa jego ramieniem.

– Co się dzieje? To jakieś ich nowe sztuczki?

– Nie, nie. – Arivald uwolnił się z uścisku. – Mam wrażenie, że ktoś próbował się ze mną skontaktować. Czyżby moi przyjaciele?

– Jak mogliby to zrobić? Arivald próbował zebrać myśli.

– Jest coś, co nazywamy Wiązaniami Aury. Teoria mówi, iż kiedyś będziemy mogli porozumiewać się za ich pomocą niezależnie od odległości. Skoro Aura, choć nieco inna, jest i w tym świecie, to dlaczego nie mieliby do mnie dotrzeć? Mam nadzieję, że to prawda.

– I ja mam taką nadzieję. Myślę też, iż skoro próbują kontaktu, to niedługo przejdą do czynów bardziej zdecydowanych.

– Sądzę, że już próbowali – odparł czarodziej po chwili namysłu – i to im się nie udało. Teraz więc próbują sposobu, którego działania nikt nie jest pewien.

– A więc jesteśmy w tym samym miejscu co przedtem?

– Albo i gorzej. Mam podejrzenia, że skoro tu jesteśmy, sprowadzenie kogokolwiek innego nie jest naszym gospodyniom potrzebne. Zapewne więc zamknęły drogę do swego zamku i zaklęcie, które ja wypowiedziałem, w tej chwili nie działa.

– Hm, może tak być. Z drugiej strony można sobie wyobrazić gorsze więzienie… – Varrad przechylił puchar do dna. – Chyba pójdę spać, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Ależ proszę – odrzekł Arivald, chociaż sam zaczynał się dopiero rozkręcać. Te parę pucharków wina nawet nie zdążyło zakręcić mu w głowie.

Mistrz żywiołów wstał ciężko i poszedł do sąsiedniego pokoju. Wtedy Arivald wpadł na pewien pomysł. Pomysł był, łagodnie mówiąc, nieetyczny, ale mógł być skuteczny.

– Lo! – zawołał czarodziej i duszek zjawił się po ledwie zauważalnej chwili zwłoki.

– Tak?

– Czy byłbyś uprzejmy przenieść mnie do mojej komnaty?

– Oczywiście. – Lo podał dłoń Arivaldowi i zaraz potem zniknął. Czarodziej szybko i sprawnie usunął bariery tłumiące dźwięk ze swej

pułapki. Potem chwilę myślał nad odpowiednim czarem i wreszcie wypowiedział Echo Saurentego, czar powodujący, że nawet łagodny kobiecy głosik rozbrzmiewał niczym grom w promieniu kilkuset metrów. Podobno ten jeden czar wystarczył Saurentemu do pokonania barbarzyńców ze Wschodu, ale było to jeszcze w czasach, kiedy spotkanie czarodzieja na polu bitwy nie było niczym dziwnym.

– Moje drogie, chciałbym z wami porozmawiać – rzekł Arivald spokojnie i wyraźnie oddzielając słowa. – Czekam w swojej komnacie.

Tak jak czarodziej się spodziewał, nie minęło wiele czasu, jak usłyszał na korytarzu pośpieszny stukot trzech par obcasów. A zaraz potem trzy okrzyki rozczarowania, kiedy okazało się, że drzwi nadal chronione są czarami.

– Arivaldku – czarodziej poznał głos Solyenny – dlaczego się nad nami znęcasz? Nie kochasz nas już?

– Całą duszą, moja droga – grzecznie odparł czarodziej – lecz tęsknię za swoim domem i chciałbym do niego wrócić.

– Ależ oczywiście! – wykrzyknęła następna z sióstr. Arivald nie był pewien, czy to Kylyenna, czy Ilyenna. – Tylko dlaczego tak szybko? Zabaw z nami miesiąc…

– Albo dwa – wtrąciła szybko Solyenna.

– …i wtedy wracaj do siebie.

– Nie będę miał czasu na podjęcie stosownych badań – wyjaśnił Arivald. – Nie wiem, jak wrócić, więc muszę pracować nad tym problemem.

Usłyszał ściszone szepty na zewnątrz.

– A gdybyśmy ci pomogły? – zapytała słodko Solyenna.

– To znaczy?

– Powiedzmy, że umiałybyśmy przenieść cię z powrotem do twojego świata – rzekła ostrożnie – w zamian za pewną obietnicę.

– Jaką?

– Będziesz spędzał z nami pół roku, a pół roku u siebie.

Arivald poważnie zastanowił się nad tą propozycją. Życie w luksusie i otoczeniu trzech przepięknych i spragnionych miłości kobiet mogło być niezwykle interesujące. Ale pół roku? Jak wtedy wybrać się w jakąkolwiek dłuższą podróż? Jak odwiedzić ekscytujący Nowy Świat, który od dawna go kusił? A zresztą czy wytrzymałby pół roku pełne łóżkowych zmagań z trzema nienasyconymi pięknościami?

– Mam inny pomysł – odparł czarodziej. – W zamian za pomoc w powrocie do mojego świata usunę bariery chroniące Varrada.

Na korytarzu nastała chwila ciszy.

– Widziałeś się z nim? – spytała w końcu Solyenna.

– Owszem, usłyszałem również jego historię, bo wasza była, jak by to powiedzieć, niezupełnie zgodna z prawdą.

– Ja wolę Arivalda – rzuciła rozkapryszonym tonem rudowłosa

Ilyenna i Arivald bardzo się z tego ucieszył, gdyż podobała mu się najbardziej ze wszystkich trzech sióstr.

– Ale Varrad był taki męski – rozmarzyła się Kylyenna. – Mogłam bez końca patrzyć, jak węzły mięśni grały mu pod skórą. A jakie miał silne i delikatne dłonie.

– Varrad był ponury i nie umiał tak słodko mówić jak Arivald. – Czarodziejowi coraz bardziej podobał się punkt widzenia Ilyenny. – Arivaldku, proszę, wróć do nas. Solyenno, powiedz coś!

Najstarsza z sióstr zastanawiała się przez chwilę.

– Czy jesteś pewna, że wolisz Arivalda? – spytała Ilyennę.

– Całą duszą!

– A ty, Kylyenno?

– Tęsknię za Varradem. Wybacz, Arivaldzie.

– Ja kocham ich obu i nie potrafię wybrać żadnego – powiedziała Solyenna – jednak lepszy wróbel w garści niż dudek na dachu. Jeżeli Arivald obiecuje nam zdjąć bariery zagradzające drogę do Varrada, zgadzam się.

– Och, nie – jęknęła Ilyenna.

– Ale mam jeden warunek.

– Jaki? – zaniepokoił się Arivald.

– Jeszcze przez godzinę po zdjęciu barier z pokoju Varrada będziemy mogły próbować złamać twoje bariery. Jeżeli nam się uda, będziesz mieszkał z nami przez jesień i zimę każdego roku, a jeżeli nam się nie uda, odsyłamy cię do domu i odwiedzisz nas, kiedy zechcesz.

Czarodziej zamyślił się głęboko. Nie było najmniejszych szans, by w ciągu godziny dziewczęta poradziły sobie z jego przemyślnie skonstruowanymi, choć prostymi zasłonami.

– Zgoda – rzekł. – Przysięgacie?

– Przysięgamy – odparły wdzięcznym chórkiem.

Arivald przywrócił bariery czyniące jego pokój nieprzeniknionym dla dźwięków i przywołał Lo.

– Wybacz, że cię fatyguję, ale czy mógłbyś mnie przenieść z powrotem do Varrada?

– To żadna fatyga, panie Arivaldzie. Cała przyjemność po mojej stronie.

Czarodziej po uściśnięciu dłoni Lo poczuł jak zwykle to dziwne zawirowanie i znalazł się w komnacie mistrza żywiołów. Sypialnia Varrada była pusta.

– A gdzież on się podział? – zapytał czarodziej.

– Poprosił, by go przenieść do biblioteki. To bardzo niebezpieczne, ale tym razem chciał sam poszukać książek.

Arivald zaśmiał się w myślach, kiedy wyobraził sobie minę Varrada w chwili, gdy czarodziejki jakby nigdy nic wejdą do jego

komnaty. Było mu trochę żal mistrza żywiołów, ale jednocześnie obiecywał sobie, że wróci do pałacu uzbrojony już w różdżkę i wcześniej przygotowane zaklęcia, i wymusi na królowych uwolnienie Varrada, chociaż na pewien czas, z tej słodkiej niewoli.

Na razie jednak trzeba było wziąć się do pracy. Rozmontowanie magicznych zasłon od wewnątrz było oczywiście o niebo prostsze niż rozmontowanie ich od zewnątrz, lecz Arivald i tak musiał chwilę się pogłowić, bo Varrad nie używał przecież Aury przy budowie barier. Trzeba było się też śpieszyć, gdyż mistrz żywiołów mógł w każdej chwili wrócić, a z pewnością nie można będzie nazwać zachwytem uczucia, jakiego zazna, kiedy zorientuje się, iż Arivald grzebie przy jego magii. Tutaj nad wyraz pomocny okazał się Lo. Widząc zdenerwowanie Arivalda, rzekł:

– Nie musisz się śpieszyć. Zakrzywiłem czas i możesz spokojnie pracować co najmniej przez cztery godziny.

Cztery godziny to było aż nadto, by zlikwidować zasłony postawione przez Varrada. Arivald jednak nie ograniczył się tylko do tego, by usunąć magię mistrza żywiołów. Spędził trochę czasu nad zmajstrowaniem czaru powodującego wrażenie, iż magia ta nadal działa. Oczywiście Varrad zorientowałby się po paru minutach, że coś nie gra. Ale wtedy już będzie już za późno.

Arivald, bardzo zadowolony z siebie, przywołał Lo, by przenieść się z powrotem do swej komnaty. Uroczyście nalał sobie pucharek wina i wzniósł go wysoko.

– Za zwycięstwo – rzekł.

– Za zwycięstwo, Arivaldzie – dobiegły go trzy rozbawione głosy i ujrzał stojące w progu królowe ubrane w olśniewające suknie.

Ilyenna miała szmaragdowozieloną, Solyennna czarną jak noc, a Kylyenna jadowicie żółtą.

Czarodziej odstawił kielich, w którym nie zdołał nawet umoczyć ust. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z faktu, że jego barier już nie ma. Pozostało tylko wrażenie, że istnieją nadal. Wtedy też wszystko zrozumiał.

– Zdrajco! – rzekł ponuro Varrad.

– A tyś lepszy? – odwarknął Arivald.

Solyenna zaśmiała się perliście. Stała na środku pokoju, obserwując Arivalda z uwieszoną u jego ramienia rudowłosą Ilyenną i czarnowłosą Kylyennę przytulającą się do Varrada.

– Nie ma się o co kłócić – powiedziała. – Wy, mężczyźni, zawsze myślicie, że jesteście tacy mądrzy i zjedliście wszystkie rozumy. Wpadliście w pułapki, które zastawiliście na samych siebie, a nasz udział był tylko taki, że zgodziłyśmy się na wasze warunki. Cóż – rozłożyła dłonie – przed nami pół roku zabaw i radości!

Jedyną pociechą dla Arivalda był fakt, iż przez te pół roku

królowymi zajmować się będzie także mistrz żywiołów. Wysiłek zostanie więc podzielony na dwóch. Inna rzecz, że przy apetytach Solyenny, Ilyenny i Kylyenny nawet sześciu byłoby zbyt mało.

– Jest jednak problem. – Solyenna spojrzała na siostry. – Wy wybrałyście już sobie wymarzonych mężczyzn, a ja wciąż waham się i nie wiem, który z nich bardziej mi się podoba. Czy mam kochać Arivalda, czy Varrada? A może ich obu równie silnie?

Czarodziej i mistrz żywiołów spojrzeli na siebie ze zgrozą. Perspektywa królowej pragnącej udowodnić, iż każdego z nich kocha tak mocno jak drugiego, napawała przerażeniem.

– Jednak – westchnęła – postanowiłam rozwiązać sprawę w inny sposób. Pomyślałam, że miło będzie w zamku mieć trzech mężczyzn. Wspaniałych, urodziwych i silnych – słysząc te słowa, Varrad i Arivald nie mogli powstrzymać się od dumnego uśmiechu – dlatego otworzyłam z powrotem wrota naszego zaklęcia. Co nie znaczy, iż nie mamy dokonywać od czasu do czasu jakichś rozkosznych zmian, które tak przecież uatrakcyjniają życie – uśmiechnęła się najpierw do Varrada, a potem do Arivalda.

– Mamy rozumieć więc, że pojawi się ktoś następny? – zapytał, a raczej stwierdził Arivald.

– Właśnie tak. A magię nakierowałam w stronę, z której ty przybyłeś. Wierzę bowiem, że któryś z twoich przyjaciół zechce prędzej czy później sprawdzić, co się z tobą stało. Wtedy też nas odwiedzi. I powitam go bardzo gorąco.

– Wierzę – mruknął Arivald, zastanawiając się, kto trafi do zamku pięknych czarodziejek.

Efekt mógł być bardzo zabawny. Jednak cała sytuacja najwyraźniej wymknęła się spod kontroli. Królowe mogły do woli ich szantażować i wymóc wszelkie obietnice w zamian za chwilowe uwolnienie. A Arivald naprawdę nie chciał tu spędzać dwóch kwartałów w roku. Jednak nie wiadomo dlaczego czarodziejki z jednego nie zdawały sobie sprawy. Mag, który tu przybędzie, stawi się gotowy na wszelkie niebezpieczeństwa. Z różdżką oraz przygotowanymi wcześniej zaklęciami. Nie pójdzie im tak łatwo jak z Arivaldem czy Varradem, którzy zostali ściągnięci zupełnie niespodziewanie. Zaskoczeni, mieli niewielkie szansę znalezienia drogi powrotnej.

– Wyprawimy wieczorem ucztę – klasnęła w dłonie Solyenna.

– Ale najpierw kąpiel – zdecydowała Ilyenna.

– Wspólna? – bez cienia wstydu w głosie zapytała Kylyenna.

– Nie – tym razem Arivald i Varrad byli nadspodziewanie zgodni i odezwali się chórem.

Jeszcze nim zdołało w komnacie przebrzmieć ich zaprzeczenie, z podłogi uniósł się siwy dym. W pokoju zrobiło się ciemno, księżniczki

pisnęły ze strachu, a Arivald i Varrad skoczyli w stronę tego dymu. W jego kłębach zmaterializował się najpierw Galladrin, z różdżką w prawej dłoni i z wyraźnie widoczną pod płaszczem kolczugą, a zaraz za nim opadł na czworakach Velvelvanel, mimo niewygodnej pozycji również mocno ściskający w dłoni swą różdżkę. Za pas miał zatkniętą różdżkę Arivalda.

Galladrin, niewiele myśląc, uderzył w Varrada potężnym czarem oszałamiającym i mistrz żywiołów potoczył się pod ścianę. Potem Velvelvanel szybko utworzył ochronną barierą. Cios w Varrada był oczywiście pomyłką, ale Galladrin, widząc groźnie wyglądającą brodatą postać, wolał nie zastanawiać się, czy jest to wróg, czy przyjaciel. Mistrz żywiołów gramolił się teraz z ziemi, kołysząc głową jak ogłuszony bokser.

– Arivaldzie! – Panienka pochwycił przyjaciela w ramiona. – Żyjesz! – Spojrzał na bogaty strój przyjaciela i zapał w jego głosie nieco ostygł. – Widzę, że nie musieliśmy się o ciebie aż tak zamartwiać.

– Gdybyś wiedział… – czarodziej pokiwał głową i uścisnął dłoń Velvelvanela, który tylko sapał ze zmęczenia.

Dym zasłaniający komnatę rozwiewał się szybko. Najwyraźniej któraś z sióstr rzuciła odpowiednie zaklęcie.

– A cóż to za urocze istoty? – Galladrinowi oczy się zaświeciły na widok trzech królowych.

– Nasze gospodynie – odparł Arivald z lekką ironią w głosie. Solyenna podeszła do nich i skrzywiła się nieco, napotykając ochronną barierę.

– Witam was – powiedziała – spodziewałam się co prawda przybycia tylko jednego gościa, ale tym radośniej witam dwóch.

Galladrin pochylił się w głębokim ukłonie.

– Zdejmijżeż to – warknął do Velvelvanela, myśląc o jego barierze.

Stary czarodziej tylko pokręcił głową. Wiedział dobrze, że tutaj o wszystkim musi decydować Arivald. W końcu to właśnie on najlepiej znał sytuację. Arivald tymczasem zastanawiał się, co robić. Z Velvelvanelem i Galladrinem u boku mógł się niczego nie obawiać. Po pierwsze, byli znamienitymi magami, po drugie, mieli ze sobą różdżki, a więc byli przygotowani do rzucenia najsilniejszych zaklęć. Jeżeli sami nawet nie poradziliby sobie z powrotem, to z całą pewnością mogli skłonić do pomocy dziewczęta. Ale coś jednak należało zrobić właśnie z pięknymi czarodziejkami. No i jakoś pomóc Varradowi, który przecież wydawał się całkiem sympatycznym człowiekiem (mimo zdrady, której Arivald nie miał zamiaru mu wybaczyć).

– Musimy chyba zastanowić się nad tym galimatiasem – rzekł na

głos.

– Ja wiem jedno. Ty, blondasku, nigdy nie będziesz już taki ładniutki, jak dorwę cię w swoje ręce. – Varrad był naprawdę zły. – A tak nawiasem mówiąc, to jest mężczyzna, kobieta, czy jakieś ni to, ni sio? – zapytał Arivalda. – Bo nie wiem, czy jest go z czego kastrować.

Galladrin poczerwieniał. Nienawidził przytyków do swoich bujnych złotych włosów i delikatnych rysów twarzy. Nawet kiedy przyjaciele nazywali go Panienką, potrafił wyjść z równowagi. Uniósł różdżkę, lecz Arivald zatrzymał mu dłoń w pół ruchu. Nie zamierzał komplikować i tak skomplikowanej sytuacji.

– Dość! – rzekł ostro. – Uspokójcie się. Jesteśmy tu, by doprowadzić wszystko do szczęśliwego zakończenia, a nie skakać sobie nawzajem do gardeł. Zdejmij czar – rozkazał Velvelvanelowi. – Moje drogie – podprowadził przyjaciół w stronę księżniczek – oto Galladrin i Velvelvanel, moi przyjaciele oraz mistrzowie magii. A to Solyenna, Ilyenna oraz Kylyenna, urocze panie tego zamku. Pozwólcie też przedstawić sobie dostojnego Varrada Bar-dura, mistrza żywiołów z nieznanego nam świata.

– Jestem zaszczycony. – Galladrin o mało co nie zamiótł włosami podłogi, kłaniając się czarodziejkom. – Panie – dodał chłodno, przyglądając się Varradowi.

– Miło mi – mruknął Velvelvanel.

– Tak czy inaczej czas na ucztę – rzekła Solyenna i klasnęła w dłonie. – Lo, odprowadź naszych nowych gości do ich komnaty i dopilnuj, aby niczego im nie brakowało. Za godzinę zaczynamy.

Ilyenna podeszła do Arivalda i ku wyraźnej zazdrości Galladrina przytuliła się do niego mocno.

– Obiecałeś – szepnęła. – Nie opuścisz mnie przecież, prawda? Czarodziej czuł, że mięknie pod wpływem jej słodkiego głosu i odurzającego zapachu perfum. Postanowił jednak wziąć się w garść.

– Porozmawiamy o tym później – powiedział – nie odchodzimy przecież w tej chwili. Na razie wybacz mi, ale muszę porozmawiać z przyjaciółmi.

– Rozumiem. – Ilyenna miała bardzo smutną minę. – Nie znajdziesz już dla mnie czasu przed kolacją – bardziej stwierdziła niż spytała.

– Przyjdę po ciebie – obiecał Arivald – no i przecież możemy się chwilę spóźnić – dodał łamiąc postanowienie, bo jednak dziewczyna była urocza.

Ilyenna uśmiechnęła się.

– Będę czekała – powiedziała i pocałowała czarodzieja prosto w usta.

Arivaldowi najbardziej podobało się wrażenie, jakie zrobiło to na Galladrinie.

Panienka siedział w wannie pełnej piany, a Velvelvanel z odrazą przeglądał w pokoju obok zawartość pełnej ubrań szafy. Lo wyraźnie zasugerował, iż jego strój nie jest odpowiedni, aby przybyć w nim na kolację, i stary czarodziej musiał znaleźć sobie inne ubranie. Przeklinał też strasznie (ale jednak pod nosem), bo wydawało mu się, iż cokolwiek włoży, będzie wyglądał jak sędziwy błazen. Arivald siedział przy stoliku i popijając wino, tłumaczył przyjaciołom sytuację. Oczekiwał też, iż pomogą mu w rozwiązaniu problemu ku zadowoleniu wszystkich.

– Mówisz więc, że blondynka jest wolna? – zapytał Galladrin. Arivald westchnął ciężko.

– Wolałbym, abyś skoncentrował się na innych aspektach tej kwestii – powiedział – i starał się myśleć za pomocą głowy, a nie innych części ciała. Zresztą masz żonę – dodał.

– Jak kot trzymał się jednej dziury, to zdechł – wulgarnie, choć nie bez cienia racji skwitował Galladrin. – Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – dodał.

– Dużo znasz jeszcze takich ludowych mądrości? – zapytał Arivald. – Bo jeśli nie, to może zastanowimy się, jak z tego wybrnąć.

– Pakujmy się, zjemy kolację w domu – rzekł Velvelvanel.

Arivald westchnął ponownie. Okazało się, że pomoc przyjaciół było mu niełatwo uzyskać. Galladrinowi najwyraźniej uderzyła do głowy uroda gospodyń zamku, a stary czarodziej myślał tylko o powrocie i o tym, aby nie musieć dziś wieczorem paradować w tych zabawnych strojach, które mógł wybrać sobie z szafy.

– No co ty! – Galladrin obruszył się na Velvelvanela. – Ja nie mam nic przeciwko temu, by zostać tu tydzień czy dwa.

– Tydzień czy dwa?! – wrzasnął Velvelvanel. – Czy masz dobrze w głowie? Wiesz, co by nas czekało po powrocie?

– A co mnie to obchodzi? – Galladrin wzruszył ramionami. – I tak później wracam do siebie, a te stare pierdoły z Silmaniony nic mi nie zrobią. Poza tym rok, dwa i Arivald zostanie Wielkim Mistrzem.

– Nie zostanie – odezwał się chłodnym tonem Arivald – bo nie ma na to najmniejszej ochoty. I nie podoba mi się nazywanie czarodziei z Silmaniony starymi pierdołami.

– Szkoda, że nie słyszałeś, z jaką ochotą debatowali nad przyjściem ci na ratunek – mruknął złośliwie Galladrin. – Zresztą powiedzmy sobie szczerze: Silmaniona się kończy. Przyszłość jest na Wybrzeżu i w założonej przez ciebie filii Akademii. Za parenaście lat w Silmanionie będzie tylko paru starców zajętych odkurzaniem książek i własnymi sporami.

– Oby tak nigdy się nie stało – rzekł poważnie Velvelvanel, przerywając poszukiwania.

Stary czarodziej co prawda nie przepadał za zwyczajami panującymi w Silmanionie, ale wiedział, czym może grozić cywilizowanemu światu jej upadek.

– A to niby dlaczego? – Galladrin zdmuchnął pianę, która osiadała mu na brodzie. – Sądzę, iż…

– Zamknij się! – Arivald postanowił być stanowczy. – Wysil swój intelekt, jeżeli w ogóle posiadasz coś takiego, aby nam pomóc. A jak nie umiesz pomóc, to siedź cicho i nie przeszkadzaj.

– Najlepiej wracajmy – powtórzy! Velvelvanel.

– Ty też się zamknij! – krzyknął Arivald z rozpaczą w głosie i postanowił odwiedzić Ilyennę. Była zdecydowanie milsza od jego przyjaciół. A poza tym świetnie się z nią porozumiewał. Nawet bez słów.

– Zacząłbym od tego – rzekł protekcjonalnym tonem Velvelvanel – by „wywiedzieć się, kim one są i skąd przybyły.

– Jasne! – Arivald strzelił się w czoło otwartą dłonią. – Że też mi to zupełnie wypadło z głowy. Masz zupełną rację.

– Gdzie idziesz? – zapytał Galladrin widząc, że Arivald kieruje się w stronę drzwi.

– Znaleźć odpowiedzi na kilka pytań – odparł czarodziej. – Spotkamy się na kolacji.

Ilyenna była bardzo stęskniona i bardzo uradowana, a Arivaldowi zajęło jakieś małe pół godzinki udowadnianie, iż nadal jest dla niego niezwykle ważna i w jego uczuciach nic się nie zmieniło. W końcu jednak mógł zacząć zadawać pytania.

– Moja droga – rzekł – darujmy sobie bajeczki o złym stryju i wygnaniu. Kim wy naprawdę jesteście i skądżeście się tu wzięły?

– Ależ Arivaldzie – obruszyła się Ilyenna – czyżbyś nam nie wierzył?

– Niestety, moja mała, nie wierzę wam za grosz. I muszę – podkreślił ostatnie słowo – znać prawdę.

Ilyenna ciężko westchnęła, a jej piersi uroczo zafalowały.

– Doprawdy, twoja nieufność zdumiewa mnie i budzi żal. Jak możesz myśleć, iż mogłybyśmy cię oszukiwać?

– Nie sądzę, abyście oszukiwały – odparł grzecznie Arivald. – Myślę, że puściłyście trochę wodze fantazji. Takie niewinne zmyślenia, prawda?

– Może to, co od nas słyszałeś, rzeczywiście było leciutko ubarwione – powiedziała po chwili namysłu – ale czy czasem fantazje nie są przyjemniejsze od rzeczywistości?

– Kiedyś trzeba jednak do niej wrócić.

– Och, zapewne masz rację, lecz rzeczywistość jest tak nudna i tak mało podniecająca! – Ilyenna znowu westchnęła i przytuliła się do

Arivalda. – A może zanim zaczniemy poważne rozmowy, to…

– Nie, nie. – Arivald odsunął ją delikatnie, ale stanowczo. – Naprawdę nadszedł już czas na poważną rozmowę.

– Być może, przestaniesz mnie kochać, kiedy powiem ci prawdę – westchnęła Ilyenna i było to dosyć prawdziwie brzmiące westchnienie.

Czarodziej tym razem nie odpowiedział.

– A więc – zaczęła Ilyenna – jesteśmy naprawdę czarodziejkami…

To już Arivald wiedział, lecz cierpliwie czekał, kiedy dowie się czegoś nowego.

– …i zawsze wiedziałyśmy, iż naszym przeznaczeniem jest stać się władczyniami jakiegoś pięknego królestwa…

Na razie więc była mowa o pragnieniach i pobożnych życzeniach, ale przynajmniej Ilyenna zaczęła w ogóle mówić. To też był jakiś sukces.

– …niestety wychowywałyśmy się w bardzo nieprzyjemnym miejscu. Od dziecka byłyśmy uczone magicznych sztuk, ale nie miałyśmy serca do tych poważnych i nudnych ćwiczeń…

No cóż, to było widać po sposobie, w jaki próbowały rozbić zapory Arivalda i mistrza żywiołów.

– …znajdowałyśmy jednak liczne sposoby, by wyrwać się na wolność i zakosztować nieco bardziej ekscytującego życia…

Arivald już sobie wyobrażał, jak to mogło wyglądać.

– …ale zostałyśmy kilkakrotnie przyłapane na opuszczaniu naszej akademii, aż wreszcie – tu Ilyenna znowu głęboko westchnęła – wybuchnął dość poważny skandal…

Jeżeli Ilyenna nazywała coś poważnym skandalem, to rzeczywiście sprawa nie była błaha. Arivald wolał się nawet nie dopytywać, o co chodziło.

– …żeby tylko skończyło się na wyrzuceniu z akademii. Ale nie, naszej przełożonej to by nie wystarczyło. Uznała, iż zhańbiłyśmy szkołę i jej nauki, przysporzyłyśmy kłopotów i musimy zostać ukarane.

– A na czym miała polegać kara?

– Zostałyśmy odesłane właśnie tutaj, na nieokreślony czas. I przełożona powiedziała, że skoro przedkładałyśmy mężczyzn nad naukę, od tej pory będziemy zawsze pragnąć mężczyzn, a ci nigdy nie będą chcieli z nami zostać.

– A więc to klątwa! – krzyknął czarodziej.

– Chyba tak. – Ilyenna ukryła twarz w dłoniach. – Jesteś pierwszym, który naprawdę zainteresował się nami i starał nam pomóc.

– Biedna moja! – Arivald pogłaskał Ilyennę po płomienistych włosach. – Nic się nie martw, poradzimy sobie z tym szybko. W końcu przybyło nam do pomocy dwóch potężnych magów.

Ilyenna podniosła oczy z nadzieją.

– Mamy czas i siły. – Arivald był pewien swego. – Tylko co potem? Czy chcecie wrócić do domu?

– O nie! – Ilyenna wzdrygnęła się. – Na pewno nie chcemy tam wrócić. Może zabierzesz nas ze sobą?

Arivald szybko rozważył wszystkie za i przeciw. Cóż, w końcu dlaczego nie? W Silmanionie piękne czarodziejki zrobiłyby furorę. Nie mówiąc już o tym, że ich umiejętności magiczne byłyby wdzięcznym obiektem badań dla silmanionskich magów. Może zresztą młodsi czarodzieje mieliby ochotę zapoznać się nie tylko z ich biegłością w magii. A to swoją drogą mogłoby nie spodobać się na przykład Wielkiemu Mistrzowi, który zawsze uważał, iż czarodzieje powinni prowadzić życie, jak to nazywał, „porządne". Cokolwiek miałby ten termin znaczyć.

Uczta została przygotowana nad wyraz pieczołowicie. Na stole pyszniły się bażanty nadziewane truflami, pieczone w miodzie gołąbki, płaty cieniutkiego jak bibuła jesiotra, kilkanaście rodzajów serów oraz pasztety. Honorowe miejsce zajmował dobrze wypieczony prosiaczek z jabłkiem w pysku, a obok stały kryształowe karafki z kilkoma rodzajami win.

– Zdrowie naszych gości – uśmiechnęła się Solyenna, unosząc kielich.

– Nie – zaprotestował z galanterią Galladrin – twoje zdrowie, o piękna, i twoich ślicznych sióstr.

Varrad wzniósł puchar w stronę Kylyenny, Arivald w stronę Ilyenny, tylko Velvelvanel ponuro siorbnął ze swego kielicha. Bardzo źle się czuł w aksamitnych zielonozłotych spodniach i kubraku tego samego koloru. Poza tym bufiaste rękawy koszuli ciągle wpadały mu do talerza.

Arivald upił łyk wina i znowu poznał, że jest leciutko zaklęte. Velvelvanel też to poznał, ostentacyjnie nalał sobie do kubka wody, a kieliszek z winem odstawił na bok.

– Co mamy z nimi zrobić? – zapytał tonem, który tylko przy nadmiarze dobrej woli można byłoby nazwać uprzejmym.

– Tak potężni magowie na pewno wymyślą coś, co zadowoli nas wszystkich. – Kylyenna poznała widać, że z Velvelvanelem nie należy żartować.

Arivald wspomagany przez Ilyennę opowiedział wszystko, czego dowiedział się od czarodziejki. Solyenna i Kylyenna od czasu do czasu wpadały mu w słowo i uzupełniały historię.

– No dobrze – rzekł Velvelvanel – ale co w takim razie robiła ta czarodziejska księga w Silmanionie? Skąd wzięły się w niej dwa arcyinteresujące zaklęcia? Może mi powiecie, że napisałyście je same?

– Och, nie! – Ilyenna się uśmiechnęła. – Oczywiście, że nie. My

tylko…

– Może truflę, moja pani? – Galladrin nachylił się nad Solyenną, bardziej niż truflami interesując się jej biustem.

– Galladrinie! – Velvelvanel surowo spojrzał w stronę Panienki. Doskonale wcielił się w rolę starego czarodzieja czuwającego, aby młodzieniaszkowie nie narobili jakichś głupstw i koncentrowali uwagę na ważnych sprawach. Choć Arivalda trudno raczej było nazwać młodzieniaszkiem.

– Dobrze, dobrze – odparł Galladrin – już słuchamy.

– …my tylko wysłałyśmy ją do świata Varrada, a potem do waszego świata. Ale to nie jest księga w dosłownym znaczeniu…

– Ja czułem wiatr – przerwał jej mistrz żywiołów.

– No właśnie. To po prostu coś w rodzaju magicznego kondensatora, przybierającego różne postacie, w zależności od świata, w którym się znajdzie.

– Ale skąd, u licha, to się wzięło?! – wykrzyknął Velvelvanel. – Skąd wziął się ten pałac, skąd bierze się tu jedzenie, wszystkie przedmioty?

– Słuszna uwaga. – Arivald nie był zadowolony, że sam na to nie wpadł.

– Nie wiem. – Solyenna spojrzała pytająco w stronę sióstr, nim wypowiedziała te słowa. – Chyba myślałyśmy zawsze, że stworzyła to dla nas przełożona szkoły.

– Myślałyście, iż postanowiła ukarać was życiem w pałacu? – zgryźliwie zapytał Velvelvanel.

– Ty chciałeś się wydostać stąd od razu, kiedy tylko tu trafiłeś – odcięła się Ilyenna. – Myślisz, że życie w samotności jest takie przyjemne? W jednym miejscu? Kiedy zna się na pamięć wszystkie meble i pokoje? Może się zamienimy?

– Punkt dla ciebie, słoneczko – rzekł Arivald, nie zwracając uwagi na minę starego czarodzieja – ale faktycznie musimy sobie wyjaśnić, skąd się wzięło to wszystko. Lo!

Loharni lai Simenei pojawił się jak zwykle niespodziewanie, jakby wyłonił się z powietrza.

– Tak, panie Arivaldzie?

– Mamy problem, Lo, i chcielibyśmy, żebyś nam pomógł go rozwiązać, zgoda?

– Do usług.

– Jak dawno tu jesteś?

– Któż by policzył czas, który spędziłem w tym pałacu? – westchnął Lo. – Jestem tu od bardzo, baaardzo dawna.

– Jak długo przed ich przybyciem pojawiłeś się tutaj? – Arivald podbródkiem wskazał czarodziejki.

Lo chwilę się zastanawiał, a jego twarz złotowłosego cherubinka

przybrała poważny wyraz.

– Bardzo, baaardzo długo – odpowiedział w końcu.

– Nigdzie tak nie zajdziemy – warknął Varrad. – Co nas to w końcu obchodzi, skąd wziął się cały ten pałac? Decydujmy, co robić z dziewczynami, i wracamy. – Przytulił mocno Kylyennę. – Pokażę ci, moja śliczna, świat, o jakim nawet nie marzyłaś.

Velvelvanel mocno stuknął pięścią w stół.

– Dość tego! Następny się znalazł, który nie może myśleć rozsądnie, kiedy baba zaświeci mu cyckami w oczy.

Varrad poderwał się z miejsca, zacisnął pięści, ale Velvelvanel był na to przygotowany. Szybko wypowiedział kilka słów i machnął w powietrzu dłonią. Varrad zakrztusił się, wytrzeszczył oczy i padł z powrotem na krzesło, głośno kaszląc. Arivald uśmiechnął się. Poznał Trzecią Karę Jezynazego. Pierwsza Kara powodowała przymus bekania, Druga Kara objawiała się czkawką, a dopiero Trzecia przybierała poważniejszą formę. Pełna nazwa tego zaklęcia brzmiała: Trzecia Kara dla Żarłoków, Łakomczuchów i Obżartuchów Autorstwa Jezynazego, ale wszyscy mówili po prostu Trzecia Kara. Jezynazy miał sześć lat, kiedy stworzył te zaklęcia, rozsierdzony faktem, że starsze rodzeństwo bezczelnie pożera zarówno swoje, jak i jego posiłki. Miał szczęście, bo dokonania malca zauważył pewien mieszkający niedaleko czarodziej i natychmiast zabrał go do szkoły w Silmanionie. Rzadko zdarzały się tak ogromne samorodne talenty, a Jezynazy stworzył swe zaklęcia, nie mając zielonego pojęcia o teorii magii i czerpaniu z Aury, po prostu intuicyjnie. Po osiemdziesięciu latach został Wielkim Mistrzem i do końca życia nie znosił obżartuchów.

– Bądźmy poważni – powiedział Arivald. – Nie chcemy przecież zmienić tego pięknego pałacu w pole magicznej bitwy – spojrzał w stronę Velvelvanela, który westchnął i zdjął zaklęcie z Varrada.

Mistrz żywiołów spojrzał na starego czarodzieja strasznym wzrokiem, ale nic nie powiedział. Arivald miał nadzieję, że nie będzie chciał się zemścić na Velvelvanelu, chociaż zdążył na tyle poznać mistrza żywiołów, aby wiedzieć, iż jest nieco, hm… żywiołowy.

– Lo, wytłumacz nam – znowu zwrócił się w stronę cherubinka – skąd się wzięło to wszystko – powiódł dłonią wokół.

– Jest – po chwili wahania odparł Lo. – Po prostu jest. Skąd wzięły się gwiazdy albo słońce? Kto zawiesił je na niebieskim firmamencie?

– Słońce jest rozgrzaną gazową kulą i zaręczam ci, że nikt go nie zawieszał – rzekł Velvelvanel – a pałace nie powstają ot tak sobie, nie wyrastają jak grzyby po deszczu czy pomidory na grządkach. Gdyby tak było, wszyscy mieszkalibyśmy w pałacach.

– Tu jest inaczej. – Lo zamyślił się znowu. – Tu spełniają się życzenia. Życzenia o mieszkaniu w pałacu, o dobrym jedzeniu i

pięknych strojach. O pięknych kobietach, którymi można się opiekować.

– Zaraz, zaraz – przerwał mu Arivald – czy to oznacza, że ty stworzyłeś to wszystko?

– Nie! – Lo roześmiał się dźwięcznie. – Ja nie mam takiej mocy. Moje zdolności nigdy nie pozwoliłyby mi na stworzenie czegoś tak… – szukał odpowiedniego słowa – skończonego. Ja tylko pragnąłem mieszkać w spokojnym świecie i nie być w nim nikim ważnym.

– Kim ty jesteś, u licha? – zapytał Galladrin. – Demonem? Jakiś błysk przebiegł po twarzy Lohanniego i zaraz zgasł.

– Może – odparł – może kiedyś i tak było. Dawno, dawno temu. Dawniej niż narodziły się góry w świecie Varrada, dawniej niż wykopano fundamenty pod pierwsze domy w waszej Silmanionie. Ja prawie nic nie pamiętam. Tylko strach, ciągły strach…

– Biedny Lo! – szepnęła Solyenna.

Arivald upił łyk wina. Poczuł, że chętnie zapaliłby fajkę napełnioną tytoniem, tym fantastycznym zielem pochodzącym z Nowego Świata, które tak oczyszczało umysł i uspokajało.

– Dajmy temu spokój – powiedział. – Powinniśmy po prostu wracać do domu. Miałeś rację – zwrócił się do Velvelvanela – nie rozwikłamy problemów tego świata. A ty chodź z nami – rzekł do Varrada. – Chciałbym pokazać ci Silmanionę, potem zabierzesz mnie do swego świata.

– Jeżeli jesteście obarczone klątwą – rzekł Velvelvanel do sióstr – to taka podróż może być dla was niebezpieczna. Czy wasza przełożona nie wspominała nic o tym, abyście nie starały się opuścić tego miejsca?

– Oczywiście, że wspominała – rzekła niecierpliwie Solyenna – ale obiecywała też, że kiedy kara minie, zostaniemy zabrane z powrotem.

– Być może, kara jeszcze nie minęła – zauważył Velvelvanel.

– Albo ta kobieta o nich zapomniała – dorzucił Galladrin. – A może po prostu umarła?

Galladrin podrapał się po brodzie.

– I tak źle, i tak niedobrze – powiedział. – Wszystko to jest bardzo skomplikowane i szczerze mówiąc, na razie nie wiem, jak zakończy się ta historia ani co my możemy zrobić.

– Cały urok tkwi w nieprzewidywalności świata – rzekł sentencjonalnie Arivald.

– Cały urok tkwi w tym, aby wszystko przewidywać – nie zgodził się z nim Velvelvanel.

– Wasze rozważania są cokolwiek bezprzedmiotowe – wtrącił Galladrin. – Zresztą przecież Tandrim Szelestliwy napisał tak o przewidywaniu… – tu Galladrin zapewne zacząłby cytować Tandrima, jak zwykle niedokładnie i naginając twierdzenia do z góry ustalonej

tezy, gdyby mistrz żywiołów nie huknął pięścią w stół.

– Dosyć tego! – warknął. – Skoro wy nie wiecie, co robić, to ja wam powiem. Gdzie należy szukać rzeki? U jej źródeł, głupcy! Gdzie więc należy szukać rozwiązania naszych problemów? Tam gdzie powstały, a więc w świecie naszych dziewcząt!

Czarodzieje patrzyli na Yarrada dość nieprzytomnie.

– Na Boga, to prawda! – krzyknął Galladrin, nie zwracając nawet uwagi na to, że został nazwany głupcem, z czego w innym przypadku nie omieszkałby wyciągnąć konsekwencji.

– Równie genialne, jak proste – skwitował Arivald – ciekawe tylko, jak się tam dostaniemy?

– Dajcie mi jakiś przedmiot, który stamtąd pochodzi – rozkazał Varrad.

– Kazano nam wszystko zostawić – westchnęła Solyenna – ubrania, ozdoby, każdy drobiazg.

– Stara suka pomyślała o wszystkim – powiedział z domieszką podziwu w głosie Galladrin.

Arivald pomyślał, że przełożona szkoły mogłaby się wcale nie ucieszyć z miana starej suki, ale sprytna była niewątpliwie.

– Udało mi się jednak coś przemycić. – Ilyenna sięgnęła do swych bujnych rudych włosów i wyjęła z nich srebrną szpilkę.

Arivald ucałował ją w palce.

– Jakaś ty mądra – powiedział czule. – Pytanie tylko, czy uda nam się coś z tym fantem zrobić.

– Spróbujemy – rzekł Varrad pełen optymizmu – ale nie tutaj. I sami. Panowie, za mną.

Zamknęli się w jednej z komnat, choć Galladrin bardzo oponował przeciwko pozostawianiu czarodziejek, a zwłaszcza jasnowłosej Solyenny. Potem próbował zaproponować, że będzie im dotrzymywać towarzystwa, póki wszystko się nie skończy, ale został szybko przywołany do porządku.

Problem, który stał przed czarodziejami, nie był wcale prosty. Wręcz przeciwnie: wyzwanie było iście diabelskie i cała sprawa nie musiała zakończyć się sukcesem. Teoria mówiła wprawdzie, że każdy przedmiot pozostawia bardzo wyraźny ślad w Aurze, prowadzący do miejsca, w którym powstał, ale czy prawo to obowiązywało również pomiędzy różnymi światami? A jeśli nawet uda im się zlokalizować miejsce pochodzenia szpilki, to czy będą potrafili się tam przenieść? Pójście za śladem tak zwanego ektoplazmatycznego ogona często zawodziło w normalnych warunkach. Miały wpływ na to i zawirowania Aury, i obecność złośliwych mieszkańców pomiędzyświata, którzy często bawili się, mogąc szkodzić lub przeszkadzać czarodziejom. Czy te złe wpływy nie nasilą się, jeśli sprawa będzie się rozgrywać w tak ekstremalnych warunkach?

Zaklęcia lokalizacyjne wymagały ogromnej siły magicznej (zwłaszcza w tak skomplikowanym wypadku), złożonych zaklęć i nieodzownej pomocy różdżki. Wszyscy żałowali, że nie ma z nimi bibliotekarza Baalbosa, który specjalizował się w teorii lokalizacji. Opanował ją do takiego stopnia, że potrafił nie tylko określić (najczęściej trafnie) pochodzenie przedmiotu, ale również poprzez Aurę przekazać obraz miejsca, w którym przedmiot ten powstał. Galladrin poniewczasie żałował, że nie uważał na wykładach Baalbosa, zwłaszcza kiedy uznał, iż tego typu umiejętności nie będą miały szans przydać się w praktyce. Okazało się jednak, że w praktyce przydać się może wszystko. Galladrin w ogóle rzadko kiedy uważał na jakichkolwiek zajęciach i zdumiewające było to, że mimo wszystko był znakomitym czarodziejem. Arivald zawsze zastanawiał się, jak potężnym magiem mógłby być Panienka, gdyby nie wrodzone mu lenistwo, zamiłowanie do przygód i niechęć do ślęczenia nad księgami. Ale historia znała już takie przypadki. Jeden z najpotężniejszych czarodziei w Silmanionie, zmarły dawno temu Albertus, zwany Wychylto (od ulubionego powiedzenia), był powodem trosk oraz debat wielu poważnych magów, dopóki nie stworzył teorii względności magii, która dała początek nowemu pojmowaniu praw rządzących światem. Co prawda niektórzy do tej pory uważali, że cała ta teoria jest jedną wielką bujdą i najlepszym kawałem, który Albertus zrobił swym zarozumiałym kolegom.

Arivald, Varrad, Velvelvanel i Galladrin biedzili się nad tą nieszczęsną szpilką do włosów prawie tydzień, nim zaczęli osiągać jakiekolwiek wyniki. Spod ręki Velvelvanela wychodziły dziesiątki wzorów zaklęć, ale wszystko to cały czas nie spełniało oczekiwań. Arivald był zmęczony, Varrad wściekły, Galladrin myślał o Solyennie, jedynie Velvelvanel obrał sobie za punkt honoru rozwiązać tę cholerną zagadkę. I wreszcie po tygodniu mieli to, co próbowali osiągnąć. Na karcie pergaminu pysznił się długi i pomazany wzór przedstawiający prawdopodobne miejsce powstania szpilki. Teraz pozostawała sprawa równie trudna, a wszystkim bardziej niebezpieczna. Należało zastosować w praktyce ten wzór i posiłkując się zaklęciem, które przeniosło czarodziej z Silmaniony do pałacu, spróbować osiągnąć rodzinny świat wygnanych dziewcząt.

– Znajdziemy się w jakiejś jubilerskiej pracowni i zostaniemy uznani za sprytnych złodziejaszków – powiedział Galladrin.

– Zabawne byłoby, gdyby ta szpilka została zrobiona w drugim końcu świata – zauważył Velvelvanel.

– Widać mamy inne pojęcie o słowie „zabawne” – rzucił zgryźliwie Varrad – ale trzeba taką możliwość również dopuścić. Jak również i to, że zostaniemy uznani za intruzów, najeźdźców czy innego rodzaju osoby niepożądane.

– To prawda. – Arivald zauważył, że Velvelvane wyraźnie się stropił. – Może jednak postępowaliśmy zbyt pochopnie? Rozwiązanie tego problemu było dla mnie prawdziwą przyjemnością, ale zawsze uważałem się tylko za wybitnego teoretyka, praktykę, podróże i eskapady pozostawiając innym.

– Świat, który wygania tak piękne i miłe istoty, nie może być światem przyjaznym – stwierdził Galladrin – ale możemy tam się pojawić i zrobić porządek.

– Nie-in-ge-ren-cja! – prawie krzyknął Velvelvanel, unosząc palec. – Oto co jest naszym zadaniem.

– Idę spać – rzekł nagle Varrad – a wy się zastanówcie, co chcecie robić. Jestem już tak upiornie śpiący, że zaraz dostanę szału. A jak pomyślę, ile pracy czeka mnie jutro, to zaczynam być jeszcze bardziej zły.

– Racja – poparł go Arivald – jutro, z nowymi siłami, zastanowimy się, jak poradzić sobie z całym tym galimatiasem.

Galladrin wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że śliczna Solyenna jeszcze nie śpi.

Jak się okazało, nie spała nie tylko ona, ale również obie jej siostry. Czekały wszystkie na czarodziei, siedząc w komnacie przy słodyczach i winie.

– Arivaldku! – krzyknęła Ilyenna. – Jak ja się za tobą stęskniłam!

– Varrad! – Kylyenna podbiegła i przytuliła się do mistrza żywiołów.

Tylko Solyenna stała z boku, nieco osamotniona, póki nie podszedł do niej Galladrin, będący uosobieniem czaru i galanterii.

Arivald zauważył, że Varrad tłumaczy coś bardzo niezadowolonej Kylyennie, i sam wiedział, że również rozczaruje jej piękną siostrę.

– Za pół godzinki, moja droga – rzekł i zobaczył, jak czarodziejka smutnieje.

– Wcale za mną nie tęsknisz – powiedziała z wyrzutem.

– Tylko godzina – zapewnił Arivald i pośpiesznie uciekł do swej komnaty.

Tam szybko przebrał się w swoje ubranie z Silmaniony i zatknął za pas różdżkę, którą przyniósł z Silmaniony przewidujący Velvelvanel. Potem cicho przeszedł pałacowymi korytarzami pod drzwi pokoju Varrada.

– Ha, spodziewałem się ciebie – rzekł mistrz żywiołów. – Wiedziałem, że tylko ty i ja jesteśmy mężczyznami w tym towarzystwie.

– To, co chciałeś zrobić, jest bardzo niebezpieczne – powiedział Arivald. – Pamiętaj, że nie dysponujesz całą swą mocą.

– A więc tym lepiej, że jesteś – stwierdził Varrad. – Bierzmy się do

roboty.

Aby dostać się do świata, z którego wygnano trzy siostry, musieli dysponować trzema elementami: lokalizacją świata, zaklęciem przenoszącym oraz zaklęciem uaktywniającym przenoszenie. To pierwsze uzyskali dzięki szpilce do włosów, to drugie zostało rozpracowane zarówno przez Arivalda, jak i dwóch pozostałych czarodziei. Problemem mógł być trzeci element, ale i Arivald, i Varrad słusznie przewidywali, że uaktywnienie nie będzie potrzebne w tym świecie. On sam bowiem był katalizatorem tego właśnie procesu magicznego.

– Mam nadzieję, że będziemy w stanie tu wrócić – powiedział Arivald.

– Twoi przyjaciele chyba będą na tyle rozsądni, by w razie czego pomóc nas ściągnąć. Zaczynajmy!

Samo wypowiedzenie zaklęcia zajęło im w sumie prawie godzinę. Najpierw Arivald pomylił się w określaniu lokalizacji, co mogło skończyć się tym, że wylądowaliby zupełnie gdzieś indziej. Potem Varradowi zaschło w gardle, kiedy przyszła pora na właściwe zaklęcie, potem wreszcie kłócili się przez kilka minut o to, kto jest większym nieudacznikiem i kto powinien wrócić do szkoły, by się jeszcze uczyć. Jednak nim minęła godzina, udało im się wypowiedzieć poprawnie zaklęcie, a przynajmniej myśleli, że wypowiedzieli je poprawnie. Arivald poczuł nagłą słabość, wkrótce pojawiło się koszmarne uczucie, jakby ktoś z całej siły ciągnął go za włosy na brodzie i głowie. Dodatkowo wydawało mu się, iż jest to dwóch ktosiów, a każdy ciągnie w odwrotnym kierunku. Czarodziej zacisnął zęby i miał nadzieję, że są to najgorsze efekty, jakich można się spodziewać. Okazało się, że może być jeszcze gorzej. W pewnym momencie poczuł, jakby ktoś wsadził ogromne łapsko do jego brzucha i wiercił nim tam w poszukiwaniu ukrytego skarbu. Na domiar złego Varrad, który przeżywać musiał podobne katusze, zwymiotował prosto na kolana Arivalda. Nagle wszystko się urwało. Niemiłe uczucia przeszły jak ręką odjął i obaj z hukiem wylądowali na podłodze jakiegoś domu. Arivald roztarł obolałą kość ogonową. Wolał nie wypowiadać żadnych zaklęć, póki nie wyczuje tożsamości tutejszej Aury.

– No to jesteśmy. – Varrad potrząsnął głową. Potem spojrzał na spodnie Arivalda.

– Och, wybacz mi – powiedział.

– Zdarza się – czarodziej przez chwilę analizował jeszcze Aurę, po czym doszedł do wniosku, że choć jest trochę inna od tej w Silmanionie, to jednak nie tak bardzo inna, by nie można popróbować jakiś drobnych zaklęć.

Postanowił więc użyć Oczyszczacza Propertusa, modnego czaru, zwłaszcza chętnie stosowanego przez bardzo młodych czarodziei, a to

z uwagi na ciekawe efekty uboczne. Oczyszczacz Propertusa powodował bowiem pojawienie się kilkunastu małych istotek z ogromnie długimi jęzorami, których przysmakiem były wszelkie możliwe brudy, nieczystości i resztki. Propertus, skromny czarodziej, żyjący przez lata daleko poza Silmanioną, był w ogóle człowiekiem obdarzonym niezwykłym poczuciem humoru. Do historii przeszedł nie tylko jego słynny Oczyszczacz, ale również kilka innych czarów, spośród których najbardziej znane było zaklęcie o niezmiernie uczonej nazwie, które jednak wszyscy nazywali Podglądaczem Propertusa. Powodowało ono, że wybrane osoby zyskiwały zdolność widzenia bliźnich, jak ich Bóg stworzył, omijając wszelkie zbędne ubiory i zasłony. Podglądacz był szalenie modnym czarem na wielu koedukacyjnych przyjęciach, mimo że Bractwo zakazało jego używania z uwagi na wartości moralno-etyczne. Ale też przyłapanych na jego stosowaniu nie karano zbyt surowo i kończyło się zwykle na dwóch czy trzech miesiącach oddelegowania do nudnych obowiązków. Większość czarodziei, która skorzystała z dobrodziejstw Podglądacza, twierdziła, iż gra jest warta świeczki.

Tymczasem jednak Arivald wypowiedział Oczyszczacz i jak zwykle znikąd wyłoniły się dziwne istotki, które z dzikim i namiętnym piskiem rzuciły się w stronę czarodzieja, po czym z zapałem godnym lepszej sprawy zabrały się do zlizywania zanieczyszczeń z jego spodni. Varrad patrzył na to wzrokiem pełnym obrzydzenia.

– Zaraz znowu rzygnę – powiedział. Oczyszczacze poradziły sobie bardzo szybko.

– Dziękujemy i polecamy się na przyszłość – pisnął największy z nich, po czym natychmiast rozpłynęły się z powrotem w powietrzu.

Teraz Arivald rozejrzał się spokojnie wokół. Znajdowali się w dużym, pustym pokoju o drewnianych ścianach. Na podłodze poniewierały się jakieś rupiecie. Kawałek zdartego gobelinu, krzesło z ułamanym oparciem i nogą, książka, z której wydarto prawie cały środek. Klepki w podłodze wypaczyły się, a okna były zabite deskami na głucho.

– Nawet jeśli tu kiedyś była pracownia jubilera, właścicielowi chyba nie szło najlepiej – zauważył Arivald.

– Ano – przytaknął Varrad.

Kiedy szykowali się już do wyjścia z tego domu, nagle tuż przed nimi zmaterializowała się twarz starej kobiety.

– Nielegalne przerwanie Zasłony – obwieścił bardzo nieprzyjemny głos w tym samym języku, którego używały piękne czarodziejki z pałacu. – Przestępcy są wezwani do pozostania na miejscu zbrodni i natychmiastowego poddania się patrolowi, który bezzwłocznie przybędzie. Przypominam, że niezastosowanie się do niniejszego rozkazu będzie traktowane jako najwyższa zbrodnia przeciw

majestatowi Jej Magiczności.

– No to wpadliśmy – powiedział Arivald. – Jak myślisz, lepiej zostać?

– Czy ja wiem? – Varrad splunął w kąt. – Tak czy owak poradzimy sobie, ale skoro złamaliśmy już jedno prawo, może lepiej nie łamać następnego.

Siedzieli w ponurym milczeniu, czekając na patrol. Obaj szybko zastanawiali się nad przygotowaniem jakichś zaklęć obronnych, tak by potem można je przyzwać tylko krótką sekwencją. Nie musieli jednak długo czekać na gości, trzech potężnych mężczyzn o posturze gladiatorów. Mężczyzn odzianych w kolczugi i hełmy, a każdy z nich trzymał w dłoni pałę okutą żelazem. Za mężczyznami szła kobieta w bladoróżowym płaszczu, o włosach koloru starego złota, spiętych w kok. Mimo że dawno przekroczyła wiek młodzieńczy, była bardzo piękna.

– Zabijcie ich – rozkazała chłodno.

Ale Varrad nie byłby mistrzem żywiołów, magiem, który żył w niebezpiecznym świecie ogromnych gór i porywistych huraganów, gdyby dał się zabić przez trzech byle osiłków. Nim którykolwiek zdołał postąpić choć krok, z rąk Varrada wyprysnęły smugi dymu i oślepiły trzech wojowników. W tym samym czasie Arivald otoczył się zaklęciem ochronnym i wpadł pomiędzy napastników, dwóch uderzając łokciami. Usłyszał dwa głuche stęknięcia i zobaczył walące się na podłogę ciała. Jednak celem czarodzieja nie byli mężczyźni, lecz kobieta, która teraz, zdumiona i zdezorientowana, wyraźnie szykowała się do rzucenia czaru. Zanim zdołała to uczynić, Arivald trzasnął ją wierzchem dłoni w twarz, rozbijając nos i wargi. Potem wykręcił jej rękę, tak że aż chrupnęły kości. Kobieta zawyła i opadła na kolana. Varrad kopnął w krocze trzeciego z oślepionych wojowników i nachylił się nad kobietą.

– Coś ty za jedna, wredna suko? – zapytał i był naprawdę wściekły.

– Jesteście już martwi. – Arivald ze zdumieniem zauważył, że kobieta była bardziej zdumiona i zła niż przestraszona. – Nigdy stąd nie uciekniecie.

Varrad brutalnie chwycił ją za podbródek i pociągnął do góry. Znowu wrzasnęła.

– Spróbuj jakichś sztuczek, a twój uśmiech będzie najszerszy w tym świecie. – Wyciągnął zza cholewy szeroki i ostry jak brzytwa nóż. – Cieszę się na samą myśl o tym.

Teraz dopiero Arivald wyraźnie poczuł, że kobieta się przestraszyła.

– A teraz spytam grzecznie jeszcze raz – powiedział Varrad. – Kim jesteś, wredna suko?

– Jestem Harrana, służebnica Jej Magiczności. Jestem Protektorem Zasłony, mężczyzno, jeśli wiesz, co to znaczy!

– Nie wiem – odparł szczerze Varrad – ale szybciutko się dowiem, prawda?

– Pilnuję, aby nikt niepowołany nie przerywał Zasłony – powiedziała szybko. – Przecież dobrze o tym wiecie. Jeśli nie zabijecie mnie ani nie oszpecicie, wstawię się za wami do Jej Magiczności, by pozwoliła wam na lekką śmierć.

– Zbytek łaski – mruknął Arivald i puścił jej rękę. Kobieta przez chwilę rozmasowywała ją z zaciśniętymi zębami, lecz zaraz Varrad chwycił ją za włosy i cisnął w kąt pokoju. Usiadł obok, przyciskając ostrze noża do jej brzucha.

– Jeden ruch albo jedno słowo, a trafię prosto w twoje śmierdzące serce, rozumiesz? – zapytał.

Arivald tymczasem zastanawiał się, co zrobić z trzema osiłkami, którzy byli otumanieni dymem mistrza żywiołów i dodatkowo potężnie ogłuszeni ciosami. W końcu po kolei brał ich za karki i wyciągał poza wyłamane drzwi. Kiedy skończył, otrzepał dłonie i wrócił do pokoju.

– Co robimy dalej? – zapytał.

Varrad niedbale kolnął Harranę ostrzem w bok. Syknęła z bólu.

– Dlaczego kazałaś nas zabić? – zapytał, tym razem nie dodając „suko”, co można było nawet uznać za pewnego rodzaju uprzejmość.

– Przerwaliście Zasłonę – odpowiedziała natychmiast. – Każdy wie, jaka grozi za to kara. Nie uczyli was tego w rezerwacie?

– W rezerwacie? – Arivald przykucnął obok nich. – W jakim, do diabła, rezerwacie?

Harrana przyjrzała im się uważnie.

– Nie wiecie, co to jest rezerwat? Kim wy właściwie jesteście?

– Może trzeba było o to spytać, zanim kazałaś nas zabić? – poddał Arivald. – Jesteśmy magami z innych światów. Ja nazywam się Arivald i jestem członkiem Tajemnego Bractwa z Silmaniony, a to Varrad, mistrz żywiołów. Przybyliśmy tutaj w prywatnej sprawie i zamierzamy wrócić do siebie tak szybko, jak to będzie możliwe. I nie chcemy nikomu sprawiać kłopotów.

– Już sprawiliście kłopoty – odparła kobieta po chwili milczenia – tym większe, jeżeli to, co mówicie, jest prawdą. Żaden mężczyzna nie może korzystać z Zasłony, a próby takie są karane śmiercią. Jeżeli istnieją światy, o których mówicie, muszą to być miejsca straszne i zdegenerowane.

– Ten świat jest za to istnym rajem – rzekł zgryźliwie Arivald. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy kazać zabić kogoś za to tylko, że jest mężczyzną lub kobietą.

– Złamaliście prawo i nie wywiniecie się od odpowiedzialności.

Nagle w pokoju znowu zmaterializowała się twarz tej samej starej kobiety.

– Harrana, idiotko, co ty wyprawiasz?

– Jej Magiczność – szepnęła Harrana.

– Puśćcie ją – kobieta zwróciła się do Arivalda i jego towarzysza. – To naprawdę nie jest konieczne.

– Skoro tak mówisz… – Varrad schował nóż i wstał. Podał nawet rękę Harranie, aby jej też pomóc wstać, ale ona tylko prychnęła ze zniecierpliwieniem i sama się podniosła.

– Wszystko widziałam i wszystko słyszałam – powiedziała stara kobieta – a wasza wizyta, choć nie zapowiedziana, jest bardzo interesująca. Harrano, zabierz ich do mnie.

– Ależ Wasza Magiczność…

– Czy wyrażam się jasno, czy od tej pory będę musiała kilkakrotnie powtarzać rozkazy?

– Oczywiście – odparła ponuro Harrana – weźcie mnie za ręce. A więc znowu będziemy mieli coś w rodzaju teleportacyjnych czarów Gaussa, pomyślał Arivald i nie pomylił się.

Harrana wypowiedziała kilka słów, trzymając mocno ich dłonie, po czym Arivald poczuł znajomy zawrót głowy i zrobiło mu się ciemno przed oczami. Kiedy na nowo odzyskał wzrok, stali wraz z czarodziejką i Varradem w niewielkim, skromnie urządzonym gabinecie, gdzie przy drewnianym biurku siedziała stara kobieta.

– Witajcie – powiedziała, nie wstając jednak z miejsca – jestem Jennaya, Pierwsza Protektorka Zasłony, nazywana tutaj Jej Magicznością. Nie mam wiele czasu, więc chcę znać szybką odpowiedź: co was tu sprowadza?

Arivald krótko opowiedział całą historię, starając się nie wpadać w nadmierne dygresje.

– Ach, te trzy małe rozpustnice – syknęła Harrana. – Ostrzegałam, że narobią nam kłopotów.

– Zawsze miałaś im za złe, bo cieszyły się większym powodzeniem niż ty. – Jennaya uśmiechnęła się lekko. – Ile to już lat minęło od nałożenia mojej kary? Hm, faktycznie trochę o nich zapomniałam w nawale obowiązków. Chyba czas sprowadzić je z powrotem, prawda?

– Obawiam się, że kłopoty z nimi wcale nie znikną, wręcz przeciwnie, mogą się nasilić – powiedział Arivald.

– Rzeczywiście tak to wygląda – przyznała Jej Magiczność – ale przecież nie mogę pozwolić, by spędziły całą wieczność na wygnaniu. Nie mogę też pozwolić – spojrzała uważnie na Arivalda i Varrada – by trafiły do waszych światów. Po pierwsze, obarczone moją klątwą mogłyby narobić wiele zamieszania, a po drugie, są moimi poddanymi i ja muszę decydować o ich losie.

– Co to w ogóle za świat, gdzie kobiety są magami? – Varrad

pokręcił głową. – Przecież to nienaturalne i wynaturzone.

– Ty jesteś wynaturzony – prychnęła Harrana, którą bolały jeszcze i ręka, i pokłuty bok.

– Mężczyźni mogliby być magami, gdybyśmy na to pozwalały. Ale wszystkich, którzy mają zdolność korzystania z Zasłony, zamykamy w rezerwatach. Bardzo dobrze pilnowanych rezerwatach. A tych, którzy chcą jednak wykorzystywać swoją moc, karzemy śmiercią.

– To surowa kara – zauważył Arivald.

– Surowa, i owszem. Ale w naszym wypadku zrozumiała. Przed niespełna dwoma tysiącami lat wojna pomiędzy piętnastoma klanami magów omal nie doprowadziła do zagłady naszego świata. Zastosowano jakieś dziwne zaklęcia, po których ludzie umierali jeszcze przez dziesiątki lat, i nie tylko ci, których poddano tym czarom, lecz nawet ich dzieci i wnuki. Jedyną korzyścią z wojny było to, że magowie wybili się nawzajem prawie do nogi. Wtedy mogłyśmy zacząć odbudowywanie naszego świata. I bardzo dbamy o to, by nie zaistniał nawet cień możliwości, że ktokolwiek go znowu spróbuje zniszczyć.

– Prędzej czy później poniesiecie klęskę – powiedział Arivald. – Każdy system represji jest w końcu przyczyną rewolucji. Ale to naprawdę nie nasza sprawa i nie zamierzamy ingerować w to, jak rządzicie swoim światem.

– Słusznie – stwierdziła Jej Magiczność – bo zaręczam wam, że taka ingerencja nie skończyłaby się dla was dobrze. Nie życzę też sobie, podkreślam to bardzo wyraźnie, absolutnie nie życzę sobie, byście kiedykolwiek jeszcze nas odwiedzili.

– Posłuchamy twej uprzejmej prośby. – Arivald skłonił głowę. – Interesuje nas tylko rozwiązanie problemu przyjaciółek, które zdołały sobie zaskarbić naszą sympatię i którym życzymy jak najlepiej.

– Oczywiście – powiedziała Jennaya. – Czas im wracać do domu.

Nachyliła się nad stojącym obok biurka kuferkiem, otworzyła go i wyjęła ze środka maleńką buteleczkę z opalizującym niebiesko płynem.

– Wlejcie to dziewczętom do wina lub wody – powiedziała.

– Co to jest? – zapytał podejrzliwie Varrad.

– Eliksir zapomnienia, tak można to nazwać. Zapomną o wszystkich swoich przygodach, kaprysach, o złamaniu naszych praw, o niesubordynacji. Wrócą, pamiętając jedynie, że są pilnymi uczennicami szkoły dla Protektorek Zasłony. Nie będą również pamiętać tego, co łączyło je z wami.

– Smutne – rzekł po chwili milczenia Arivald – lecz wydaje mi się, że to jednak odpowiednie i mądre rozwiązanie. Ale dlaczego nie podałaś im wcześniej tego eliksiru?

– Aby dać przykład innym – odparła Jennaya. – Ich

kilkudziesięcioletnia nieobecność sprowokuje wśród innych uczennic pytania. Gdzie były? Co robiły? A ja nie zamierzam opowiadać, że nie było to aż tak straszne miejsce.

– I co dalej?

– Potem przywołam je tutaj. Pałac jest jednym z kilkuset miejsc, które łączą bardzo silne więzy z naszym światem, dlatego też nie będzie problemów z ich powrotem i nie musicie stosować swojej magii, aby im pomóc. – Spojrzała jeszcze raz na Arivalda i Varrada. – A teraz cóż, żegnam was, panowie, i dziękuję, że moje poddane zyskały w was tak gorliwych obrońców – ostatnie słowa wypowiedziała bez cienia złośliwości. – Pomogę wam trafić z powrotem do pałacu, bo mogłoby to być trochę kłopotliwe przy użyciu waszych czarów.

– Czy przed odejściem mógłbym się jeszcze czegoś dowiedzieć? – zapytał uprzejmie Arivald.

Jennaya spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

– Proszę – powiedziała.

– Zastanawialiśmy się, skąd wziął się ten pałac, skąd bierze się w nim jedzenie i trunki. No i kim jest Lohanni, który tam żyje?

– Tak wiele pytań – westchnęła Jej Magiczność – ale załóżmy, że należy się wam odpowiedź. Pałac jest jednym z setek miejsc, połączonych magicznie z naszym światem. Nie my go zbudowałyśmy i nie wiemy, jak powstał. Lohanni jest jego gospodarzem, siłą życiową tego miejsca. Kiedy on umrze, pałac po prostu zniknie.

– Kim on jest?

– Był… – Jennaya przez chwilę szukała słowa – demonem. Jedną z tych nieszczęsnych istot, które żyją w wiecznej samotności, gdzieś pomiędzy światami, i marzą o normalnym życiu. Miał szczęście i trafił do tego pałacu, może nawet w jakiś sposób go stworzył, choć on sam temu na pewno zaprzeczy.

– Zaprzeczył – rzekł Arivald. – Chciałbym jeszcze zapytać o zaklęcie przyzywające ludzi, takich jak ja czy Varrad. Ja badałem księgę, on – wskazał podbródkiem mistrza żywiołów – czuł wiatr. Co to jest naprawdę? Dlaczego nas ściągnęło?

– To część mojej klątwy – uśmiechnęła się Jej Magiczność. – Nie byliście pierwszymi goszczącymi w tym pałacu, choć jako pierwsi zechcieliście pomóc moim dziewczętom.

– A inni? Wrócili do siebie?

Harrana roześmiała się i spojrzała na swą przełożoną.

– Jakżeż głupi są mężczyźni! – wykrzyknęła. Jej Magiczność nie uśmiechnęła się nawet.

– Umarli – powiedziała – pewnego dnia po prostu rozpłynęli się w powietrzu. Istnienie w innych światach niż ten, w którym zostało się stworzonym, nie jest bezpieczne. Was pewnie też czekałby taki los.

– Dziękujemy ci, pani, i mam nadzieję, że kiedyś w twoim świecie mężczyźni również będą mogli korzystać z dobrodziejstw magii – rzekł Arivald, który dość już usłyszał.

– Nigdy nie mów nigdy – odparła Jennaya. – Może kiedyś tak się stanie, ale mam nadzieję, że nie za mojego życia.

Potem wstała i zaintonowała coś w rodzaju przejmującej pieśni. Ani Arivald, ani Varrad nie byli w stanie rozpoznać, czy Jej Magiczność nuci jakieś słowa, czy też jest to sama melodia. Robiło im się coraz cieplej, ciała stawały się coraz cięższe, a powieki opadły na oczy. Zanim zdołali się zorientować, już spali.

Arivald przekręcił się na bok i przytulił do Ilyenny. Przylgnął policzkiem do jej ślicznego, brodatego policzka… Brodatego?!! Podskoczył na łóżku jak oparzony.

Obok Arivalda pochrapywał Varrad szczelnie otulony kołdrą.

– Co robisz w moim łóżku?! – krzyknął czarodziej.

– O nie! – rozbudzony mistrz żywiołów uśmiechnął się złośliwie. – Co ty robisz w moim łóżku?

Faktycznie, obaj byli w komnacie Varrada i prawdopodobnie przespali ze sobą całą noc.

– Co za dziwny sposób teleportacji – pokręcił głową Arivald.

– Ale, ale – zatarł dłonie – chodźmy na śniadanie.

– Masz miksturę?

– Mam. – Arivald pomacał się po kieszeni. – Kończmy to jak najszybciej.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że już nigdy nie będziemy z nimi? – zapytał Varrad. – Nie żałujesz tego? Przecież jesteś mężczyzną!

– Takie jest życie – skwitował Arivald. – One należą do tamtego świata, a my byliśmy tylko epizodem na ich drodze.

– Filozofia! – prychnął Varrad. – Wsadź sobie gdzieś taką filozofię. Nigdy już nie przytulę Kylyenny, a ty nigdy jej siostry, wyobrażasz sobie? Wyobrażasz sobie naszą tęsknotę i naszą samotność?

– Dramatyzujesz – rzekł Arivald. – Nie ma się nad czym zastanawiać. Idziemy.

W komnacie, w której zwykle jedli posiłki, siedział już Galladrin w szlafroku niedbale rozchełstanym na piersiach i z zadowoloną miną.

– Dziewczęta są wściekłe – powiedział. – Szukały was przez pół nocy. A mnie Solyenna znalazła – obwieścił z dumnym uśmiechem. – Ale rozumiem, że wy, ludzie starsi, wolicie smacznie spać, a nie, no… – pstryknął palcami – wiecie.

Varrad nieoczekiwanie się roześmiał.

– Tak, tak. Jesteśmy starzy i zmęczeni.

Wziął od Arivalda miksturę, potem ze stołu podniósł butelkę wina, odpięczetował ją i nalał złocisty płyn do trzech kielichów. Każdy

z nich równo obdzielił opalizującą miksturą z buteleczki. Galladrin nawet tego nie zauważył, gdyż zajmował się poprawianiem włosów i wdzięczeniem do lustra.

– Lo! – krzyknął mistrz żywiołów i złotowłosy chłopiec pojawił się błyskawicznie, jak zwykle. – Zanieś to wino, proszę, słodkim gospodyniom. Niech wypiją za nasze zdrowie i na zgodę.

Lo zniknął z tacą w dłoniach, a Varrad uśmiechnął się smutno.

– Coś się kończy, coś się zaczyna. Zachowaliśmy się chyba jak przyzwoici ludzie.

– Z całą pewnością – rzekł Arivald, chociaż też było mu bardzo smutno. – Z całą pewnością, przyjacielu.

W milczeniu czekali na przybycie czarodziejek, lecz pierwszy pojawił się Velvelvanel, jak zwykle marudzący i zgryźliwy. Twierdził, że czas się zabrać do pracy, bo dość już tego leniuchowania i dość wysługiwania się biednym, starym Velvelvanelem, i czas już, by inni też coś wreszcie zrobili.

Po jakiejś półgodzinie do komnaty weszły czarodziejki. Były pięknie ubrane, ale nie w suknie głęboko wydekoltowane, lecz skromnie zapięte pod samą szyją.

– Mamy gości – klasnęła w dłonie Solyenna – jak miło!

– Ach, śliczna moja! – Galladrin ruszył w jej stronę. – Stęskniłem się za tobą. Czy możemy przed śniadankiem udać się na drobną konsumpcję do twojego pokoju?

Solyenna poczerwieniała, co w połączeniu z jej złotymi włosami stanowiło niezapomniany widok.

– Nie wiem, kim jesteś, ale zapominasz się chyba, mój panie. Nie jesteś już tu mile widzianym gościem – oznajmiła lodowatym tonem.

– Nie żartuj sobie, koteczku! – Galladrin uśmiechnął się niepewnie. – Jesteś przecież moim małym kociątkiem, które uwielbia drapanie po futerku. Sama…

Galladrin nie zdążył dokończyć, kiedy otrzymał tak potężny magiczny cios w żołądek, że tylko nabrał głęboko powietrza, nim zataczając się odszedł w kąt pokoju. Oczywiście mag, doświadczony jak Galladrin, poradziłby sobie bez trudu z tak prostym czarem. Ale trzeba było się go spodziewać, a to była ostatnia rzecz, jakiej oczekiwał ze strony pięknej Solyenny.

– Wybacz mu, pani. – Arivald skłonił się głęboko. – Wasza uroda uderzyła mu do głowy niczym mocne, wyborne wino. Zaręczam, że to się już nie powtórzy.

Solyenna, nie do końca przekonana, skinęła głową. Arivald zauważył, że Ilyenna bacznie mu się przygląda, i serce zamarło w nim trochę z niepokoju, a trochę powodowane nadzieją. Czyżby pamiętała? – przemknęło mu przez myśl. Tymczasem Ilyenna zbliżyła się nieśmiało.

– Wybacz mi, ale nie mogę się powstrzymać, kiedy patrzę na ciebie. Przypominasz mi kogoś. Bardzo przypominasz – zacisnęła w piąstki drobne dłonie, a Arivald pomyślał, że zaciskała je w ten sam sposób, tylko w innych sytuacjach.

– Mam nadzieję, że kogoś sympatycznego?

– Och, tak – westchnęła – kogoś, z kim byłam bardzo blisko. Kogoś, kogo chyba – zawahała się – kochałam.

Arivald poczuł, jak rozpływa się pod jej uważnym i czułym spojrzeniem. Wiem! – zdecydował w myśli. Powiem jej wszystko i zabiorę ze sobą. Niech się dzieje, co chce! Do diabła z Jej Magicznością, prawami tego dziwnego świata i klątwami. Czarodzieje z Silmaniony znajdą na pewno sposób, by pomóc jej przeżyć, by nie zniknęła i nie rozpłynęła się pewnego dnia w powietrzu. Przecież nigdy nie było mi z nikim tak dobrze. Dlaczego ludzie muszą rezygnować z przyjaźni lub miłości, dlaczego muszą się unieszczęśliwiać nawzajem lub pozwalać, by unieszczęśliwiał ich świat?

– Ilyenno – zaczął – chciałbym…

– Już wiem! – przerwała mu, śmiejąc się i klaszcząc w dłonie. – Jesteś podobny do mojego ojca! Umarł, kiedy miałam dwa i pół roczku, ale bardzo za nim tęsknię.

Arivald głęboko wciągnął powietrze.

– Do ojca? – spytał głucho.

Przytuliła się do niego. Poczuł na swej piersi dotyk wspaniałego biustu i omal się nie rozpłakał. Objął Ilyennę i poklepał czule po plecach.

– No dobrze, dziecko – rzekł – już dobrze.

Varrad, mistrz żywiołów, przyglądał mu się ze współczuciem.

– Będziesz chyba potrzebował wakacji. Zobaczysz, że tych, które spędzimy w moim świecie, nie zapomnisz nigdy.

Z kąta pokoju podchodził do nich nie do końca jeszcze przytomny Galladrin.

– Co jest? – zapytał żałosnym tonem. – Przecież taka piękna przygoda nie może się w ten sposób skończyć! Solyenno!!!

I wtedy trzy czarodziejki po prostu zniknęły. Jak zdmuchnięty płomień świecy, choć sformułowanie to nie należy do najbardziej oryginalnych metafor. Jeszcze przed chwilą stały obok siebie, na tle złotego kobierca z haftowanymi lwami, a teraz już tylko same lwy patrzyły smutnymi ślepiami zrobionymi z brązowych nici.

– Co, u licha? – dziwił się Velvelvanel. – Gdzie one się podziały?

– A o kim mówisz? – zapytał ponurym głosem Varrad.

– Jak to o kim? – Stary czarodziej spojrzał na niego, jakby rozmawiał z chorym umysłowo. – O tych trzech dziewczętach z innego świata.

– Arivaldzie, widziałeś tu jakieś kobiety? Z innego świata?

– Oczywiście, że nie – wzruszył ramionami czarodziej. – Widzę tu tylko jedną mało przytomną Panienkę – dodał patrząc na Galladrina. – Cóż, chłopcy – rzekł po krótkiej chwili – posiedzieliśmy sobie w tym pięknym pałacu, napiliśmy się wina, poplotkowaliśmy, ale czas już do domu. Varradzie, mogę liczyć na twoją wizytę?

– Ależ oczywiście – powiedział mistrz żywiołów – a ja na twoją, prawda?

Galladrin popatrzył na nich i pokiwał głową.

– A więc to tak. Ta historia nie skończy się dobrze, prawda?

– Oczywiście, że skończy się dobrze, bo tam, gdzie jestem ja, tam musi mieć szczęśliwe zakończenie – powiedział Arivald. – Ty wrócisz do swojej pięknej i zakochanej żony, Velvelvanel znowu zagłębi się w księgach, a kiedy już ja i Varrad zwiedzimy swoje światy, udam się w wielką podróż do Nowego Świata, gdzie wybieram się od lat. Czy to nie jest szczęśliwe zakończenie?

– Tak… – Galladrin spojrzał w stronę haftowanych lwów, jakby myślał, że coś lub ktoś pojawi się między nim a kobiercem.

Arivald i wiedźmy

Pierwszą osobą, którą dostrzegł Arivald, była wiedźma. Właściwie nawet nim ją zobaczył, już przeczuł jej obecność. Zawirowanie Aury było ledwo widoczne, ale jednak istniało. Nieprzyjemne zawirowanie. Drwina z Aury i drwina z magii. Czarodziej nie dał niczego znać po sobie, ale był bardzo niezadowolony. Ktokolwiek wynajął wiedźmę, musiał się liczyć z konsekwencjami. A zaproszenie jej na naradę, w której miał uczestniczyć czarodziej, było czymś więcej niż tylko bardzo poważnym nietaktem. Arivald przyjrzał się wiedźmie uważnie. Zdawał sobie sprawę, że ona doskonale czuje ten taksujący i niechętny wzrok. Mimo że inni mogli sądzić, iż mag powoli, podpierając się laską (jakby było mu to na coś potrzebne!), zmierza w stronę wyznaczonego miejsca przy stole. Wiedźma była młodą i piękną kobietą, a o ile Arivald zdołał się zorientować, ani młodość, ani uroda nie zostały w tym wypadku przywołane zaklęciami. Siedziała po prawicy doży, sztywna, wyniosła i zimna. W bladozielonej sukni z wysokim kołnierzem i wysoko upiętymi włosami koloru starego złota. Mag przez chwilę zastanawiał się, czy książę Riherius i mistrz Eren vard Din wiedzą, że doża Vigarelli ma w swej świcie wiedźmę. Cóż, jeżeli nie wiedzieli, tym gorzej dla doży. Riherius otrzymałby wspaniały prezent – powód, aby zerwać rozmowy i znów rozpocząć głupią i bezsensowną wojnę. A stary Eren vard Din mógłby tylko rozłożyć ręce. Choć pewnie byłyby naciski, aby kazał przygotować stos.

Czarodziej, siadając i witając sąsiadów, myślał intensywnie nad tym, czy dożę stać na postępowanie tak głupie. Lub tak finezyjne. Czy Republika chciałaby też wojny z Zakonem? Bo spalenie na stosie członka delegacji Republiki mogło wywołać wojnę bez najmniejszych przeszkód. Ta, która się toczyła obecnie, rozpoczęła się z dużo bardziej błahego powodu. A mistrz vard Din wiedźmę spalić by musiał. Chyba że jej obecność była uzgodniona. Jeśli nie, to nawet list żelazny nic by nie pomógł. Wiedźmom nie daje się listów żelaznych. A jeżeli takowy mają, uważa się go za wyłudzony.

Arivald rozsiadł się wygodnie w fotelu i skinieniem głowy zezwolił słudze napełnić puchar winem. Zakon słynął ze swych upraw winorośli i piwnic. Również z mistrzów katowskich. Ale o tym mówiło się jakby rzadziej. Gwoli prawdy wypadało jednak przyznać, że słynął także z bezbrzeżnej uczciwości, przechodzącej czasem w fanatyzm i głupotę. Dlatego doża i książę Riherius zgodzili się na mediację Zakonu.

– Co słychać w Silmanionie? – Książę przechylił się przez stół w stronę Arivalda. – Doszły nas słuchy, że Wielki Mistrz zaniemógł.

– Czuje się coraz lepiej. – Arivald podziękował księciu skinieniem głowy. – Do zimy powinien zupełnie wydobrzeć. Ale nie wszyscy mieli takie szczęście.

– Przeklęta zaraza – zaklął doża, który przerwał szeptaną rozmowę z wiedźmą, aby przysłuchać się temu, co mówili. – W lecie nie nadążaliśmy z grzebaniem trupów. Wstrzymaliśmy wiele rejsów, gdyż nie było jak obsadzić załogi.

– Bo wszystkich posłaliście na okręty wojenne – warknął książę.

– A co, mieliśmy czekać, aż spalicie nam następny port? – odgryzł się doża.

– A kto złupił nam flagowy galeon, kto… Arivald chrząknął.

– Czy mógłbym prosić o jabłko? – zapytał uprzejmie. Doża i książę jednocześnie sięgnęli po paterę.

– Dziękuję – rzekł czarodziej i zauważył, że piękna wiedźma przygląda mu się z ukosa.

Mistrz vard Din wzniósł puchar.

– Za pokój – powiedział.

Doża i książę jak na komendę się skrzywili, ale nie wypadało im nie sięgnąć po puchary.

– Za sprawiedliwy pokój – dodał Riherius.

– I za ukaranie najeźdźców – dopowiedział doża.

– O tak, właśnie tak. Za ukaranie najeźdźców! – Książę utopił w doży spojrzenie bladoniebieskich oczu.

Na Vigarellim nie wywarło to jednak wrażenia.

Wszyscy wypili do dna. Tylko wiedźma ledwie umoczyła wargi. Doradca Riheriusa, minister o trudnym do zapamiętania imieniu, którego Arivald poznał dawnymi laty, nalał sobie następną kolejkę, lecz słynął z mocnej głowy. Choć i z tego, że lubił jej moc poddawać próbom.

– Mówią, że wojna jest motorem postępu – zauważył minister o trudnym imieniu, upijając łyk.

Arivald powstrzymał się od komentarza, ale nie mógł nie zauważyć, że jak na rozmowy pokojowe było to dość niestosowne stwierdzenie. Minister też musiał zdać sobie sprawę z popełnionej gafy, bo dopowiedział szybko:

– Ale wiadomo też, że nie ma to jak harmonijna współpraca i pokojowe przenikanie kultur.

Czarodziej zaczął obierać sobie jabłko zdobionym nożykiem. Posługiwanie się sztućcami stawało się właśnie ostatnim krzykiem mody na każdym cywilizowanym dworze. I jak każdy krzyk mody powodowało liczne komplikacje. Na przykład nożyk Arivalda był tak tępy, iż łatwiej byłoby nim owoc miażdżyć, niż obierać ze skórki.

– Jutro turniej – rzekł wielki mistrz tonem ciepłej pogawędki. –

Wierzę, iż walka będzie zacięta. Mamy zaszczyt gościć najprzedniejszych rycerzy świata – ostatnie zdanie wypowiedział nieco głośniej, kierując wzrok ku baronowi Dragostasowi z Velermondu i rycerzowi z Silmaniony Verreckowi.

Dragostas i Verreck wznieśli puchary i przepili do wielkiego mistrza Zakonu. Arivald przyjrzał się uważnie baronowi Velermondu, Verrecka bowiem znał dobrze, jako że rycerz od kilkunastu lat był w służbie silmanionskich magów. Ale i o Dragostasie słyszał co nieco. Ponoć baron kazał zamurować w wieży żonę, a w Velermondzie szubienice rosły gęściej niż lasy. Teraz, kiedy przegnali go lennicy, snuł się po rozmaitych dworach, szukając wsparcia. Ale rycerzem był rzeczywiście przednim, choć nic nie wskazywało, aby ktokolwiek chciał mu pomóc w walce z lennikami. Zwłaszcza że ci wynajęli ostatnio kompanię landfordzkich kuszników pod wodzą samego Gulfa z Landfordu. A niewielu miałoby ochotę posyłać swe wojska przeciw landfordzkim żołnierzom. No, chyba że miało się przewagę jak dziesięć do jednego i nie liczyło ze stratami w ludziach.

– Czy to prawda, że zamurowałeś, panie, w wieży własną żonę? – zapytała wiedźma, uśmiechając się promiennie.

Obecni w sali, którzy usłyszeli jej słowa, zastygli w bezruchu. Twarz Dragostasa pokryła się purpurą.

– Kim jesteś, kobieto? – warknął baron, podnosząc się z krzesła. – Jak śmiesz…

Wiedźma, nadal się uśmiechając, złożyła palce. Arivald poznał, że szykuje się do rzucenia czaru.

– Vendia! – głos doży chlasnął jak bicz. Wiedźma roześmiała się głośno i sięgnęła po kielich.

– Wybacz, baronie – rzekł Vigarelli, krzywiąc usta. – Te kobiety…

Baron namyślał się przez chwilę, aż wreszcie wzruszył ramionami i obrócił się do sąsiada. Arivald miał wrażenie, że coś mu umknęło. Dlaczego wiedźma doży chciała rozzłościć Dragostasa? Dlaczego gotowa była rzucić jeden z wiedźmich czarów, co drogo by ją kosztowało na dworze Zakonu? Do czego zmierzał Vigarelli? Czarodziej zajął się obieraniem jabłka, ale myślał intensywnie. Coś tu się działo, a on nie wiedział co. I fakt ten wyprowadzał go z równowagi. Doża, nadal z pochmurną miną, ogryzał kość kurczaka. Wiedźma siedziała wyprostowana i zimno spoglądała w stronę barona, który musiał czuć na plecach jej wzrok, ale nie dawał niczego znać po sobie i rozmawiał z dwoma rycerzami Zakonu o jakichś bzdurach. Minister o trudnym imieniu nalał sobie następny kielich wina.

– Ostra kobitka – szepnął w ucho Arivaldowi – ale ja lubię takie. Skądżeż Vigarelli ją wytrzasnął?

Czarodziejowi to pytanie dało do myślenia. Czyżby książę Riherius nie wiedział, że towarzyszka doży jest wiedźmą? Jeśli tak, to

szykowała się niezła awantura.

– Spytaj go – odparł na głos.

Minister pokiwał głową.

– Może, może – rzekł.

Do komnaty weszli muzykanci i zaczęli grać starą wesgańską balladę o tym, jak Gorelf Czarnoręki wędrował do piekła po swą ukochaną. Dwóch bardów śpiewało na zmianę partię Gorelfa i Senelli. Goście tylko na moment przerwali rozmowy. Jedynie minister o trudnym imieniu wybijał kością takt na blacie stołu i cicho pomrukiwał w rytm melodii. Doża przez chwilę słuchał uprzejmie, a potem znowu pochylił się w stronę wiedźmy. Szepnął jej coś na ucho, a jego szczupła, blada twarz z orlim nosem rozjaśniła się w uśmiechu.

A jeśli ona jest nie tylko doradcą? – pomyślał nagle Arivald. Czy miałoby to jakieś znaczenie? A jeśli tak, to jakie?

– Może jeszcze wina? – przerwał rozmyślania Arivalda minister o trudnym do zapamiętania imieniu.

Po głosie było już słychać, że sobie wypił. Czarodziej przyzwolił skinieniem głowy i tym razem zwrócił wzrok na Riheriusa. Książę był zupełnie innym typem mężczyzny niż doża Vigarelli. Blondyn o włosach zaplecionych w dwa grube warkocze i rozwichrzonej brodzie. W jego szczerej twarzy uderzały tylko oczy. Bardzo zimne i bardzo niebieskie. Książę musiał sporo się napracować, aby wyglądać na szczerego i przyjaznego, ale oczu zmienić nie zdołał i one najlepiej dawały poznać, kim jest naprawdę. A był człowiekiem, który doszedł do władzy po trupach dwóch starszych braci. Inna rzecz, że gdyby nie został księciem, zostałby trupem. Takie już były obyczaje na dworze Dessvonu.

Arivald, jadąc na zaproszenie księcia, doży i Zakonu, zadawał sobie pytanie: o co naprawdę jest ta wojna? Dessvon i Republika nie miały specjalnych punktów zapalnych. Jasne, że kiedy handluje się na jednym morzu, konflikty będą zawsze. Ale od czyszczenia sytuacji są kaprzy, nie wysyła się z błahego powodu galeonów flagowych. I nie pali się rywalowi portów. Ani Republika, ani Dessvon nie miały też wewnętrznych kłopotów, na które radą mogłaby być wojna. Riherius opozycję wybił lub uwięził, Vigarelli – uwięził lub kupił. Obaj mieli w swych państwach mocną pozycję i na ile Arivald się orientował, nie zanosiło się, by pozycja ta była zagrożona. Tak więc obu wojna była naprawdę niepotrzebna. Niepotrzebna była również sąsiadom Dessvonu i Republiki, którym już zdążyło się przy okazji oberwać (a raczej ich handlowym statkom). Z pewnością niepotrzebna była Zakonowi, który w dużej mierze żył z pątników, a pątnicy nie mieli specjalnej ochoty wyruszać na morze, gdzie roiło się od wściekłych kapitanów obu walczących stron, którzy w dodatku nie mieli oporów przed braniem kogo popadnie na galery. Niepotrzebna była też

Tajemnemu Bractwu z Silmaniony, które Arivald tu reprezentował, ale to z uwagi na fakt, iż Bractwo w ogóle było przeciwne wojnom od czasu przyjęcia Kanonu Dolfasa mówiącego o harmonijnym przenikaniu się kultur. Komu więc zależało na wojnie i dlaczego? I jak ta wojna w ogóle się zaczęła? Republika twierdziła, że zatopiono jej galeon przewożący złoto z Nowego Świata; Dessvon skarżył się, iż flota Republiki zrównała z ziemią rybacką wioskę na północnym krańcu Małej Wyspy. Więc w odwecie spalili Republice port w Ossavick. I tak to poszło. Bitwa morska zakończyła się patem (obie strony straciły okręty flagowe i kilka mniejszych jednostek) i wtedy doszło do rokowań. Ale wiadomo było, że przygotowania do wojny idą dalej pełną parą. Tuż przed nadejściem zaproszenia Zakonu Riherius wysłał desant do zdobycia Turuvain, jednego z ważniejszych portów Republiki, ale musiał się wycofać z powodu burzy. Z kolei doża stracił w czasie sztormu (który, jak widać sprawiedliwie, obdzielił swymi względami obie armie) dużą część floty i naczelnego admirała. Pytanie więc brzmiało: czy naprawdę chcą zgody, czy tylko czasu na wylizanie się z ran?

Bardowie skończyli śpiewać i zbierali teraz zasłużone pochwały. Mistrz Erenvard Din dał znak i na salę weszli zapaśnicy. Potężni, półnadzy, wysmarowani od stóp do głów oliwą. Na dźwięk gongu rozpoczęli pozbawioną finezji walkę, w której obaj stali miejscu i tłukli się pięściami jak młoty. Uwaga gości skupiła się na walce i Arivald z pewnym zażenowaniem dostrzegł, iż to ich interesuje o wiele bardziej niż pieśni bardów.

– Sto dukatów na tego czarnego! – krzyknął rozochocony Rilerius. Uwagi Arivalda nie umknęło, iż wiedźma nie przyglądała się walce, a usłyszawszy księcia skrzywiła się lekko.

– Dwieście na tłuściocha – powiedział doża. Vendia zacisnęła usta.

– Przyjmuję! – jednocześnie zawołali Riherius i Dragostas. Arivald zastanowił się, skąd Dragostas może mieć dwieście dukatów. Od czasu jak stracił swe włości, raczej mu się nie przelewało. I czy to, że postawił przeciw doży, miało jakieś znaczenie? Tymczasem obaj atleci okładali się równomiernie i obaj broczyli już krwią. Jeden miał zmiażdżony nos, drugiemu opuchlizna zakryła lewe oko. Słychać było tylko jęki bólu i wysiłku oraz głuche klaśnięcia trafiających w cel pięści.

– Obrzydliwe – powiedziała głośno wiedźma. Arivald nie mógł nie przyznać jej racji, ale tylko w myślach.

– Prawdziwa męska walka – stwierdził uprzejmie Verreck, który był pod wyraźnym wrażeniem urody wiedźmy.

– Łatwo mówić, siedząc przy stole – odparowała Vendia.

Verreck, nadal z miłym uśmiechem na ustach, wstał z krzesła.

Zbliżył się do walczących i stanął pomiędzy nimi. Zatrzymał pięść czarnego, uchylił się przed ciosem grubasa, po czym chwycił obu za karki i zderzył głowami. Huknęło na całą salę, atleci osunęli się na kolana. Verreck, wciąż z miłym uśmiechem na ustach, usiadł przy stole i otarł serwetą krew z prawej dłoni. Arivald zaśmiał się w myślach. Co znamienitsi rycerze Silmaniony byli szkoleni w specjalnych, magicznych sztukach walki, pozwalających pokonać wroga dysponującego fizyczną przewagą. Arivald wiedział, że nie zderzenie głów pozbawiło przytomności obu zapaśników, ale to, iż Verreck, chwytając ich za karki, zacisnął palce w odpowiednim miejscu. Na obecnych jednak wywarło to silne wrażenie. Choć niekoniecznie się spodobało, że rycerz przeszkodził im w tak miłej zabawie. Cóż, obu zapaśnikom mogło to wyjść tylko na dobre. Przynajmniej dzisiaj żaden już nie zabije drugiego.

– Mój Boże! – wykrzyknął mistrz Zakonu. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem!

Doża i Riherius pokiwali głowami i Arivald ucieszył się, że wreszcie jest sprawa, w której się zgodzili. Wiedźma uśmiechnęła się – wyjątkowo nie złośliwie.

– Wypiję zdrowie tych dzielnych ludzi – powiedziała – aby więcej nie poniżano ich zmuszaniem do walk godnych byków czy kogutów, a nie myślących stworzeń.

Riherius zakrztusił się winem, doża uśmiechnął się z zakłopotaniem. Mistrz Eren vard Din spochmurniał.

– Czyżbyś znowu chciała nas obrazić? – warknął Dragostas.

– Obrazić? Ciebie? – zdumiała się wiedźma i Arivald znowu zwrócił uwagę na jej palce.

Ona naprawdę zaraz rzuci czar, pomyślał ze złością.

– Pani, nikt nie zmusza ich, aby walczyli. Traktują to jak swój zawód. Zakon nie uznaje niewolnictwa, nieprawdaż? – spytał Arivald.

– Uchowaj Boże – odrzekł mistrz. Vendia wzruszyła ramionami.

– To niewolnictwo myśli – powiedziała – spowodowane przewagą szowinistycznej męskiej mentalności bazującej na okrucieństwie i sile fizycznej.

Riherius znowu się zakrztusił. Doża uśmiechnął się ze zmęczeniem i Arivald poznał, że musiał nieraz już słyszeć podobne wypowiedzi.

– Wypijmy za to – ocknął się minister o trudnym imieniu i wzniósł kielich.

Wiadomo było, że uczta jedynie jest wstępem do właściwych rozmów, takim przedkoncertowym preludium. Przecież nikt, na Boga, nie będzie rozmawiać o poważnych sprawach politycznych w obecności barona Dragostasa. Ścisłe grono zainteresowanych, czyli stron konfliktu i mediatorów, spotkało się wieczorem w prywatnych

komnatach mistrza. Doża był, oczywiście, ze swoją wiedźmą, a Riherius z ministrem o trudnym imieniu, który, ku zdumieniu wszystkich, zdążył już zupełnie wytrzeźwieć. Minister przedstawił doży, mistrzowi i Arivaldowi kopie traktatu pokojowego, przygotowanego w kancelarii księcia. Eren vard Din uważnie przejrzał dokument.

– Mamy rozmawiać o traktacie pokojowym czy kapitulacji? – zapytał zgryźliwie.

Doża tylko się roześmiał i rzucił papier na blat stołu. Arivald westchnął. Tak przygotowany traktat był następną prowokacją. Przewidywał kontrybucję, konfiskatę statków wojennych, zburzenie portowych fortyfikacji i obsadzenie portów Republiki garnizonami z Dessvonu. W zasadzie oznaczał pełną, całkowitą i nieodwołalną kapitulację. Doża musiałby ciężko zachorować na umyśle, aby podpisać podobny dokument. A po podpisaniu pewnie nie pożyłby długo i Riherius miałby do czynienia z nowym dożą.

– Mój drogi książę – rzekł Arivald – czego ty właściwie chcesz? Ta propozycja to zniewaga dla nas, mediatorów. Czy myślisz, że jechałem tu dwa tygodnie po to, aby czytać podobne bzdury?

Riherius nachylił się nad stołem.

– Nie potrzebuję mediatorów – stwierdził. – Zgodziłem się na waszą pomoc, ale nie na to, żebyście byli adwokatami Vigarellego. Żądam zadośćuczynienia. Kto wywołał wojnę, niech płaci!

– Wszystko to bajki – powiedział doża gwałtownie. – On chce wojny! Tylko czemu, na Boga?

Minister o trudnym imieniu chrząknął.

– Nie chcemy wojny – odezwał się pojednawczym tonem – chcemy sprawiedliwego pokoju.

– I to jest według ciebie sprawiedliwy pokój? – zapytał Arivald, kręcąc głową. – Jeśli tak, to możemy rozjechać się do domów.

Wiedźma wybrała sobie kiść winogron i z zamyśloną miną zaczęła je skubać. Mistrz Eren vard Din bawił się nakładając i zdejmując pierścień ze środkowego palca. Minister o trudnym imieniu miał nieszczęśliwą minę. Arivald był pewien, że nie od niego wyszedł pomysł treści traktatu. Tylko Riherius siedział nieporuszony.

– Czy moglibyśmy zacząć rozmowy, uznając ten dokument za niebyły? – spytał mistrz Zakonu.

– Tylko przygotowany przez nas traktat może być tematem do dyskusji – odparł Riherius. – Oczywiście jesteśmy skłonni do ustępstw w rozsądnych granicach, ale sama istota sprawy nie może zostać zmieniona.

– Panie Vigarelli?

– No to mamy wojnę! – odparł doża wzruszając ramionami. – Gdyby nie ten piekielny sztorm, bylibyśmy już w Dessvonie. A tak

będziemy za miesiąc lub dwa.

Rzecz jasna nie było to takie proste, jak twierdził Vigarelli. Wojna z księstwem z pewnością trwałaby długo, może całe lata. Choć nie da się ukryć, iż Republika miała przewagę. Przede wszystkim finansową. Która jednak mogła szybko stopnieć, jeżeli definitywnie urwą się zyski z morskiego handlu.

Narada skończyła się niczym. Można się tego było spodziewać, lecz Arivald był pewien, że prędzej czy później wszystko dojdzie do ładu. Dla kogoś, kto targował się z krasnoludami, targi pomiędzy ludźmi nigdy nie mają tej ponurej zawziętości. No, chyba że książę naprawdę, z nieznanych pobudek, chciał wojny. Ale ponieważ pod koniec wieczoru zaczął mięknąć, czarodziej przypuszczał, że za tydzień czy dwa da się wynegocjować całkiem przyzwoity układ.

Arivald z wolna przymierzał się już do snu, kiedy usłyszał ciche pukanie do drzwi. Narzucił na ramiona szlafrok (piękny szlafrok z wielbłądziej wełny) i poszedł zobaczyć, kogo diabli niosą. Na progu stała wiedźma, tym razem w skromnej czarnej sukni, która jednak z jej złotymi włosami tworzyła nieodparcie pociągające zestawienie.

– Czemu zawdzięczam twoją wizytę? – spytał uprzejmie czarodziej, nie dając poznać po sobie zdziwienia. – Czy wypijesz ze mną kieliszek wina?

– Zbytek łaski – zaśmiała się Vendia, ale podziękowała skinieniem głowy i weszła do pokoju. – Nie lubisz mnie, prawda? – spytała, kiedy już usiadła w fotelu i pozwoliła postawić przed sobą kielich.

– Nie lubię tego, co sobą reprezentujesz – rzekł zupełnie szczerze Arivald.

– Bo jestem wiedźmą – stwierdziła zgryźliwym tonem.

– Bo jesteś wiedźmą – powtórzył jak echo Arivald. – Nigdy nie rozumiałem, co pociąga piękne kobiety, takie jak ty, do zajmowania się wiedźmiarstwem.

– Pewnie, lepiej być dziwką. To by ci bardziej odpowiadało, nieprawdaż?

Czarodziej zaśmiał się.

– Byłoby bardziej naturalne – odparł.

– Mężczyźni! – westchnęła Vendia z pogardą. – Ale przyszłam tu nie po to, aby sprzeczać się z tobą na temat magii…

– Nie możesz sprzeczać się ze mną na temat magii, bo jesteś jej zaprzeczeniem – rzekł ostro Arivald. – Jesteś wykoślawionym odbiciem tego, co można osiągnąć dzięki magii. Jesteś jej cieniem.

– Nie zachowujesz się zbyt uprzejmie – powiedziała po chwili Vendia.

– Nie zamierzam – odparł Arivald i usiadł naprzeciw. – Nie podoba mi się twoja obecność tutaj i nie myślę tego ukrywać.

– Przynajmniej szczerze – mruknęła wiedźma i odgarnęła włosy z

czoła. – A jeśli ci powiem, o co jest ta cała głupia wojna?

– To byłoby interesujące.

– Jeżeli byłoby prawdziwe, chciałeś dodać?

– Gdybym chciał coś dodać, tobym dodał.

Vendia sięgnęła za gorset i wyjęła złożoną we czworo kartę. Rozpostarła ją na stole. Była to mapa części morza pomiędzy Republiką a księstwem.

– O to – stuknęła długim paznokciem. Arivald przyjrzał się bliżej.

– Nissavera – przeczytał. – W życiu nie słyszałem o takiej wyspie.

– Nic dziwnego. Jest tam mała osada rybacka, ździebko kóz i owiec, skały i trawy. Nawet statki mogą do niej podpływać tylko w jednym miejscu, bo wyspa otoczona jest rafami.

– Co tam znaleźli? Złoto? Diamenty? Vendia milczała przez chwilę.

– Nic tam nie ma – powiedziała w końcu. – Nic, poza małą osadą w głębi lądu.

Arivald zmrużył oczy i nagle domyślił się wszystkiego.

– Osada wiedźm! Wielki Boże! – Upił łyk wina. – Ale dlaczego wojna? Przecież to bez sensu.

Vendia ukryła na moment twarz w dłoniach.

– Ciężko mi o tym mówić – powiedziała cicho. – To mój dom, rozumiesz?

– Nic nie rozumiem.

– Vigarelli nas toleruje. Wie o nas. Od dawna. Nikomu nie wyrządzamy krzywdy. Uczymy się, jak korzystać z mocy ziemi, powietrza i wody. Jesteśmy tam razem. Przez nikogo nie ścigane i nie prześladowane. Wreszcie nie musimy się kryć, nie boimy się tortur i stosów…

– Daruj sobie – rzekł oschle Arivald. – Doża nie tylko was toleruje, prawda?

– Pomagamy mu – wzruszyła ramionami. – Przysługa za przysługę. Jestem jednym z jego doradców.

– I zabrał cię tutaj. Czy książę wie, kim jesteś? Na Boga, czy mistrz Zakonu wie, kim jesteś?

– Żartujesz? Jestem tu na własną odpowiedzialność. Vigarelli powiedział, że jeżeli mnie rozpoznają, umyje ręce. Wiedzieliśmy, że będzie tu czarodziej z Silmaniony. Wiedzieliśmy, że pozna, kim jestem. Ale zdecydowałam się jechać, kiedy dowiedziałam się, że ty nim będziesz. Słyszałam o tobie i wiem, iż nie należysz do ludzi, którzy wejdą na salę i krzykną: Na Boga, przecież tu jest wiedźma!

– I się nie myliłaś. – Arivald spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem, nadal jednak nie rozumiejąc, co ma wspólnego wyspa z wojną. – Ale to i tak było bardzo ryzykowne. Niektórzy bracia z Zakonu potrafią rozpoznawać wiedźmy. Choćby któryś z

inkwizytorów…

– Inkwizytorów nie spotyka się na oficjalnych przyjęciach. – Vendia wzruszyła ramionami. – Poza tym musieliśmy zaryzykować. Potrzebujemy twojej pomocy.

– Bardzo zabawne. – Arivald upił łyk wina.

– Ależ naprawdę. – Vendia opuściła głowę. – Vigarelli sprzeda nas prędzej czy później. Nie będzie ryzykował dalszej wojny dla jednej małej wyspy i garstki wiedźm.

– Bardzo słusznie – zauważył Arivald. – Jeżeli pragniesz skaptować mnie, to wybrałaś niewłaściwego człowieka.

Vendia spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem.

– Chcemy tylko przeżyć. Czy to dziwne? Nikomu nie robimy nic złego.

– Vigarelli to sprytny człowiek – rzekł Arivald po chwili. – Pojmuje znaczenie magii dla rządzenia państwem. Po przypadkach Dagolara… słyszałaś o Dagolarze?

Vendia skinęła głową.

– Po przypadkach Dagolara żaden mag nie zdecyduje się na służenie swemu władcy wbrew Bractwu. Vigarelli postanowił więc was wykorzystać. Czyżby Riherius doszedł do podobnych wniosków?

– Nie wiem, co wie Riherius. To wszystko robota Dragostasa. Po traktacie pokojowym przypadnie mu kilka wysp i część otaczającego ich wybrzeża jako lenno Księstwa.

– Bardzo interesujące. – Arivaldowi nie spodobało się, iż baron Dragostas maczał palce w całej tej intrydze, była to bowiem postać ze wszech miar godna pogardy. Nie należało go jednak lekceważyć. – Nadal jednak ciężko mi uwierzyć, by książę wzniecił wojnę, aby podarować Dragostasowi waszą wyspę.

– Otrzyma w zamian prawa do baronii Dragostasa. Arivald aż przechylił się w fotelu.

– To niemożliwe – powiedział ze zdumieniem. – Riherius musiałby walczyć z lennikami Dragostasa. Przecież oni ogłosili niezależność. Wynajęli landfordzkich kuszników!

– Jak długo będzie ich stać na to, by płacić Gulfowi z Landsfordu? – spytała wiedźma. – Wystarczy tylko, że zabraknie najemników, a Riherius zdobędzie baronię w kilka dni. Z błogosławieństwem Dragostasa. Przecież baron jest nadal oficjalnym suwerenem. Jego podpis pod traktatem z Riheriusem uznają wszyscy.

Arivald zamyślił się głęboko. Zakładał, że wiedźma mówi prawdę, choć było to założenie bardzo odważne. Ale pozostawało nadal pytanie, czy nawet baronia Dragostasa była warta wojny. Czemu nie? Przechodziły tamtędy ważne szlaki handlowe, co równało się zyskom z ceł, myta, prawa składu, targów i tak dalej. Poza tym na północ od baronii krasnoludy prowadziły ożywione prace nad reaktywowaniem

dawno zamkniętych kopalń srebra i soli. Jeżeli wydobycie okazałoby się opłacalne, jedyna droga dla karawan będzie prowadziła przez baronię. To oznaczałoby ogromne zyski.

– Dlaczego Dragostas chce władzy nad waszą wyspą? – zapytał Arivald.

– Wie o nas i chce wykorzystać naszą moc do swoich celów. Jeżeli zdobędzie władzę nad wyspą, będziemy musiały być mu posłuszne.

– Czemu nie przeniesiecie się gdzie indziej?

– Czemu czarodzieje nie opuszczą Silmaniony? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Vendia.

Arivald żachnął się na takie porównanie.

– Powiem ci szczerze – rzekł po chwili. – Nie obchodzi mnie wasz los, choć jestem przeciwnikiem prześladowań, procesów, takich jakie prowadzą inkwizytorzy, i stosów. Ale najbardziej niepokoi mnie fakt, iż możecie stać się niebezpiecznym narzędziem w rękach człowieka pokroju Dragostasa. Chciałbym jednak wiedzieć, czy wyobrażasz sobie jakieś wyjście z sytuacji.

– Niebezpiecznym narzędziem – powtórzyła słowa Arivalda. – Kto wie… – urwała nagle. – Nie wiem, czy wolno mi zaufać ci do końca. Nie wiem, czy to, co mogę… – pokręciła głową. – Odwiedź nas, dobrze? Zobacz, jak żyjemy. Może wtedy będziesz miał ochotę nam pomóc. Może wtedy będę mogła… – znowu urwała w pół zdania. – Może wtedy uwierzysz.

Arivald roześmiał się.

– Mam zostawić rozmowy pokojowe, gdzie jestem mediatorem, by zajmować się sprawami wiedźm? Nie za dużo ode mnie wymagasz?

– Pomóż nam. – Vendia zacisnęła szczupłe dłonie w pięści. – Być może, będzie to miało dla ciebie większe znaczenie, niż myślisz.

– Posłuchaj, wiedźmo… – Ta rozmowa zaczęła Arivalda nie tylko nużyć, ale i denerwować. – Najlepiej dla was i dla wszystkich byłoby, gdyby tę część morza nawiedziło małe trzęsienie ziemi i cała wasza wyspa znalazła się na wieki pod wodą. Jak możesz spodziewać się pomocy od członka Tajemnego Bractwa? Powinnaś cieszyć się, iż nie zawiadomiłem jeszcze Zakonu i nie wezwałem inkwizytorów. Zresztą robię to tylko dla Vigarellego. To, że tolerował twoją obecność, skompromitowałoby go na zawsze. Nawet gdyby tłumaczył się, iż o niczym nie wiedział. Nie próbuj nawet! – Arivald zorientował się, że Vendia zamierza rzucić czar. – Nawet nie próbuj swoich wiedźmich sztuczek! Czy nikt nie uczył cię, głupia kobieto, że żaden mag nie podda się wiedźmim czarom? Czy chcesz, abym pokazał ci, co oznacza prawdziwy ból?

Vendia na chwilę zastygła w bezruchu, a potem się rozpłakała. Ukryła twarz w dłoniach.

– Wybacz mi – wyszlochała. – Jesteś naszą ostatnią nadzieją.

Błagam, przyjedź do nas. Zobaczysz, że jesteśmy tylko nieszkodliwą garstką kobiet próbującą poznać siły tkwiące w Naturze.

Jak na zdanie wypowiadane w czasie płaczu było ono zbyt dobrze skonstruowane i za dobrze przemyślane. Arivald nigdy nie dałby się złapać na lep wiedźmich szlochów. Nawet jeżeli wiedźma była tak piękną kobietą. Inna sprawa, że Velvelvanel, Borrondrin czy Lineal, nie mówiąc już o Wielkim Mistrzu, nawet nie zamieniliby jednego słowa z Vendią. Natychmiast, kiedy by ją zobaczyli, oddaliby pod czułą opiekę inkwizytorów. Może Galladrin postąpiłby inaczej. Ale tylko dlatego, iż był bardzo młody i uroki płci pięknej robiły na nim spore wrażenie. Arivald natomiast nauczył się, że nigdy, no… prawie nigdy nie należy postępować pochopnie. W końcu wiedźma nigdzie nie ucieknie. Zawsze będzie czas, aby oddać ją inkwizytorom, starając się jednocześnie w jak najmniejszym stopniu skompromitować dożę Vigarellego.

Arivalda obudziły krzyki na korytarzu, tupot nóg i nawoływanie się służby. Na początku sądził, że w zamku wybuchł pożar, ale zaraz potem zmienił zdanie. Jego wyczulone zmysły nie poczuły ani swądu dymu, ani ciepła ognia. Cóż to więc za harmider? Czarodziej wyszedł na korytarz i chwycił przebiegającego obok służącego za ramię.

– Co się dzieje?

Ten spojrzał na niego głupkowato i Arivald domyślił się, że służący biegnie po prostu tam gdzie wszyscy, nie wiedząc po co i do kogo.

– A niech cię! – warknął Arivald i wtedy spostrzegł znikającego w sąsiednim korytarzu ministra o trudnym do zapamiętania imieniu.

Pobiegł za nim, wściekając się sam na siebie, iż nie może go po prostu zawołać. Minister szedł szybkim krokiem, ale czarodziej dopadł go w rozwidleniu korytarzy.

– Co się, na Boga, dzieje? – wydyszał.

– Och, dostojny Arivald! – Minister wyglądał nie tylko na niewyspanego, ale i skacowanego. Miał przekrwione oczy i oddech łączący odór nie przetrawionego alkoholu z naturalnym smrodem gnijących między zębami resztek jedzenia. – Doża szaleje – wyjaśnił. – Ktoś załatwił jego ślicznotkę.

– Vendię!?

– A pies ją wie, chyba jej było Vendia – minister przerwał i wpatrzył się w czarodzieja otumanionym wzrokiem. – Riherius mnie wzywa. Bogowie, jak mnie boli łeb!

Arivald położył mu dłonie na głowie i wypowiedział Porannik Stephenusa, krótkie zaklęcie uśmierzające ból, wymyślone przez czarodzieja znanego z zamiłowania do długich alkoholowych biesiad, najbardziej ukochanego przyjaciela słynnego Albertusa Wychylto.

Zaklęcie było nieszkodliwe i działało niezbyt długo (należało się po zakończeniu jego działania parę godzin przespać), ale przynajmniej na pewien czas odświeżało umysł oraz powodowało przypływ energii.

– O, dziękuję – rzekł z głęboką wdzięcznością w głosie minister. – Nie miałbyś ochoty przenieść się na nasz dwór?

– Nie – zaśmiał się czarodziej, choć wcale nie było mu do śmiechu. – Gdzie to się stało?

– W jej sypialni, ale nie pytaj o nic więcej, bo nic nie wiem. Myślę jednak, że im szybciej tam dotrzesz, tym lepiej. Atmosfera jest… – minister zawahał się, jakby szukając odpowiedniego słowa – dość gęsta.

– Idę – rzekł Arivald i nie mówiąc już nic więcej, skierował się do tej części zamku, którą zajmował Vigarelli wraz ze swą świtą.

W komnacie Vendii było pełno ludzi. Trzej medycy stali nad łożem, w którym leżała martwa kobieta. Doża siedział przy stoliku koło okna, a jego twarz przypominała krajobraz przed trzęsieniem ziemi. Nad nim pochylał się mistrz Eren vard Din i perorował coś zaciekle, ale ledwo słyszalnym szeptem. Vigarelli zdawał się w ogóle go nie słuchać. W komnacie był jeszcze adiutant Vigarellego, kilka nieznanych Arivaldowi osób ze świty doży, mnich w białym habicie oraz dwaj żołnierze z halabardami w dłoniach, którzy najwyraźniej nie wiedzieli, co ze sobą zrobić.

Czarodziej podszedł do łóżka i spojrzał w bladą, piękną twarz wiedźmy.

– Jak umarła? – spytał.

– Uduszono ją – odparł najstarszy z medyków, ustępując miejsca, by czarodziej mógł zbliżyć się do zwłok.

– Nie jestem pewien – rzekł drugi medyk.

– Dlaczego?

– Mój szanowny kolega zawsze ma zdanie odmienne niż ja – wyjaśnił z przekąsem starszy.

– Drogi kolego…

Arivald przerwał im podniesieniem ręki i zwrócił się w stronę trzeciego medyka.

– A co pan o tym sądzi?

– Chusta została założona na szyję ofiary już po śmierci. Na szyi bowiem nie ma charakterystycznych śladów ucisku. W momencie zaciskania pętli ta kobieta już nie żyła – wyjaśnił trzeci lekarz – ale będę pewny dopiero po zrobieniu sekcji.

Arivald pokiwał głową. Sekcja zwłok była nadal uważana za przestępstwo w wielu krajach, lecz zarówno Zakon, jak i Silmaniona słynęły z liberalnego podejścia do tych kwestii.

– Nie sądzę, aby to pan, drogi kolego, miał zająć się tak poważną sprawą – rzekł wyniośle najstarszy.

Czarodziej odszedł od łoża Vendii. Zbliżył się do doży i mistrza Zakonu.

– Pozwolisz, dożo, że złożę moje wyrazy współczucia – rzekł Arivald.

Vigarelli spojrzał na niego.

– Nie jestem pewien, czy szczere – warknął.

– Ależ… – Eren vard Din był zdumiony słowami Vigarellego. No, ale on nie wiedział, iż Vendia była wiedźmą.

– Czy będzie nietaktem poproszenie cię, panie, abyś pozostawił mnie samego z dostojnym Arivaldem? – zapytał doża.

– Proszę bardzo – odparł Eren vard Din, lecz z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, iż czuje się urażony.

Vigarelli odczekał, aż zostaną sami.

– Chcę wiedzieć jedno – powiedział. – Czy to ty ją zabiłeś, mistrzu Arivaldzie?

– Nie – odparł krótko czarodziej – i proszę mi wierzyć, że znalezienie sprawcy bardzo by pomogło nam wszystkim.

– Muszę ci wierzyć – rzekł doża po chwili – choć nie mogę się powstrzymać od myśli, że Vendia wyprowadziła cię z równowagi. Może nawet zaatakowała, a ty po prostu broniłeś się czarem…

– Ona nie została zabita czarami – przerwał mu Arivald. – Dobrze bym wiedział, gdyby tak się stało. Każde zaklęcie pozostawia przez jakiś czas niewidoczną nić, którą nazywamy ektoplazmatycznym ogonem. Jeśli użyto by czarów, sam trafiłbym do sprawcy.

– Chyba że ty byś nim był, panie Arivaldzie.

– Pozostaje kwestia, czy chcesz mi ufać, czy nie, dostojny dożo – powiedział zimnym tonem Arivald.

– Nie pozostaje mi nic innego do wyboru – westchnął Vigarelli. – Ta kobieta była moim najlepszym doradcą.

– I nie tylko – dorzucił Arivald.

– I nie tylko – jak echo powtórzył Vigarelli. – Była złośliwa, wymagająca, samolubna i zawsze przekonana o własnej racji. Ale kochałem ją – westchnął raz jeszcze. – W moim wieku i przy mojej pozycji nieczęsto się to zdarza.

Częściej niżbyś sądził, pomyślał Arivald, ale oczywiście nie wypowiedział swej opinii głośno.

– Czy podejrzewasz kogoś?

– Wszystkich – odparł szczerze doża. – Może poza Riheriusem – dodał po namyśle.

Arivald się z nim zgodził. Książę oczywiście nie miałby żadnych oporów przed wydaniem rozkazu zamordowania kobiety, ale gdyby rzecz się wydała, doża nigdy by mu tego nie darował. Nie byłoby mowy o żadnym pokoju. Przynajmniej dopóki nie opadłyby emocje. Ze słów Vendii wynikało, iż książę chce pokoju. Na swoich

warunkach, ale chce. Do tej pory książę był tylko politycznym wrogiem doży. Gdyby się okazało, że jest wmieszany w śmierć jego doradczyni i kochanki, polityczna wrogość zamieniłaby się w osobistą nienawiść. Komu w takim razie mogło zależeć na śmierci wiedźmy? Gdyby Eren vard Din zorientował się, kim jest Vendia, wytoczyłby jej spektakularny proces, nie dbając o to, iż zrobi sobie wroga z Vigarellego. Ale nie kazałby jej potajemnie mordować. Może w takim razie winien był baron Dragostas? Vendia nie tylko przeszkadzała mu w politycznych planach, lecz i upokorzyła przed całym dworem. Ale czy baron był aż tak głupi? Arivald znał prosty czar pomagający sprawdzić, czy wybrana osoba mówi prawdę. Była to słynna i często stosowana Prawdomowa Kelfusa. Ale… no właśnie, było pewne ale. Prawdomowa to czar niezwykle podatny na wszelkie drgnięcia Aury, które potrafiły wypaczyć cały sens przeprowadzanego śledztwa. Nikt by nie użył tego zaklęcia w Silmanionie, gdzie wszystko przepajała magia. Siedziba Zakonu była miejscem dużo słabiej nasyconym magicznie. Ale na tyle dużo, by zaklęcie Kelfusa nie było już wiarygodne.

– A ty? – spytał doża.

– Chcę poznać wyniki sekcji. Może po nich będę mądrzejszy. Co z układami?

– Powoli, mam nadzieję, będziemy zmierzać do jakiegoś konsensusu. Nie musimy się śpieszyć. I tak przez dwa, trzy miesiące nie ma mowy o wojnie. I Riherius, i ja będziemy mieli dość kłopotów z wystawieniem nowych wojsk. Sytuacja zmusza nas do pokoju. Na razie.

– Chciałbym… – Arivald przez chwilę myślał, co powiedzieć.

– Tak?

– Czy wiesz, że Vendia odwiedziła mnie wczorajszego wieczoru?

– Wiem. Należały ci się wyjaśnienia.

– Czy wiesz, o co mnie prosiła?

– Nie.

– Abym odwiedził jej wyspę. Czy to jest możliwe? Doża zastanawiał się chwilę.

– Sądzę, że tak – odparł ostrożnie – skoro Vendia tego chciała. Możesz popłynąć do stolicy. Zostawię ci pisma polecające i z przyjemnością ofiaruję statek oraz załogę. A także – zawahał się na moment – kilku ludzi straży.

– Aby strzegli mnie, czy strzegli kogoś przede mną? – Arivald chciał wyjaśnić sytuację.

– Aby pokazać, że znajdujesz się tam z mojej woli i za moją zgodą – odparł Vigarelli. – To ułatwi ci życie. Powinieneś wrócić za jakieś trzy tygodnie. Tu na pewno nic do tego czasu się nie zmieni.

– Dobrze. A co z… – czarodziej obrócił się w stronę łoża.

– Niech zostanie tutaj – w głosie doży był tylko smutek. – Wielki mistrz Zakonu obiecał, że zatroszczy się o godny pogrzeb.

Arivald zastanawiał się, czy robi słusznie, udając się na wyspę Vendii. Nie, nie obawiał się wiedźm. One nie były groźne dla nikogo szkolonego w sztuce prawdziwej magii. Ale może lepiej było pozostać w siedzibie Zakonu i na miejscu zorientować się, kto zabił Vendię. Lecz z drugiej strony rozwiązanie mogło też czekać właśnie na wysepce zamieszkanej przez wiedźmy. Vendia wyraźnie trzymała w ukryciu jeszcze jakąś tajemnicę. Bała się o czymś powiedzieć. Poza tym Arivald przyznawał sam przed sobą, że cały problem nad wyraz go interesuje. Wiedźmy bowiem nie były istotami towarzyskimi i raczej trzymały się z dala jedna od drugiej, ustalając, tak jak zwierzęta, strefy swych wpływów. A tutaj, proszę bardzo, cała grupa żyła sobie spokojnie i jak widać na tyle bezkonfliktowo, by wytrzymać ze sobą nawzajem.

Arivald nie był biegły w znajomości obyczajów wiedźm. W zasadzie wiedział tyle co wszyscy, którzy pobieżnie zainteresowali się tematem. Powszechnym błędem było mylenie wiedźm z wiedźmiarzami. Mimo podobnej nazwy różnili się oni między sobą jak, nie przymierzając, kapa od kapara. Wiedźmiarze byli potężnymi czarownikami, godnymi przeciwnikami magów (przynajmniej tych mniej doświadczonych), natomiast wiedźmy zajmowały się wykorzystywaniem pewnego rodzaju naturalnej magii, która otacza świat. Nie potrafiły tworzyć ani doskonalić zaklęć, nie umiały ich kompilować. Były istotami nietwórczymi, czerpiącymi jedynie wyrywkowo i nieskładnie z magicznych zasobów. Poza tym nie potrafiły korzystać z Aury. Nie znaczy to, że nie było pośród nich kobiet biegłych w sztuce i niebezpiecznych. Taka Vendia z pewnością potrafiła wiele i choć bezbronna wobec doświadczonego czarodzieja, mogła z łatwością powodować ludźmi podatnymi na wpływy, rzucać uroki czy zauroczenia. Przyjęło się twierdzić, iż wiedźmy to kobiety złe, i była to prawda. Nie szkolone, jak magowie, pozbawione zasad etycznych i moralnych, kierowały się jedynie pierwotnym instynktem. Prędzej czy później, zafascynowane własną mocą, zbaczały na złą drogę i stawały się naturalnym obiektem prześladowań.

Vendia mówiła o paleniu na stosach, polowaniu na wiedźmy i torturach. Wszystko to była prawda. Doniesienie o uprawianie wiedźmich praktyk szybko wiodło oskarżoną na stos. W tej sprawie ogromna większość władców, szlachty, mieszczaństwa i chłopstwa była nad wyraz zgodna. Jak widać jednak nie wszyscy, bo Vigarelli tolerował wiedźmy, a nawet im pomagał. Arivald słyszał o całych osadach czy miasteczkach, które potajemnie korzystały z usług tych kobiet, w zamian chroniąc je przed niebezpieczeństwami świata. Nie należało również do rzadkości posługiwanie się wiedźmami w sporach

pomiędzy szlachtą czy wielmożami, z których niejeden był zachwycony, mogąc rzucić przykry urok na wroga, czasem nawet powodujący śmierć.

Bractwo z Silmaniony niegdyś bardzo usilnie zwalczało wiedźmy, ale od dawna już zapał ten znacznie ostygł. Może i dlatego, iż populacja wiedźm znacznie się zmniejszyła i w tej chwili nie tak łatwo było spotkać prawdziwą przedstawicielkę tej profesji. Teraz na stosach najczęściej płonęły zdziwaczałe, a czasem pomylone kobiety, które poprzez nietypowy sposób zachowania miały nieszczęście narazić się sąsiadom. Dlatego czarodzieje z Silmaniony zalecali ostrożność w poszukiwaniu wiedźm i karaniu ich, ale zalecenia te miały niezbyt duży oddźwięk, zwłaszcza na co dzikszych i mniej cywilizowanych terenach, gdzie nie było prawdziwych sądów, a wyroki prawem kaduka wydawali (oraz wykonywali) sami mieszkańcy.

Czarodziej współczuł Vendii, bo nie sprawiała wrażenie kobiety z gruntu złej. Wiedział jednak, iż może zostać zmuszony do podjęcia bardzo zdecydowanych kroków. Jeżeli osada wiedźm okaże się niebezpieczna, istniało wiele sposobów na zaradzenie sytuacji. Na przykład powiadomienie Eren vard Dina i jego braci zakonnych, którzy z prawdziwym zapałem wzięliby udział w eksterminacji wiedźm, niezależnie od tego, co myślałby Vigarelli o takim potraktowaniu jego poddanych. Ale to była ostateczność. Arivald nie miał ochoty być, nawet pośrednim, sprawcą rzezi. Może uda się znaleźć rozwiązanie, które zadowoli wszystkich.

Wyspa okazała się nadspodziewanie spora. Przypominała kształtem węża, który rozdziawioną paszczą próbuje sięgnąć do własnego cienkiego ogona. Statki mogły przybijać tylko od strony zatoki, gdyż zewnętrzne wybrzeża były pełne postrzępionych stromych skał i absolutnie niedostępne. Na ogonie węża i jego paszczy przycupnęły dwie wieże strażnicze, a ponieważ wejście do zatoki nie miało więcej niż trzydzieści pięć metrów, sprawowały pełną kontrolę nad tym, kto do portu ma wpływać i kto ma z niego wypływać. Sam port był osadą składającą się z kilkunastu zabudowań. W największym budynku znajdowały się koszary miejscowego garnizonu liczącego dwudziestu ludzi, poza tym stały jeszcze: dość przyzwoicie wyglądająca gospoda o podmurówce z czerwonego kamienia, warsztaty, spichlerze i magazyny oraz domy zajmowane przez miejscowych rybaków, rolników, pasterzy niewielkich stadek kóz i kilka rodzin żołnierzy. Cała populacja portu mogła składać się najwyżej z siedemdziesięciu osób, w tym licząc pięć kobiet, których zadaniem było sprawić, by stacjonujący na wyspie samotni żołnierze Republiki nie oszaleli z nudów (a za to mieli u kogo tracić żołd).

Arivald dowiedział się już przedtem, iż osada wiedźm jest w głębi wyspy i miejscowi trzymają się od niej z daleka. Wiedźmy

przychodziły do portu tylko po to, by uzupełnić zapasy, zresztą rzadko, bo same hodowały kozy i owce, miały też sad i poletka jęczmienia. Komendantem garnizonu był kapitan armii Republiki, szlachcic Sigferdi, bardzo niezadowolony z nałożonego nań zadania, ale jednocześnie doskonale zdający sobie sprawę, iż pełni funkcję, która może mu zyskać zaufanie doży Vigarellego. Sigferdi był chudy, niski, ubierał się mimo upału z nienaganną elegancją. Na Arivaldzie od razu wywarł dobre wrażenie, zwłaszcza iż przywitał go nad wyraz radośnie. Gość z kontynentu, będący jednocześnie silmaniońskim magiem (a więc człowiekiem bywałym), dawał gwarancję, iż przynajmniej jeden wieczór kapitan będzie mógł spędzić w innym towarzystwie niż żołnierze, prostytutki czy pasterze kóz. Na wyspie co prawda nie uprawiano winorośli, ale Sigferdi był właścicielem całkiem dobrze zaopatrzonej piwniczki i nie miał nic przeciwko temu, by wraz z Arivaldem dokonać w niej sporych spustoszeń.

– Czy je widuję? – kapitan powtórzył pytanie Arivalda. – Czasem. Rzadko. A im rzadziej, tym lepiej dla wszystkich. Kiedyś, dawno temu, jeszcze tu nie byłem komendantem, podobno kilku żołnierzy popiło się i uznało, iż chętnie zabawiłoby się z wiedźmami…

– I…?

– Żaden nie wrócił, a gdy sprawa dotarła do stolicy, komendanta natychmiast odwołano.

– Co się z nim stało?

– Nie wiem – kapitan wzruszył ramionami. – Pewnie szoruje gdzieś bruki w straży miejskiej.

– Zabiły tych żołnierzy?

– Pewnie tak. – Sigferdi wypchnął policzek językiem. – Ząb mi się, cholera, rusza. Co za przeklęte miejsce!

– Nie był pan tam nigdy?

– Nie – komendant pokręcił głową – i nigdy nie chciałem.

– A Vendia? Czy przyjeżdżała tutaj?

– Rzadko. Za moich czasów może była ze trzy razy, a siedzę tu już od czterech lat. Czy wiesz, panie Arivaldzie, że ostatni urlop miałem prawie rok temu? Cały miesiąc spędziłem w burdelu.

– Tutaj chyba też można się zabawić?

– Zabawić? – spytał gorzko kapitan. – Jasne, tylko najpierw trzeba je namówić, żeby się umyły. No i co to za dziwki? Nic nie potrafią. Nie ma to jak stolica.

– Będzie miał pan okazję zobaczyć osadę – zmienił temat czarodziej. – Chciałbym jutro tam wyruszyć i prosiłbym, aby mi pan towarzyszył.

– Oczywiście – odparł bez zapału Sigferdi. – Miałem wprawdzie nadzieję, że spędzi pan tu kilka dni, nim rozpocznie pracę.

– Służba nie drużba – rzekł sentecjonalnie Arivald. – Jak dostanie

pan następny urlop, proszę zajrzeć do Silmaniony. Postaram się pana godnie ugościć.

– Następny urlop! – prychnął kapitan. – Jak dożyję.

– A czy wiedźmy opuszczają wyspę?

– Skądże znowu – odparł Sigferdi i Arivald, nawet nie rzucając Prawdomowy Kelfusa, wiedział, iż szlachcic skłamał. Ciekawe dlaczego.

– Nigdy?

– Nigdy. – Kapitan spojrzał na Arivalda szczerymi, niebieskimi oczami.

– Dziwne – rzekł Arivald. – Doża mówił mi, że… Komendant wyraźnie się zmieszał.

– Ach, wybacz, panie Arivaldzie, nie wiedziałem, iż doża już ci o tym powiedział. W zasadzie rzecz trzymamy w ścisłej tajemnicy, ale… No więc Vendia, jak była tutaj te trzy razy, zawsze zabierała kilka z nich ze sobą. Pierwszy raz dwie, potem trzy, potem chyba pięć, a może cztery.

– Wracały?

– Nie. – Sigferdi uniósł kielich i przyjrzał się winu pod światło. – Myślałem, że jakieś męty mi pływają – wyjaśnił – a kiedyś znalazłem w winie karakana wielkości mojego palca. O mało go nie wypiłem.

– Wie pan dlaczego?

– Bo go późno zauważyłem – zdziwił się kapitan.

– Dlaczego nie wracały? – sprecyzował pytanie czarodziej.

– Nie wiem. – Tym razem Sigferdi mówił prawdę. – Proszę spytać doży.

– A co pan o tym sądzi?

– Ja tu nie jestem od myślenia – komendant nagle stał się bardzo ostrożny. – Zawsze może pan spytać również ich – machnął dłonią w kierunku, który miał zapewne wskazać osadę wiedźm.

– Tak też zrobię – zgodził się Arivald i wstał. – Cóż, kapitanie, dziękuję za gościnę i proszę kazać obudzić mnie jutro zaraz po świcie.

– Już dzisiaj – mruknął Sigferdi.

– Tak, w zasadzie już dzisiaj. Dobranoc.

Jeden z żołnierzy odprowadził Arivalda do pokoju, który przyszykowano na piętrze gospody. Czarodziej rozejrzał się po wnętrzu z uznaniem. Widać, że w czasie kiedy zabawiał się z komendantem kielichami i rozmową, tutaj nie próżnowano. Podłoga i ściany były świeżo umyte, na łóżku położono czystą pościel, a w kącie stała misa z gorącą jeszcze wodą i wypolerowany na błysk nocnik.

Arivalda bardzo zainteresował fakt opuszczania przez wiedźmy wyspy, o którym dowiedział się od nieostrożnego komendanta. Sama Vendia przyjeżdżała po nie prawie co roku. Czyżby wybierała co bardziej doświadczone adeptki? I co działo się z nimi później?

Czarodziej rozbierał się wolno i myślał intensywnie nad taktyką, jaką powinien przyjąć w rozmowie w wiedźmami. Oczywiste było, iż obecność maga z Silmaniony wyprowadzi je z równowagi, może przerazi lub rozgniewa. Do tego dowiedzą się o śmierci Vendii. A Arivald nie mógł zapominać, iż jest tu gościem. Gościem szczególnym, jednak tylko gościem. I nie mógł zapominać, że szuka rozwiązania problemu wojny pomiędzy Księstwem a Republiką. Czy w osadzie wiedźm naprawdę kryły się odpowiedzi? Jak zwykle w takich wypadkach czarodziej żałował, iż nie ma obok kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Cóż, skazany był na samotność, od kiedy Borrondrin przedstawił ich wspólną wyprawę w takim świetle, że reszta magów głęboko użalała się nad jego losem i na pewno żaden nie zaryzykowałby podobnej eskapady. Może Galladrin, gdyby nie był tak przywiązany do swojej młodej żony (a przynajmniej tak twierdził), może Velvelvanel, gdyby nie zajmowały go problemy administracyjne w Silmanionie. Ale i jednego, i drugiego ciężko byłoby przekonać, że członek Bractwa powinien rozmawiać z wiedźmami.

Ranek był piękny i słoneczny, a od morza wiała orzeźwiająca bryza. Arivald wstał rześki, jakby wcale nie zarwał poprzedniej nocy. Cóż to było te parę kielichów wina dla niego, który potrafił dotrzymywać tempa w piciu nawet krasnoludom, i to nie stosując żadnych czarów wspomagających! Natomiast kapitan Sigferdi przeżył tę noc dużo gorzej. Miał napuchniętą twarz, zamglone oczy, a jego oddech wyraźnie było czuć wymiocinami. Tak jak jednak i poprzedniego dnia był nienagannie ubrany, starając się robić dobrą minę do złej gry. Konie czekały już osiodłane przed koszarami, a zapobiegliwy szlachcic przygotował dwa mile bulgoczące bukłaczki, które znalazły się w jukach.

Podróż minęła im szybko, zresztą cóż to była za podróż? Raptem godzina jazdy stępa leśną ścieżką. Kiedy wyjechali z lasu, ujrzeli wysoki, gęsty żywopłot z krzaków tarniny.

– Oto i osada – rzekł Sigferdi.

Pojechali wzdłuż żywopłotu aż do miejsca, w którym tworzył on coś w rodzaju bramy wjazdowej. Przy bramie nie było nikogo.

– Wjeżdżamy? – zapytał z wahaniem w głosie kapitan.

– Po to tu jesteśmy.

Kiedy minęli żywopłot, ich oczom ukazało się kilkanaście solidnych drewnianych domków otoczonych drzewami owocowymi. Na trawie pasło się parę kóz, a przy studni baraszkowały trzy duże psy o płowej sierści.

– Co za sielski widoczek – rzekł Arivald nieco drwiącym tonem. W tym samym momencie psy dostrzegły przybyszów i pędem rzuciły się w ich kierunku. Były to zwierzęta należące do znanej Arivaldowi rasy, bardzo drogie i kiedyś używane do polowań na zbiegłych

niewolników. Sigferdi szybkim ruchem wyciągnął z pochwy miecz.

– Nie trzeba – powiedział Arivald i wypowiedział Oswajacz Ruvencrofta, zaklęcie przygotowane dawnymi czasy przez maga, który zasłynął jako badacz obyczajów dzikich zwierząt.

Oswajacz nie należał do najprostszych zaklęć, gdyż jego moc pozwalała nawet na okiełznanie (przynajmniej czasowe) dzikich zwierząt, takich jak lwy, tygrysy czy wielkie małpy. Jednak akurat to zaklęcie, a nie popularnego i prościutkiego Wiernego Pieska, Arivald pamiętał dobrze. Potraktowane Oswajaczem płowe psy biegły dalej, jednak tym razem już z radosnym skomleniem, wywieszonymi jęzorami i z puszystymi ogonami wprowadzonymi w taki wir, iż wydawało się, że odpadną im od tyłków. Natychmiast też każdy uznał za życiowe zadanie obślinić Arivalda i pokazać, jak bardzo jest szczęśliwy z jego przybycia.

W końcu hałas wywabił z najbliższego domu jedną z mieszkanek osady. Arivald uspokoił psy za pomocą następnego zaklęcia, bo póki ogarnięte nagłą radością skakały wokół, nie mógł zsiąść z konia. Kiedy odsunęły się, obaj z kapitanem zeskoczyli z siodeł.

– Kapitan Sigferdi – rzekła wiedźma niezbyt przychylnym tonem. – Co sprowadza pana i pańskiego… – cofnęła się nagle o krok, a w jej oczach pojawił się błysk strachu.

– Jestem Arivald z Wybrzeża, mistrz Tajemnego Bractwa z Silmaniony – przedstawił się szybko czarodziej, który nie chciał, aby wiedźma w popłochu rzuciła któryś ze swoich czarów. – Przybywam tu na prośbę doży Vigarellego i Vendii.

Wiedźma wyraźnie się uspokoiła, ale nadal przyglądała się Arivaldowi podejrzliwie. Zresztą nic dziwnego, takiego właśnie (jeżeli nie gorszego) przyjęcia należało się spodziewać.

– Mam list od doży. – Arivald poklepał się po piersi, gdzie miał zapieczętowane pismo Vigarellego.

– Daj – rzekła wiedźma rozkazującym tonem.

– Hola! Powiedz najpierw, kim jesteś, kobieto. Ten list jest dla tej z was, która zastępuje tu Vendię.

Wiedźma przygryzła wargi.

– Nie bądź taki pewny siebie, mistrzu z Silmaniony – ostatnie słowa wymówiła z bezbrzeżną ironią. – Jesteś tu sam i nawet czarodzieja może spotkać przykry wypadek.

– Sam? – Sigferdi postąpił krok naprzód, opierając dłoń na rękojeści miecza, ale Arivald go powstrzymał.

– Patrz, co cię czeka, wiedźmo! – zawołał i w tym momencie kobietę otoczył warkocz płomieni. Usłyszała zawodzenie mnichów, zobaczyła wyciągającego dłoń inkwizytora w czarnym płaszczu, a obok płonęły stosy ogarniające wyrywające się z łańcuchów ciała. Wiedźma czuła swąd palonego mięsa, ale nie czuła bólu. Arivald nie

chciał przesadzać. Nad tą zmyślną i bardzo przekonującą halucynacją pracował długie godziny w czasie podróży statkiem, a teraz przywołał ją krótkim zaklęciem.

Widowisko wywarło spodziewany efekt. Wiedźma pobladła. Z jej oczu ulotniła się złość i był tam teraz tylko strach.

– Zawiadomię przełożoną – powiedziała cicho i szybko się wycofała.

Sigferdi spojrzał z szacunkiem na Arivalda.

– To było takie prawdziwe!

Nie musieli długo czekać, kiedy zbliżyła się do nich kobieta, na oko czterdziestoletnia, ale jej twarz nosiła ślady wielkiej urody. Jako dziewczyna była pewnie przedmiotem wielu męskich westchnień, pomyślał Arivald. Wiadomość o przybyciu gości musiała się już rozejść, gdyż coraz to nowe kobiety pojawiały się przed domami, ale zachowywały bezpieczną odległość.

– Bardzo przekonujący popis siły, mistrzu Arivaldzie – odezwała się uprzejmie przełożona osady. – Jestem Ellora. Witam pana, kapitanie Sigferdi.

Komendant skłonił lekko głowę. Arivald w milczeniu wyjął z zanadrza pismo.

– Pozwolicie, panowie… – Wiedźma zerwała lakowe pieczęcie przebiegła pismo wzrokiem. – Proszę do mnie – rzekła po chwili. – Będziemy musieli porozmawiać.

Poszli za nią w stronę domu ukrytego za okazałymi jabłoniami, o gałęziach ciężkich od owoców. W powietrzu unosiły się roje os, ale musiały zostać zaklęte, gdyż nawet nie zbliżały się do przechodzących ludzi. Dom Ellory był skromny, lecz utrzymany w niezwykłej wręcz czystości i porządku. Sigferdi rozglądał się nieco zdziwiony. Sądził zapewne, że wejdą do jakiejś ponurej chaty zasnutej oparami i dymem, gdzie ze ścian szczerzą się trupie czaszki zawieszone wśród pęków ziół. Nie mówiąc już o obowiązkowym czarnym kocie oraz kruku.

– Siadajcie, jeśli łaska. – Wiedźma zaprosiła ich do dużego, półokrągłego stołu. – Wina? – zerknęła na kapitana. – A może świeżego mleka?

– Wolałbym wino – rzekł Sigferdi. Arivald skinął głową.

– Nie takie jak w szlacheckich piwnicach, ale nam wystarcza – powiedziała wiedźma – zeszłoroczne z jabłek i wiśni. Może być?

Arivald znowu kiwnął głową. Ellora wyszła na chwilę i wróciła z dzbankiem oraz trzema drewnianymi kielichami. Rozlała trunek, a Sigferdi przed umoczeniem ust zerknął w stronę Arivalda.

– Nie zatrute i nie zaklęte – zauważyła jego wzrok wiedźma – zwyczajne wino.

– Ale nadzwyczaj smaczne – skwitował Arivald.

– Strata Vendii jest dla nas bolesnym ciosem – rzekła wiedźma. – Vigarelli pisze, iż nie wiadomo, kto ją zabił i dlaczego… Nadal nie wiadomo?

– Być może, odpowiedź znajdę tutaj. Na to pytanie oraz na kilka innych.

– Nie mamy nic do ukrycia – stwierdziła wiedźma spokojnie – w każdym razie nie przed wysłannikiem doży.

– Nie jestem wysłannikiem doży – odpowiedział Arivald ostrzejszym tonem. – Jestem mediatorem w konflikcie Republiki i Księstwa z ramienia Tajemnego Bractwa z Silmaniony.

– Wybacz, proszę. Tu można się odzwyczaić od konwenansów i często nie pamiętamy, jak wielką uwagę wy, w wielkim świecie, przywiązujcie do słów. Zwłaszcza tych, które określają pozycję człowieka.

Arivald roześmiał się.

– Nie zależy mi na słowach, ale na wynikających z nich skutkach praktycznych. Vendia prosiła, bym odwiedził waszą wyspę. Sądziła, iż to wy jesteście powodem wojny.

– Mówiła nam o tym. A raczej nie mówiła, przesłała list. Słyszałyśmy o baronie Dragostasie. Jeśli on dostanie naszą wyspę, to oznacza nasz koniec. – Spojrzała uważnie na Arivalda. – Wydawałoby się jednak, iż ty powinieneś być z takiego rozwiązania zadowolony…

– Mam ogromną niechęć do wszelkich zagadek – wyjaśnił Arivald – i nie zwykłem pochopnie podejmować decyzji. Chcę wiedzieć, dlaczego aż tak jesteście potrzebne baronowi. Nie mówiąc już o tym, skąd dowiedział się o waszym istnieniu. Poza tym rzadko kiedy jestem skłonny uznać skrytobójstwo za sposób rozwiązywania problemów. Nie podobało mi się to, co robiła Vendia, lecz nie podoba mi się również, w jaki sposób zginęła.

– Lepszy byłby uczciwy proces i równie uczciwy kat?

– Właśnie.

Do pokoju weszła bardzo młoda kobieta, wręcz jeszcze dziewczynka, ubrana w prostą białą sukienkę z wysokim kołnierzem.

– Czy podać coś do jedzenia? – spytała. Ellora spojrzała pytającym wzrokiem na gości.

– Wino nam wystarczy – rzekł Arivald, a Sigferdi przytaknął. Uwagi czarodzieja nie umknęło, iż dziewczyna była bardzo podobna do Vendii. Te same włosy koloru starego złota, te same przenikliwe i bystre oczy. Czyżby młodsza siostra? – pomyślał. A może… córka? Jeśli córka, to kto jest ojcem? Vigarelli? Arivald zganił się, że nawet nie przyszło mu do głowy spytać dożę, jak długo znał Vendię. Czyżby była to aż tak długa znajomość?

– Córka – powiedziała wiedźma, jakby czytała w myślach czarodzieja. Oczywiście było to niemożliwe, ale trzeba przyznać, iż

wykazała nieprzeciętną przenikliwość.

– Córka? – zapytał nie rozumiejąc kapitan.

– Córka Vendii – wyjaśnił Arivald. – Jeszcze nie wie, prawda? Wiedźma pokręciła głową.

– Rzadko widywała matkę, ale była szalenie do niej przywiązana. Wciąż pytała, kiedy będzie mogła z nią mieszkać. Cóż… życie.

Milczeli przez chwilę.

– Będę musiał zadać ci parę pytań – rzekł Arivald.

– Nie mamy czego ukrywać. Pytaj.

Arivald uniósł kielich do ust i wymruczał Prawdomowę Kelfusa. Tu zaklęcie powinno działać bez zakłóceń. Wyspa pełna była co prawda wiedźmiej magii, ale takie zmiany nie wpływały na funkcjonowanie czarodziejskich zaklęć.

– Co powiedziałeś? – ostrym tonem zapytała wiedźma.

– Powiedziałem, że wpadł mi paproch do wina – wyjaśnił czarodziej.

Ellora popatrzyła na niego nieufnie.

– Wypowiedziałeś zapewne jedno z tych zaklęć, które pozwala wam odróżniać prawdę od kłamstwa. Nieważne, mówiłam już, że nie mamy nic do ukrycia.

Wiedźma była albo bardzo głupia (że nie wierzyła w potęgę czarodziejskich zaklęć), albo bardzo pewna siebie. Gdyż skłamała już w pierwszym zdaniu. A może było to trudne do przezwyciężenia przyzwyczajenie?

– Opowiedz mi, jak powstała wasza osada. Kiedy? I dlaczego akurat na tej wyspie?

– To niezwykłe miejsce. Jedna z wysp, które kiedyś były dnem morskim. Uległo ono wiele lat temu wypiętrzeniu pod wpływem wybuchów podmorskich wulkanów. Tu siły natury są szczególnie potężne. Magia wody, ziemi, powietrza i ognia łączy się w jedno. Pierwsza z nas przybyła blisko trzysta lat temu…

– O! – zdziwił się Sigferdi.

– …i od razu uznała, iż to raj i oaza dla nas. Jednak jak wam zapewne wiadomo, nie jesteśmy kobietami, które tworzyłyby… – zawahała się, szukając słowa.

– Społeczność? – poddał Arivald.

– Tak, właśnie. Zwykle żyłyśmy samotnie, prześladowane i upokarzane…

– Sentymentalizm sobie darujmy – przerwał jej Arivald.

– To fakty, nie sentymenty – odparła wiedźma nad wyraz spokojnie. – W każdym razie wieść powoli się rozchodziła i uznałyśmy, iż warto odwiedzić tę wyspę. A potem zainteresował się nami Vigarelli.

– Dlaczego?

– Doża ma szpiegów – wzruszyła ramionami Ellora. – W końcu któryś doniósł o dziwnej osadzie, gdzie mieszkają same kobiety. Aż dziw, że trwało to tak długo. Wpierw przybył tu magik wysłany, by potwierdzić domysły doży. A potem zaproszenie – zaakcentowała ostatnie słowo – od niego samego.

– Jaka była cena?

– Najbieglejsze z nas mogą się przydać w prowadzeniu polityki, zwłaszcza władcy Republiki. Vendia wyjechała, by służyć Vigarellemu.

I znowu nie była to prawda. A raczej nie do końca prawda.

– Tylko tyle? Wiedźmę można sobie znaleźć wszędzie i nie trzeba obiecywać jej złotych gór, wystarczy tylko życie – powiedział Arivald.

– Jesteśmy inne niż te, które nazywasz wiedźmami – rzekła twardo Ellora. – Tak jak czarodzieje, każda z nas od najmłodszych lat przechodzi wyczerpujące szkolenie. Jesteśmy mistrzyniami.

– W wiedźmiarstwie – dodał Arivald – bo jakkolwiek byście chciały się nazywać, zawsze będziecie tylko wiedźmami.

– Nie możemy posiąść prawdziwej mocy, ale czy to nasza wina? Czy to wina kobiet, iż nie dano im dostępu do Aury?

– Nie dano? Natura uczyniła was takimi!

– Więc nadajemy się tylko do rodzenia dzieci, ozdabiania mężczyzny i służenia mu do rozkoszy, póki się nami nie znudzi?

– Nie – rzekł Arivald – tak nie uważam. Ale chyba nie udało wam się rozwiązać problemu samorozmnażania? – zapytał z drwiną w głosie. – Mam wrażenie, iż musicie w tym zakresie korzystać z męskiej pomocy?

– Od czasu do czasu musimy się poświęcić i pozwolić na ten obrzydliwy proceder, aby doprowadzić do zapłodnienia.

– Współczuję. Wracajmy do sprawy. Dlaczego kilka z was opuściło wyspę? Czego chciał od nich doża?

– Niczego. Pozwalał im odejść do zwykłego świata. Nie każda z nas wytrzymuje w tej klatce. Bo przecież jesteśmy w klatce. W skansenie czy ogrodzie zoologicznym, jak chcesz to nazwać.

– Nikt was tu nie ciągnął siłą.

– A lepiej umierać na stosie?

– Lepiej zrezygnować z niegodnych praktyk – powiedział surowo czarodziej.

– A co ty wiesz o naszych praktykach? – Oczy Ellory niebezpiecznie zabłysły, widać było, iż z trudem powstrzymywała się, by nie wybuchnąć. – Czy szkodzimy tu komuś? Nie, żyjemy cicho i spokojnie. Spytaj kogokolwiek z osady, czy oskarżają nas o rzucanie uroków. Spytaj kapitana, czy nie pomogłyśmy kilku kobietom w czasie połogu, czy nie wyleczyłyśmy wielu ran i zakażeń.

– To prawda. – Sigferdi skinął głową. – Czasem ludzie z osady przełamują strach i proszą o pomoc. Kiedyś mieliśmy tu felczera, ale

wyjechał dwa lata temu. Kilka razy pisałem o tym do Jego Ekscelencji, ale… – wzruszył ramionami.

– A żołnierze sprzed kilku lat? – zapytał Arivald. – Gdzie teraz gniją ich ciała?

– Co zrobiłbyś, mistrzu z Silmaniony, z watahą pijanych bestii, które wtargnęły tu, by gwałcić i okaleczać? Powiem ci, co myśmy zrobiły. Rzuciłyśmy czary, aby ich obezwładnić. A teraz mieszkają tam, w szopie – machnęła dłonią – uprawiają nasze pola i pomagają przy cięższych pracach. Mają na nogach kajdany, ale to chyba lepsze niż śmierć, prawda? Chcesz ich zobaczyć?

– Nie wiedziałem. – Sigferdi zwrócił się do Arivalda. – Naprawdę myślałem, że ich zabiły. Zresztą, tak jak mówiłem, nie było mnie tutaj.

– Obejdzie się – mruknął Arivald, ale postępowanie wiedźm zrobiło na nim wrażenie. – Tak więc kilka z was nie wytrzymywało już w osadzie i odeszło… Gdzie są teraz?

– Nie wiem.

Zdumiewające, ale wiedźma mówiła prawdę. Rzeczywiście nie wiedziała. Hm, to było zastanawiające.

– A czego chce Dragostas? Skąd wie o osadzie? Co zamierza?

– Za dużo pytań i za mało pewnych odpowiedzi. – Ellora wzięła do rąk pusty już kielich, zresztą nic dziwnego, bo nalała sobie bardzo mało wina, i obracała go w zamyśleniu w dłoniach. – W swych włościach tępił nie tylko wiedźmy, ale i kobiety, które ledwo o to podejrzewano. Miałyśmy tu dwie siostry, które uciekły z jego baronii, ale były stare i chore. Niedługo po przybyciu umarły. Może ktoś kiedyś rzucił na niego urok i dlatego się mści?

– Ktoś kiedyś – mruknął Arivald. – Po prostu jedna z was.

– Kto wie, jak było naprawdę? A co zamierza? Podejrzewam, iż chce nas zniszczyć. Ba, jestem pewna, że to zrobi, kiedy tylko będzie mógł.

Arivald pomyślał, iż baron rzeczywiście nie ma nic do stracenia. Oddając księciu swą baronię, oddawał włości, które już tak naprawdę nie należały do niego. I których nie miał żadnej nadziei odzyskać. W zamian miał dostać kawałek ziemi na wybrzeżu należącym do tej pory do Republiki oraz wyspę wiedźm. Terenów tych nawet nie można było porównać z bogatą baronią, którą utracił, ale zawsze lepiej mieć coś niż nic. Zagadką pozostawało jednak, dlaczego książę zdecydował się na wojnę z Republiką. Jednak by to ocenić, trzeba było znać zwyczaje Dessvonu. Mieszkańcy tego księstwa, które dopiero niedawno stało się jednym z silniejszych militarnie i bogatszych państw, zawsze rozkochani byli w wojnach, łupieżczych najazdach na sąsiadów. Władca, który swym podwładnym nie zapewniał ulubionej rozrywki, mógł rychło stać się obiektem szyderstw. A od szyderstwa do zabójstwa w Dessvonie droga była krótka. Dlatego Arivald

podejrzewał, iż księciu Riheriusowi baron Dragostas jakby spadł z nieba. Wojna i tak była mu konieczna, a tu jeszcze mógł zyskać dzięki niej władzę nad bogatą baronią. Bogatą baronią, która miała niedługo szansę stać się dużo, dużo bogatsza. Inna rzecz, że w osobie doży znalazł sobie niewygodnego rywala. Być może, zmylił go ustrój Republiki. Jak każdy monarcha absolutny żywił pogardę dla demokracji, uważał ją za system nieudolny i niewydolny. Zresztą bardzo słusznie. Ale w Republice demokracja była fikcją. Co z tego, że stanowisko doży było obieralne, a nie dziedziczne, skoro doża posiadał prawie nieograniczoną, dożywotnią władzę? Co z tego, iż działał parlament oraz rady miejskie, skoro tak naprawdę nie miały nic do gadania? Z drugiej strony jednak Riherius słusznie przypuszczał, że Republika będzie wolała utracić niewielkie posiadłości, zamiast wplątywać się w wojnę niszczącą handel. A handel był głównym źródłem dochodów poddanych Vigarellego, którzy im więcej czasu upłynie, tym bardziej będą niezadowoleni z rujnującej ich kampanii. Rzecz jasna wyjście będzie musiało być polubowne, by nikt nie stracił twarzy. Na przykład Riherius odkupi od Republiki ziemie, które odda potem baronowi Dragostasowi. Na przykład z klauzulą, iż jest to tylko dożywocie, które przechodzi potem z powrotem we władanie Republiki.

Tak czy inaczej nadal aktualne było pytanie, kto zabił Vendię. Arivald był coraz bliższy myśli, iż zrobił to Dragostas. Na korzyść barona działał jednak fakt, iż wszyscy zapewne przypuszczali, że to jego sprawka.

– Musimy jakoś wybrnąć z tego galimatiasu – powiedział Arivald – bo jest dla mnie oczywiste, iż doża odda was. Nie będzie prowadził wojny, która rujnuje interesy jego poddanych.

Ellora zacisnęła usta.

– Jakie więc mamy wyjście? Uciekać?

– Na pewno wam na to nie pozwolę – zaprotestował Sigferdi.

– Nikogo stąd nie wypuszczę bez specjalnych rozkazów Jego Ekscelencji i dobrze o tym wiesz.

– Być może, znalazłbym rozwiązanie – rzekł wolno Arivald – ale…

– Ale… – poddała wiedźma.

– Zależeć to będzie od tego, jak dalece jesteście skłonne do współpracy.

– A jakie mamy wyjście?

– Właśnie – uśmiechnął się głupawo Sigferdi, któremu bardzo podobał się fakt, iż znajduje się w centrum spraw światowych.

– Osada mogłaby nadal istnieć – zaczął Arivald – ale Bractwo objęłoby nad nią i nad całą wyspą pieczę. Wysłalibyśmy żołnierzy oraz

kilku magów, by przyglądali się temu, co robicie. Z punktu widzenia nauki jesteście ciekawym przypadkiem, któremu warto poświęcić studia. O ile mi wiadomo, nikt do tej pory nie badał wnikliwie waszych obyczajów. A jeszcze ta osada…

W miarę jak Arivald wyłuszczał swoje plany, Ellora coraz bardziej czerwieniała.

– Chcesz więc z nas zrobić obiekt doświadczeń?! – wybuchła.

– Ogród zoologiczny z dzikimi zwierzętami w klatkach? A dostojni magowie będą badać, jak żyjemy, jak się rozmnażamy i co jemy?

– Zawsze pozostaje stos – rzucił beztroskim tonem Arivald. Wiedźma patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu pełnym nienawiści.

– Przemyślę twą szczodrobliwą propozycję – powiedziała, nie starając się nawet ukryć szyderstwa – i dam odpowiedź.

– Jutro – rzekł Arivald wstając. – Tyle czasu musi ci wystarczyć.

W komnacie siedzieli mistrz Eren vard Din, książę Riherius wraz z ministrem o trudnym do zapamiętania imieniu, który jak zwykle sprawiał wrażenie lekko przepitego, doża w towarzystwie ubranego na czarno doradcy oraz Arivald. Wszystko potoczyło się tak, jak przewidział to czarodziej. Doża był skłonny do ustępstw, a książę nie wysuwał wziętych z sufitu roszczeń.

– Zgadzamy się odsprzedać zaznaczone tu ziemie – czarno ubrany doradca doży postukał palcem w mapę – pod warunkiem iż przekazane baronowi Dragostasowi zostaną tylko w dożywocie, po upływie którego wrócą do Republiki.

– Uważamy, iż to rozsądna propozycja – odparł minister o trudnym imieniu w imieniu Riheriusa.

– Istnieje jednak pewien problem…

– Tak? – tym razem odezwał się sam książę.

– Z uwagi na pewne specjalne właściwości magiczne panujące na jednej z wysp, Bractwo z Silmaniony odkupiło ją od Republiki.

– Która to wyspa? – zapytał Riherius, a kiedy mu ją pokazano, przyjrzał się bacznie Arivaldowi. – Coście tam znaleźli? Złoto? Diamenty?

Arivald roześmiał się szczerze.

– Klnę się, że nic podobnego. To wyspa, której znaczenie dla nas można określić za pomocą wartości duchowych, a nie materialnych.

Riherius przez chwilę przetrawiał słowa Arivalda.

– Skoro tak, nie widzę przeszkód – odparł. – Jeśli chcecie ten kawałek skały, to go bierzcie.

Arivald nie mógł wyjść z podziwu nad łatwością, z jaką książę rozdaje ziemie nie należące jeszcze przecież oficjalnie do niego.

Jednak ucieszyła go obojętność Riheriusa. Oznaczała, iż nie wiedział nic o całej aferze z wiedźmami i wszystko robił dla konkretnego zysku, czyli przechwycenia władzy nad dawnymi lennikami Dragostasa. Swoją drogą ciekawe, czy będą zadowoleni z nowego pana. No, ale to już była ich sprawa. Zawsze mogą znowu nająć sobie kuszników z Landfordu, choć nie wiadomo, czy ich jeszcze na to stać.

Arivald szykował się właśnie do uroczystej kolacji, na której w obecności zagranicznych posłów miała być oficjalnie podpisana umowa oraz traktat pokojowy, kiedy drzwi w pokoju obok trzasnęły z potężnym hukiem. Za moment do komnaty czarodzieja wpadł oszalały z gniewu baron Dragostas. Jego zwykle czerwona twarz teraz nabiegła już krwistą purpurą, jakby za chwilę miał dostać apopleksji.

– Zdrajco! – wrzasnął i runął na czarodzieja jak skłuty ostrzami byk.

Arivald, jak to najczęściej bywało w tego rodzaju nagłych niebezpieczeństwach, nie skorzystał z dobrodziejstwa magii. Zwinnie uchylił się przed ciosem barona, a sam wymierzył mu cios pięścią prosto w serce. Nie za mocny, aby nie zabić. Już uderzając zdał sobie sprawę, iż cios może okazać się średnio skuteczny, jeżeli Dragostas włożył kolczugę. Na szczęście baron nie był na tyle przewidujący. Siadł ciężko na ziemi, z trudem łapiąc powietrze. Arivald usiadł spokojnie i pozwolił Dragostasowi wrócić do sił. Trwało to dłuższą chwilę, a tym razem baron przypominał nie byka, lecz ogromnego suma, którego odpływ zostawił na brzegu i który rozpaczliwie zastanawia się, gdzie jest woda.

– Już? – zapytał Arivald, kiedy zobaczył, że Dragostas sprawia wrażenie nieco przytomniejszego.

Baron ponuro skinął głową i dowlókł się do najbliższego fotela.

– Cóżeś ty zrobił, głupi człowieku? – rzekł w końcu. – Uratowałeś te cholerne wiedźmy!

– A co ci do tego? – równie niegrzecznie zapytał czarodziej.

– Te suki, te dziwki z piekła rodem podsunęły mi kobietę – chwilę ciężko oddychał – a ja się z nią ożeniłem…

– Twoja żona? – Arivald osłupiał. – Ta, którą kazałeś zamurować w wieży?

– Ta sama – warknął baron – pomiot tej ich przeklętej osady. A diabeł wie, jak wiele tych suk rozesłano po całym świecie…

– Co takiego?!

– Co takiego?! – przedrzeźniał go baron. – Czy tylko ty jesteś taki tępy, czy wy wszyscy w Silmanionie macie mózgi wyżarte przez robaki? A jak myślisz, po co jest ta ich osada? Wychowują piękne dziewczyny, uczą je nie tylko tych suczych czarów, ale i dobrych manier, a potem wysyłają na dwory. To już załatwiała ta dziwka Vendia. A taka suka jedna z drugą zaraz łapie bogatego i wpływowego

męża. Ja, ja – walnął się w pierś – ja dałem się podejść tym dziwkom!

– Nie ty jeden – rzekł zimno Arivald – ale dlaczego mi nie powiedziałeś, na Boga? Wtedy, poprzednim razem?

– Sam lubię załatwiać swoje sprawy – wzruszył ramionami Dragostas.

– Co byś z nimi zrobił? – po chwili milczenia zapytał Arivald.

– Nie chciałbyś tego wiedzieć – baron błysnął zdumiewająco białymi zębami – ale te suki umierałyby tak długo, że śmierć stałaby się ich najsłodszym marzeniem. Oddaj mi wyspę! – dodał po chwili nieco spokojniejszym tonem. – Dam ci wszystko, czego zechcesz. Wiem, że masz prawo to zrobić!

– Mam – skinął głową Arivald – ale nie zrobię. A wiesz dlaczego?

Dragostas spojrzał na niego bez słowa.

– Bo to już jest moja sprawa. Nie lubię być oszukiwany, a dałem się zwieść bajkom. Zresztą – dodał uczciwie – częściowo prawdziwym bajkom. Teraz ta wyspa to jest już mój problem. Powiedz mi tylko: zabiłeś Vendię?

– Oczywiście, że zabiłem tę sukę. – Dragostas uśmiechnął się na wspomnienie tamtej nocy. – I nie pomogły jej wiedźmie czary. Widziałem, jak gasną te przeklęte oczy, a ja dusiłem, dusiłem i dusiłem…

– Odejdź – powiedział czarodziej, bo wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. – Dość usłyszałem.

Dragostas wstał ciężko.

– Będę polował na nie, czarodzieju. A ty mi w tym już nie przeszkodzisz.

Vigarelli siedział sam i popijał wino pogrążony w lekturze jakiegoś wyjątkowo grubego tomiszcza.

– Dostojny Arivald – doża wstał uprzejmie z krzesła – miło pana widzieć, przyjacielu.

Na biurku doży leżały dwa listy gotowe do wysłania, zalakowane i zapieczętowane.

– Rozkazy ewakuacji? – zapytał Arivald.

– Słucham?

– Podejrzewam, iż to rozkaz, by przewieźć wszystkie wiedźmy. Gdzie tym razem?

Na blade policzki doży powoli wypełzł rumieniec.

– Nie rozumiem…

– Doskonale rozumiesz – przerwał mu Arivald. – Szatański pomysł. I skuteczny. Byłby skuteczny, gdyby nie Dragostas.

– Jeżeli ten nędznik naopowiadał panu…

– I owszem – znowu nie dał dokończyć doży Arivald – powiedział o parę słów za dużo. Opowiedział, z jaką to radością dusił Vendię…

– Nie chcę tego słuchać!

– …z jaką to radością dusił Vendię – powtórzył czarodziej – a ona przecież nie została uduszona! Spostrzegawczy młody lekarz dostrzegł, iż chusta została zadzierzgnięta tylko dla zmylenia tych, którzy znajdą ciało. Kto więc zabił wiedźmę?

Doża wpatrywał się w Arivalda jak w upiora.

– Zabił ją sam dostojny doża – odpowiedział sobie Arivald – patron i kochanek. A dlaczego? Czyżby zaprotestowała przeciwko wysyłaniu coraz to większej liczby młodych wiedźm na dwory? Czyżby obawiała się, iż jeśli sprawa się wyda, to wiedźmy zostaną bezlitośnie zlikwidowane? Wszystkie wiedźmy. A nikt oczywiście nie będzie podejrzewał dostojnego doży. Czy dobrze myślę? Vendia mogła mi powiedzieć o wszystkim, prawda? Tylko że nie miała do mnie zaufania. Bała się. A jako jedyna kobieta z wyspy wiedziała, co naprawdę się dzieje. Tymczasem doża nie mógł dopuścić, by wydała się tajemnica, która bardzo, ale to bardzo drogo by go kosztowała.

Vigarelli opanował się już i roześmiał sztucznie.

– Nie interesują mnie pańskie przypuszczenia, myśli i insynuacje. Czy zdaje pan sobie sprawę, iż mówi do doży Republiki? Wasze Bractwo nie ma i nigdy nie będzie miało władzy ani nade mną, ani nad moim państwem. A teraz pozwoli pan… – jednoznacznie wskazał w stronę drzwi.

– Chciałbym, aby ta sprawa miała inny koniec – rzekł smutno Arivald. – Musi pan wiedzieć, dożo, iż w pewnych wypadkach mamy prawo do, nazwijmy to, ingerencji. To bardzo rzadkie wypadki, lecz ten się do nich zalicza.

– O czym pan mówi?

Wtedy Arivald wyciągnął różdżkę i wypowiedział zaklęcie, które wcześniej przygotował w swym pokoju. Zaklęcie, które wypowiadać powinno się jedynie w sytuacji krytycznej. Ale cóż, właśnie taka była ta sytuacja. Doża ze zdumieniem na twarzy osunął się na podłogę. Arivald go nie zabił. Nie dawał sobie prawa odbierania życia innym ludziom, a przynajmniej nie dawał go sobie zbyt często. Ale na pewno Vigarelli nie będzie już sprawiał kłopotów. Arivald zabrał zalakowane listy ze stołu i wyszedł.

Doża spóźniał się na kolację. Opóźnienie było już tak znaczne, że graniczyło z obelgą. Goście siedzieli wściekli i głodni przy suto zastawionych stołach, a Riherius współczującym wzrokiem przyglądał się wszystkim, wiedząc, iż niechęć do Vigarellego jest dla niego dobrą lokatą kapitału. Nagle do komnaty wszedł czarno ubrany doradca doży, którego twarz była jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Nie przestrzegając żadnych konwenansów, podszedł do mistrza Eren vard Dina i zaczął coś szybko szeptać mu na ucho. Vard Din słuchał go

najpierw z niechęcią, a potem z coraz bardziej rosnącym zdumieniem.

– Panowie – rzekł w końcu, zwracając się do Riheriusa i Arivalda – proszę za mną.

Książę rozłożył ręce gestem, który miał oznaczać: nie wiem, co tu się wyprawia, ale wierzcie mi, iż nie podoba mi się to tak samo jak wam. Wstał wraz z czarodziejem i Eren vard Dinem. Za nim podniósł się, nieodłączny jak cień, minister o trudnym do zapamiętania imieniu.

– Co się stało, u diabła? – kiedy wyszli z komnaty, Riherius nie starał się już być grzeczny.

– Chodźcie – odparł tylko Eren vard Din – sam tak naprawdę nie wiem, co tu się…

Resztę drogi do komnaty Vigarellego przebyli w milczeniu. Zobaczyli dożę siedzącego na ziemi i z debilnym wyrazem twarzy usiłującego dłubać w nosie palcem obnażonej lewej stopy. Eren vard Din i Riherius zaniemówili. Książę nawet się nie roześmiał, tak był zdumiony.

– Ga? – zapytał doża opuszczając nogę i z niejakim zainteresowaniem przyglądając się gościom.

– Obawiam się, dostojni panowie, że Jego Ekscelencja nie podpisze dziś traktatu – zduszonym i urywanym głosem rzekł ubrany na czarno doradca.

– Obawiam się, że najpierw będzie musiał nauczyć się pisać – odparł Arivald, patrząc, jak doża usiłuje wcisnąć na dłoń pantofel z fantazyjnie zakręconym noskiem.

Odwrócił się od mistrza i księcia stojących nadal w osłupieniu. Klepnął ministra w ramię.

– Chodźmy się napić, Ran – powiedział, bo wreszcie, nieoczekiwanie, przypomniał sobie, jak brzmi imię ministra.

Ani słowa prawdy

Wyrknuh miał skołtunioną siwą brodę i twarz jak pień zeschłego drzewa. Był bardzo stary nawet jak na krasnoluda, a poza tym chytry, skąpy i podejrzliwy.

– Chcesz to dla nas zrobić czy nie? – warknął, macając dłonią stylisko topora.

Arivald nie przejął się tą niezawoalowaną pogróżką. Dobrze wiedział, że takie są obyczaje wśród krasnoludów, dobrze też wiedział, że użycie siły poniżyłoby Wyrknuha w oczach jego współplemieńców. Krasnoludy bowiem ceniły chytrość i przebiegłość, a nie ślepą siłę. No, nie były od tego, by kogoś czasem pomacać młotem czy toporem, ale handel, twierdziły, powinien opierać się na kupieckich zdolnościach, a nie sile mięśni. Dlatego też używanie przemocy było odbierane jako nieumiejętność targowania się. A czy porządny krasnoludzki kupiec lub przedsiębiorca mógłby nie umieć się targować?

– Cena – czarodziej rozłożył dłonie. – Wszystko jest kwestią ceny.

– Jasne, jasne. – Wyrknuh zręcznie złapał wesz bobrującą mu w brodzie i rozgniótł ją zębami. Spode łba przyglądał się, jakie wrażenie wywrze to na Arivaldzie. Nie wywarło żadnego.

– Wy, czarodzieje – burknął z pogardą. – Chciwa swołocz, ot co powiem.

– Pewnie, gdzie nam do hojności i rozrzutności krasnoludów – przytaknął z powagą Arivald.

Wyrknuh zerknął na niego podejrzliwie, nie wiedząc, czy wziąć te słowa za dobrą monetę. Do licznych wad krasnoludów należał też zupełny brak poczucia humoru, a najwięksi kawalarze spośród nich sądzili, że szczytem dobrej zabawy jest głośne pierdnięcie w towarzystwie.

– Nie starcza ci, że zyskasz sławę? Że będą pieśni o tobie śpiewać?

– Sławą jakoś nikt się jeszcze do syta nie najadł – odparł czarodziej – a co do pieśni, to starczy mi tych, co już o mnie śpiewają.

– Tak, tak – mruknął Wyrknuh – sam kilka słyszałem. Wszystko to bzdury. O smoku, o Dagolarze, o trollu i takie tam jeszcze. No to ile chcesz?

Arivald podrapał się po brodzie. Okazywało się, że krasnolud sporo wie o jego niedawnych osiągnięciach. Cenę więc można było spokojnie podbić. Arivaldowi nie zależało wprawdzie na pieniądzach, ale na informacjach, mapach i samej możliwości wejścia do kopalni Starego Ghorlargu. No, ale gdyby o tym powiedział, krasnoludy kazałyby mu jeszcze dopłacić.

– W złocie czy dukatach? – zapytał.

– W czymkolwiek.

– Trzysta dukatów. Tylko targenckich, a nie wolgrodzkich ani dunheimskich, bo te nie trzymają wagi. I żeby nie były rżnięte po brzegach.

– Trzysta dukatów. – Wyrknuh obnażył w złym uśmiechu żółte łopaty zębów. – A co powiesz na trzysta kopów w zadek?

Arivald chuchnął w dłonie, bo pod wieczór robiło się coraz chłodniej.

– Zawsze możecie poszukać sobie kogoś innego – powiedział obojętnym tonem – a jak wiem, to już szukaliście.

Wyrknuh charknął pod drzewo i poszturchał ognisko kijem. Płomień leniwie polizał szczapy.

– Dużo wiesz, co?

– Może nie wszystko. Ale gadaliście z Balardem i roześmiał się wam w twarz. Ba, próbowaliście dotrzeć do Panienki, do Galladrina, znaczy, aleście go nie znaleźli. A co powiedział Fornagert?

– Fornagert powiedział, że to robota dla czarodzieja – rzekł krasnolud – a Balard, że dla wojownika, a Smykda, że dla kapłana. Wszyscy tylko że nie dla nich. A ja mam straty! – wrzasnął nagle. – Górnicy mi, cholera, strajkują! Jak tak dalej pójdzie, to przyjdzie iść na żebry!

– Nie przesadzaj – wzruszył ramionami Arivald – co to dla ciebie ta jedna kopalnia? A dziwisz się, że strajkują? Jak wysłałeś łamistrajków, to wróciła połowa. Masz następnych chętnych?

Wyrknuh przełamał kij na połowę, a potem połówki znowu na połowę i tak dalej, póki nie zostały mu króciutkie złomki, które wrzucił w ogień. Kij był grubości dwóch palców, ale krasnolud zrobił to bez wysiłku. Czarodziej musiał przyznać, że Wyrknuh nie należy do słabeuszy. Zresztą jak wszystkie krasnoludy.

– Co tam się uległo? – zachodził w głowę Wyrknuh, drapiąc się po brodzie.

– Mówiliśmy od lat: nie ruszajcie Starego Ghorlargu. To nie. Musiałeś wleźć ze swoimi górnikami – zeźlił się Arivald – a potem jak trwoga, to do czarodziei.

Wyrknuh złapał następną wesz i tym razem rozgniótł ją pomiędzy paznokciami.

– No więc, co powiesz, mądry czarodzieju? – spytał szyderczym tonem. – Masz chociaż blade pojęcie, co tam jest?

– Albo kto tam jest. Różnie może być. Skąd mam wiedzieć, skoro nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał i nawet trupów nie znaleźliście.

– Demony by ci nie powiedziały? – zerknął chytrze Wyrknuh. Arivald roześmiał się szczerze.

– Tego by jeszcze brakowało, żebym wzywał demony w Starym Ghorlargu. Czy ja wyglądam na samobójcę?

– Czarodzieje! – westchnął krasnolud. – Nawet gadają to samo.

– Więc będzie trzysta czy nie? – powrócił do konkretów Arivald.

– Góra sto, w trzech ratach. Pierwszą wypłacimy… Arivald nie chciał się dowiedzieć, kiedy krasnoludy wypłacą pierwszą ratę. Wstał więc.

– Tak nie można – obruszył się Wyrknuh – targowanie się jest istotą handlu.

– Trzysta – powtórzył twardo Arivald.

– Nie mogłeś od razu powiedzieć, że pięćset? – zapytał ponuro krasnolud. – Potargowalibyśmy się i zeszłoby do trzystu.

– Możesz im powiedzieć, że chciałem pięćset – czarodziej pokazał na siedzące kilkanaście metrów dalej krasnoludy.

– Potwierdzisz? – nieufnie upewnił się Wyrknuh. Arivald skinął głową.

– Potwierdzę – przyrzekł i wyciągnął dłoń. – Stoi trzysta?

– Stoi – burknął krasnolud – tylko nawet nie myśl o zaliczce – dodał i chwycił dłoń czarodzieja w swe sękate paluchy.

Pomyślał, że troszkę przyciśnie. Nie żeby zrobić krzywdę, ale żeby zabolało.

– Puść, cholera – jęknął po chwili i spojrzał na Arivalda z nowym szacunkiem. – Czar jakiś, czyś naprawdę taki mocny?

– Daj mi tu ludzi, którzy najlepiej znają kopalnie. I mapy, oczywiście. Zaczynamy pracę – zbył go Arivald.

Wyrknuh pokiwał siwą głową.

– To lubię – powiedział. – Tempo. E! – zawołał w stronę krasnoludów.

Jeden z siedzących przy ognisku podniósł się i zbliżył wolnym krokiem. Czarodzieja nieco zdziwiło, skąd krasnoludy wiedziały, którego z nich przywołuje ten okrzyk „e!”, ale może Wyrknuh ustalił z nimi przedtem, kto w wypadku pomyślnych negocjacji ma wspomóc czarodzieja.

– To jest Hremarg Ostrogłów, syn Grymarga, wnuk Kordana Siwej Burzy – przedstawił Wyrknuh przybysza.

Arivald wstał, jak wymagała tego uprzejmość, i uścisnął dłoń krasnoluda. Hremarg wyglądał dość młodo, najwyżej na jakieś pięćdziesiąt lat i był nadspodziewanie wytwornie ubrany. Na kolczugę miał narzucony podbijany kunim futrem czysty i nie połatany płaszcz, a na nogach botforty ze świetnie wyprawionej jeleniej skóry. Wyglądał również całkiem okazale z brodą zaplecioną w dwa równe warkocze, z włosami mocno ściągniętymi do tyłu, namaszczonymi tłuszczem i pokrytymi orzechową farbą. Na środkowym palcu prawej dłoni miał

pierścień z ogromnym szmaragdem, a przynajmniej czymś, co według Arivalda (który nie znał się dobrze na szlachetnych kamieniach) na szmaragd wyglądało. No, ale skoro był wnukiem samego Kordana Siwej Burzy, jednego z wielkich krasnoludzkich wodzów…

– Oto mapy – rzekł Hremarg, od razu przechodząc do rzeczy. Wyciągnął zza pazuchy skórzany futerał, a z niego plik pergaminów. – Obejrzyj je uważnie, czarodzieju, a jutro pogadamy, jeśli będziesz miał jakieś pytania.

Arivald przyjął mapy z rąk Hremarga. Na pierwszy rzut oka widać było porządną krasnoludzką robotę. Linie były wyraźne i pieczołowicie wykreślone, każdą kartę zaopatrzono w wyczerpującą i starannie wykaligrafowaną legendę. Ludzcy kartografowie mogliby się uczyć od krasnoludów, westchnął w myślach Arivald, wspominając, jak nie tak dawno temu baronet Welias pokazywał mu plany Tarhenionu. Bardziej przypominały surrealistyczny rysunek stworzony przez pijanego malarza niż cokolwiek innego. Czarodziej poświęcił trzy noce, nim rozgryzł w końcu, o co w nich tak naprawdę chodzi. Inna sprawa, że były w opłakanym stanie i mogło się wydawać, że ktoś dawał na nich jeść psom. Tu podobne problemy były nie do wyobrażenia. Krasnoludy przegnałyby osobnika, który ośmieliłby się wykazać brak szacunku dla map. Dobrze wiedziały, iż od jakości mapy często zależy życie. Tak mogło być i tym razem.

– No to pracuj, pracuj – zezwolił pobłażliwym tonem Wyrknuh i obaj z Hremargiem odeszli do swoich.

Uwagi Arivalda nie umknęło, że rozstawione przez starego krasnoluda straże nienatrętnie, ale uważnie zerkają czasem w jego stronę. Ostrożności nigdy dość, zaśmiał się w myślach Arivald, choć jednocześnie zdumiał się naiwnością krasnoludów. Gdyby chciał uciec z mapami, starczyło wypowiedzieć któreś z teleportujących zaklęć Gaussa. Inna sprawa, że świat stałby się bardzo malutki dla kogoś, kto próbował tak bezczelnie nabrać krasnoludy. Zresztą Arivald wcale nie miał ochoty nigdzie uciekać. Wręcz przeciwnie. Spenetrowanie kopalni Starego Ghorlargu zapowiadało się jako wielka przygoda. Dość niebezpieczna przygoda, szczerze mówiąc. No ale życie w ogóle ma to do siebie, że jest niebezpieczne.

Opis do map był przygotowany w hergish, czyli języku starokrasnoludzkim nie używanym już od z górą ośmiuset lat. Z punktu widzenia krasnoludów osiemset lat to czas przeminięcia zaledwie czterech pokoleń, więc dla nich odejście od hergish było sprawą stosunkowo świeżej daty. Arivald znał starokrasnoludzki na tyle dobrze, aby odcyfrować napisy na mapach, choć nie na tyle, by czytać starożytne eposy. Tu mu jednak to nie groziło. Gorzej, że mapy mogły być zaklęte. Krasnoludy miały niemiły zwyczaj magicznego szyfrowania, a korzystały zwykle z usług jeśli nie czarodziei, to

przynajmniej biegłych magików. Mówiono nawet, że dawno temu służyli im wiedźmiarze, choć krasnoludy stanowczo się takich kontaktów wypierały. W każdym razie mogły zostać wprowadzone przeróżne szykany. A to kawałek mapy ukazywał się jedynie określonego dnia, a to trzeba było potraktować pergaminy odpowiednimi miksturami, a to sama mapa mogła być jedynie szyfrem, który po odcyfrowaniu dawał inną mapę, a to mogła być szyfrem do szyfru, a to mogła być zabezpieczona wielopoziomowymi zaklęciami skrzynkowymi.

Oczywiście na wszystko były sposoby. I Arivald zamierzał spędzić przy mapach tyle czasu, ile będzie trzeba, by nie okazało się później, że czegoś zaniedbał. Gdyż w tym wypadku zaniedbanie mogło zakończyć się tragicznie. Do dzisiejszego dnia czarodzieje opowiadali sobie jako anegdotę (choć raczej smutną anegdotę) historię Penvisha Rudobrodego, słynnego maga i znawcy szyfrów, który zginął marnie, nie zauważywszy, że znaczenie jednego z wyrazów zinterpretował mylnie, biorąc ślad po muszej kupie za literę. Stąd też coś, co było starożytnym krasnoludzkim ostrzeżeniem, wziął za starożytne krasnoludzkie pozdrowienie. Dzięki temu stracił nie tylko brodę, z której był tak dumny, ale również głowę.

Kiedy zbliżał się świt, Arivald miał już niemal pewność, że trafnie odcyfrował przynajmniej jedną szóstą mapy. Był to całkiem nieoczekiwany sukces, gdyż czarodziej wiedział (co prawda nie z własnego doświadczenia), iż zdarzały się plany wymagające wielotygodniowych studiów. Ta mapa w dodatku nie była zabezpieczona zaklęciami, a przynajmniej sprawiała takie wrażenie na pierwszy rzut oka. Może jednak to właśnie była pułapka: sprawiać wrażenie, że pułapki nie ma.

– Zjesz coś?

Wyrknuh zbliżył się nadspodziewanie cicho. Arivald przetarł oczy i skinął głową. Krasnolud podał mu nabity na patyk kawałek sarniego mięsa oraz skórzany bukłak. Czarodziej odkręcił korek i poniuchał.

– Tego mi było trzeba. – Z wdzięcznością przechylił bukłak. Potem odetchnął głęboko i zatopił zęby w mięsie.

Wyrknuh wyjął mu z dłoni bukłak, potrząsnął nim, a potem starał się nawet zajrzeć do środka.

– Jesteś pewien, że nie masz w sobie krasnoludzkiej krwi? – zapytał z nagłym szacunkiem w głosie.

– Niestety! – Arivald roześmiał się. – Ale kiedyś, bardzo dawno temu, miałem przyjaciela krasnoluda…

– A kogóż to? Czarodziej nagle sposępniał.

– Nieważne – powiedział – umarł dawno temu. Wyrknuh raz jeszcze potrząsnął bukłakiem.

– Czarodzieje czasem jednak mogą człowieka czymś zadziwić.

Zwykle ludzie po krasnoludzkim spirytusie zachowują się, jakby bardzo im się śpieszyło do najbliższego jeziora. Albo najbliższego wychodka. A jak tam mapa? Wiesz już coś?

– I tak, i nie. – Arivald wzruszył ramionami. – Nie sądzę, żebym uporał się z tym przed końcem tygodnia. A kto wie, może to potrwa jeszcze dłużej.

– Wiesz, ile ja tracę dziennie? – syknął krasnolud. – A górnikom muszę płacić tak czy siak, bo mi polezą gdzie indziej. Gurbish otworzył nową kopalnię na północy i wszyscy chcieli tam pójść. Ledwo ich zatrzymałem.

– Potrwa tyle, ile będzie trzeba – rzekł ostro Arivald – i nie poganiaj mnie. Nie zamierzam stracić życia przez musze gówno albo inne głupstwa.

– Co za musze… aaa… – przypomniał sobie Wyrknuh i zaśmiał się. – To dość ucieszna historyjka, ale wolałbym rzeczywiście nie opowiadać podobnej o tobie. Rudobrody… jakże mu było?

– Penvish Rudobrody – odparł niechętnie Arivald. – Słyszałem, że krasnoludy zapłaciły za niego okup stu kilogramów złota.

Wyrknuh aż się zatrząsł.

– Ja słyszałem o dwudziestu funtach – powiedział przyciszając głos – ale słuchaj no…

– Spokojnie. – Arivald uniósł dłoń. – Nikt w Bractwie nie wie, gdzie jestem. Jak ty i twoi będziecie siedzieć cicho, nikt się nie dowie.

Czarodziej wiedział, że po śmierci Penvisha Tajemne Bractwo zagroziło krasnoludom zakazem jakiejkolwiek pomocy na zawsze i przerażone krasnoludy (dla których wsparcie czarodziei było w wielu wypadkach nieodzowne) zgodziły się na ten nieprawdopodobny okup. Choć Penvish sam był sobie winien. Teraz Wyrknuh słusznie mógł się obawiać, że w wypadku śmierci Arivalda Bractwo wpadnie w szał. A to mogło krasnoludy drogo kosztować, bo czarodzieje mieli surowo przykazane, aby każde zlecenie w krasnoludzkich kopalniach uzgadniać na samej górze, czyli z Wielkim Mistrzem. Krasnoludy całe lata temu podpisały nawet dokument, w którym solennie zobowiązywały się nie zatrudniać magów nie posiadających glejtu od Wielkiego Mistrza. Arivald glejtu takiego nie posiadał i nawet nie mógł marzyć o dostaniu go, gdyż w Bractwie wysoko sobie ceniono jego umiejętności i mistrz Harbularer prędzej kazałby Arivalda zamknąć w silmaniońskim więzieniu, niż zezwolił na badanie Starego Ghorlargu. Z kolei żaden z wielkich krasnoludzkich wodzów (a z pewnością szef klanu, do którego należał Wyrknuh) nie pozwoliłby Wyrknuhowi na wynajęcie czarodzieja nie posiadającego glejtu. Gdyż w razie niepowodzenia mogło to sporo kosztować wszystkie krasnoludy. Oczywiście nie znaczyło to, że szefowie klanów nie wiedzieli o całej sprawie. Ale jeśli nawet, to nigdy się do tego nie

przyznają. Z całą pewnością nie wydali też Wyrknuhowi jasnego rozkazu, aby w razie czego móc, zgodnie z prawdą, powiedzieć, że nie mają z tym nic wspólnego.

– Mam nadzieję, że nikt się nie dowie – mruknął Wyrknuh bez specjalnej wiary w głosie – a przynajmniej niezbyt szybko. Zrozum – pochylił się nad Arivaldem i przyciszył głos – jeżeli nie zejdziesz tam czym prędzej, niedługo wszystkie ptaszki w okolicy zaczną ćwierkać dwa słowa: czarodziej i Ghorlarg.

– Nawet jeśli, to nikt nie zdąży nam przeszkodzić. – Arivald wzruszył ramionami, potem przetarł oczy. – Muszę się teraz przespać i niech nikt mnie nie budzi.

Spał nadspodziewanie smacznie, ale była to jedna z umiejętności czarodziei. Dobrze spać w każdych okolicznościach, bo przecież nie wiadomo kiedy będzie okazja do następnego bezpiecznego snu. Większość czarodziei co prawda wysypiała się na puchowych piernatach w swych silmaniońskich domach, lecz Arivald podróżował tak wiele, że radzenie sobie z niewygodami weszło mu w krew i stało się drugą naturą.

Kiedy wstał, czekało już na niego śniadanie, a nawet miednica z wodą, mydło i prawie czysty lniany ręcznik. Wszystko to oznaczało, że krasnoludom naprawdę zależało na wsparciu Arivalda. Umył się starannie, zjadł i z lekkim poczuciem znużenia (które towarzyszyło mu zawsze, kiedy musiał zabrać się do jakiejś trudnej pracy) usiadł nad mapami. Po chwili przysiadł obok niego Hremarg Ostrogłów.

– Te mapy – rzekł – nazywano dawniej mapami księżycowego dnia. Może ci się to przyda.

– Boże, i teraz mi o tym mówisz?! – Arivald odłożył pergaminy na bok. – Aż do następnego zaćmienia słońca są to bezwartościowe śmiecie. Te mapy uaktywnią się tylko w chwili zaćmienia.

– Chyba zawołam szefa – powiedział niepewnie Hremarg. Wyrknuh przybiegł szybko i miał wyjątkowo nieprzyjemny wyraz twarzy.

– Co za bzdury? – warknął.

Arivald pokrótce wyjaśnił mu sprawę.

– Chcesz więcej złota? – Krasnolud strzelił pięścią w pięść. – To się nie godzi!

– Przestań myśleć o złocie – rozeźlił się Arivald – i posłuchaj uważnie: mapy księżycowego dnia to fałszywki. Służą do tego, aby zmylić niewtajemniczonych. Najczęściej prowadzą ku zagładzie. Tylko w czasie zaćmienia słońca daje się odczytać właściwą treść. A czasem nie daje się w ogóle jej odczytać. Rozumiesz? Niektóre mapy robiono tylko po to, aby wprowadzać w błąd. A tak naprawdę właściwych map nigdy nie było.

– Czy nie zdarzyło się – spytał krasnolud po chwili namysłu – by

jakieś mapy nazywano księżycowymi, aby utrudnić korzystanie z nich, a tymczasem były to zwykłe mapy?

– Pułapka w pułapce pośrodku pułapki – stwierdził Arivald. – Wszystko jest możliwe. Ale to bardzo trudno stwierdzić.

– Da się?

– Może tak, może nie. – Czarodziej był lekko zniechęcony. – Nie jestem specjalistą od krasnoludzkich map. Rektor Lineal z Silmaniony jest prawdziwym mistrzem magii kartograficznej, Bolgast Szczwacz liznął co nieco, Galladrin interesował się tym tematem. Ja mógłbym się uczyć od wszystkich trzech.

– Przynajmniej szczerze – westchnął Wyrknuh. – Żaden nie mógłby nam pomóc?

– Galladrin tak, ale kto wie, gdzie go szukać? Lineal i Bolgast od razu donieśliby Wielkiemu Mistrzowi. Wtedy pewnie Bractwo zajęłoby się sprawą, a to mogłoby trwać miesiącami.

Wyrknuh paskudnie zaklął po krasnoludzku.

– Nie mam dodatkowych miesięcy na stracenie… ale zaraz, słyszałem o kimś, kto zna się na mapach.

– No?

– To już nie czarodziej, choć wyznaje się na tym i owym…

– Kto? – nieufnie spytał Arivald.

– Krasnoludy nazywają go Vergharem, ludzie chyba Parharisem…

– Parharas Razelmont – rzekł Arivald i zabrzmiało to jak warknięcie. – Wyrzutek i zdrajca. Fałszerz i oszust.

– Specjalista – dodał Wyrknuh, patrząc w niebo.

– Trzeba było się od razu do niego zgłosić.

– Pewnie! Ciebie mi jeszcze darują. Najwyżej zapłacimy okup. Ale za wynajęcie Parharasa… tak, Parharasa, dobrze mówię?… ukamienowaliby mnie wszyscy. Poczynając od moich szefów, a na twoich kończąc.

– Przynajmniej szczerze. Więc czego chcesz? Żebym to ja zgłosił się do Razelmonta, a ty niby o niczym nie wiesz? Zdajesz sobie sprawę, co mi zrobi Wielki Mistrz i Bractwo, jeżeli się dowiedzą, że korzystam z pomocy kogoś, kto został oficjalnym wyrokiem sądu usunięty z Bractwa?

– To jest Ghorlarg – oświadczył uroczyście krasnolud – największa tajemnica świata prócz moczarów Bardagalaru i Zgniłego Lasu. Kto wejdzie do Ghorlargu i wyjdzie stamtąd, zyska sławę i wiedzę.

– Tyle że wyjście jest raczej mało prawdopodobne – mruknął Arivald.

Ghorlarg powstał wiele wieków przed narodzeniem najstarszego z krasnoludów. Mówiło się, że ten system podziemnych jaskiń i korytarzy wyżłobiły pokolenia niewolników służących koboldom. Było to jeszcze w czasach, kiedy koboldy były równorzędnym

przeciwnikiem dla ludzi i krasnoludów, wtedy gdy pomiędzy tymi rasami trwały zaciekłe i niezwykle krwawe walki. Ludzie przeważnie sprzymierzali się z krasnoludami przeciw koboldom, gdyż to starożytne plemię przerażało wszystkich swą odmiennością. Potem krasnoludy zwyciężyły w bitwie pod Kirirathem i zaanektowały Ghorlarg. Ale mimo bogactwa kruszców spenetrowały jedynie niewielką część ogromnych kopalni. A później, na zlecenie jednego z krasnoludzkich wodzów, wejścia do Ghorlargu zamknięto. Było po prostu za dużo ofiar. I dopiero Wyrknuh – z pewnością nie sam, musiał mieć możniejszego od siebie protektora – zdecydował się na ponowne otworzenie kopalń. I skończyło się to, jak na razie, tragicznie. Co zabijało w Ghorlagu? Może stara koboldzia magia, której nikt nie znał, nawet żyjące dziś koboldy? A może mściły się duchy niewolników, którzy tysiącami ginęli w Ghorlargu, pod batami nadzorców, pod kamiennymi zawałami, z głodu i pragnienia, z tęsknoty za utraconym domem i światłem dnia?

Niektórzy twierdzili, że koboldy jedynie przejęły Ghorlarg, a zbudował go ktoś inny. Jakaś starożytna rasa, po której nie zostało nawet wspomnienie w legendach i pieśniach. Arivaldowi wydawało się to mało prawdopodobne. Ale nie niemożliwe. Mnóstwo jeszcze tajemnic kryje świat. Kto wie, co naprawdę (czy kto) żyje w Zgniłym Lesie i na moczarach Bardagalaru, kto wie, co kryje się w morskich głębinach lub na dalekim południu, hen za Ker-Paraveh? A niedawno odkryty Nowy Świat, do którego trzeba płynąć kilka tygodni po falach bezkresnego oceanu? Kto wie, jaki jest naprawdę i co znajduje się na jego drugim krańcu?

A mapy Ghorlargu wyrysowane przez krasnoludy były jedynie kopiami oryginałów. Oryginałów, które dawno zaginęły. Czy były rzetelnymi kopiami, tego nikt wiedzieć nie mógł, bo choć krasnoludy były znakomitymi kartografami, to przecież wiele detali, ukrytych za pomocą magii, mogło ujść ich uwagi.

Arivald zastanawiał się przez cały dzień i w końcu zdecydował: spotka się z Parharasem Razelmontem. Jeżeli rzecz się wyda, będzie skandal i nieludzka afera, ale tajemnice Ghorlargu były warte ryzyka. Krasnoludy wiedziały, gdzie mieszkał Razelmont, gdyż jego dom znajdował się zaledwie trzy dni drogi od jednego z wejść do kopalni.

Czarodziej odstępca żył samotnie na skraju osady zwanej Rzezimieszki (bardzo to trafny był wybór, zważywszy na charakter Parharasa) i rzadko wyściubiał nos z domu otoczonego magicznymi kręgami ochronnymi. A raczej pseudomagicznymi, bo Razelmont, od kiedy złamano mu różdżkę, nie mógł już korzystać z prawdziwej mocy. Arivald nie wiedział, za co ukarano Parharasa tak surowo, bo wszelkie materiały sądowe były utajnione, a nikt z tych, co sprawę znali, nie chciał o niej mówić. Rzecz była wyjątkowo wstydliwa, bo w

krótkim czasie zdarzyło się trzech odstępców: Vargaler, który zniknął gdzieś po sporze z danskarskimi piratami, Dagolar, któremu po procesie sądowym odebrano moc, oraz właśnie Parharas, którego sprawy Arivald nie znał, gdyż w czasie trwania procesu przebywał w gościnie u Borrondrina. O Razelmoncie głośno było i poprzednio z racji jego awantur, wybryków, oszustw, krętactw i notorycznego pijaństwa. Cóż, wszędzie trafiają się czarne owce. Ale złamania różdżki nie spowodowałyby nawet największe oszustwa i krętactwa. Parharas musiał zabawiać się rzeczami, od których każdy przyzwoity czarodziej trzyma się z daleka. Może była to nekromancja, może skumał się z którymś z wiedźmiarzy, może próbował otwierać zabronione przejścia albo starał się dotrzeć do zamkniętych sejfów Aury… W każdym razie przewina była z pewnością dużej rangi (bo Bractwo bardzo niechętnie karało któregokolwiek ze swoich), a wyrok sprawiedliwy.

– W porządku – rzekł Arivald do Wyrknuha – spotkam się z nim, ale niech Bóg cię chroni, jeżeli wiadomość o tym spotkaniu pójdzie w świat.

– A co, głupi jestem? – warknął stary krasnolud. – Mnie by za to popieścili?

Parharas Razelmont wyglądał tak samo wrednie, jak wredną miał opinię. Był niechlujnym starcem o brodzie pożółkłej od tytoniu (jedno z dobrodziejstw Nowego Świata) i małych złośliwych oczkach. Nosił wytarty kubrak z zaskorupiałymi plamami po sosach i winie oraz kapelusz z obwisłym, postrzępionym rondem.

– Sam słynny Arivald! – zaskrzeczał na powitanie. – Cóż sprowadza tak dostojnego czarodzieja do mego skromnego domku?

Domu Parharasa nie można było nazwać skromnym (przynajmniej jeżeli chodzi o wielkość). Była to ogromna parterowa szopa podzielona na kilkanaście mniejszych i większych pokoi. Wszędzie (a przynajmniej wszędzie tam, gdzie sięgnął wzrok Arivalda) panował nieludzki bałagan i brud. Poza tym śmierdziało. Zjełczałym olejem, skwaśniałym winem i przepoconymi onucami. Na stole stał talerz pełen czegoś starego, zaschniętego i zielonkawego, co – sądząc po zapachu – musiało umrzeć dawno temu.

– Siadajcie, siadajcie – zaprosił Parharas i niedbale strzepnął na podłogę to, co leżało na krzesłach.

Arivald usiadł ostrożnie, krasnoludy po chwili wahania (bo krzesła nie wyglądały na zbyt solidne) również skorzystały z propozycji.

– Ghorlarg – rzekł krótko Wyrknuh. – Jesteś zainteresowany? Oczy Razelmonta błysnęły i zaraz przygasły.

– Ja? – spytał obłudnie skromnym tonem. – A cóż ja mógłbym

pomóc tak znamienitym osobom? Jestem tylko wyrzutkiem i odstępcą. Zajmuję się leczeniem bydła, czasem ludzi, sporządzam mikstury miłosne i odczyniam uroki…

– A także je rzucam – dokończył za niego Wyrknuh.

– O, to nieudowodnione insynuacje – strzepnął niedbale dłonią Razelmont.

– Nie oszukujmy się – rzekł Arivald. – Jesteś jednym z największych specjalistów od rozszyfrowywania map i potrzebujemy twojej pomocy.

– A Lineal? A Bolgast? A Galladrin? – niewinnie zapytał Parharas. – Dlaczego nie zgłosicie się do nich?

– Dobrze wiesz dlaczego. – Wyrknuh robił się już zły. – Zacznij więc gadać po ludzku. Tak czy nie?

Parharas potarł kciuk palcem wskazującym, w geście znanym od początku świata.

– A co ja z tego będę miał?

– Za co cię skazali? – spytał Arivald, choć nie było to najuprzejmiejsze pytanie.

Razelmont skurczył się w sobie, ale zaraz uśmiechnął się na powrót.

– Zostałem oszukany – powiedział spokojnie. – Mój proces był prowokacją, został sfingowany od początku do końca.

– Przez kogo?

– Tego nie wiem. – Parharas sięgnął po dzbanek z winem i nie proponując poczęstunku gościom, nalał sobie do kubka.

– Czy nie chciałbyś więc, abym pomógł ci w wyjaśnieniu tej sprawy? Jeżeli jesteś niewinny, pomogę ci, niezależnie od tego jaką miałeś i masz opinię.

– Arivald z Wybrzeża. Surowy, ale sprawiedliwy – zadrwił Razelmont. – Za kogo ty się masz, czarodzieju? Za Pana Boga, za rękę losu, za wybawcę uciśnionych? Ja chcę pieniędzy. Dużo pieniędzy.

– Ile? – zapytał krótko Wyrknuh.

– Tysiąc dukatów – odparł po chwili Razelmont i zmrużył oczy.

Krasnoludy roześmiały się jak na komendę.

– Zostań więc ze swymi rojeniami. – Wyrknuh wstał. – Marnujemy tylko czas.

– Czy to nie krasnoludy twierdzą, że targowanie się jest podstawą handlu? – spytał przymilnym tonem Parharas.

– Możesz dostać trzydzieści za rozszyfrowanie map, drugie trzydzieści, jeżeli wyprawa się powiedzie, i trzecie, jeżeli weźmiesz w niej udział. To jest moje ostatnie słowo.

– O tym nie było mowy – zaprotestował Arivald, któremu nie uśmiechała się podróż z Razelmontem przez labirynty Ghorlargu.

– No to jest teraz – odparł niegrzecznie Wyrknuh. – I jak?

Parharas Razelmont podrapał się po żółtawej brodzie.

– A on ile dostaje? – spytał wskazując Arivalda.

– To niech cię nie obchodzi – rzekł czarodziej – a poza tym nic, bo ja wycofuję się z tego interesu. Radźcie sobie sami.

Był naprawdę wściekły. Nie dość, że musiał rozmawiać z człowiekiem, którego zachowanie budziło w nim obrzydzenie, to jeszcze mógł z powodu tej rozmowy mieć kłopoty. A poza tym kto wie? Może to znak od losu, aby w porę dać sobie spokój? W labiryntach Ghorlargu naprawdę było niebezpiecznie.

– Ejże! – warknął Wyrknuh. – Przecież on sobie nie poradzi bez ciebie! Tu potrzebna jest magia!

– Co fakt, to fakt – mruknął Razelmont i Arivald spojrzał na niego zdziwiony, bo oczekiwał raczej stwierdzenia, że odszczepieniec sam da sobie doskonale radę. – Dobra, krasnoludzie, zgadzam się. Ale zawdzięczasz to tylko temu, że wyjątkowo potrzebna jest mi gotówka. Pokażcie te mapy.

– Nie tutaj – rzekł stanowczo Wyrknuh, a Hremarg w milczeniu przytaknął. – Przejdziemy się do naszego obozu.

Parharas wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcecie – powiedział, sięgając po płaszcz. – Mnie to obojętne.

Parharas Razelmont może i był odstępcą, może miał paskudny charakter, ale za to na mapach rzeczywiście się znał. Ponieważ jednak pozbawiono go mocy i możliwości czerpania z Aury, często musiał korzystać ze wsparcia Arivalda. Ale nie ulegało wątpliwości, kto tutaj naprawdę wie, o co chodzi.

– Bajki tam, a nie księżycowa – rzekł w końcu, kiedy spędzili już nad mapami dwa dni – i wcale nie zaszyfrowana, wcale nie zaklęta. To najzwyklejsza mapa – spojrzał w zadumie na Arivalda. – Czy to nie dziwne?

– Bardzo dziwne – przytaknął czarodziej, który co prawda nie zdołał Parharasa polubić, ale zaczął szanować jego wiedzę.

– I niebezpieczne – dodał Razelmont. – Tak… – popatrzył w niebo – co za historia…

Sięgnął po kubek z wodą, bo poza wszystkimi wadami miał też tę jedną, że od czasu przybycia do obozu krasnoludów nie tykał alkoholu (na co Arivald patrzył z głębokim politowaniem). Siorbnął i otarł wargi.

– Weźmiesz mnie ze sobą? – zapytał dziwnie pokornym tonem.

Arivald był przygotowany na to pytanie, lecz nadal nie był pewien, jak odpowiedzieć. Gdybyż wiedział, za co skazano Parharasa w Silmanionie! Ale tajemnicy ściśle przestrzegano i czarodziej mógł jedynie gubić się w domysłach. Razelmont miał tak złą opinię, że spodziewać można się było po nim najgorszego. Po pierwsze, mógł

kłamać, aby poprzez niepowodzenie, czy nawet śmierć Arivalda wywrzeć zemstę na Bractwie. Po drugie, mógł wiedzieć więcej, niż mówił, i chcieć zbadać Ghorlarg w sobie tylko znanych celach. Po trzecie, mógł doprowadzić do śmierci Arivalda i knuć jakiś plan, mający na celu szantażowanie krasnoludów tym, iż opowie, kto czarodzieja wynajął i w jakim celu. Nie byłby to najmądrzejszy pomysł, bo ci, co starali się szantażować krasnoludy, zwykle kończyli z głową wbitą na ładnie zastrugany palik (jako przestroga dla innych szukających łatwego zarobku). Ale można było też przyjąć inną wersję: Parharas chciał się zrehabilitować i starać o cofnięcie wyroku. Nie ma bowiem dla czarodzieja gorszej rzeczy niż odebranie mu mocy i możliwości korzystania z Aury. Nawet nie można porównywać tego z oślepieniem, prędzej z pozbawieniem narkotyku czy utratą jedynej prawdziwej miłości. Ale nawet to nie w pełni oddaje tragedię, jaka spotyka ukaranego maga. Toteż Bractwo tego typu represjami nie szafowało lekką ręką. Ostatnio spotkało to co prawda słynnego i znamienitego Dagolara, ale inna sprawa, że w pełni sobie na karę zasłużył.

– Zgoda – zdecydował Arivald.

Razelmont siedział jakiś taki przygarbiony i zgnębiony, a spod oberwanego kapelusza sterczały mu tylko wiechcie brody.

On musi być bardzo stary, pomyślał nagle Arivald i nie wiadomo czemu zrobiło mu się żal zdegradowanego czarodzieja. Ale jednocześnie jakiś głos wewnętrzny cały czas go ostrzegał: pamiętaj, ten człowiek ma wiele na sumieniu. Postaraj się nie zostać ofiarą jego szachrajstw i knowań.

Hremarg Ostrogłów zbliżył się do nich niepostrzeżenie.

– Mam wieści.

Arivalda zawsze dziwiło, w jaki sposób krępe, zwaliste krasnoludy, o wydawałoby się niezgrabnych ruchach, potrafią zachowywać się cicho jak morribrondzkie elfy.

– Co za wieści?

Hremarg w milczeniu wskazał Parharasa podbródkiem. Wyklęty mag podniósł się z wyrozumiałym uśmieszkiem.

– Przejdę się – rzekł.

– Co się stało? – zapytał Arivald, kiedy Razelmont oddalił się już na wystarczającą odległość, by ich nie słyszeć.

– Otrzymaliśmy wiadomość z Silmaniony – powiedział krasnolud grobowym tonem.

– Jak? – zdziwił się Arivald, a potem szybko zorientował się, że to było głupie pytanie.

Krasnoludy żyjące w miastach i zajmujące się handlem lub rzemiosłem znane były z hodowli wyjątkowo pojętnych gołębi pocztowych. Korespondowały też często ze swoimi krewniakami z gór,

dzieląc się z nimi informacjami tyczącymi cen na rynku, zapotrzebowania na określone towary, ale także wieściami politycznymi czy zwykłymi plotkami.

Hremarg zignorował pytanie.

– To niedobre wiadomości – rzekł. – Bractwo cię szuka. Narażamy się na gniew magów. Nasi kuzyni z Silmaniony radzą nam, abyśmy natychmiast zakończyli całą sprawę.

– Szukają mnie? – Arivald był pełen wątpliwości. – Jesteś pewien?

Nie wyobrażał sobie, dlaczego Bractwo ma go szukać. Znany był z częstych podróży i niedotrzymywania terminów powrotu. No chyba że do Silmaniony doszły jakieś wieści dotyczące tego zlecenia. Ale nie, wtedy Bractwo po prostu rozkazałoby krasnoludom zrezygnować z kontraktu. I rozkazu takiego krasnoludy z pewnością by posłuchały. Nie mówiąc już o tym, iż posłuchać by go musiał sam Arivald. Słowa krasnoluda niosły ze sobą też dodatkową wiadomość: krasnoludy z Silmaniony wiedziały o zamierzonej wyprawie do Ghorlargu. Zresztą od początku było jasne, że Wyrknuh jest osobą zbyt mało znaczącą, by podjąć tak ważną decyzję. Czarodziej podrapał się z namysłem po nosie.

– Wiem, że tego rodzaju informacji nie udzielacie zbyt chętnie, ale kto przesłał te wiadomości?

Hremarg wahał się przez chwilę.

– Dundin Krzywousty – powiedział w końcu.

– Znam go, oczywiście. – Arivald zaniepokoił się, bo Dundin był osobą szanowaną i zawsze dobrze poinformowaną. Jeżeli twierdził, że Arivalda poszukiwano, można było mieć pewność, że tak jest w rzeczywistości. Dundin był właścicielem kilku sklepów jubilerskich, zajmował się też na dużą skalę przemytem, ale patrzono na to przez palce, bo często okazywał się pomocny i użyteczny. Arivald znał go od dawna i szanował. – Dostaliście rozkaz czy tylko ostrzeżenie?

– Dundin nie ma władzy, by nam rozkazywać – mruknął Ostrogłów.

Czarodziej potarł niepewnie brodę. Cóż mogło się stać, że Bractwo tak pilnie go poszukuje? Arivald, chociaż uważany był za bardzo niezależnego i nieco szalonego, zawsze informował Harbularera o swych podróżach, zawsze też oznaczał termin powrotu. Co prawda często się spóźniał, ale nie w tym przypadku! Teraz miał jeszcze prawie dwa miesiące, aby powrócić do Silmaniony w umówionym terminie. Inna sprawa, że nie zawsze zwierzał się z tego, w jakim celu podróżuje. A w wypadku tego akurat kontraktu takie zwierzenie spowodowałoby niechybnie areszt domowy.

– A co na to Wyrknuh? – spytał.

– Ty decyduj, powiedział.

– Łatwo powiedzieć: decyduj – żachnął się Arivald i naprawdę był

w kropce.

Wielki Mistrz wzywał, a więc wypadałoby rzucić wszystko i jechać. Ale czy kiedyś, później, zdarzy się podobna okazja wejścia do Ghorlargu? Sprawa musiała być jednak poważna, skoro nawet zainteresowane materialnie krasnoludy nie namawiały go do pozostania. List od Dundina napędził im stracha. Arivald wierzył wprawdzie, iż jubiler z Silmaniony nie ma prawa wydawać rozkazów Wyrknuhowi, ale hierarchia wśród krasnoludów była tak dalece skomplikowana (i wysoce utajniona), że czasem one same z trudem orientowały się, kto ma prawo podejmowania decyzji. Dlatego były bardzo ostrożne zarówno w rozkazywaniu, jak i w słuchaniu rozkazów. A teraz wszystko spadło na barki Arivalda. To on miał podjąć decyzję. I w razie czego ponieść konsekwencje.

– Muszę pomyśleć – powiedział w końcu niechętnie i sięgnął po fajkę.

Palił rzadko, ale kiedy był zdenerwowany, nic tak nie uspokajało jak ziele przywiezione z Nowego Świata (i sprzedawane na wagę złota), palone w dobrej wrzoścowej fajce. Arivald był niechętny nowinkom i modom, lecz tytoń naprawdę miał swój urok. A poza tym mówiono, że oczyszcza oddech i przeciwdziała przeziębieniom, co zresztą było wierutną bzdurą. Ale na pewno uspokajał i pomagał skupić myśli.

Hremarg skinął głową i przykucnął obok Arivalda. Wyjął z zanadrza własną fajkę i powoli, statecznie ją nabił. Palili w milczeniu, a Arivald posyłał nad głowę kółka dymu, raz mniejsze, raz większe. Pomyślał, że życie w ciągłych rozterkach i ciągłym niepokoju jest jednak męczące. Ale z drugiej strony nie wyobrażał sobie, jak mógłby nie uczestniczyć w ważnych wydarzeniach. Tyle ciekawych rzeczy działo się przecież na świecie! Jak można dobrowolnie zrezygnować z współuczestnictwa w kształtowaniu tegoż świata (jakkolwiek pompatycznie miałoby to brzmieć)? Zamknąć się w pilnie strzeżonym domu i czas spędzać na czytaniu ksiąg i dysputach z innymi czarodziejami? O nie! To z pewnością nie było życie dla Arivalda. Ale z drugiej strony czarodziej nie był krasnoludzkim berserkerem i nie zamierzał ryzykować głowy, do której zdążył się już bardzo przywiązać. To, że był znany w połowie świata (głównie z ballad, pieśni i poematów), mile łechtało jego próżność, lecz wcale nie chciał, aby szybko powstał poemat o jego bohaterskiej śmierci. W Ghorlargu czyhało jakieś namacalne niebezpieczeństwo. Coś obudziło się w tych starożytnych kopalniach i zaczęło zbierać haracz z krasnoludzkiej krwi. Oczywiście inna rzecz, że do kopalń weszli nie uzbrojeni po zęby, doświadczeni krasnoludzcy wojownicy, tylko grupka górników, nie przygotowanych na atak. Gdyby byli tu jego starzy przyjaciele z armii Wszobrodego, Arivald nie wahałby się nawet przez chwilę. Ale

teraz mógł liczyć tylko na Parharasa Razelmonta, wyrzutka, odstępcę i człowieka niegodnego zaufania.

– Pójdę – rzekł w końcu ciężko, bolejąc nad własną głupotą.

– No to pójdziemy razem – mruknął Hremarg bez emocji w głosie, puszczając z ust jeszcze jedno kółeczko dymu.

– Nie musisz tego robić – powiedział zdziwiony Arivald.

– Jestem wnukiem Kordana Siwej Burzy, czarodzieju – rzekł dumnie Hremarg. – Nie wiesz, że mój dziad zginął w walce z koboldami?

– Nie sądzę, abyśmy natknęli się tu na jakiegoś – mag lekko wzruszył ramionami – ale twoja pomoc będzie dla mnie łaską losu – dodał uprzejmie i rzeczywiście był zadowolony.

Towarzystwo młodego, ale doświadczonego już krasnoludzkiego wojownika mogło okazać się pomocne. Mogło też się takie nie okazać, jeżeli Hremarg koniecznie chciał zostać bohaterem.

Krasnolud odwrócił się i dał znać Parharasowi, że może już podejść. Razelmont zbliżył się niespiesznym krokiem i bez słowa usiadł.

– Kiedy będziemy gotowi? – zapytał Arivald.

– Nie sądzę, abyśmy byli kiedykolwiek bardziej gotowi, niż jesteśmy w tej chwili. Nic więcej nie odczytam z tych map. Wszystko wyjaśni się na miejscu.

– Każę przygotować zapasy na drogę. – Ostrogłów podniósł się z miejsca. – Jutro o świcie ruszymy.

Arivald skinął głową na znak zgody i nagle poczuł wielki strach. Pakował głowę w paszczę lwa, ale teraz nie mógł się już wycofać bez utraty poważania u krasnoludów. Inna sprawa, że później wycofanie się nie będzie hańbą, jeżeli odkryją, iż mapy nie odpowiadają rzeczywistości. A tak też mogło się zdarzyć.

To, że mapy nie odpowiadają rzeczywistości, okazało się już po wejściu na dolny poziom kopalń. Krasnoludy zwiozły Arivalda i jego dwóch towarzyszy windą, a potem wskazały drogę do następnego zejścia. Tam trzeba już było użyć lin. Na szczęście wystarczyło przymocować je do starego kołowrotu i całe zejście poszło gładko. Ale mapa, niestety, nie oddawała rzeczywistego stanu rzeczy.

– Cholera, tu powinna być ściana – zaklął Arivald, przyświecając sobie górniczą lampką.

Na razie wolał nie używać zaklęć, bo ich stosowanie w miejscach tak przesyconych magią jak Ghorlarg było ryzykowne.

– Mogły być jakieś wstrząsy tektoniczne – mruknął Parharas – i zawaliło ją…

– A tę zbudowało – rzekł opryskliwie Hremarg wskazując ścianę, której według mapy być nie powinno.

Parharas zamilkł i przygryzł wargi. W świetle lampy jego twarz

miała szary odcień, a migające cienie nadawały jej nieco przerażający wyraz.

– Więc? – poddał Arivald.

– Wracamy – zdecydował krasnolud.

Czarodziej odetchnął z ulgą. Skoro Hremarg sam stwierdził, że kontynuowanie wyprawy mija się z celem, to wszyscy powinni być zadowoleni. Oczywiście oprócz Wyrknuha, który będzie musiał się pogodzić z zaprzestaniem eksploatacji kopalni.

– Nie! – rzekł nagle Parharas. – Ja idę.

I zaraz ruszył przed siebie. Arivald nie zdołał nawet zareagować, a Razelmont już zniknął w mroku. Nie miał ani lampy, ani mapy. Nie mógł również korzystać z Aury, nawet po to, by najprostszym zaklęciem rozświetlić mrok. Po prostu rozpłynął się w ciemności korytarzy. Przez chwilę tylko słyszeli szuranie jego butów, a potem i ten odgłos umilkł. Krasnolud popatrzył na Arivalda ze zdumieniem.

– Oszalał – powiedział kręcąc głową – a wydawał się przywiązany do własnej skóry.

Czarodziej już chciał przytaknąć krasnoludowi, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że Razelmont mógł ich oszukać. Celowo wprowadził w błąd co do odczytania mapy, a sam poznał właściwe jej znaczenie. No tak, ale mapa była w rękach Hremarga. Czy Parharas był w stanie zapamiętać wszystkie szczegóły? Wydawało się to absolutnie niemożliwe, zważywszy w dodatku na fakt, że nie mógł użyć żadnego zaklęcia, które w tym by mu pomogło. Parharas Razelmont był co prawda wybitnym specjalistą od map, ale czy potrafił je zapamiętywać z zegarmistrzowską precyzją?

– Albo i nie oszalał – rzekł Arivald i przymknął oczy.

Stał przed trudnym wyborem. Kontynuowanie podróży oznaczało wielkie ryzyko, ba, może nawet samobójstwo. Ale z drugiej strony chciał wiedzieć, jakie tajemnice aż tak ciągnęły Parharasa do Ghorlargu.

– Możemy iść jego śladem – powiedział. – Sprawa byłaby o wiele prostsza, gdyby korzystał z Aury, wtedy poszlibyśmy za nim jak po sznurku. Ale i tak mogę śledzić jego kroki. Do pewnego momentu – dodał – więc musimy szybko podjąć decyzję.

Ostrogłów strzelił palcami.

– Lubię ludzi z ikrą – rzekł. – Idziemy.

Znając krasnoludy, Arivald wiedział, że na decyzję Hremarga znaczący wpływ miało jego pochodzenie. W końcu, jeżeli należy się do rodu Kordana Siwej Burzy, nie można wycofać się w chwili, kiedy inny uczestnik wyprawy (i to człowiek!) sądzi, iż można iść dalej. Co powiedziałyby krasnoludy, gdyby Ostrogłów wrócił samotnie? Wyśmiewano by go do samej śmierci, zresztą prawdopodobnie dość szybkiej, bo na szyderstwa musiałby odpowiadać ostrzem topora i

wcześniej czy później ktoś by go zabił. Niestety Arivald nie brał pod uwagę tych implikacji. Pytanie zadał, jakby miał do czynienia z normalnym towarzyszem wędrówki, człowiekiem, a nie z uwikłanym w setki ambicjonalnych zależności krasnoludem.

– To idźmy – odparł wzdychając i wypowiedział Gończego Psa Irlina.

Było to jedno z najprostszych zaklęć poszukiwawczych (im prostsza magia, tym lepiej używać jej w Ghorlargu, jeżeli już w ogóle się jakiejś używa), a Irlin znany był jako twórca czarów nieskomplikowanych, lecz skutecznych. Należał do grona tych czarodziei, którzy nad zawiłe dyskusje naukowe i dysertacje poświęcone teoretycznym bzdurom przedkładają praktykę. Magiem nie był wybitnym, ale prócz stworzenia Gończego Psa zasłynął jeszcze kilkoma mniej znanymi zaklęciami. Takimi choćby jak Zapach Irlina, zaklęcie do tej pory stosowane w czarodziejskich pracowniach. Powodowało ono, że te zwykle zatęchłe, duszne lub zadymione pomieszczenia napełniały się świeżym powietrzem, pachnącym, wedle uznania, sosnowym lasem, morskimi falami lub nawet różnymi mieszankami kwiatowymi. Po drobnych przeróbkach można było dzięki temu czarowi płatać przeróżne figle, tak jak uczynił to Kafias Białoręki, zaklinając pałac księcia Lothara Wymirskiego, tak by we wszystkich pomieszczeniach śmierdziało gnijącym mięsem. Zabawy Kafiasa (spowodowane pewnymi sporami na temat wysokości zapłaty za czarodziejskie usługi) stały się jedną z przyczyn rewolucji w Wymirze i powstania tam tak zwanej Trzydniowej Republiki. Trzy dni drogi dzieliły bowiem włości Lothara od księstwa jego wuja, który nie był zadowolony ze zdetronizowania bratanka. Republikę utopiono we krwi, a dowcipnego Kafiasa ukrzyżowano. Zresztą zdołał się wyzwolić z kaźni i uciekł do Silmaniony, gdzie trafił do więzienia, co przyjął, nawiasem mówiąc, z wielką ulgą.

Natomiast Gończy Pies powodował, że poszukiwana osoba pozostawiała za sobą ślad. Mógł to być w zależności od woli czarodzieja efekt świetlny, zapach lub dźwięk. Zaklęcie działało na małą odległość i tylko w chwilę po rozstaniu z poszukiwaną osobą, ale akurat oba te warunki były spełnione. Arivald zażyczył sobie, aby za Parharasem ciągnęła się świetlna nić, i rychło w korytarzu zmaterializowała się lśniąca srebrem smużka. Obaj poszli jej śladem. Jednak Arivald nie poprzestał tylko na świetlnej nici. Aby dokładnie znać każdy krok Razelmonta, potrzebne było silniejsze zaklęcie. Też jedna z mutacji Gończego Psa, ale nieco bardziej skomplikowana. Przez to zresztą dużo bardziej niebezpieczna, zważywszy, że było się w Ghorlargu. Czarodziej zażyczył sobie, by na ziemi odbijał się ślad stóp Parharasa, i teraz widzieli blade odbicia podeszew jego butów na kamieniach. Dzięki temu mogli iść dokładnie tak jak ich zbiegły

towarzysz, co było o tyle ważne, że skoro on potrafił ominąć pułapki, to Arivald i Hremarg powinni ominąć je również. Powinni, ale stuprocentowej pewności nie mieli. Arivald posępnie pomyślał, że byłby pierwszym członkiem Tajemnego Bractwa od wielu lat, który dałby głowę w Ghorlargu. Paskudne zakończenie miłego życia.

W kopalniach, jak to w kopalniach, było ciemno i nikły blask górniczej lampki oraz zaklęcia Irlina tylko trochę rozpraszały mrok. W powietrzu unosił się niepokojący zapach Arivald nie potrafił go zidentyfikować. Miał nadzieję, że nie jest to żaden gaz, który w połączeniu z ogniem górniczej lampki mógłby zmienić ich obu w element kolorowych i głośnych fajerwerków.

– Złoto – rzekł nagle Hremarg.

Głos mu się zmienił, kiedy wymawiał to słowo. Rzeczywiście, przez jedną z kamiennych ścian biegła smuga lśniącego metalu. Samorodki złota.

Arivald rzucił tylko okiem, mając nadzieję, że krasnoludowi nie przyjdzie do głowy pójście śladem żyły. Zwłaszcza iż Parharas nagle zmienił kierunek marszu i wszedł w niziuteńki, wąski korytarz. Widzieli nie tylko ślady jego stóp na ziemi, ale i srebrny, magiczny nalot na sklepieniu, tam gdzie dotknęła głowa Razelmonta.

– Tego korytarza też nie ma na mapie – powiedział Ostrogłów. – Czy będziemy potrafili wrócić?

Arivald sam od dłuższej chwili zastanawiał się nad tym problemem. Na razie nie był to specjalny kłopot. Szli zaledwie jakieś pół godziny i czarodziej potrafiłby poprowadzić ich prosto do wyjścia bez najmniejszego trudu. Ale kopalnie Ghorlargu były tak ogromne, że można tu było błądzić całymi tygodniami. I bardzo niebezpiecznie było używać teleportujących czarów Gaussa. Nie chodziło tylko o fakt, iż jest to Ghorlarg – złe miejsce, aby używać magii. Po prostu czary Gaussa potrafiły szaleć, jeżeli stosowało się je w jaskiniach czy podziemiach. Mistrz Harbularer tłumaczył to ekranowaniem Aury. Oczywiście istniały zaklęcia pozwalające biegłym czarodziejom na podróż przez skały lub kamienie. Najsłynniejszy był Tunel Pantarasa, czarodzieja żyjącego przed kilkuset laty, który pierwszy magicznie zdefiniował strukturę skał i udowodnił możliwość poruszania się poprzez nie. Ale było to zaklęcie zaliczane do najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych. Sam Pantaras (a raczej jego zwłoki) do dzisiaj tkwił uwięziony gdzieś w bazaltowej skale, której gęstość źle obliczył. Miał pecha. Arivald nawet nie chciał myśleć, iż mógłby użyć Tunelu w kopalniach Ghorlargu.

– Jakoś sobie poradzimy – odpowiedział na pytanie Hremarga. – Na razie w każdej chwili możemy się cofnąć – dodał.

Robiło się coraz duszniej, korytarz zaczął dość ostro schodzić w dół. Arivald i Hremarg musieli uważać, aby nie osunąć się po

wilgotnych kamieniach. Zarówno srebrna nić, jak i ślady stóp Razelmonta były coraz bledsze, tak jakby czarodziej odstępca szedł dużo szybciej od nich i wciąż powiększał dystans. Nagle Arivald poślizgnął się na wystającym kamieniu, machinalnie złapał krasnoluda za nogawkę spodni i obaj przewrócili się, po czym zaczęli zjeżdżać w dół. Czarodziej próbował jeszcze wyhamować ich upadek, ale ponieważ korytarz bardzo się tu obniżał, nic to nie dało. Pomknęli w dół jak wyrzuceni z armaty i Arivald dostrzegł tylko po lewej stronie mały korytarzyk, gdzie prowadziła srebrna nić. Minęli go z dużą szybkością, po czym nagle ich korytarz raptownie się urwał i polecieli w przepaść jak kamienie.

To już koniec, pomyślał tylko Arivald.

Zdołał jednak złapać krasnoluda za kubrak i wypowiedzieć Łabędzi Puch Passhovera. Zaklęcie spłynęło z jego ust automatycznie. Był to odruch, efekt działania instynktu samozachowawczego, a nie przemyślane działanie. I w tym momencie zaklęcie podziałało. Jak sama nazwa wskazywała, powodowało, iż obiekty mu poddane robiły się tak lekkie, że mogły się swobodnie unosić w powietrzu niczym puch. Dość długo trwało, zanim wylądowali na ziemi. Oczywiście w absolutnej ciemności, bo górnicze lampki szlag trafił jeszcze w czasie nieszczęśliwego upadku.

– Zjechaliśmy – stwierdził Hremarg i pomacał się, aby sprawdzić, czy naprawdę jeszcze żyje.

Arivald puścił poły jego kubraka i wypowiedział Boską Jasność, zaklęcie, które otaczało czarodzieja poświatą błękitnego światła. Stosowanie go w celu rozświetlania ciemności było pewnym nadużyciem, gdyż zostało stworzone specjalnie dla misjonarzy podróżujących do niebezpiecznych krain. Arivald zaczął przyzwyczajać się do stosowania magii w Ghorlargu i powoli robiło to na nim coraz mniejsze wrażenie. Wiedział jednak, że w końcu jedna kropelka może przelać tę czarę i któreś z następnych zaklęć spowoduje niespodziewane skutki uboczne. A mogło to być dosłownie wszystko: począwszy od nieszkodliwych efektów dźwiękowych czy wizualnych, aż po przemianę najbliższej okolicy w jezioro wrzącej lawy czy pojawienie się jakiegoś wyjątkowo nieprzyjemnego demona.

Hremarg rozejrzał się wokół.

– Co teraz? – zapytał.

– A co proponujesz? – odpowiedział pytaniem Arivald.

– Rozumiem, że nie możemy wrócić?

Czarodziej spojrzał w górę. Musieli spaść z wysokości co najmniej kilkudziesięciu metrów. Może zdołaliby się wdrapać na taką wysokość, gdyby mieli długie liny i haki. Albo gdyby Arivald mógł nieskrępowanie korzystać z magii.

– Raczej nie – odparł.

– Trudno. W każdym razie dziękuję za uratowanie życia. Jestem twoim dłużnikiem.

– Mam nadzieję, że będzie okazja, abyś ten dług spłacił – powiedział czarodziej uśmiechając się (mimo iż wcale nie było mu do śmiechu) – ale tam. Na powierzchni.

Hremarg pokiwał głową.

– I ja mam taką nadzieję.

– Korytarze idą na północ i na zachód. Który wybieramy? – zapytał Arivald.

Ostrogłów rozejrzał się bacznie. Czarodziej wiedział, że krasnolud lepiej od niego widzi w ciemnościach, a poza tym ma instynktowną umiejętność „czucia" kopalni.

– Chodźmy na północ – rzekł – ten korytarz chyba został wykuty kiedyś przez krasnoludy.

Arivald nie pytał nawet, jak Hremarg mógł to stwierdzić. Dla niego obie odnogi wyglądały identycznie. Ale skoro sam krasnolud nie był pewien, czy rzeczywiście była to robota jego pobratymców, widać korytarz został wykuty bardzo dawno temu.

Szli wolno, ostrożnie stawiając stopy. Kopalnie Ghorlargu mogły być pełne zarówno magicznych, jak i zwykłych pułapek. Oczywiście nikt, nawet najbardziej zawzięty kobold nie był na tyle szalony, aby budować pułapki na chybił trafił. Zwykle broniły one dostępu do komnat lub korytarzy o szczególnym znaczeniu. Pech tylko chciał, że ani Arivald, ani Hremarg nie byli w stanie stwierdzić, czy właśnie do takiego miejsca nie zmierzają. Faktem też było, że coś – czy ktoś – zatrzymało górników w kopalniach (i prawdopodobnie dawno już nie żyli). Istniało więc prawdopodobieństwo, że mogą się na to coś – czy na tego kogoś – tu natknąć.

Arivald bardzo wątpił, aby to były jakieś potwory (bo niby czym miałyby się żywić w opustoszałym i martwym Ghorlargu?), prędzej podejrzewał, że któryś z górników nieświadomie uaktywnił magiczne pułapki. Chociaż, rzecz jasna, nie należało lekceważyć faktu, iż na świecie naprawdę pojawiały się demoniczne istoty, żyjące gdzieś pomiędzy wymiarami, pół na pół w świecie ludzkim i swoim własnym. Czasem, a raczej najczęściej, były to istoty złe, przywołane przed wiekami czarną magią. A wiele mówiono o nadnaturalnych umiejętnościach starodawnych koboldzich czarowników. Zresztą o Ghorlargu można było powiedzieć dosłownie wszystko i nic. Arivald żartem zaproponował kiedyś wydanie książki pod tytułem „Wszystko, co wiemy o Ghorlargu", a która składałaby się wyłącznie z pustych stron. Miał jednak wrażenie, że ktoś w podobnej sytuacji taki pomysł kiedyś już zrealizował.

Tak czy inaczej Arivald zdawał sobie sprawę, że obaj z Hremargiem mają nielichy kłopot. Przebywali w nieznanym miejscu,

mieli mapę, z której spokojnie można zrobić podpałkę na ognisko (gdyby w Ghorlargu można było w ogóle ognisko rozpalić), mieli zapasy jedzenia i wody najwyżej na cztery, pięć dni oraz kiepskie szansę na znalezienie jakiegokolwiek rozsądnego wyjścia z tej sytuacji.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął Arivald – nie z takich opresji wychodziłem już cało.

Po spędzeniu pierwszej nocy w Ghorlargu nadal łudzili się, że istnieje szansa znalezienia powrotnej drogi. Druga noc nieco te nadzieje osłabiła, zwłaszcza że znaleźli się w tym samym miejscu co dzień wcześniej (przy nieprawdopodobnej orientacji w podziemiach, jaką miał Hremarg, było to naprawdę zastanawiające). Po trzeciej nocy nastroju krasnoluda i czarodzieja nie można było nazwać inaczej jak posępnym, po czwartej i piątej byli nie tylko posępni, ale również głodni. Na szczęście znaleźli miejsce, gdzie woda spływała ze ściany, tworząc spore jeziorko, i napełnili tam bukłaki. Zostawiała w ustach wyraźny posmak żelaza, ale w końcu darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby.

– Hremargu – rzekł Arivald – myślę, że czas podjąć decyzję. Moje wnioski są proste: bez magii nie wydostaniemy się stąd. A używanie skomplikowanej magii w Ghorlargu jest proszeniem się o śmierć.

– Więc?

– Znam czary teleportujące, przenoszące z miejsca na miejsce – dodał widząc, że krasnolud nie zrozumiał – ale działają na małą odległość i wypada znać dokładne współrzędne wejścia i wyjścia. Znam czar pozwalający na podróż poprzez skały, ale istnieje prawdopodobieństwo, że zostalibyśmy uwięzieni wewnątrz ścian. Możemy wrócić do punktu, w którym spadliśmy… Możemy?

Hremarg ponuro skinął głową.

– Ale czar, który pozwoliłby nam wznieść się na te kilkadziesiąt metrów, jest czarem niezwykle trudnym i wymagającym ogromnego czerpania z Aury. W Ghorlargu skończyłoby się to prawdopodobnie nieszczęściem. Możemy zaryzykować i ryzyko to może nam się opłacić. Ale możemy też zakończyć życie, zanim nawet zdążymy się zorientować, że coś poszło nie po naszej myśli.

– Czy mamy inne wyjście?

– W zasadzie tak – czarodziej westchnął. – Każde miejsce, lasy, morza, góry, ma swoje demony. Tak je nazywamy my, czarodzieje, choć z reguły są to istoty nieszkodliwe. Problem tkwi w tym, że w miejscach nasyconych starożytną magią, takich jak Zgniły Las, moczary Bardagalaru czy właśnie Ghorlarg, może się zjawić nie to, co przywoływałeś.

– I co wtedy?

– Wtedy masz szczęście, jeżeli umrzesz od razu. Hremarg podrapał się po ciemieniu.

– A jeżeli zjawiłby się taki demon, jak chciałeś?

– Być może, potrafiłbym go zmusić do wskazania nam drogi powrotnej.

– Być może? To niewiele – zauważył krasnolud.

– Szkoda, że w ogóle wleźliśmy tutaj – rzekł gorzko Arivald. – Co też mi strzeliło do głowy?

– Wczorajszego dnia nie wskrzesisz, po nocy poślubnej nie znajdziesz w łożu dziewicy – wzruszył ramionami Hremarg, cytując przysłowie, które chyba nie do końca było krasnoludzkie. Ale za to bardzo prawdziwe. – Zrób to, co uważasz za najbardziej skuteczne i jednocześnie najbardziej bezpieczne.

– Przyszykuję się więc do wywołania demona – sapnął Arivald. – Jeżeli zachowam się bardzo rozważnie, może wyjdziemy z tego wszystkiego w jednym kawałku.

Wywołanie demona nigdy nie jest sprawą banalnie prostą (choć znudzone małe demony pierwszych kręgów przybywają dość chętnie na wezwanie czarodziei), a w miejscach przesiąkniętych magią, w miejscach, w których Aura szaleje, należy zachować szczególną ostrożność. O ile w ogóle jest się na tyle głupim, by wywoływać tam demony. Arivald od dawna podszkolił już tak swoje zdolności magiczne, że nie musiał przy przyzywaniu demona korzystać z Księgi Czarów czy kryształowej kuli. Nawet różdżka nie była konieczna, choć mile widziana. Różdżkę zresztą czarodziej zawsze nosił w zdobionej pochewce u pasa i dbał on nią pilnie od czasu spotkania z czarodziejkami Chaosu, gdzie brak różdżki spowodował pewne, nazwijmy to łagodnie, komplikacje.

Czarodziej próbujący wywoływać demony zwykle pragnie dostępu do określonej informacji. Im demon potężniejszy, tym większa szansa, że informacja będzie przydatna. Jednocześnie tym większa szansa, że demon zamiast patrzyć na wzywającego go maga z bojaźnią i respektem, zechce skonsumować go na śniadanie. A przynajmniej podrażnić się z nim i podroczyć, co w wypadku demonów często oznaczało duże kłopoty, a czasem po prostu śmierć. Ostatni wypadek zabicia czarodzieja przez demona zdarzył się co prawda w zamierzchłej przeszłości, ale wynikało to z faktu, iż w magicznym szkoleniu adeptów w Silmanionie przykładano bardzo dużą wagę do umiejętności samoobrony. Arivald do tej pory tylko kilka razy przyzywał demony. I były to zawsze nieszkodliwe stworzenia o wybujałych ambicjach i dużo skromniejszych niż ambicje możliwościach. Teraz jednak mogło być inaczej.

Czarodziej nakreślił magiczny krąg ochronny, którym otoczył siebie i krasnoluda. Ponieważ w Ghorlargu wszystko mogło się przydarzyć, na nakreślenie odpowiedniego kręgu poświęcił kilka godzin wytężonej pracy. Jeśli pojawiłby się zwykły, słaby demon, to

takie przygotowania najpewniej wziąłby za objaw szaleństwa czarodzieja (poza tym niesłychanie wbiłoby to go w dumę). Ale przecież mogło się pojawić coś innego, dużo groźniejszego. Chociaż Arivald miał nadzieję, że nie dojdzie do takiej ostateczności.

– Pamiętaj – rzekł do Hremarga – cokolwiek by się działo, nic nie gadaj i niech Bóg cię broni przed przekroczeniem kręgu. Jeżeli to zrobisz, nie będę mógł ci w niczym pomóc.

Krasnolud pokiwał ponuro głową. Przekroczenie kręgu mogło skłonić demona do rzucenia na przykład uroku powodującego wysypkę, ale równie dobrze mogło go skłonić do działań o wiele bardziej radykalnych. Nigdy nie wiadomo, co demonowi strzeli do łba i co w danej chwili uzna za rozkoszny żarcik. Nie mówiąc już o tym, że łażenie w te i we w te po magicznym kręgu po prostu osłabiało jego moc.

Po nakreśleniu kręgu należało przejść do samej procedury przywołania demona. W jaskiniach Ghorlargu Arivald mógł przyzwać demony skał, ale także demony powietrza lub wody. Te ostatnie dwa gatunki jednak były tu zapewne bardzo nieszczęśliwe (jeżeli w ogóle były), zdezorientowane i kto wie, czy nie złe z powodu warunków, w jakich wypadło im żyć. Czarodziej postanowił więc skorzystać z pomocy jakiegoś podrzędnego demona skał. Ot, małej istotki lubującej się w podróżach poprzez granity czy bazalty, której największą ambicją może być łudzenie górników mirażami fałszywych żył złota. A jak już uda jej się zwabić kogoś w przepaść, ma o czym opowiadać przez następne sto lat.

– No to zaczynamy – czarodziej odetchnął głęboko. – Aliis karhari penstavanga – zaintonował i poczuł, jak Aura gęstnieje.

Nie był to dobry znak, ale wycofać się w pół drogi również nie byłoby bezpiecznie.

– Baellan haz kori mandurag isidd – kontynuował, czując już wyraźnie, że nie wszystko poszło, jak powinno – esslun hozzwit – dokończył, wykonując określony i ściśle zaplanowany ruch lewą dłonią, w której trzymał różdżkę.

Wywoływanie małych demonów nie było specjalnie skomplikowane. Coś wyraźnie już pojawiało się poza wytyczonym przez Arivalda kręgiem. Powietrze gęstniało i przebiegały przez nie iskierki, jak ogniki świętego Elma. Czuć też było zapach, jak po wiosennej burzy z piorunami. Arivald był pewien, iż nie pojawi się wcale mały, nieszkodliwy skalny demon. I tak też się stało. Poza kręgiem zmaterializowała się wielka paszcza składająca się prawie wyłącznie z ostrych zębów przypominających igły pumeksowych skał. Wyglądało to co najmniej na demona szóstego lub siódmego poziomu. O tego typu demonach Arivald tylko słyszał i czytał. Nigdy nawet do głowy mu nie przyszło, aby próbować wzywać jednego z nich. O wiele

pewniej by się czuł, gdyby obok niego zamiast Hremarga stał teraz uczony Velvelvanel, błyskotliwy Galladrin, czy nawet zrzędliwy Borrondrin.

– Czarodziej i krasnolud! – odezwała się Paszcza głosem, w którym słychać było wyraźne łakomstwo. – Co za uroczy i apetyczny widok.

– Witaj – powiedział Arivald, bo co innego mógł w końcu powiedzieć. – Nie chciałem kłopotać cię moimi problemami. Szczerze mówiąc, sądziłem, iż pojawi się ktoś nie dorównujący ci rangą, ale skoro już tu jesteś…

– Zjadłem go – przerwała mu Paszcza, oblizując się czarnym jęzorem – kiedy szykował się, aby przyjść do ciebie. Nie był smaczny. Zbyt chudy, łykowaty i za bardzo wrzeszczał.

– Przykro mi to słyszeć – odparł uprzejmie Arivald, który wiedział, że uratować ich może tylko zimna krew.

– Nie lubię, kiedy mój posiłek krzyczy – powiedziała z zadumą Paszcza – ale wszystkiemu można jakoś zaradzić. – Demon przysunął się w ich stronę. – Bądźcie tak mili i nie wrzeszczcie, to zginiecie szybko i bezboleśnie. Krąg! – syknął z niezadowoleniem i skrzywił się z bólu, bo otarcie o magiczny krąg musiało być bardzo nieprzyjemne, nawet dla demona tak wysokiego poziomu.

– A co ty sobie myślisz? – wzruszył ramionami Arivald.

– Zróbmy mały interes – zaproponowała Paszcza. – Dasz mi krasnoluda, a ja odeślę cię na powierzchnię, bo przecież tego chcesz. Krasnolud wygląda co prawda na niezbyt pulchnego, ale co mi tam… Dobry układ?

– Niezły – rzekł Arivald i z satysfakcją zauważył, że Hremarg nawet nie drgnął, słysząc te słowa – ale najpierw kilka informacji.

Z Paszczy zaczęły skapywać kropelki śliny i spadając na ziemię, wyparowywały z sykiem.

– Co byś chciał wiedzieć?

– Chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje. Dlaczego zniknęli górnicy?

– Zjadłem wszystkich! – ryknęła Paszcza, aż Arivaldowi zaświdrowało w uszach.

– A poważnie?

Wokół Paszczy uformowała się reszta głowy. Złe, złotoczerwone oczy spojrzały na Arivalda ze wściekłością.

– Pożarłem wszystkich! Wyprułem z nich flaki i piłem ich krew…

– Dość tego! – przerwał stanowczo Arivald. – Mów prawdę albo nici z układu.

– Prawdę – powtórzyła już spokojnie Paszcza, jakby przypominając sobie, co to słowo oznacza. – Czarodziej chciałby znać prawdę. Hm. Jak masz na imię, czarodzieju?

– Jestem mistrz Arivald z Silmaniony – odpowiedział Arivald – a

czy mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność toczyć tę zajmującą konwersację?

– Czemu nie? Jestem Inghrilgir Pożeracz Skał. Słyszałeś kiedyś o mnie, człowieczku?

– Oczywiście – odparł Arivald nieco zdziwiony. Czytał kiedyś o tym demonie. – Myślałem jednak, że mieszkasz na dalekiej Północy. Wydawało mi się, że jesteś demonem Lodowych Skał.

– Byłem – warknęła Paszcza. – Myślisz, że to zabawne mieszkać w ponurych jaskiniach, gdzie od setek lat nie widziałem nawet płatka śniegu? A kim jesteś ty, krasnoludku?

Hremarg nie spojrzał nawet w stronę demona. Widać wziął sobie poważnie do serca słowa Arivalda. I bardzo dobrze.

– To Hremarg Ostrogłów, mój przewodnik – odparł czarodziej.

– Jutro będzie się nazywał moim wczorajszym śniadaniem – powiedział wesoło Inghrilgir.

– Wróćmy do pytania – poddał Arivald. – Co stało się z górnikami?

– Znaleźli to, czego szukali – odparła po chwili Paszcza.

– A dokładniej?

– Znaleźli to, czego szukali – powtórzył demon ostrym tonem. – Chcę tego krasnoluda!

– Jakie mam gwarancje, że dotrzymasz obietnicy i przeniesiesz mnie na powierzchnię?

– Moje słowo! Arivald tylko chrząknął.

– Cóż… – demon zmarszczył czoło. – Znaleźliśmy się więc w sytuacji patowej. Jakieś propozycje?

– Dlaczego opuściłeś Północ? – zapytał Arivald.

– Opuściłem?! – wrzasnęła Paszcza tak, iż jej poprzedni ryk mógł się wydać miłym szeptem. – To wina twoich przeklętych kamratów. Trzysta czy siedemset lat temu, nie pamiętam już dokładnie, zamknęli mnie tutaj. Wyrwali z mojego domu wśród bezkresnych pustyń lodowych – demonowi najwyraźniej zebrało się na poezję – i wrzucili do tych ohydnych jaskiń.

– Wiesz co? Uwolnię cię i pomogę wrócić na Północ.

– A jakie mam gwarancje? Milczeli przez chwilę.

– Jestem cierpliwy – rzekła Paszcza – mogę stać tu dzień, dwa, trzy, nawet miesiąc czy rok.

– Też jestem cierpliwy – odpowiedział Arivald – a zza tego kręgu będę mógł wypróbować mnóstwo zaklęć przeciw demonom. To może być zabawne, prawda? Choć dla niektórych trochę bolesne.

Czarodziej sam nie wiedział, czy odważyłby się szturchnąć demona kilkoma zaklęciami. Po pierwsze, byli w Ghorlargu, a po drugie, kto wie, czy rozeźlony i doprowadzony do ostateczności demon nie potrafiłby jednak przerwać kręgu. A to nie byłoby miłe.

Zawsze Arivald mógł wtedy starać się uciec za pomocą któregoś z czarów Gaussa, ale nie… demon musiał wrócić tam, skąd przyszedł, a nie pałętać się po realnym świecie, i to w dodatku w miejscu, do którego nie przynależał. Arivald zakonotował sobie w pamięci, że ma sprawdzić, który z czarodziei był na tyle nieroztropny, aby wysłać Inghrilgira właśnie do Ghorłargu. Jeśli oczywiście pożyje na tyle długo, by cokolwiek sprawdzać.

– A co byś powiedział na zagadki? – zaproponował nagle demon.

Arivald myślał już o tym wyjściu od pewnego czasu. Zagadki były uświęconą formą pojedynku. I ustalone zasady zobowiązywały przegranego do ścisłego dotrzymania warunków umowy, niezależnie od tego czy był człowiekiem, krasnoludem, koboldem czy demonem. Nikt nie wiedział, co by się stało z kimś, kto złamałby zasady, ale nikt też nie chciał tego wypróbować na własnej skórze.

– Czemu nie – odparł wolno Arivald. – Jeżeli wygram, przeniesiesz nas całych i zdrowych do miejsca, w którym zniknęły krasnoludy – czarodziej miał tylko nadzieję, że nie jest to czyjś żołądek – a potem, kiedy zbadamy tę sprawę, również całych i zdrowych przeniesiesz nas dwóch do wyjścia na powierzchnię.

– Przeniosę ciebie, a krasnoluda dostanę na śniadanie!

– Nie – odparł twardo Arivald.

– Od początku nie chciałeś mi dać tego krasnoluda – westchnęła Paszcza – ale niech i tak będzie. Jeżeli ja wygram, zniszczysz krąg i nie będziesz próbował się bronić. Ani ty, ani krasnolud.

– Zgoda.

– Gramy do pierwszej nie rozwiązanej zagadki, a każdy ma tyle czasu na jej rozwiązanie – demon mruknął coś, kłapnął zębami i na ziemi pojawiła się duża klepsydra z czerwonym piaskiem – dopóki nie przesypie się piasek.

– Zgoda.

– Ja zaczynam.

– Niech i tak będzie – powiedział czarodziej.

Turnieje zagadkowe były jedną z popularniejszych niegdyś zabaw, ale i drogą do rozwiązywania sporów. Wiele historii, opowieści i legend mówiło, jak to przemyślny człowiek pokonał demony, smoki czy trolle, wymyślając wyjątkowo sprytną zagadkę. O tym, iż opowieści nie musiały być prawdziwe, świadczył choćby fakt mieszania do nich trolli czy smoków. Powszechnie wiadomo było, że trolle rzadko potrafiły zapamiętać własne imię czy drogę do rodzinnej jaskini, nie mówiąc już o rzeczach tak skomplikowanych jak zagadki. A smoki nigdy nie istniały. Pamięć o nich przetrwała w legendach, ale nie odkryto choćby najmniejszego śladu, że kiedyś zamieszkiwały jakikolwiek ląd. Wprawdzie znany z zamiłowania do grzebania się w ziemi Stychert Bokobrody wykopał ogromne szczątki jakichś dziwnych

zwierząt, ale udowodnił bez wątpienia, że były to tylko przerośnięte jaszczury. Natomiast demony istniały i co do tego nie można było mieć wątpliwości. Zwłaszcza patrząc na te zęby, których właściciel nie miałby problemów z przegryzieniem na pół krowy za pomocą jednego kłapnięcia.

Paszcza oblizywała się przez chwilę, po czym zaczęła:

Dotknięciem rzeki wstrzymuje, ludzi zabija i kłuje. Dzikie morza potrafi wygładzić, fale w zębate skały ustawić. Co to jest?

– Mróz – bez chwili wahania odparł Arivald, który spodziewał się czegoś podobnego. – Teraz moja kolej.

Zastanawiał się, którą z zagadek powiedzieć. Najlepsza by była związana z czymś, czego demon dawno już nie widział, no i za czym nie tęsknił. Ze słońcem? Z trawą? Z drzewami? Arivald kiedyś zabawiał się z przyjaciółmi wymyślaniem przeróżnych rymowanych zagadek, ale jak na złość nie przychodziła mu teraz do głowy żadna związana ze słońcem czy roślinami. Pałętało mu się po głowie coś ze słońcem i stokrotką, lecz nie mógł przypomnieć sobie dokładnie słów. Trudno, trzeba było spróbować czegoś innego.

Dla mnie może pędzić, dla ciebie toczyć się ospale. Niektórzy go szanują, inni trwonią wytrwale. Co to jest?

– To czas, czarodzieju – odparł demon rozwiązując zagadkę tak szybko, jak Arivald rozwiązał swoją. – Mam go tu pod dostatkiem. Niestety. No dobrze, teraz staniecie się moją przekąską. Co powiesz na to:

Jestem długi lub krótki. Pojawiam się w nocy lub w dzień. Mogę być zły lub dobry, a imię moje brzmi…

– Sen – dokończył Arivald. – To było zbyt proste, choć zapewne ktoś mniej rozumny i zbyt popędliwy mógłby powiedzieć: cień. Spróbujmy czegoś ambitniejszego…

Gdy bawisz się mną w nocy, rankiem muszą cię cucić. Zawsze cię bólem obdarzam, a ty zawsze chcesz do mnie wrócić. Kim ja jestem?

Demon zmrużył złotoczerwone ślepia.

– Nie znam się na waszych człowieczych zabawach – mruknął. – Bólem obdarzam, a ty chcesz wrócić – powtórzył sobie – w nocy się ze mną bawisz. Co to jest?

Hremarg spojrzał w stronę Arivalda i czarodziej wiedział, że krasnolud zna rozwiązanie zagadki. Nie była specjalnie trudna, ale dla człowieka lub krasnoluda. Czy demon będzie potrafił znaleźć właściwą odpowiedź? Zwłaszcza iż pytanie dotyczyło tego, czego nigdy nie robił. Piasek powolutku przesypywał się z górnej części klepsydry do dolnej. Jak na gust Arivalda przesypywał się zdecydowanie zbyt wolno. Czarodziej wstrzymał oddech. Jeszcze kilka chwil i zwyciężą. Kilkadziesiąt ziarenek piasku i demon będzie zmuszony spełnić ich życzenia. A więc?

– Jak brzmi odpowiedź? – spytał czarodziej najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

– Mam jeszcze czas. Nie staraj się mnie zdenerwować, czarodzieju. Mam jeszcze czas! Czyżby to była jakaś kobieta? – myślał na głos. – A może koszmar nocny? Nie, ale dlaczego chcesz do mnie wrócić? Bez sensu.

Ostatnie ziarenka piasku powolutku i opieszale prześlizgiwały się na dół. Arivald przygryzał wargi. Czyżby?

– Wiem! – wrzasnął demon w tym samym momencie, kiedy ostatnie ziarenko wpadło do dolnej połówki klepsydry. – To jest… ten, no – obok jego głowy zmaterializowała się wielka pazurzasta łapa i pstryknęła tak mocno, że po jaskiniach poszedł głuchy pogłos. – To jest spirytus!

– Wino, piwo, gorzałka, spirytus – zgodził się Arivald – czy też w ogóle alkohol. Każda z tych odpowiedzi jest dobra. Szkoda, że się spóźniłeś.

– Nie spóźniłem się! – ryknął demon. – Odgadłem zagadkę w chwili, kiedy przesypywało się ostatnie ziarno piasku!

– Być może, ale liczy się, kiedy powiedziałeś to na głos. A powiedziałeś dawno po czasie.

– Nie! – pazurzasta łapa przejechała po skale, zostawiając w kamieniu bruzdy szerokości męskiego ramienia.

– Ależ tak. Nie chcesz chyba złamać umowy? Złotoczerwone oczy łypnęły na Arivalda z wściekłością i nienawiścią.

– Co byś powiedział na dodatkową serię pytań?

– Powiedziałbym: nie.

– Poradzę sobie z tym twoim nędznym kręgiem, a wtedy będziesz całymi latami błagał o szybką śmierć – spiczaste zęby demona zgrzytnęły straszliwie.

– Kto z przysiąg przed turniejem danych jak tchórz ucieka, niech nie zazna chwili spokoju. Wolałbyś nie wiedzieć, co go czeka – wyrecytował Arivald starą rymowankę. Jednocześnie zastanawiał się, czy demon jest rzeczywiście na tyle wściekły i na tyle zdesperowany, by nie dotrzymać umowy. Spojrzał na jego zęby i wzdrygnął się. Zauważył, że Hremarg delikatnie uchwycił stylisko toporka. Topór byłby z pewnością doskonałą obroną przed demonem, pomyślał czarodziej zgryźliwie. Mniej więcej tak dobrą jak scyzoryk przeciwko słoniowi.

Demon milczał długą chwilę i w jaskiniach było słychać tylko jego przeciągłe sapanie.

– Dobrze – rzekł w końcu – dotrzymam słowa. Zniszcz krąg. Teraz nadeszła najgorsza chwila. Arivald dobrowolnie musiał pozbyć się jedynej ochrony. Jeśli demon zaatakuje, będą mieli szansę nie większe niż mrówka przeciw mrówkojadowi. Pozostanie ucieczka. Arivald

nachylił się nad kręgiem, a jednocześnie przygotował się do rzucenia jednego z teleportacyjnych czarów Gaussa, który mógłby przenieść jego i Hremarga w bezpieczniejsze miejsce. Wypowiedział inkantację likwidującą krąg i przeciągnął nad nim dłonią. Krąg zniknął.

– Czas na nas – rzekł czarodziej spokojnie.

Demon przez chwilę wpatrywał się w niego swoimi niesamowitymi i przerażającymi ślepiami.

– Czas – powtórzył w końcu i czarodziej poczuł zawrót głowy, a oczy przesłoniła mu sina, gęsta mgła.

Kiedy odzyskał wzrok, zauważył, że stoi pośrodku sporej, wykutej w skale komnaty. Na ciemnoszarej ścianie lśnił fosforyzujący, różowawy łuk. Arivald spojrzał na ten łuk, ale nie miał pojęcia, cóż to takiego mogło być. Zdumiał się widząc, że krasnolud wpatruje się w łuk oszołomionym i pełnym zachwytu spojrzeniem. Nigdy nie widział we wzroku jakiegokolwiek krasnoluda czegoś podobnego. Może to spojrzenie dałoby się porównać do spojrzenia, jakim śmiertelnie zakochany mężczyzna patrzy na wybraną kobietę, może do spojrzenia matki na dziecko, za które oddałaby życie. Ale w oczach Hremarga było jeszcze coś więcej. Jakieś nieludzkie pożądanie i zawrotna, przytłaczająca tęsknota. Kiedy Arivald zobaczył jego oczy, zrozumiał, że krasnolud nigdy nie opuści już Ghorlargu. Gdyż jeśliby to zrobił, musiałby umrzeć. Najgorsze było to, iż czarodziej nic nie widział. Nic poza różowym łukiem na ciemnoszarej ścianie.

Hremarg jak w transie zaczął wolnym krokiem iść w stronę łuku.

– Hremargu! – krzyknął Arivald.

Krasnolud odwrócił się wolno i jakby niechętnie. Spojrzał na Arivalda, tak jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Dopiero po chwili zorientował się, kto do niego mówi.

– Żegnaj, czarodzieju – rzekł z niesamowitym uśmiechem, który uczynił jego z gruba ciosaną twarz prawie piękną. – Tu rozchodzą się nasze drogi.

– Co tam widzisz? – prawie krzyknął Arivald.

– To, czego zawsze szukałem – powiedział cicho Hremarg, a z kącików jego oczu spłynęły łzy szczęścia. – Bądź zdrów i dziękuję ci za wszystko.

Arivald bezradnie patrzył, jak krasnolud zbliża się do łuku, dotyka go dłońmi, po czym jakby zapada się w ścianę, zlewa z nią i znika. Po chwili nie było go już widać. Czarodziej odetchnął głęboko.

– Wzruszające, nieprawdaż? – usłyszał jakiś głos i obrócił się gwałtownie.

Kilka kroków dalej stał Parharas Razelmont i uśmiechał się wrednie. Z całą pewnością zobaczył demona, gdyż trudno było nie dostrzec tej ogromnej głowy i łap niczym pnie drzewa. Najwyraźniej jednak ten widok nie zrobił na nim wrażenia.

– Co tam jest? – zapytał Arivald.

– Miejsce wiecznego szczęścia – odparł Parharas. – Po prostu wejście do raju.

– Widzisz to?

– Tylko krasnoludy widzą. A ja zawsze chciałem tu trafić. I wreszcie jestem. – Razelmont zatarł dłonie. Oczy mu błyszczały, jakby miał silną gorączkę.

– Jak tu się dostałeś?

– Zabraliście mi magię, ale nie mogliście zabrać moich umiejętności. Zawsze potrafiłem zapamiętać każdą mapę, każdy tekst i odtworzyć je bezbłędnie nawet po latach. Odgadłem prawdziwe znaczenie mapy i zapamiętałem ją. Ale gratuluję, wyprzedziliście mnie mimo wszystko.

– Robię się bardzo, ale to bardzo głodny – rzekł demon. – Czas na drugą część naszej umowy.

– Umowy z demonami! – parsknął Razelmont. – Nieźle jak na członka Bractwa.

Arivald nie zamierzał się przed nim tłumaczyć, więc tylko wzruszył ramionami.

– Czas kończyć – stwierdził demon i Arivald znowu poczuł tę dziwną słabość.

Odzyskał wzrok tuż przy szybie prowadzącym na pierwszy poziom kopalni. Z szybu zwisała jeszcze lina, której użyli z Hremargiem do zejścia w dół.

– Zgodnie z umową – rzekła Paszcza.

– Co zrobiłeś, ty przeklęta góro miecha?! – wrzasnął Parharas Razelmont rozdzierająco. – Zabieraj mnie natychmiast z powrotem!

– Miało być dwóch, jest dwóch. A jakich dwóch, to już mnie nie obchodzi – burknął demon.

Arivald doskonale wiedział, że nie o to chodziło. Paszcza nie musiała trzymać się tak ściśle umowy. W końcu nie z jej winy Hremarg zrezygnował z powrotu.

– Domyślny czarodzieju, czy wiesz, co cię czeka? – spytał demon, przypatrując się Arivaldowi uważnie.

– Mamy umowę.

– Już nie. – Inghrilgir uśmiechnął się i wyglądało to jeszcze bardziej przerażająco. – Nasza umowa właśnie się skończyła. Jesteś przy wyjściu. Teraz czas na śniadanie.

Demon nachylił się nad Arivaldem, sycąc oczy jego nagłym zdumieniem i strachem. Czarodziej wiedział, że nie zdąży wypowiedzieć nawet najprostszego zaklęcia. Zęby demona będą na pewno szybsze.

– Zeżryj go, głupcze, i zabierz mnie z powrotem! – warknął

Parharas.

– Na śniadanie planuję dwa dania – wyjaśnił demon, nie spuszczając oczu z Arivalda. – Ty, krzykaczu, będziesz miał zaszczyt być drugim.

Wtedy Parharas Razelmont wydał z siebie dziwny, przeciągły odgłos, od którego Arivaldowi wszystkie włosy na głowie i brodzie stanęły sztorcem, a bolesny prąd przebiegł całe ciało. Czarodziej zwinął się na ziemi jak uderzony potężnym ciosem i zobaczył tylko, że Paszcza rozwiewa się w powietrzu z rykiem pełnym zdumienia i grozy. Arivald machinalnie, nie zastanawiając się wcale, iż nadal przecież jest w Ghorlargu, gdzie nie powinno się szastać zaklęciami, otoczył się czarem ochronnym. Teraz Parharas nie mógł mu nic zrobić.

Razelmont z szyderczym uśmiechem spojrzał na Arivalda i skrzywił się, czując siłę ochronnego czaru.

– Wyszło na to, że uratowałem twój tyłek – powiedział.

– Uratowałeś swój tyłek – odrzekł Arivald. – Więc za to odebrano ci moc? – dodał po chwili.

– Odebrano moc? – Parharas roześmiał się śmiechem, który brzmiał jak zgrzyt metalu po szkle. – Czyżbyś nie widział mojej mocy?

– Słyszałem wiedźmie zaklęcie – rzekł z pogardą Arivald – i to nie ma nic wspólnego z prawdziwą mocą. Jesteś nikim, choć twoje czary potrafią odesłać demona. I już na zawsze pozostaniesz nie lepszy od brudnej, zawszonej wiedźmy rzucającej uroki na bydło sąsiadów.

Razelmont syknął gniewnie, ale nie odważył się zaatakować czarodzieja. Wiedział, że próba przedarcia się przez zasłonę prawdziwej mocy mogła go kosztować nawet życie.

– Przez tego idiotę demona straciłem następnych parę dni. – Zgrzytnął zębami. – Pomyśl sobie, że kiedy wy, tam w Silmanionie, będziecie ślęczeć nad nudnymi księgami, ja wtedy będę w raju. Rozumiesz, Arivaldzie? W raju! Na wieczność w raju!

– Czeka cię długa droga i może umrzesz, zanim tam dojdziesz. Życzę ci tego z całego serca.

– Bez obaw, znam drogę na pamięć. – Odstępca skinął dłonią. – Myśl o mnie, myśl o Parharasie, który choć sprzeciwił się Bractwu i choć odebrano mu moc, zazna tego, czego wy nigdy nie zaznacie. Żegnaj i nie powiem: bądź zdrów, bo życzę wam wszystkiego najgorszego.

Odwrócił się i poszedł w głąb korytarza. Arivald przez moment miał ochotę go zawołać, ale wtedy przypomniał sobie słowa Parharasa: „zeżryj go i zabierz mnie z powrotem”.

Nawet litość i miłosierdzie mają swoje granice, pomyślał i milczał, póki Parharas nie zniknął w ciemnościach.

Wiedział, że nie będzie w stanie zapomnieć o Razelmoncie i nieraz będzie robił sobie wyrzuty, że go nie uratował. Ale wiedział też,

iż zawsze zgodzi się z własnym tłumaczeniem. Z tym, że Parharas nie był człowiekiem, którego warto ratować. Nieszczęsny Razelmont nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie zmierza. Słowo „raj” i zachwyt krasnoludów pomieszały mu w głowie i zakłóciły myśli. Zmierzał do raju. I owszem. Do raju krasnoludów. Do dni spędzanych w ciemnych sztolniach, do codziennego znoju i ciężkiej harówki. Do radości z odkrycia nowych żył złota, bajecznych opali, ametystów błękitnych jak jeziora, błyszczących szmaragdów. Zmierzał do nocy, w czasie których przesypuje się w dłoniach nagromadzone bogactwa, szuka i wykuwa następne komnaty by je pomieścić. Zmierzał do życia, gdzie nigdy nie korzysta się z zebranych skarbów, tylko je zdobywa. Z kilofem i oskardem w dłoni, wśród ciemności rozświetlanej górniczymi lampkami. I tak przez całą wieczność.

Arivald chwycił zwisającą z szybu linę. Westchnął ciężko. Musiał wymyślić dla reszty krasnoludów historię swej niebezpiecznej podróży. I musiała to być historia przekonująca, wzruszająca oraz piękna. Taka, o której powstaną pieśni. Tylko nie mogło w niej być nawet słowa prawdy.

Nie wszystko złoto, co się świeci

(i na odwrót)

Arivald usłyszał skrzypnięcie drzwi i potem kroki. Od razu poznał młodego Sangwaniasza, może po tym charakterystycznym szuraniu podeszwami, a może po cichutkim sapaniu, gdyż Sangwaniasz cierpiał, jak każdego lata, na alergiczny katar. Ale czarodziej nie uniósł głowy znad książki. Coraz bardziej znudzony i zniecierpliwiony pozwolił, aby młodzieniec stał za jego plecami.

– Hm, hm – chrząknął Sangwaniasz.

Arivald bardzo powoli zaznaczył stronę zakładką i zamknął księgę. Potem odwrócił się w stronę gościa.

– Dawno cię nie widziałem – rzekł chłodnym tonem.

– Wczoraj – zdziwił się Sangwaniasz. Arivald spojrzał na niego spod ciężkich powiek. Sangwaniasz miał często kłopoty i często przychodził po radę do czarodzieja. Częściej niż często. Zawsze.

– Tyle rzeczy się wydarzyło! – zakrzyknął młodzieniec. – Gdybyś tylko wiedział!

Arivald z żalem spojrzał na księgę. Zapowiadało się rozstanie z nią na dłużej. Sięgnął po karafkę i nalał sobie kieliszek wina. Wino było pyszne, aromatyczne, z zeszłorocznych zbiorów, które udały się nad wyraz dobrze. Arivald miał własną recepturę. Do winogron dodawał troszkę pomarańcz, cytryn i soku z pigwy. Dzięki temu wino nabierało wyjątkowego smaku. Chociaż Wielki Mistrz Harbularer (niepijający nic, co nie miało co najmniej stu lat i certyfikatu) nazywał je, ku oburzeniu Arivalda, paskudnym sikaczem.

– Sądzę, że nie omieszkasz mi wszystkiego opowiedzieć – westchnął Arivald.

– Zostałem pokąsany przez wampira – obwieścił uroczystym tonem Sangwaniasz.

– Moje gratulacje.

– Słucham?

– Powiedziałem: moje gratulacje – powtórzył czarodziej – ostatni tego typu wypadek zanotowano trzysta lat temu. Tak przynajmniej pisze Waleriusz Lycantrop w swojej rozprawie „Vampyrologos". A ja nie mam powodu, by nie wierzyć takiemu autorytetowi – spojrzał surowo na Sangwaniasza. – Pamiętaj, mój chłopcze, o szacunku dla uznanych autorytetów.

– Było jakoś dziwnie – rzekł Sangwaniasz, jakby nie słyszał słów czarodzieja – na przemian ciepło i chłodno, i przyjemnie, choć nieco boleśnie. I taki dziwny zapach. Kwiatu czereśni?

Arivald zmarszczył brwi. Waleriusz Lycantrop dokładnie w ten

sam sposób opisywał wrażenia osoby kąsanej przez wampira.

– Szperałeś w mojej bibliotece – powiedział oskarżycielskim tonem.

I w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że co cenniejsze dzieła (a do nich należało „Vampyrologos") były strzeżone wyjątkowo perfidnym i złośliwym zaklęciem skrzynkowym, którego złamanie wymagało znajomości co najmniej Siódmego Wytrychu Balzeryka. I to z modyfikacjami sprzęgająco-zwrotnymi. Tak więc Sangwaniasz nie mógł czytać „Vampyrologos". Skąd więc, u licha, wiedział? No cóż, pewnie z bajek i opowieści. Tradycja ludowa, doprawdy, przechowuje czasem zdumiewająco wiernie niektóre informacje.

– Widziałeś go? – zapytał Arivald.

– Niestety – pokręcił głową Sangwaniasz.

– Więc może to był komar – poddał czarodziej. – Albo pająk – dodał po chwili namysłu.

– To nie było nic tak trywialnego – oburzył się Sangwaniasz – a poza tym pająk ani komar nie zostawiłyby takich śladów!

– Jakich śladów?

– O, tu – młodzieniec rozpiął kaftan i obnażył szyję. Nachylił się w stronę Arivalda.

Mag uważnie przyjrzał się dwóm ledwo co zasklepionym rankom. Przypominały do złudzenia ślad po ukąszeniu żmii. Waleriusz Lycantrop twierdził, że właśnie tak wyglądają ślady po ssawkach wampira. Ssawkach, bo wampir nie ma zębów. Wbrew temu co uporczywie twierdzi pospólstwo. Dlatego też nie należy mówić o ukąszeniu wampira, ale o przyssaniu tegoż. Arivald uznał jednak, że nie czas teraz na spory leksykologiczne.

– Wampiry wyginęły dawno temu – stwierdził krótko. – Od trzystu osiemdziesięciu lat są objęte ścisłą ochroną. I mimo to na skutek nielegalnych odłowów zostały doszczętnie wytępione przez Bractwo Osikowego Koła i Stowarzyszenie Garlikowe.

– Zaraz, zaraz! – Sangwaniasz podrapał się nerwowo po brodzie. – To znaczy, że jeżeli ktoś zdobyłby żywy egzemplarz, mógłby go sprzedać za niezłą cenę, prawda?

– Drogi chłopcze! – roześmiał się mag. – Akademia w Silmanionie czy Uniwersytet Targetański zapłaciłyby za niego czystym złotem. I ręczę ci, że tego złota byłoby bardzo, bardzo dużo.

– A więc… – Sangwaniasz wyciągnął przed siebie palec – mistrzu Arivaldzie, jak złapać wampira?

Czarodziej ziewnął.

– A może to był skorek – powiedział – albo coś w tym rodzaju. Na przykład kleszcz. Ukąszenia kleszczy są bardzo niebezpieczne. W każdym razie nie zawracaj sobie głowy. Albo wybierz się szukać kwiatu paproci. – Arivald naprawdę bardzo chciał wrócić do lektury.

– To dopiero w czerwcu – zdumiał się Sangwaniasz.

– No tak… – Czarodziej otworzył księgę. – A teraz, mój chłopcze, pozwolisz, że wrócę do lektury. Jakby ci się ta ranka zaogniła, idź do znachorki. Parzy doskonałe ziółka.

– Czuję, że mi nie wierzysz – rozżalił się Sangwaniasz – a przecież niezwykłość wydarzenia nie świadczy o tym, że nie może ono zaistnieć.

– Ale drastycznie zmniejsza prawdopodobieństwo jego zaistnienia – gładko odpowiedział Arivald. – Pomyśl o tym i napisz mi na jutro wypracowanie na ten temat. Życzę sobie szczegółowych rozbiorów logicznych, źdźbebka statystyki i nawiązania do „Filozofii przypadku" Stragarza Szpaka. Do widzenia.

Kiedy usłyszał trzask zamykanych drzwi, odetchnął z ulgą. Co za chłopak! – pomyślał. Mój Boże, za jakie grzechy zgodziłem się go edukować? Ale problem wampirów na stałe zagościł w jego myślach. Arivald nie mógł się skupić na pięknym tekście Kwizycego Ruszta tyczącym pewnych kosmologicznych aspektów Zaklęć Styfarnijskich, bo ciągle między wiersze właziły mu wampiry. Poddał się więc po krótkiej walce i przywołał z półki „Vampyrologos", które ostatni raz czytał jakieś siedemnaście lat temu. Albo i osiemnaście. „Vampyrologos" było dziełem równie poważnym i monumentalnym, co trudnym w odbiorze. Waleriusz Lycantrop wychodził bowiem z założenia, że im bardziej książka jest niezrozumiała, tym większą przedstawia wartość (zresztą nie ma się co dziwić, zważywszy, że z wykształcenia nie był ani magiem, ani nawet filozofem, tylko inżynierem). Dlatego jego „Vampyrologos" pełne było zdań wielokrotnie złożonych, naszpikowane metaforami i kwieciście poetyckimi frazami. Czasem też ciężko było się rozeznać, co Waleriusz właśnie opisuje – dokonania wampirów, swoje własne, czy też wampirzych ofiar. A ponieważ przy okazji pisania o wampirach załatwiał również prywatne porachunki z filozofią Orelego Piurwasza i z samym Piurwaszem, jego wywody przybierały niekiedy zupełnie niespodziewany obrót. Ale zwłaszcza nieznośne były wstawki pseudopoetyckie.

– Czarna jest dusza wampira jako niebo w piekielnych otchłaniach, gdzie świt nie złoci poranka, a ożywa się jedynie zgrzytanie zębów bezlitosnych, płacz zgłodniałego serca i pokoju nie ma dla nikogo, bo nikt odnaleźć go nie może w krainie, gdzie napojem są jedynie łzy wypalane nieszczęściem – przeczytał na głos Arivald i zachwycił się.

Potem następował długi fragment porównujący duszę wampira z duszą Orelego Piurwasza (porównanie wypadało na niekorzyść tego drugiego), a następnie nawet drobna pochwała wampirzego gatunku (że wampiry nie kantują w sprawach tyczących się pieniędzy, w

przeciwieństwie do co poniektórych pseudofilozofów. U dołu był przypis: „dotyczy Orelego Piurwasza"). Poza wszystkimi wadami i śmiesznostkami dzieło Waleriusza Lycantropa było jednak istną kopalnią wiedzy na temat wampirów. Spore ustępy poświęcono również historii i struktury Bractwa Osikowego Koła i Arivald nawet zaczął się zastanawiać, czy Waleriusz przypadkiem do tej organizacji nie należał. No cóż, żył co prawda w czasach, kiedy wampirów już nie było, ale przecież Bractwo Osikowego Koła mogło istnieć nadal. Nieobecność wroga bowiem nie przeszkadza w tworzeniu organizacji, które miałyby go zwalczać. Do dzisiejszego dnia istnieje przecież Zakon Smokobójców, chociaż ostatniego smoka widziano ze dwa tysiące lat temu. I też, być może, chodziło tylko o nadnaturalnie wyrośniętego warana.

– Witaj, panie Arivaldzie…

Czarodziej skinął głową nie wstając z miejsca, ale oderwał się od lektury. Alveryk, komes Berbezzy, ciężko usiadł na krześle obok.

– Co ten chłopak znowu wymyślił? – rzekł. – Ja już nie mam do niego siły. Co za wampir, mistrzu?

– Och, młodzi ludzie mają bujną fantazję – wzruszył ramionami czarodziej. – Przejdzie mu.

– Dwa lata temu było polowanie na syrenę – przypomniał Alveryk – a ja potem o mało co nie musiałem stanąć do walki z Wizgerdem, bo mój syn złapał w sieć jego córkę, kiedy kąpała się nago w rzece. Rok temu przesiadywał całymi nocami na cmentarzach, szukając trupojadów. Omal nie zabili go wtedy jako cmentarnego rabusia. A teraz ten wampir. Co będzie w przyszłym roku? Oskarżenie ojca o nekromancję? Wyprawa na smoka? Szklana wieża czy źródło wiecznej młodości?

Arivald potarł lekko skronie, bo czuł, że zaczyna go boleć głowa. W końcu „Vampyrologos" nie było łatwą lekturą. Rozmowa z komesem mogła być wcale przyjemną odmianą. Choć mogła też nią nie być.

– Może gdybyś zaczął go uczyć magii, panie Arivaldzie… – zaproponował nieśmiało komes.

– Tego jeszcze brakowało! – żachnął się czarodziej. – Magia nie jest zabawką dla znudzonych dzieci. Równie dobrze mógłbym powiedzieć, żebyś wszczął jakieś walki z sąsiadami i postawił go na czele armii. Też miałby zajęcie. Może spodobałaby mu się rola bohatera.

– No cóż, Wizgerd ostatnio wjechał ze swoimi myśliwymi na moje tereny. Stratowali mi kilka dopiero co zasianych pól i poturbowali jednego z kmieci. Niby powód jest… – komes potarł z namysłem brodę – ale nie sądzę, żeby król był zachwycony.

– Żartowałem przecież – rzekł z niesmakiem Arivald. – Co ty sobie właściwie wyobrażasz?

Alveryk wstał i sięgnął po karafkę z winem.

– A co mogło go ugryźć? – spytał.

– Może to psychosomatyka – mruknął do siebie czarodziej.

– Jakieś paskudztwo? – zainteresował się komes.

– Nieważne, zapomnij – machnął ręką Arivald. – Dobrze, zajmę się tym.

Zatrzasnął księgę, starając się, aby Alveryk dostrzegł jego niezadowolenie.

– Udowodnię mu, że wygaduje bzdury i że przydałaby mu się mała lekcja udzielona za pomocą kilku brzozowych witek.

– Jak to zrobisz, panie Arivaldzie?

– Będę spał w jego pokoju. Chłopak musi pojąć, że wampiry to tylko fantazja, bajki i… – Arivald urwał, bo spostrzegł, że komes ma pod kaftanem naszyjnik z owoców czosnku -…i w ogóle jest to skandal – dokończył, a potem wymamrotał Siódme Gaussa i zniknął sprzed oczu Alveryka. – A poza tym owoce czosnku wcale nie odstraszają wampira – obwieścił jeszcze z pustki jego głos.

Arivald prawie zawsze miał problemy z wyznaczaniem współrzędnych do czarów Gaussa i teraz też zamiast znaleźć się na szczycie wieży, w której założył sobie małe laboratorium chemiczne, wylądował w jakimś bliżej nieznanym, ciemnym miejscu.

– Ki diabeł? – mruknął do siebie i wypowiedział Boską Jasność. Łagodna błękitna poświata otoczyła jego ciało i rozproszyła mrok. Arivald nigdy nie mógł zapamiętać Skrzesania Lingorskiego, najprostszego zaklęcia dającego światło i dlatego w sytuacjach takich jak ta przywoływał Boską Jasność. Było to niejakie nadużycie, gdyż Boską Jasność wymyślił Derwin Prawdomówny specjalnie dla podróżujących do dzikich krain misjonarzy i nie był to czar, którego wypada używać w zastępstwie świeczki czy pochodni. Boska Jasność uratowała życie niejednemu misjonarzowi, bo nawet najbardziej krwiożercze dzikusy mieli niejakie opory, aby atakować postać otoczoną błękitną aureolą. Prędzej gotowi byli ją włączyć do swego panteonu.

Czarodziej rozejrzał się ciekawie. Nie poznawał tego miejsca, ale nic dziwnego, bo mogło ono być dosłownie wszędzie. Oczywiście wszędzie niedaleko, gdyż czary Gaussa miały bardzo ograniczony zasięg, zwłaszcza Siódme. Niewątpliwie miejsce to było piwnicą, sądząc z wilgoci na ścianach i panującego chłodu. Arivald mógł co prawda znowu spróbować zaklęcia i spokojnie przenieść się do swej wieży, ale uznał, że skoro już tu jest, powinien się rozejrzeć. Poszedł więc przed siebie i nagle bardzo wyraźnie poczuł czyjąś obecność. W uczuciu tym nie było nic czarodziejskiego. Arivald wyczuwał

niebezpieczeństwo jakimś siódmym zmysłem. Tym samym, który wiele lat temu pozwolił mu wydostać się ze Zgniłego Lasu, kiedy krasnoludzka armia Dwyhriga Wszobrodego została dosłownie rozstrzelana przez elfy z Morribrondu. Arivald służył wówczas jako najemnik w krasnoludzkiej armii, gdyż krasnoludy płaciły czystym złotem (i w terminie), a poza tym nie prowadziły wojen. Uważały oddziały najemników za coś w rodzaju gwardii honorowej. Pech chciał, że Dwyhrig Wszobrody postanowił zdobyć bitewną sławę, i pech chciał, że uznał wojska najemników za doskonałe do prowadzenia walk w Zgniłym Lesie. Niestety głęboko się mylił, ale nie przyszło mu żyć z piętnem hańby, bo umarł drugiego dnia wyprawy na bagna. No, ale to były dawne dzieje. Niemniej jednak Arivald wyraźnie czuł, że coś czai się w mroku. Ba, słyszał nawet cichuteńki oddech i to go trochę uspokoiło, gdyż wampiry przecież nie oddychają. A potem zeźlił się na myśl, że przyszedł mu do głowy wampir, bo wampiry, po pierwsze, nie istnieją, a po drugie, natknięcie się na niego w tak przypadkowy sposób byłoby dalece nieprawdopodobne.

– Wyłaź – powiedział Arivald – bo się zdenerwuję.

Coś małego, miękkiego i bardzo skulonego odbiło się od ściany i przylgnęło do nóg czarodzieja.

– Ach, proszę, proszę, nie rób mi krzywdy! – zabełkotało cienkim głosikiem.

Arivald odsunął się i zobaczył przed sobą gnoma. Gnom był strasznie przerażony i z tego przerażenia uszy trzęsły mu się tak, że przypominały dwie szarobure flagi wystawione na porywisty wiatr.

– A cóż ty tu robisz? – zdumiał się czarodziej.

– Ja tu mieszkam, srogi panie – odpisnął gnom.

– Wstawaj i nie mów do mnie: srogi panie. Nie zamierzam cię skrzywdzić.

Gnom podniósł się bardzo ostrożnie.

– Czy to prawda, że magowie przyrządzają mikstury z wywaru z gnomich oczu? – zapytał, a słowa ciężko przechodziły mu przez usta, bo tak szczękał zębami.

– Co za bzdury!

– A nie uważają, że suszony język gnoma jest talizmanem strzegącym od reumatyzmu?

– Ktoś cię bardzo poważnie wprowadził w błąd – westchnął Arivald i zrobiło mu się żal gnoma.

Bo gnomy były najbardziej poczciwymi, strachliwymi i niegroźnymi stworzeniami na całym szerokim świecie. Rzadko zdarzało się je spotykać, gdyż kryły się w niedostępnych miejscach, a wychodziły niechętnie i przeważnie nocą. Opowiadały sobie nawzajem budzące dreszcz grozy historie o tym, jak to ludzie polują

na nie, by pracowały w kopalniach (więc nie należy się zbliżać do ludzkich obejść), krasnoludy pragną wyszkolić na toporników (więc nie wolno włóczyć się po górach i jaskiniach), elfy uwielbiają smażone gnomie ozorki (więc nie należy wchodzić żadnemu w drogę), a czarodzieje przyrządzają z gnomów tajemne ingrediencje i talizmany. Jako żywo jednak nikt nie widział gnoma pracującego w żadnej kopalni, elfy (z wyjątkiem elfów z Morribrondu) były zdeklarowanymi jaroszami (o czym wszyscy oprócz gnomów wiedzieli), a oddział gnomich toporników mógłby zabijać chyba tylko śmiechem. Ale wszystko to nie zmieniało faktu, że gnomy święcie w bajki te wierzyły. Mimo że tak uporczywie kryły się przed innymi istotami, to można było czasem jakiegoś spotkać na jarmarku (zamkniętego w klatce i bardzo nieszczęśliwego), ale przytrafiało się to niezwykle rzadko, a i tak najczęściej nie był to prawdziwy gnom, tylko karzeł udający gnoma. Wśród gnomów, z natury strachliwych i dobrodusznych, zdarzali się również zuchwali łajdacy, lecz łajdactwo to polegało co najwyżej na sikaniu do mleka, aby kwaśniało. Ten jednak nie wyglądał ani na zuchwalca, ani na łajdaka.

– Och, to dobrze – westchnął. – Nazywam się Bargrim Żelazna Pięść, dostojny czarodzieju. Czy mógłbym ci w czymś usłużyć?

– Bargrim Żelazna Pięść – powtórzył Arivald – taaak… No cóż, mógłbyś mi na przykład powiedzieć, gdzie jesteśmy i co tu robisz.

– Jesteśmy w lochach pod zamkiem – wyjaśnił gnom z leciutkim zdziwieniem w głosie – a ja tu po prostu mieszkam.

– W lochach pod zamkiem? – Czarodziej rozejrzał się dookoła. – Masz na myśli zamek Porrogard w Berbezzie?

– Tak, dostojny czarodzieju. Ale to ukryta część lochów. Przejście zostało zasypane prawie dwieście lat temu.

– Jak więc się stąd wydostajesz? – zmarszczył brwi Arivald.

– Hm, hm – gnom odchrząknął z zakłopotaniem – znam troszeczkę… znaczy, liznąłem tylko, znaczy się…

– No! – przynaglił go Arivald.

– Zaklęcia znam. Parę takich małych, znaczy. Potrafię znaleźć się przed tą karczmą za miasteczkiem, no i wrócić tutaj.

– Proszę, proszę! – zdumiał się czarodziej. – A zawsze mówiono, że gnomy i krasnoludy nie są w stanie przyswoić nawet najprostszej magii. To powiedz mi, dlaczego nie uciekłeś zaklęciem, tylko kryłeś się w ciemnościach?

Bargrim wzruszył chudymi ramionami.

– Zapomniałem – wyznał – tak się przestraszyłem, że zapomniałem. Nikt tu nie był od dwustu lat, szanowny panie czarodzieju. Od dwustu lat.

– To rzeczywiście kawał czasu – pokiwał głową Arivald. – Ano, mieszkaj sobie dalej. Ja ci nie będę przeszkadzał.

– Niestety, dostojny panie. Przyjdzie mi się wynieść – gnom opuścił głowę i utoczył dwie ciężkie łzy.

– A to czemu? Ja naprawdę nikomu nie mam zamiaru powiedzieć, że tu mieszkasz.

– Och, panie czarodzieju. To nie to. Tu zamieszkał – gnom obniżył głos do szeptu – wampir.

Arivald roześmiał się, ale nagle zrobiło mu się trochę nieswojo.

– Bajdy – burknął – wampirów nie ma.

– Ależ są, panie czarodzieju, klnę się, jakem Bargrim Żelazna Pięść – gnom zadudnił piąstkami po swej wątłej piersi. – Widziałem go, jak przemykał, widziałem, jak zmieniał się w nietoperza… – Bargrim zadrżał. – Wszystko, wszystko widziałem. Ten zamek już przepadł, dostojny czarodzieju. Uciekajcie z niego, ratujcie się…

– Ciii… – Arivald przyłożył palec do ust. – Bez paniki. Nawet jak jest tu wampir, w co nawiasem mówiąc, nadal nie wierzę, to przecież na wampiry są sposoby. Jaki zresztą wampir zakradłby się do zamku, gdzie mieszka czarodziej? Chyba musiałby zgłupieć.

– To nie byle jaki wampir, panie czarodzieju. Nie taki zwykły latacz krwiopijca. To specjalny wampir.

– Wampiry dzielą się na trzy rodzaje – rzekł Arivald uczonym tonem. – Wampiry czarne, zwane inaczej kostropatymi. Prawie niegroźne. Boją się ludzi, a żywią krwią małych zwierząt. Czasem potrafią zaatakować owcę czy krowę, bardzo zgłodniałe i w gromadzie napadną nawet człowieka. Nie posiadają zdolności przemiany, boją się światła dnia, amuletów, talizmanów, relikwii, ponoć nawet czosnku. Co noc muszą wracać do trumny, a w trumnie musi koniecznie być ziemia z ich grobu. W lustrze nie dostrzega się ich odbicia. Dalej są wampiry brunatne nazywane krwiopijcami. Dużo groźniejsze. Najchętniej piją ludzką krew, znają sekret przemiany w nietoperza. Mają te same słabostki co wampiry kostropate, ale są dużo odważniejsze i silniejsze. Na ogół jednak nie zabijają. No i trzecie, wampiry sine, inaczej królewskie. Jako jedyne potrafią zarażać wampiryzmem. Wytępione przed prawie trzystu laty. Bardzo złośliwe, bardzo silne i przebiegłe. Uodporniły się na większość magicznych talizmanów. Ale nie uodporniły się na działanie osinowego kołka. I to tyle.

– Panie czarodzieju, nie śmiem zwracać ci uwagi, lecz pominąłeś jeszcze jeden rodzaj wampira.

– Czyżby?

– Cesarskie – wyszeptał gnom. – Potrafią zmieniać się w dym i przenikać przez ściany. Ba, nie zabija ich świt, choć słońce parzy im skórę.

– Skąd masz takie informacje? – Arivald nieufnie pokręcił głową.

– Czytałem księgi, dostojny czarodzieju – zająknął się gnom.

– Kiedyś mieszkałem w passadeńskiej bibliotece, na strychu znaczy się. Ale nocą wkradałem się i czytałem…

– Biblioteka w Passadenie spłonęła ponad czterysta pięćdziesiąt lat temu. Jak mogłeś…

– Ale ten czas leci! – westchnął gnom. – No i tam przeczytałem o wampirach.

– Mój Boże! – Arivald był głęboko wstrząśnięty. – W bibliotece w Passadenie przechowywano jedyne egzemplarze tysięcy ksiąg. Czarodzieje daliby wszystko, aby móc je dzisiaj przeczytać. A ty tam byłeś!

– Ach, jak mnisi pilnie strzegli tej biblioteki – wspomniał gnom. – Nikogo nie chcieli wpuszczać. Ile ja słuchałem próśb, ile widziałem poselstw. Nie złapali mnie nigdy – dodał z dumą. – Czasem podejrzewali, że zakradły im się myszy. A to byłem ja!

– No, no – czarodziej spojrzał na gnoma z nagłym szacunkiem – czy pamiętasz, co to była za księga?

– O tak, panie czarodzieju. Miała śliczny tytuł. „O stworach nocy i stworach krwi. Rzecz spisana przez Irydesa z Valikoveru ku nauce i przestrodze”.

– Pięknie zapamiętałeś – pochwalił go Arivald. – Czy to była twoja ulubiona?

– Nie, panie czarodzieju. Ja pamiętam wszystko.

– To znaczy? – spytał Arivald machinalnie, ale myślami już był przy rozmowie z komesem i zastanawiał się, jak w sposób łagodny i nie budzący trwogi podać mu wiadomość, że wampir jednak istnieje. A przynajmniej że istnienie jego jest wysoce prawdopodobne.

– Wszystko co przeczytałem. Każdziuteńkie słówko. Arivald ocknął się z zamyślenia.

– Coś powiedział? – spytał takim tonem, że gnom aż przysiadł.

– Kaaażdziuteńkie słowo – powtórzył.

Czarodziej chwycił go za ramię i zaskoczony Bargrim pisnął.

– Ileś tych książek przeczytał?

– Tysiąc czterysta siedemdziesiąt trzy, zacząłem tysiąc czterysta siedem…

– I wszystko pamiętasz?

– Ja nie rozumiem tego, co tam pisano, nie wszystko, znaczy, ale pamiętam, tak, pamiętam.

Czarodziej zwolnił uchwyt i wyszeptał Prawdomowę Kelfusa. Potem spojrzał gnomowi prosto w oczy.

– No, kochany Bargrimie – rzekł wolno – mam przeczucie, że spędzimy razem sporo czasu. Powiedz mi, czy jest coś, co ja mógłbym dla ciebie zrobić?

– Magia – szepnął gnom w uniesieniu. – Czy nauczysz mnie czarów?

– No cóż – pokiwał głową Arivald – zawsze możemy spróbować. A teraz daj mi rękę.

– Rękę?

– Tak – odparł Arivald i tym razem bezbłędnie namierzył Gaussa, chociaż musiał wziąć poprawkę na zmianę masy.

– Bądźże poważny i odpowiedzialny – napomniał Alveryka Arivald.

– Jeszcze dzisiaj zarządzę ewakuację – komes nie chciał być wcale ani poważny, ani odpowiedzialny.

– Opuścisz gniazdo rodowe? – próbował zagrać mu na ambicji czarodziej. – Siedzibę władców Berbezzy od czterystu dwudziestu lat?

– Opuszczę – odparł godnie komes. – Nawet chwili się nie zawaham.

– Staniał honor rycerski – kwaśno zauważył Arivald.

– Obrażasz mnie – nadął się Alveryk – ale powiedz, czy wampira mógłbym pokonać odwagą i mieczem? Czy przeciwko niemu mogę wysłać rycerzy? Ha, milczysz, panie Arivaldzie! Wampir to zajęcie dla czarodziei, wiedźminów albo Braci Garlikowych. Ale nie dla nas, prostych ludzi. Rozłupać komuś łeb, przejechać ostrzem po gardle… proszę bardzo. Powiedz tylko komu. A czy wampirowi to zaszkodzi? Nie zaszkodzi. Jeszcze dzisiaj pchnę gońca do króla. Niech przyśle mi jakiegoś nieustraszonego zabójcę wampirów. Bo wy, panie Arivaldzie, jakże sobie poradzicie, skoro nawet nie chcieliście uwierzyć w istnienie wampirów?

Czarodziej poczuł się z lekka urażony, lecz nie dał tego po sobie poznać.

– Ach, róbże, co chcesz – westchnął – ale mam nadzieję, że dokładnie policzyłeś już wszystkie straty?

– Hm?

– No, straty związane z ewakuacją zamku – wyjaśnił łagodnie czarodziej. – Wiesz, nieuchronne kradzieże, zniszczenie sprzętów, utrzymanie płac dla pracowników, zakwaterowanie dworu. A dalej: myślisz, że panika nie przeniesie się do miasta? Co z zyskami z ceł i myta? Co z podatkami? Czy pomyślałeś o tym wszystkim? Jeśli będziesz miał kłopoty z gotówką, polecam krasnoluda Grumbaxa. Bierze tylko dwadzieścia od sta. Co prawda żąda zastawu w wysokości podwójnej wartości pożyczki, ale poza tym jest bardzo uczciwy. No, jest jeszcze oczywiście Forholt, lecz z jego usług osobiście bym nie radził korzystać.

Alveryk opadł na fotel.

– Co, co? – spytał nieprzytomnie.

– No dobrze. – Arivald spojrzał z zadowoleniem na zgnębionego komesa. – Widzę, że teraz możemy rozsądnie pogadać.

– Więc co mam robić? – zapytał Alveryk.

– Przede wszystkim nie siać paniki – poradził czarodziej – a resztą już ja się zajmę.

– Jak?

– No cóż – westchnął Arivald – wampiry nadal są pod ochroną. A poza tym zbadanie takiego okazu byłoby wielkim osiągnięciem naukowym. Postaram się więc nie zrobić mu krzywdy, tylko uwięzić i następnie bezpiecznie przewieźć do Silmaniony.

– Nie zrobić mu krzywdy – powtórzył komes w osłupieniu. – Na Boga, ty się lepiej martw, żeby on nie zrobił krzywdy nam! Przecież to wampir!

– Nie sądzisz, komesie, że skoro wampiry zostały wybite do nogi… no, prawie do nogi, to znaczy, że ich zdolności samozachowawcze nie mogły wcale być wysokie?

– Ni cholery nie rozumiem – wybuchnął Alveryk. – Wiem tylko, że to coś dobiera się do mojego syna!

– Od tej pory będę nocował razem z nim. A jeśli nasz gość się pojawi, to koniec. Wpadnie jak śliwka w kompot. – Arivald naprawdę chciał wierzyć w to, co mówi.

Alveryk bez przekonania pokiwał głową.

– A więc nikogo nie zawiadamiać? – zapytał.

– Nikogo. Załatwimy to we własnym zakresie. Niepotrzebne byłoby całe to zamieszanie. A powiem ci też, że wcale nie byłbym zachwycony, gdyby królowi wpadło do głowy zatrzymać sobie wampira jako dworską ciekawostkę.

Arivald dostrzegł nagłe zainteresowanie na twarzy komesa.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegł – wampir pojedzie do Silmaniony.

– Już podzieliłeś skórę, a niedźwiedź jeszcze żyje – wzruszył ramionami Alveryk – ale dobrze. Obiecuję: złapiesz go, to jest twój.

Ktoś jednak puścił plotkę o wampirze. Arivald spodziewał się tego, bo w końcu zbyt wiele osób szeptało po kątach o podejrzeniach Sangwaniasza, zbyt często też spotykało się osobników obwieszonych sznurami z główek czosnku. Ale Arivald nie sądził, iż skutki rozpowszechnienia tej wieści będą aż takie. Na zamek w Berbezzie przybył bowiem wiedźmin. Alveryk postanowił go przywitać godnie, w sali tronowej, w otoczeniu sług i doradców, gdyż od wielu lat nikt nie widział na oczy żywego wiedźmina (jeden wypchany egzemplarz stał w silmanionskiej bibliotece) i podejrzewano, że wszyscy przedstawiciele tego fachu zeszli już ze świata na skutek opilstwa i poróbstwa.

Wiedźmin był mały, szpakowaty i pijany w siwy dym. Na plecach taszczył skórzaną pochwę po mieczu, ale samego miecza nie było

widać. Ukłonił się, z trudem zachowując równowagę.

– Jestem… – zaczął butnym tonem i urwał zastanawiając się, co też miał powiedzieć dalej.

– Wiedźminem – życzliwie podpowiedział Arivald, przyglądając mu się z zainteresowaniem.

– A tak, wiedźminem jestem. A imię me słynny Puffer z Lyzienny.

– Czy słynny to część imienia? – zapytał Borhorgast, jeden z doradców Alveryka, i coś sobie zanotował w kajecie.

Wiedźminowi to pytanie sprawiło spore trudności.

– Jaki jest powód twej wizyty, szanowny wiedźminie? – wybawił go z kłopotu Arivald.

– Doszły mnie słuchy, że zalągł się w tym zamku straszliwy wampir i jedynie srebrne ostrze słynnego wiedźmińskiego miecza może przerwać wasze udręki. A więc jestem i jeśli nagroda za głowę wampira będzie dość hojna, to – wiedźmin pstryknął palcami – oswobodzę was od maszkary.

Ktoś za plecami komesa zaczął głośno bić brawo, lecz zaraz przestał pod karcącym spojrzeniem Alveryka.

– Tak, czemu nie – rzekł z wahaniem komes – ale jeśli mogę spytać: jakie są twe kompetencje, mości wiedźminie?

– Kom… co? – spytał z głupim wyrazem twarzy Puffer z Lyzienny.

– No, co potrafisz? – wyjaśnił komes nieco bardziej oschłym tonem.

– Wszystko – odparł z rozbrajającą szczerością wiedźmin. – Służyłem w tajnej policji króla Mrzeczysława z Podgłowia Dolnego, byłem pułkownikiem komandosów samego Qulawicjusza, brałem udział w walkach w Matandze i Paffanistanie. Potwory, które zabiłem, nie zmieściłyby się na dziedzińcu tego zamku. Co ja mówię na dziedzińcu! Nie pomieściłyby się w całym tym kraju!

Puffer z Lyzienny przerwał na moment i oblizał wargi. Wyraźnie zaschło mu w ustach. Nagle jego wzrok, prześlizgujący się do tej pory po dworzanach otaczających komesa, zatrzymał się na Sangwaniaszu.

– Ach – rzekł zauroczony wiedźmin – czy pani wie, że ma pani piękne oczy? – zatoczył się w stronę Sangwaniasza. – Chciałbym stanąć do śmiertelnego boju przewiązany twą szarfą, o piękna.

– Zabierzcie go stąd – warknął zniesmaczony Alveryk. Arivald zręcznie odholował wiedźmina na bok. Sangwaniasz stał czerwony jak burak. Ktoś w kącie zaczął już się z niego podśmiewać.

– Chodź, napijemy się piwa – zaproponował Arivald wiedźminowi.

– O, nie odmówię – wiedźmin zatrzymał się na moment i balansując, aby utrzymać równowagę, wpatrzył się maślanymi oczami w Arivalda. – A czy pani wie…

– Wiem, wiem – mruknął czarodziej i pociągnął go za sobą w

stronę drzwi.

Poszli do komnaty, którą komes Alveryk kazał przygotować gościowi. Stał tam już antałek przedniego marcowego piwa. Arivald zakonotował w pamięci, iż ma spytać, który ze służących był na tyle domyślny. Wiedźmin zatoczył się na zydel i siadł na nim w dość niebezpiecznej pozycji.

– A gdzie twój miecz, mości wiedźminie? – zapytał uprzejmie Arivald.

– Miecz – powtórzył Puffer z Lyzienny, jakby pierwszy raz w życiu usłyszał to słowo, po czym pomacał pochwę przewieszoną przez plecy. – A tak, miecz. Zastawiłem. – Podrapał się lekko po czole. – Jaka będzie zaliczka? – spytał z chytrym wyrazem twarzy.

Arivald westchnął.

– Gdzie go zastawiłeś?

– W lombardzie – odparł wiedźmin z godnością.

– W którym lombardzie? – Arivald był bardzo cierpliwy.

– A w takim na rogu. Obok karczmy.

– U Zbrybaxa – czarodziej pokręcił głową – trudno trafić gorzej. Chodźmy po ten twój miecz.

Wiedźmin tęsknym wzrokiem obrzucił antałek piwa.

– Możesz sobie nalać jeden kufel – zezwolił wielkodusznie Arivald – i ruszajmy.

Puffer z Lyzienny wypił kufel piwa duszkiem, po czym otarł wąsy z piany. Uśmiechnął się szeroko.

– No, macie tu dukata, dobry człowieku – rzekł, gmerając w kabzie i najwyraźniej tym razem biorąc Arivalda za służącego. – A zresztą – machnął dłonią, omal nie przetrącając sobie nosa – dacie mi go później, tylko nie zapomnijcie.

Ziewnął, zachybotał się, rozsądnie postąpił dwa kroki w stronę łóżka i zwalił się na nie z westchnieniem rozkoszy. Potem głośno zachrapał. Arivald postanowił sam się przejść do lombardu. Głównie dlatego, że chciał zobaczyć słynny srebrny wiedźmiński miecz (bo do tej pory widział takowy tylko raz, w dłoni wypchanego eksponatu). Poza tym zastanawiał się, czy jeżeli wykupi miecz od Zbrybaxa, to uczciwie będzie go zatrzymać, czy jednak należy oddać Pufferowi z Lyzienny. Ale tak w ogóle to raczej przypuszczał, że znajdzie jakąś nędzną podróbkę wiedźmińskiego miecza, a nie miecz autentyczny.

Nim dotarł do lombardu, musiał co chwila się zatrzymywać i udzielać dobrych rad typu: jak chronić się przed wampirem, czy osikowy kołek działa, gdzie można kupić czosnek i takie tam podobne głupstwa. Starał się sprawiać wrażenie znudzonego i obojętnego.

– Ach, to wszystko bajki – mówił ludziom wokół i czuł wręcz namacalnie, jak jego autorytet spada.

Tak więc z ulgą przekroczył próg lombardu. Za kontuarem stał

sam właściciel, czyli Zbrybax. Zbrybax był mieszańcem. Półczłowiekiem, półkrasnoludem. Podobne dziwy natury zdarzały się niezmiernie rzadko i sądząc po Zbrybaxie, całe szczęście, że tak rzadko. Jego ojciec musiał być nie lada odszczepieńcem, skoro wziął sobie ludzką kobietę. Albo był wtedy bardzo pijany.

– Dostojny Arivald – przemówił Zbrybax swym najbardziej uprzejmym i najbardziej uniżonym tonem. – Czym mogę służyć tak znamienitemu gościowi? Czyżby – starał się nadać głosowi wyraz smutku – jakieś finansowe kłopociki?

– Nie. Zamierzam coś od ciebie odkupić.

– A! – Zbrybax z trudem ukrył niepokój. – Cóż takiego?

– Był tu niedawno pewien wiedźmin…

– Wiedźmin.

– …i zastawił miecz…

– Miecz.

– …który ja chciałbym teraz wykupić.

– Wykupić.

– Jeżeli nie przestaniesz powtarzać po mnie – rzekł Arivald zimnym tonem – to zamienię całe twoje złoto w muszelki.

– W muszelki… – Zbrybax rozdziawił gębę, pokazując istne karczowisko sczerniałych pni. – Nie, bardzo proszę. Był wiedźmin, był. Dałem mu dwanaście denarów.

– Dwanaście denarów. – Arivald pokiwał głową. – Jak ty byś komuś dał dwanaście denarów, świat by się zawalił. Poza tym wiedźmin już by nie żył z przepicia. Ile mu dałeś? Tylko bez krętactw!

– Cztery…?

Arivald chrząknął ostrzegawczo.

– Półtora – rzekł naburmuszony Zbrybax. – Półtora denara za ten szmelc.

– Szmelc?

Zbrybax zniknął na zapleczu i po chwili wrócił, niosąc ostrożnie pięciostopowy miecz. Srebrny. Ale srebrny był tylko kolor. Miecz był wykuty ze zwykłej stali, i to nie najlepszego gatunku.

– Ile ja na tym zarobię? Pół denara? Denara? A poza tym kto to kupi?

– Dawaj – mruknął czarodziej niezadowolony, choć w zasadzie tego właśnie się spodziewał. – Odliczysz sobie denara przy płaceniu podatku.

– Dwa denary – powiedział szybko Zbrybax – przecież ja też muszę coś z tego mieć.

– Muszelki – przypomniał łagodnie Arivald. Zbrybax w końcu machnął ręką.

– Przyjdzie pójść na żebry, jeśli częściej będę robił takie interesy.

– Daj mi jakiś worek – rozkazał Arivald, któremu wcale nie

podobała się perspektywa paradowania przez miasto z mieczem w dłoni. I to w dodatku srebrnym. A przynajmniej srebrnego koloru.

– Pięć miedziaków – rzucił Zbrybax, podając worek.

– Oto jak się dochodzi do majątku – rzekł z podziwem Arivald. – Też sobie odliczysz przy podatku.

Komes zaczynał powątpiewać w odwagę i lojalność swych rycerzy. Atanazar stwierdził, że jego obecność jest pilnie wymagana w rodowym majątku, i wyjechał z niewiarygodną szybkością wraz ze wszystkim służącymi. Rebnir Starodźwięk postanowił zapolować na jelenie w Lasach Durham, odległych o dobre trzy dni drogi, a Liskor Czteropalec poskarżył się na reumatyzm i udał do wód. Następnych chętnych komes powstrzymał surowym oświadczeniem, w którym aż pięciokrotnie przewijało się sformułowanie „naszą wieczną niełaską". Trudno jednak było zatrzymać służbę, zwłaszcza tę niedawno przyjętą, która wyciekała z zamku niczym woda z dziurawego garnka. Powstała też koteria nawołująca do szybkiego powiadomienia króla i uważająca, iż to król powinien zająć się problemem wampira. „W końcu na co idą nasze podatki?!" – krzyczeli ci ludzie i komes poniekąd przyznawał im rację. Arivald czuł więc, że jego pozycja jest nadzwyczajnie osłabiona, autorytet zaś kruchy jak nigdy. Ale nie miał zamiaru ustępować. Powiadomienie króla wiązałoby się, po pierwsze, z przyjazdem całego dworu, a co za tym idzie nadwerężeniem skarbca Berbezzy, po drugie, z kompromitacją, jeżeli wampir by się nie ujawnił, a po trzecie, król niechybnie kazałby wampira odstawić na swój zamek (jeżeli udałoby się go pokonać). Po czwarte, wampir mógłby zająć się samym królem, a Arivald wcale nie życzył sobie przejść do historii jako „wiesz, ten mag, co przez niego nasz król został wampirem". Tak więc Arivald był w podłym humorze, ale zdesperowany i gotów do walki, jeżeli takowa miałaby nastąpić. Choć zamierzał bardzo uważać, bo również nie uśmiechała mu się sława maga, który „no wiesz, został wampirem". Czarodziej był tak pogrążony w myślach, że zapomniał o istnieniu Bargrima Żelaznej Pięści i przypomniał sobie, dopiero kiedy zobaczył go przycupniętego w kącie pokoju, zatopionego w lekturze. Gnom oderwał się od księgi i podniósł na Arivalda nieco spłoszony wzrok.

– Czytaj sobie, czytaj – mruknął do niego uspokajająco czarodziej i wyjął miecz z worka.

– A co to takiego? – zapytał Bargrim.

– Miecz wiedźmina – wyjaśnił Arivald – bezczelna i źle zrobiona fałszywka.

Gnom pokiwał współczująco głową.

– Wiedźmin pije w kuchni – obwieścił.

– No nie, przecież spał.

– Spał, a teraz pije.

Czarodziej usiadł z westchnieniem w fotelu.

– Jeszcze tego mi brakowało. Może by go kazać wsadzić do lochu? – zastanowił się. – A zresztą, niech sobie pije. Bargrim!

– Tak, panie czarodzieju?

– Opowiadaj. Wszystko, co zapamiętałeś o wampirach. Mamy czas do zmroku.

Gnom pamiętał rzeczywiście wszystko. Potrafił cytować wybrane fragmenty księgi niczym biegły prawnik przepisy kodeksów. Ale sęk w tym, że jego wiedza była nieusystematyzowana i chaotyczna. Nie wiedział, co jest ważne, a co nieważne dla sprawy, więc wyciągnięcie od niego właściwych informacji wcale nie było sprawą łatwą. Arivald starał się nie stracić cierpliwości, choć nie raz i nie dwa przychodziła mu ochota, by wrzasnąć albo pójść sobie w świat. Ale Bargrim naprawdę chciał być pomocny i patrzył na czarodzieja z takim oddaniem, że po prostu nie wypadało go strofować.

W końcu, kiedy zachód słońca był już blisko, doszli do jakichś rozsądnych wniosków.

– Niemożliwe – powiedział po raz kolejny Arivald. – To zaklęcie nie ma nic wspólnego z wampirami.

Na to Bargrim po raz kolejny, bezbłędnie, cytował wybrany fragment z księgi.

– A ta mikstura! – załamał dłonie czarodziej. – Co za bezsens. Mam wszystkie potrzebne składniki, ale z tego nic nie wyjdzie. Jesteś pewien?

Arivaldowi nie udało się jednak wydobyć od gnoma wiadomości o tym, jak zabić lub okiełznać wampira. Jedyne, do czego doszli, to jak pozbawić go zdolności przemiany. A to było już coś, gdyż wampir, straciwszy zdolności przemiany, stawał się dużo mniej groźny. O ile oczywiście te z pozoru bezsensowne zaklęcia i dziwaczne mikstury podziałają. A co do tego Arivald miał bardzo poważne wątpliwości. Nie pozostawało mu jednak nic innego jak zaryzykować. Cały czas kołatała się w nim nadzieja, że sprawa wampira okaże się bzdurą wyssaną z palca, efektem wybujałej fantazji Sangwaniasza i strachliwości Bargrima.

– Dobrze – spojrzał w okno, za którym widać było czerwony krąg zachodzącego słońca – idziemy przygotować tę truciznę. Chodź.

Wtedy do komnaty wszedł chwiejnym krokiem wiedźmin.

– Mój miecz – odgadł, widząc leżące na łożu ostrze.

– Tak, tak, możesz go sobie zabrać – stwierdził oschle czarodziej. Wiedźmin ujął rękojeść w dłoń i nadspodziewanie zgrabnym ruchem umieścił oręż w pochwie na plecach.

– No – powiedział – czułem się bez niego jak bez ręki. Ile jestem ci winien, panie… – zmrużył oczy, aby skoncentrować wzrok –

czarodzieju, jeśli się nie mylę.

– Nic – burknął Arivald. – Idziemy – rzucił do Bargrima – a ty – zwrócił się do Puffera z Lyzienny – przestań się szwendać po zamku, bo każę cię wsadzić do lochu.

Wyszedł zagniewany, pozostawiając wiedźmina w dobrodusznym zdumieniu.

– A cóżeż go ugryzło? – mruknął do siebie Puffer z Lyzienny i zaczął się rozglądać po komnacie w poszukiwaniu jakiejś miło bulgoczącej buteleczki.

– Ach, żeby tylko przyszedł – westchnął z nadzieją Sangwaniasz i schował stopy pod kołdrę.

Arivald obrzucił go złym spojrzeniem.

– A jak nie podziała? – zachrypiał Bargrim, bo z wrażenia zaschło mu w gardle. Wcisnął się głębiej do kąta.

– Podziała – uspokoił go bez przekonania Arivald – a jak nie, to spróbujemy innych metod.

Głównie myślał tu o czarze Gaussa, bo bez trudu mógłby nim przenieść wszystkich w bezpieczne miejsce. Przyjrzał się sceptycznie butelce, którą trzymał w ręku. Wrzała w niej gęsta zielona ciecz, nazywana przez Bargrima, a raczej przez Irydesa z Valikoveru, którego Bargrim cytował, Trucizną Koltari. Sądząc po użytych składnikach, była to po prostu niezwykle kosztowna trutka na szczury, lecz Arivald wolał nie zapeszać i nie mówić o tym na głos.

– Ile da nam Akademia, panie Arivaldzie? – odezwał się znowu Sangwaniasz. – Powinniśmy dostawać procent od wpływów z biletów. Bo chyba będą go pokazywać, prawda?

– Jeżeli jeszcze raz się odezwiesz – rzekł czarodziej lodowatym tonem – to w Akademii będą pokazywać ciebie jako przykład, do czego prowadzi rozgniewanie maga. Rozumiesz, tępa pało?

Sangwaniasz umilkł. Częściowo z oburzenia, częściowo ze strachu, a częściowo z przykrości, jaką sprawiły mu słowa Arivalda. Ale był na tyle rozsądny, by nie oburzać się ani nie uskarżać na głos.

– Za dziesięć dwunasta – rzekł grobowym głosem Bargrim i spojrzał na zatrzaśnięte okiennice, jakby spodziewał się, że wampir za chwilę przez nie przeleci.

– Jeśli nie przyjdzie do czwartej, to nie przyjdzie w ogóle – mruknął Arivald i zaczął po raz kolejny sprawdzać magiczne bariery, jakimi otoczył pokój. Co prawda miał niewielką nadzieję, by któraś z nich podziałała na wampira. Kątem oka zauważył, że Sangwaniasz spluwa trzy razy przez lewe ramię. Chciał już coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

– Idzie, idzie! – wrzasnął nagle z ciemności demon i zmaterializował się przed nimi.

Sangwaniasz wrzasnął, a Bargrim zanurkował pod łóżko. Nawet Arivaldowi różdżka drgnęła w dłoni. Demon należał do jednej z barier i miał pełnić funkcje ostrzegawcze, ale zbyt sobie to wziął do serca.

– Pomyliłem się – mruknął po chwili przepraszająco i zniknął.

– Zamorduję go – syknął Arivald.

Sangwaniasz wynurzył się spod kołdry, a Bargrim spod łóżka.

– Przecież on wie, że tu jesteśmy – gnom mówił, starając się nie kłapać zębami – i na pewno nie przyjdzie. Wie, że tu czuwa czarodziej, z pewnością się przestraszył.

Arivald nie był wcale tego taki pewien.

Nagle powietrze w komnacie zgęstniało, a ściany zaczęły emanować różowawy blask. To była następna bariera postawiona przez czarodzieja. Wampir się zbliżał. Sangwaniasz i Bargrim, znieruchomiali, przyglądali się coraz silniej świecącym ścianom, które teraz rzucały tęczowe blaski.

– Och! – westchnął Sangwaniasz. – Ale kolory!

Arivald wstał i mocniej ścisnął różdżkę w dłoni. Wypowiedział szybko, jedno po drugim kilka zaklęć, które miały ich ustrzec przed wpływem wampira. I zrobił to w samą porę, bo wampir właśnie się pojawił. Najpierw ujrzeli tylko czarny dym przenikający przez ścianę od korytarza, potem dym zgęstniał i zaczął przybierać postać wysokiego mężczyzny w granatowym płaszczu.

– Idzie! – wrzasnął znowu demon, ale tym razem przezornie się nie pojawił.

Wampir już zakończył transformację i stał pośrodku komnaty. Bardzo wysoki, o bladej twarzy i płonących, czarnych jak noc oczach. W prawej dłoni trzymał laskę ze srebrną gałką, w lewej wytworne rękawiczki. Arivald nie zamierzał czekać na pierwszy ruch wampira. Szybko wypowiedział Akuratność Kemleya, odkorkował butelkę i chlusnął zawartością w przybysza. Czar posłusznie poniósł ciecz, wampir dostał prosto w twarz. Zakrztusił się i zaczął ścierać z policzków gęstą zieloną maź. Upuścił przy tym rękawiczki.

Arivald nie bardzo wiedział, co robić dalej. Wampir jak na razie nie odezwał się ani słowem, nie uczynił też żadnego jawnie wrogiego gestu. Stał po prostu i w milczeniu czyścił się z trucizny, którą potraktował go czarodziej. Bargrim natomiast krzyknął. W pierwszej chwili Arivald sądził, że to okrzyk przestrachu, ale to był krzyk triumfu. Gnom wyciągnął zza pazuchy osinowy kołek i skoczył w stronę wampira. Jednak okazał się zuchwałym łajdakiem.

Kiedy on to zdążył zastrugać? – zdołał tylko pomyśleć Arivald, a potem wydarzenia nastąpiły błyskawicznie.

Wampir na widok osinowego kołka skrzywił się straszliwie, o krok odstąpił na bok, po czym chwycił błyskawicznym ruchem gnoma za klapy płaszcza, okręcił nim w powietrzu i cisnął o ścianę. Bargrim z

jękiem huknął w mur i znieruchomiał na podłodze. Kołek wypadł mu z dłoni.

– Taaa… – rzekł wampir i jego oczy zapaliły się złym blaskiem. Obrócił głowę w stronę łoża, na którym siedział Sangwaniasz niczym kamienny posąg. Uśmiechnął się, a spod bladoróżowych warg wysunęły się dwa długie, ostre i olśniewająco białe kły.

Wampiry mają przecież ssawki, pomyślał Arivald i mimo grozy sytuacji wściekł się na Waleriusza Lycantropha razem z całym jego „Vampyrologos".

Postanowił być twardy i bezczelny.

– No i co dalej? – zwrócił się w stronę wampira. – Zostałeś rozpoznany i schwytany. Ofiarowuję ci ochronę i opiekę Akademii w Silmanionie. Jesteś archeologicznym zabytkiem i będziemy dbać, aby nikt ci nie zrobił krzywdy.

Wampir zasyczał wściekle i rozpostarł poły płaszcza. Do złudzenia przypominał wielkiego, zdenerwowanego nietoperza.

– Koltari! – wrzasnął, aż Arivaldowi zaświdrowało w uszach. – To była Koltari!

– Jasne, że Koltari – odparł mag, a coś w nim radośnie krzyczało: Działa! Działa! – Co ty sobie myślałeś? Teraz poddasz się sam, czy mam ci złoić skórę?

Wampir wrzasnął raz jeszcze i skoczył w stronę czarodzieja. Arivald wolał zawierzyć sile swych mięśni niż czarom, więc odrzucił różdżkę i trzasnął wampira szybkim prawym sierpem celowanym w podbródek. Ale uderzenie nie doszło celu. Wampir zatrzymał pięść czarodzieja, ścisnął ją w swej dłoni i Arivald usłyszał, jak chrupnęły mu kostki nadgarstka. Zdołał szybko wyszeptać Bezból, po czym został chwycony za brodę oraz pas i ciśnięty w powietrze. Grzmotnął potężnie o ścianę, odwinął się, by uniknąć kopnięcia, lecz i tak oberwał pod kolano. Nic go nie bolało, tylko czuł, że ma bezwładną lewą nogę. Chciał się zerwać, ale noga zawiodła i padł z powrotem, w ostatniej chwili osłaniając twarz przed ciosem. I kiedy już żegnał się z życiem, huknęły drzwi komnaty.

– Rrrahn! – głos wiedźmina zatrzymał wampira, a Znak Podwójnego Phallusa odepchnął go pod okiennice.

Srebrna błyskawica wiedźmińskiego miecza zygzakiem pomknęła w stronę wampira, który, choć oszołomiony Podwójnym Phallusem, zdołał jednak uskoczyć. Próbował zamienić się najpierw w dym, potem w nietoperza, ale tylko rozbolała go głowa. Wiedźmin chlasnął mieczem, zwalając ze stołu świecznik i obcinając wampirowi przy okazji połę płaszcza. Świece zgasły, zapanowała ciemność, w której jarzyły się tylko białe oczy wiedźmina i błyszczało ostrze srebrnego miecza. Wiedźmin złożył palce w Znak Negging i czerwonawa aura rozświetliła komnatę. Wampir skoczył, chcąc wykorzystać ten

moment, ale Puffer z Lyzienny płynnie odszedł na bok, palce lewej dłoni złożył w Znak Pedding, który wampira oślepił i przeraził, a prawą wyprowadził pchnięcie. Ostrze przecięło płaszcz i przejechało wampirowi po boku.

– Poddaję się! – krzyknął wampir i uciekł za łóżko. – Magu, ochroń mnie!

Arivald wypowiedział Boską Jasność, bo źle widział w tym czerwonawym poblasku, i zerwał się z podłogi. O mało co nie upadł, ale zdołał zatrzymać wiedźmina.

– Dość! – wydyszał mu w ucho. – Dość!

Puffer z Lyzienny nie chciał nigdzie jechać. Na dworze w Berbezzie czuł się właściwie oceniony i doceniony. W związku z tym prawie wcale nie trzeźwiał, a nocami przyjmował liczne delegacje dam dworu, służek i kuchennych dziewek. Kiedy z jakichś powodów napadała go chandra, wychodził do miasta i rozkoszował się entuzjastycznym przyjęciem tłumów. Było mu dobrze i wcale nie zamierzał zmieniać miejsca pobytu.

– Nie odważę się sam eskortować wampira – powiedział Arivald do Bargrima.

Gnom czuł się już dobrze, choć rękę i nogę miał jeszcze w łupkach, a głowę obwiązaną bandażem. On również cieszył się ogromną popularnością, ale przede wszystkim pragnął jak najszybciej dostać się do biblioteki w Silmanionie i nacieszyć oczy księgami. Zamierzał też rozpocząć studia magiczne, a do tego niezbędna była zgoda Wielkiego Mistrza Harbularera.

– Ale jak on to zrobił? – rozłożył ręce Bargrim, myśląc o Pufferze z Lyzienny.

– Nasz przyjaciel okazał się prawdziwym wiedźminem, a jego miecz prawdziwym mieczem. Kto by przypuszczał? – Czarodziej pokiwał głową. – Fałszywy Obraz Stetrycego. Ktoś sobie zadał wiele trudu. To niezwykle trudne zaklęcie o niespodziewanych skutkach ubocznych. Właściwie w ogóle nie stosowane.

– Chcę stąd wyjechać – wtrącił się do rozmowy wampir, wyglądając z klatki o srebrnych prętach. – Jak król się dowie, to każe mnie wypchać. Przysięgam, że nie będę próbował uciekać.

Arivald jednak wolał nie zawierzać przysięgom wampira. Natomiast wpadł na zadziwiająco prosty sposób przekonania wiedźmina do wyjazdu. Wprost zachwycał się własną przebiegłością. Nie był tylko pewien, czy Wielki Mistrz Harbularer podzieli to uczucie.

Tak więc następnego dnia rano serdecznie pożegnali się z komesem i Sangwaniaszem, a pożegnanie Puffera z jego wielbicielkami przeciągnęło się do wczesnego popołudnia.

– Wracaj do nas, panie Arivaldzie – rzekł komes ze łzami w oczach – i ty, nieustraszony gnomie. A was, panie wiedźminie, zawsze będziemy wspominać w pieśniach i opowieściach. Pamiętajcie, że macie tu, w Berbezzie, drugi dom.

– Nie mogę z wami jechać? – pytał po raz kolejny Sangwaniasz.

– A czemuż by ta urocza panienka nie miała z nami pojechać? – podtrzymywany silnym ramieniem Arivalda wiedźmin usiłował utrzymać pion.

Ale tym razem nawet to pytanie mu darowano. Tylko całe jeszcze lata później, kiedy to już Sangwaniasz był komesem Berbezzy, pytano go czasami, czy wie, że ma piękne oczy.

– No nie! – powiedział Wielki Mistrz. – Naprawdę obiecałeś gnomowi naukę magii?

– Cóż, pomijając inne sprawy, będzie to bardzo interesujące doświadczenie. Zawsze twierdzono, że gnomy są niezdolne do opanowania sztuki magicznej. Założę się, że w przyszłym roku będzie już parę doktoratów na ten temat.

– Hm, zrobimy więc wyjątek. – Harbularer potarł wierzchem dłoni brwi. – Z bólem serca pozwolę mu też na dostęp do ksiąg, ale tylko pod warunkiem że trzy godziny dziennie spędzi z naszymi kopistami, dyktując im to, co zapamiętał z Passadeny. To wielka, wielka rzecz, panie Arivaldzie. – Mistrz sięgnął po kielich wina i umoczył wargi. – Jedno z ważniejszych, a może najważniejsze wydarzenie w moim życiu. Niedługo będę miał zaszczyt powiadomić cię oficjalnie, że Tajemne Bractwo zdecydowało ustawić twój posąg w Komnacie Arcymagów. Zostaniesz też zapewne moim następcą – uciszył gestem chcącego protestować Arivalda – bo czuję, iż czas już, abym odpoczął od obowiązków i trudów. Arivald zdecydował się jednak mu przerwać.

– Posąg, proszę bardzo, ale nawet nie myśl o wakacjach, mistrzu. Nie wolno ci opuścić Bractwa, a ja zamierzam wreszcie wrócić na Wybrzeże. Już nie pamiętam, kiedy byłem tam ostatni raz. Aha, co z wampirem? Obiecałem mu, że nie będzie żadnego wypychania i żadnych wiwisekcji.

Harbularer skinął głową.

– Zgoda. Ach, jeszcze jedno. Ten wiecznie pijany wiedźmin. Kazałem skarbnikowi wypłacić mu tysiąc dukatów. Starczy?

– Ja… – Arivald odchrząknął, bo rozmowa dochodziła do bolesnego miejsca -…obiecałem mu… – odetchnął głęboko -…Kartę Wolnego Kredytu.

– Nie! – Harbularer osłupiał.

– To nie powinno tak drogo wynieść. – Arivald starał się Wielkiego Mistrza omijać wzrokiem. – On ma proste upodobania. A

poza tym bez jego pomocy – czarodziej przeszedł do kontrataku – nie byłoby ani mnie, ani wampira, ani gnoma z jego niesamowitą wiedzą. Więc w sumie wychodzimy na plus.

Wielki Mistrz wypił wino do dna, co świadczyło o ogromnym wzburzeniu, gdyż zwykle sączył je wolno i ze smakiem.

– To wszystko toczy się zbyt szybko – rzekł. – Zmiany, jakie wprowadzasz, mnie wprowadzają w osłupienie. Jestem chyba człowiekiem starej daty. Ale dobrze, niech będzie. Skoro obiecałeś. Radzę jednak, abyś przez najbliższy czas nie pokazywał się na oczy mistrzowi Lamrosowi.

Arivald pokiwał głową ze zrozumieniem. Mistrz Lamros był przełożonym skarbników Bractwa. Znanym z tego, że każdego szeląga liczył dwa razy.

– Och, jestem pewien, że nie będą to jakieś straszne sumy – powiedział.

– Miejmy nadzieję – rzekł Harbularer.

Nadzieja ta zmarła śmiercią naturalną, kiedy zaczęły nadchodzić pierwsze rachunki z szynków i wesołych domów. Wiedźmin był bowiem człowiekiem towarzyskim i nie zamierzał korzystać egoistycznie z nowo nabytych praw. Rychło też zaczął się cieszyć wielką sławą wśród Silmaniończyków. Mistrz Lamros w efekcie podał się do dymisji.

Arivald już jednak o tym wszystkim nie wiedział, bo był w drodze na Wybrzeże, gdzie oczekiwała go z utęsknieniem księżniczka, Hogwar Srebrnyliść i gruby Bombor, który od dawna nie mógł się z nikim porządnie napić.

Robaczek Świętojański

Gdzieś tu była – mruczał Borrondrin. – Głowę dam, że gdzieś tu była.

– Gdzieś, gdzieś – rzekł z niesmakiem Mazgiller. – Moje mleko też gdzieś było. Podobno.

– Lepiej byś połowił myszy. – Borrondrin kichnął, bo kurz pokrywający książki wzbił się w powietrze i podrażnił mu nos. – Mam alergię na kurz – dodał z rozpaczą.

– Alergia. Oni zawsze mają alergię – stwierdził Mazgiller nie wiadomo o kim i nie wiadomo do kogo. – Gdzie jest moje mleko, do cholery?!

Borrondrin kichnął po raz drugi, zachwiał się, o mało co nie spadł z zydla, ale udało mu się zachować równowagę. Zaklął szpetnie.

– Czarodzieje! – odezwał się z pogardą Mazgiller. – Absolutna nieporadność życiowa.

Borrondrin spojrzał na niego z takim wyrazem twarzy, że kot po chwilowym zastanowieniu prysnął w kąt i ukrył się za regałem.

– Pójdę łowić te myszy – powiedział ugodowo.

– A idźżeż, gdzie chcesz! – warknął Borrondrin. – Ja w życiu nie znajdę tej książki – kichnął znowu i otarł nos rękawem – i już jestem chory!

Spojrzał w górę, na księgi szczelnie wypełniające regały i westchnął. To był jeden pokój biblioteczny. A miał ich jedenaście. Jedenaście pokoi pełnych książek. Od podłogi do sufitu. I za Boga nie wiedział, co gdzie jest.

– Muszę się wreszcie wziąć za porządki – stwierdził stanowczo.

– Słyszę to od sześciu lat – prychnął Mazgiller z kąta. Czarodziej westchnął ciężko. Przez chwilę zastanawiał się, czy znowu nie skorzystać z pomocy demonów, ale ostatnie układanie przez nie książek skończyło się aferą, krzykami i mordobiciem. Demony absolutnie nie potrafiły pracować w grupie. A poza tym Borrondrin był przeświadczony, że bezczelnie kradły. Westchnął znowu i wtedy zauważył, że kula jarzy się jasnym błękitnym światłem. Podszedł do stolika.

– Tak? – powiedział.

– Witaj! – Na powierzchni kuli z wolna zaczęła się ukazywać twarz mistrza Arivalda. Przyjaciela od wielu lat i sławnego maga. – Co słychać?

– Źle – poskarżył się Borrondrin – nie mogę znaleźć Medloka.

– A co to jest Medlok? – głos Arivalda brzmiał chrapliwie, ale kula zawsze zniekształcała tony.

– „Necromanticon" Medloka – wyjaśnił Borrondrin – to taka

książka.

– Ach, wiem już. Po co ci „Necromanticon”? To bzdury. A w dodatku, o ile pamiętam, Wielki Mistrz zakazał przechowywania jej w prywatnych zbiorach.

– Nie bądź takim legalistą – mruknął Borrondrin. – Przygotowuję pewien eksperyment.

– W twoich ustach to brzmi groźnie. – Arivald naprawdę musiał się zaniepokoić, bo kula, czuła na zmiany nastroju, zaczęła lśnić różowym światłem.

– Wypraszam sobie! – Borrondrina znowu zaświdrowało w nosie i znowu kichnął.

– Alergia? – spytał współczująco Arivald. – A mnie od wczoraj łamie w kościach.

– Tak. I pewnie zamiast dwóch podków naraz możesz złamać tylko jedną – burknął Borrondrin i głośno wytarł nos w chusteczkę.

Arivald zaśmiał się, a ten śmiech zabrzmiał przerażająco. Kula naprawdę potwornie zniekształcała i Borrondrin pomyślał, że najwyższy czas dostroić ją na nowo do Aury.

– Co słychać w Silmanionie? – zapytał.

– Nic ciekawego. Nudy, jak zwykle. Nie wybrałbyś się na jakąś wycieczkę?

– Nie – rzekł stanowczo Borrondrin, który raz dał się skusić Arivaldowi na małą wycieczkę i wrócił do domu dopiero po dwóch latach. A te dwa lata wspominał jak najgorzej. – Muszę znaleźć tę cholerną książkę.

– Nudny jesteś – westchnął Arivald. – No nic, to do zobaczenia.

– Poczekaj, poczekaj! – Borrondrinowi zaświtała jakaś myśl w głowie. – A może tak przyjechałbyś i pomógł mi zrobić porządki?

Kula przez długą chwilę milczała.

– Ja jestem w Silmanionie – rzekł Arivald pobłażliwie. – Czy wiesz, gdzie jest Silmaniona?

Borrondrin uznał, że to głupie pytanie, i nie odpowiedział.

– Silmaniona jest prawie sześćset kilometrów od twojego domu. To prawie trzy tygodnie drogi. I ty mi proponujesz, żebym wpadł pomóc ci robić porządki. Upadłeś na głowę?

Mazgiller zarechotał ze swojego kąta.

– Nie, to nie – obraził się Borrondrin. – Powinienem się nauczyć, że człowiek w potrzebie może liczyć wyłącznie na własne siły.

Kula zaśmiała się ochryple.

– Zawsze miałeś tendencję, żeby robić z siebie męczennika. Nawet ta twoja hipochondryczna alergia…

– Hipochondryczna alergia! – Borrondrina aż zatchnęło. – Ja cierpię!

– Pewnie, pewnie. Pamiętasz naszą małą wycieczkę? Jakoś wtedy

ci przeszła.

Borrondrin zastanawiał się przez chwilę. Rzeczywiście nie miał wtedy alergii. Ale miał za to czyraki, odparzenia i początki hemoroidów, chorował na belgornijską febrę, zaraził się glizdawcem pokostnym i przez całe te dwa walczył lata z wszami. Nie mówiąc już o chronicznej grypie i reumatyzmie. Alergia po prostu uciekła przerażona.

– Nigdy w życiu – rzekł, mocno akcentując każde słowo – nie dam ci się namówić na żadną podróż. Ja chcę tu mieszkać i byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdybym tylko miał porządek.

– Jak chcesz, to mogę poprosić Baalbosa, żeby ci przysłał paru młodych bibliotekarzy. Uprzątną chałupę, że się nawet nie spostrzeżesz.

– Nie, nie! – zawołał przestraszony Borrondrin. – Nie rób tego.

– A czemuż… – Arivald urwał nagle. – Ach tak – rzekł po chwili milczenia. – Ostrzegam cię, Borrondrinie, przypomnij sobie, co spotkało niegdyś Velvelvanela.

– Ja się nie bawię w nekromancję – zaperzył się Borrondrin. – Przeprowadzam poważne doświadczenia naukowe.

– Borrondrin, jestem twoim przyjacielem, ale uważaj! – Kula zmatowiała. – Czy chcesz, aby złamano twoją różdżkę?

Borrondrin zadrżał na samą myśl o takiej karze.

– Ja naprawdę nie robię nic złego – szepnął – wierz mi, Arnoldzie. Ja tylko czytam i troszkę eksperymentuję. Proszę, nie donieś na mnie Harbularerowi.

– Przyjadę do ciebie – rzekł Arivald – chyba zbyt dawno się nie widzieliśmy, przyjacielu.

– Czy jesteś tego pewien? – spytał Wielki Mistrz. Arivald łyknął wina i sięgnął po jabłko.

– Nie można być niczego pewnym – odparł. – Ech, żeby był tu Velvelvanel! On najlepiej wiedziałby, co się dzieje. Kula Gorgha jest zbyt mało czuła i wprowadza liczne przekłamania. Potrafi też mocno zakłócić Aurę. Ale to, co zobaczyłem, zaniepokoiło mnie.

– Więc sądzisz… – Harbularer ostrożnie starał się dobierać słowa – że Borrondrin mógł, hm, zbłądzić?

– To rozmowa prywatna, nieprawdaż? Wielki Mistrz westchnął.

– Tak – odpowiedział po chwili wahania.

– Więc powiem ci, że jestem prawie tego pewien. Zaczął jakąś niebezpieczną zabawę. Ale nie zmienił się jak na razie. Wyobraź sobie, narzekał, że nie może znaleźć „Necromanticonu" Medloka. – Arivald zaśmiał się mimo woli. – Gdyby był po tamtej stronie, potrafiłby się już zamaskować. A poza tym ma alergię i zrzędzi jak dawniej. Myślę jednak, iż wypadałoby go odwiedzić. Nie bałbym się, gdyby to był

Galladrin czy ktokolwiek inny. Ale Borrondrin… Sam dobrze wiesz, że jest świetnym teoretykiem, ale miał zawsze potworne kłopoty z eksperymentami. Wystarczy, że czegoś zaniedba, o czymś zapomni i nieszczęście gotowe. A będzie bał się przyznać, że ma problemy.

– Borrondrin, stare dziwadło. – Wielki Mistrz sięgnął po kielich i umoczył wargi. – No cóż, jedź do niego.

Zamilkł na chwilę.

– Dostaniesz ode mnie całkowite pełnomocnictwo.

– To nie będzie konieczne – żachnął się Arivald. – Borrondrin jest dobrym człowiekiem.

– Każdy z nas jest dobrym człowiekiem i każdy z nas staje w pewnym momencie swego życia przed wyborem. Niektórzy potrafią się cofnąć w pół drogi… – obaj pomyśleli o Velvelvanelu -…a niektórzy nie.

– Borrondrin jest tak naiwny, że nie będzie nawet wiedział, kiedy posunie się za daleko – rzekł cicho Arivald. – Ale ja nie będę potrafił go ukarać. Wyślij kogoś innego.

Harbularer pokręcił głową.

– Jesteś jego przyjacielem i to jest twój obowiązek. A obowiązkiem tej przyjaźni będzie również wykonanie wyroku. Jeżeli stanie się to konieczne. Lepiej niech straci moc, niż miałby się znaleźć po tamtej stronie.

Arivald wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że cała ta dyskusja jest bezprzedmiotowa.

– W końcu to ty do mnie przyszedłeś – zauważył niedelikatnie Wielki Mistrz.

– Już sam nie wiem, co o tym sądzić. – Arivald wzruszył ramionami. – Tak dziwnie go odbierałem. I dlaczego akurat „Necromanticon”?

Harbularer wybrał sobie z patery dorodną brzoskwinię i zaczął ją obierać srebrnym nożykiem.

– A ty czytałeś Medloka? – zapytał.

– Kiedyś, dawno temu. Strasznie nudna rozprawa i zawiera mnóstwo błędów.

– Zależy od wersji.

– Co takiego?

– Kopiści celowo wprowadzili pewne błędy. Jeżeli Borrondrin ma starszą kopię…

– Borrondrin ma oryginał – rzekł wolno Arivald. – Teraz sobie przypominam. On ma kilka rzadkich woluminów i chyba też Medloka. Tak, jestem prawie pewien, że ma oryginał. Niech to wszyscy diabli!

– No to im szybciej wyjedziesz, tym lepiej – skwitował Harbularer. – Borrondrin z oryginałem Medloka to nieszczęście gotowe.

Arivald pokiwał głową ponuro.

– Jeżeli mu coś strzeli do łba i zacznie powtarzać eksperymenty Medloka…

– To przy jego roztargnieniu ściągnie na siebie nieliche kłopoty – dokończył Harbularer. – Co za czasy! Ja jeszcze rozumiem, studenci, młodzi magistrowie. Ich zawsze ciągnie, gdzie nie trzeba. Ale Borrondrin…

Arivald wstał.

– Ach, jeszcze jedno – zatrzymał go Harbularer. – Nie zmieniłeś zdania co do kuli?

– Nie. Jestem prawie pewny, że próba dostrojenia do kogoś innego skończyłaby się jej zniszczeniem. Przykro mi, ale są tylko dwa takie egzemplarze na świecie. Nie mogę ryzykować.

– Nie, to nie – stwierdził Wielki Mistrz, który zresztą spodziewał się takiej odpowiedzi. – Uważaj na siebie.

– Postaram się. – Arivald otworzył drzwi. – Nawet dobrze będzie ruszyć się z Silmaniony. Znowu mam ochotę na małą wycieczkę. Nikomu nie zaszkodzi trochę rozprostować kości.

– Tylko nie prostuj ich zbyt długo – zaniepokoił się Harbularer, który poznał już zamiłowanie Arivalda do znikania na całe miesiące, a nawet lata.

Arivald kilkakroć był już w gościnie u Borrondrina, ale zawsze gdy wyjeżdżał z lasu na Sowie Uroczysko, nie mógł się powstrzymać od westchnienia. Bo dom Borrondrina był czymś niepowtarzalnym, niespotykanym i jedynym na świecie. Określenie stylu, w jakim został wybudowany, nastręczało spore trudności, gdyż zdobiły go zarówno kolumienki z motywami aniołków o nadętych buziach, jak i spadzisty góralski dach, a także wieża o oknach w kształcie wąziutkich strzelnic i kopuła kryta pozłacaną blachą (blacha była iluzją, ale szalenie solidnie zrobioną iluzją). Architekt, który sporządzał plany tej budowli, musiał być albo pijany, albo szalony. A ten, kto plany te zatwierdził, musiał w pijaństwie lub szaleństwie nie ustępować mu nawet na krok. Borrondrin stał się posiadaczem tego zadziwiającego domu w sposób nieco pokrętny – w młodzieńczych latach wygrał go po prostu w kości. Mówiono co prawda, że gra nie należała do najuczciwszych i rzadko się zdarza, aby dwie szóstki przegrały, ale Borrondrin twierdził, iż wyrzucił absolutnie uczciwą trzynastkę. I niebezpiecznie było w to powątpiewać, gdyż był na tym punkcie niezwykle drażliwy.

Dom stał w zasadzie pusty, gdyż Borrondrin mieszkał sam ze swoimi księgami, a choć ksiąg było wiele, to jednak, aby zapełnić wnętrza, musiałoby być ich kilkakrotnie więcej.

Arivald zjeżdżał ze wzgórza. Przyglądał się domowi z podziwem i fascynacją. Słońce właśnie zachodziło i słało różowawy poblask na

złoconą kopułę. W tym świetle dom wyglądał jeszcze dziwniej niż zwykle. Nagle pod kopyta konia wyskoczył kot. Wielki czarny kocur o zielonych pałających oczach. Koń Arivalda spłoszył się i zatańczył w miejscu. Czarodziej ściągnął mu wodze.

– Kto ty jesteś? – prychnął kocur.

– Jestem tym kimś, kto zrobi z ciebie futro – rzekł Arivald gniewnie.

– Też coś! – Kot nie przejął się pogróżką. – Jesteś pewnie tym czarodziejem. Z dwoma czarodziejami to ja już nie wytrzymam. Przyjdzie opuścić dom lat dziecinnych… – Mazgiller siadł i przetarł oczy łapą. – Mleko chociaż umiesz zrobić?

– Umiem. – Arivald trochę zaciekawiony, a trochę rozbawiony przyglądał się kotu.

– Dobrze – westchnął Mazgiller – bo tamten – machnął łapą w stronę domu – zawsze coś pokręci. Zwykle wychodzi mu kozie. Powiedz, czy szanujący się kot może pić kozie mleko?

– Nie może – roześmiał się Arivald.

– No właśnie. A myszy to mi każe łowić. I dziwi się, jak nie chcę ich jeść. A ja lubię tylko mięso smażone na świeżym tłuszczu. Najlepiej cielęcinę. Choć w zasadzie nie odmówię i ryby. Ech, pieskie życie. To jak będzie z tym mlekiem?

Czarodziej mruknął coś cicho do siebie, wykonał szybki ruch prawą ręką, a koniuszki jego palców błysnęły na różowo.

– Dzięki – powiedział kocur i oblizał się, widząc miskę pełną mleka. – Aha, nazywam się Mazgiller. Właściwie pan Mazgiller, ale zważywszy na całokształt sytuacji – spojrzał jeszcze raz na miseczkę – myślę, że darujemy sobie formalności.

Arivald spiął konia, bo właśnie zobaczył wychodzącego na ganek Borrondrina.

– Smacznego – rzucił jeszcze tylko kotu na do widzenia. Ale Mazgiller nie słyszał, bo pił, zupełnie nie po kociemu, potwornie mlaszcząc.

Borrondrin dostrzegł już Arivalda i statecznie podążał w jego stronę.

– Witaj! – krzyknął. – Nie spodziewałem się ciebie tak szybko. Arivald zeskoczył z siodła i uściskali się.

– Złapałem statek do Kerangestu, a potem to już poszło jak z płatka – wyjaśnił. – Co to za zwierzak?

– Mazgiller. – Borrondrin roześmiał się. – Kawał łajdaka. Przyplątał się jako mały kociak i trochę nad nim popracowałem.

– Ile ma lat?

– Sześć – powiedział z dumą Borrondrin. – Wyobrażasz sobie? Arivald pokręcił głową, zdumiony.

– Borrondrin, jesteś wielki. Muszę obejrzeć te zaklęcia.

– Jasne, na wszystko będziemy mieli czas.

Czarodziej miał prawo być zdumiony, bo prawo Kefasa mówiło, że żadne zwierzę, któremu nadano ludzką osobowość, nie może żyć dłużej jak dwa, trzy miesiące od chwili zakończenia eksperymentu. Co prawda już od lat podważano to prawo, ale powstały tylko prace teoretyczne, nikomu nie udało się osiągnąć w praktyce pozytywnego wyniku.

– A mówiliście, że jestem kiepskim praktykiem – przypomniał Arivaldowi Borrondrin. – Ja kiepskim praktykiem! Niedowiarki! – Przystanął na moment i stuknął Arivalda w pierś palcem. – A będziesz jeszcze bardziej zdumiony. Przygotowuję coś, co zrewolucjonizuje rolnictwo.

– Nie wiem, czy mam ochotę na rewolucję – powiedział ostrożnie Arivald.

– Tak? A co powiesz na zboża wysokości drzew, na jabłka wielkości arbuzów, na jagody duże jak pięść? Ja, Borrondrin, rozwiążę problemy żywnościowe świata!

– Tak, tak, tak, to samo mówił Myżrin. Tyle że zboże było bez kłosów, arbuzy smakowały jak zmielona kora dębu, a jagody przypominały żelazne kulki. Zresztą podobno w Egerze stosowano je jako balast okrętowy. Więc niby na coś się przydały.

– Myżrin? – Borrondrin potarł brodę z zastanowieniem. – Ach, ten od strzały i zająca!

– No właśnie. Udowodnił, że nie ma żadnej możliwości, aby strzała dobiegła celu. Szkoda tylko, że nie sprawdziło się to w praktyce. Mielibyśmy mniej wojen.

– On jakoś tragicznie skończył – zasępił się Borrondrin.

– Pewnie zjadł własnego arbuza.

– Nie, nie, tam był jakiś wypadek z łukiem… No, nieważne. Nie dam się zniechęcić. Żywot proroków jest zawsze niełatwy. – Borrondrin spojrzał w niebo. – Ale to my właśnie tworzymy podstawy nowego świata.

– Tak, lecz mnie w zasadzie odpowiada ten, który już jest. No dobra. Zaprowadzę Grubego do stajni, a ty przygotuj coś do jedzenia. Mam już dość czerstwych bułek i wędzonego sera. Mogą być cielęce zrazy w sosie cebulowym, kluski i omlet z marmoladą jabłkową.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Borrondrin. – Zawsze ten sam. Wszystko już gotowe.

– A podobno nie spodziewałeś się mnie tak szybko – pokręcił głową Arivald.

Kiedy skończyli jeść, Arivald rozparł się w fotelu i starannie nabił fajkę.

– Powinieneś zostać kuchmistrzem – powiedział. – Byłbyś najlepszy na świecie. Kucharz Harbularera może się schować przy

tobie.

Borrondrin pokraśniał z dumy.

– Ja myślę – rzekł bez fałszywej skromności. – Nie to co obiad u Panienki, prawda?

– Przeklęty wegetarianin. – Arivald zaciągnął się głęboko, bo palił fajkę zaciągając się, choć u wielu budziło to zdumienie.

– Wiesz, że nawet żonę przekabacił? A wydawała się taką rozsądną dziewuszką. Byłem u nich w zeszłym roku na obiedzie, znaczy tak naprawdę miałem się zatrzymać nieco dłużej, ale… – machnął ręką.

– No i…? – poddał zaciekawiony Borrondrin.

– Zupa z pszenicznych kiełków, kotlety grzybowe z owsianymi placuszkami, a na deser galaretka z marchwi i piwo imbirowe.

– Nie porzygałeś się?

– Nie – stwierdził z dumą Arivald – ale mało brakowało. Zaraz potem poszedłem do takiej karczmy na drodze do Pevel i zamówiłem sobie największą golonkę w życiu. Całą michę kiszonych ogórków, dzbanek piwa i butelkę krasnoludzkiego spirytusu. Od razu poczułem się lepiej. Jak będziesz kiedyś w okolicach Pevel, wpadnij tam. Świetna karczma, mówię ci.

Borrondrin pokiwał głową.

– Ustatkowałbyś się – powiedział. – Ciągle tylko te podróże. A jak tam śliczna Leilanna?

– Urodziła chłopaka – rzekł Arivald z taką dumą, jakby sam był szczęśliwym ojcem – ale nieznośna jak zwykle. Obiecałem, że będę na Wybrzeżu na chrzciny. Pojechałbyś ze mną. Wiesz, jak ona cię lubi.

Borrondrin westchnął. Lubił słuchać, że ktoś go docenia.

– Nie mogę – rzekł z żalem. – Sam wiesz, praca. My, czarodzieje, a przynajmniej niektórzy z nas – spojrzał z ukosa na Arivalda – nie możemy ulegać własnym zachciankom. Pracujemy dla świata i dla idei. Dla rozwoju duchowego.

– Właśnie, a propos ducha. – Arivald sięgnął za pazuchę. – Chcesz?

– A cóż to? – Borrondrin nieufnie przyjrzał się srebrnej manierce.

– Krasnoludzki spirytus.

– Przecież wiesz, że mam wrzody – skrzywił się Borrondrin. – Alkohol mi szkodzi. Ale mogę cię poczęstować siemieniem lnianym.

– Idźżeż ty ze swoim siemieniem! – zdenerwował się Arivald i łyknął potężnie, czując, jak rozkoszne ciepełko rozchodzi się po całym ciele. – Następny Galladrin się znalazł!

Borrondrin się obraził.

– Czarodzieje mają delikatne ciała i potężne umysły – powiedział – a ty akurat odwrotnie…

– No i dobrze! Wolę to niż ciągłe jęki, że coś mnie boli.

– Wcale nie jęczę.

– Jęczy, jęczy – prychnął z pod stołu Mazgiller. – Już słuchać tego nie mogę. A to wrzody, a to reumatyzm, a to alergia, a to krótki wzrok, a to mu się odbija, a to ma mdłości, a to boli go gardło, a to co innego. Przekleństwo. Myszy kazać mu łowić. Od razu wydobrzeje.

Borrondrin skwitował tyradę kota wzruszeniem ramion.

– Zabierzemy się od jutra za porządki? – spytał.

– Czemu nie? – Arivald po dobrym obiedzie był skłonny przychylić nieba całemu światu.

– Nie powiedziałeś nic Harbularerowi? – Borrondrin ściszył głos.

– Nie – skłamał Arivald – i mam nadzieję, że nic nie będzie do powiedzenia.

– Sam zobaczysz. Jak mogłeś przestać mi ufać? – spytał z rozżaleniem w głosie. – Czy ja wyglądam na nekromantę?

Arivald poklepał go po ramieniu.

– Wyglądasz na całkiem miłego staruszka – powiedział z uśmiechem, ale wiedział, że kim teraz jest tak naprawdę Borrondrin, dowie się dopiero za kilka dni.

– Jest piąta rano – rzekł Borrondrin z przerażeniem w głosie, kiedy tylko przetarł oczy.

– Jak już, to już – powiedział Arivald. – Zrób śniadanie i zabieramy się do pracy.

Mazgiller, który zwalczył jakoś senność, zaśmiał się ochryple. Borrondrin rzucił w niego pantoflem i nie trafił. Kot zwinnie się uchylił i nastroszył wąsy.

– Ja nigdy, ale to nigdy – rzekł z naciskiem Borrondrin – nie wstaję przed dziesiątą.

– Zawsze jest czas, aby zmienić niedobre przyzwyczajenia – zauważył pogodnie Arivald. – Życie prześpisz.

– To jest po prostu niewiarygodne świństwo! – Borrondrin próbował się przytulić do poduszki, lecz Arivald wyrwał mu ją spod głowy.

– No dobrze – rzekł – powiedzmy, że to ja zrobię śniadanie…

– O nie – czarodziej usiadł na łóżku – to ja już wolę wstać. Znowu bym dostał zgagi. Pamiętasz tę polewkę, w tym tam… – pstryknął palcami, usiłując sobie przypomnieć.

– W Strzyżnym Lesie?

– Właśnie.

– Doskonała polewka – obruszył się Arivald.

Borrondrin nic nie powiedział, tylko ciężko westchnął. Polewka była podlana krasnoludzkim spirytusem i miał po niej zgagę przez kilka dni. A spirytusem odbijało mu się dobry tydzień.

– O mało wtedy nie umarłem – przypomniał gorzko.

– Kto ci kazał zaczepiać strzygonie? – spytał Arivald. – I tak

zresztą nie uwierzę, że wypowiedziałbyś prawidłowo Drugie Goddelsa za pierwszym razem.

– Pomyliłem się tylko dlatego, że ciągle mi się odbijało!- wrzasnął Borrondrin. – Boże, Boże – dodał po chwili – ja przecież nie mogę się denerwować! – Przyłożył prawą dłoń do piersi, wsłuchując się w rytm serca, a lewą mierzył puls w prawej. – Co za licho mnie podkusiło, żeby zapraszać tu ciebie?

– Nie marudź, tylko wstawaj – wrócił do konkretów Arivald. – Nie zamierzam tu spędzić całego życia. Na śniadanie może być czerwony barszcz, paszteciki z mięsem, faszerowany szczupak, kuropatwy w bakłażanach i jakiś deser. Może galaretka jagodowa i bezy z kremem?

Borrondrin ukrył twarz w dłoniach.

– A może jednak byś sobie pojechał z powrotem? – zapytał bez szczególnej nadziei w głosie.

Arivald klepnął go w plecy, aż huknęło.

– Do roboty, staruszku!

– Bezy wydają mi się za mało kruche. – Arivald pokręcił z niezadowoleniem głową. – Następnym razem musisz się bardziej przyłożyć.

– Ot co, za mało kruche – przytaknął spod stołu Mazgiller, który również dostał bezę.

Borrondrin nie odpowiedział, tylko westchnął ciężko, zastanawiając się, co za szaleństwo go opętało, aby zapraszać Arivalda.

– Za to galaretka niezgorsza – pochwalił gość – choć chyba zbyt mało jagód. – Posmakował. – Tak, zdecydowanie za mało jagód. Ale ujdzie w tłoku.

Borrondrin nie wytrzymał i huknął pięścią w stół, aż naczynia podskoczyły.

– Jeszcze jedno słowo – syknął – a nasza przyjaźń stanie się wspomnieniem.

Arivald wytarł usta serwetą i wstał od stołu.

– Sprzątnij tu, a ja zaczekam w bibliotece. Tylko pośpiesz się.

Chociaż prawie wszystkie pokoje w domu Borrondrina zapełnione były książkami, to tylko jeden nosił szlachetne miano biblioteki. Arivald wszedł tam i jęknął.

– Nieźle, co? – zamiauczał mu spod nóg Mazgiller.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem – powiedział Arivald. – Od którego miejsca tu można zacząć?

– Wszystko jedno – rozsądnie odparł Mazgiller.

– Faktycznie – czarodziej westchnął i ostrożnie przecisnął się pomiędzy dwoma chybotliwymi stosami książek.

Zachybotały się jeszcze bardziej.

– Czy tak jest wszędzie?

– Wszędzie? – prychnął Mazgiller. – Biblioteka jest jego oczkiem w głowie i tu panuje porządek.

– Ach tak… – Czarodziej potarł skronie, bo poczuł, że już zaczyna go boleć głowa.

Wieczór nastał wraz z potępieńczym skowytem jaźni zbolałej nad pustkowiami duszy – tak słowami modnego pisarza Arivald mógłby podsumować pierwszy dzień sprzątania domu Borrondrina. W bibliotece znaleźli oprócz magicznych ksiąg i kurzu mnóstwo niepotrzebnych przedmiotów: kilka łapek na myszy pozbawionych sprężynki, trochę półpornograficznych czasopism (Borrondrin poczerwieniał i mruczał, iż nie wie, skąd się mogły tu wziąć), pierwsze trzydzieści pięć tomów stulogii Andreasa Puffera zatytułowanej „Mleko krasnoludów", kilka par butów różnych rozmiarów (w tym jedne obłożone sprytnie zakodowanym zaklęciem Przypalania), kilka kilogramów rękopisów Borrondrina (pół dnia zamiast sprzątać, przeglądał je, zachwycając się głębią umysłu autora), pełną zbroję płytową z przerdzewiałymi nagolennikami, prawie tuzin sztychów przedstawiających życie jeleni na tle zachodu słońca, dwie butelki skwaśniałego wina i mnóstwo innych szpargałów (w tym półtorametrowe posrebrzane ramy do obrazu).

Arivald starał się zachować spokój. Starał się być również cierpliwy i zbytnio nie klął (zwłaszcza iż Borrondrin cały czas narzekał, iż ma alergię na kurz). Po dniu pracy biblioteka wyglądała co prawda, jakby przeleciał przez nią chory umysłowo tajfun, ale za to wszystkie niepotrzebne rzeczy zostały wyrzucone na podwórze (spiętrzyły się tam w spory kopczyk), a podłogi wyszorowane ryżową szczotką (Borrondrin na czas sprzątania obdarzył ją optymistycznie nastawioną do świata duszą i uległym charakterem). Pozostawało tylko posegregować woluminy i odpowiednio je poukładać, ale to Borrondrin i Arivald postanowili zrobić już następnego dnia.

– Popełniłem kilka życiowych błędów, lecz decyzja o przyjeździe do ciebie była jednym z poważniejszych – powiedział na koniec Arivald, otrzepując się z kurzu i patrząc na mizerne skutki tego otrzepywania. – Jak można zrobić z domu taki chlew? Przydałaby ci się żona. Ktoś obdarzony dużą siłą woli i mocnym charakterem.

– O Boże, tylko nie to! – wykrzyknął Borrondrin. – I żebyś mi nic nie kombinował – dodał szybko, zdjęty nagłym podejrzeniem. – Już ja wiem, jak Galladrin wylądował przez ciebie.

Arivald wzruszył ramionami.

– Każdy jest kowalem własnego losu – rzekł sentencjonalnie. Potem z pewną dumą spojrzał na bibliotekę. – Patrz, oto efekty ciężkiej pracy i poświęcenia.

Borrondrin tylko się skrzywił.

– A teraz chodźmy coś zjeść – rzekł Arivald. – Nie widzę

przeciwwskazań, aby powtórzyło się wczorajsze menu. Tylko się pośpiesz, bo mocno już zgłodniałem.

Kiedy siedzieli przy deserze, Arivald uznał, iż czas lekko wysondować Borrondrina.

– Czym ty się właściwie zajmujesz? – spytał.

– Tak jak mówiłem – odparł Borrondrin z pełnymi ustami – pracuję nad zagadnieniami związanymi z najszerzej pojmowaną kulturą rolną…

– Tylko bez bełkotu – ostrzegł go Arivald. – Co konkretnie?

– Zwiększenie plonów i zmiany w samej budowie roślin. Rozwiązanie problemów żywnościowych świata. Większe zbiory większych zbóż, warzyw i owoców. Przynajmniej zajmuję się czymś konkretnym, nie to co wy tam w Silmanionie.

– Natura nie przepada za ingerencjami – rzekł Arivald. – Pokażesz mi wyniki?

– Czemu nie? Ale jestem dopiero na etapie wstępnym. Eksperymentalnym. To początek wielkich zmian, Arivaldzie – zapalił się Borrondrin. – Magia wykorzystywana w masowej skali! Sterowanie przyrodą! Zmiana biegu rzek! Transformacja pustyń w żyzne pola! Wszystko to możemy osiągnąć, zmieniając nasz sposób myślenia o przyrodzie…

– Trąci mi to herezją Regardiusza – przerwał mu Arivald, marszcząc brwi.

– Regardiusz był głupcem – prychnął Borrondrin. – Myślał w sposób mało konkretny i niekompleksowy. Zatopił się w mętnych i jałowych rozważaniach, zamiast działać!

– Próbował wcielić w życie kilka swoich pomysłów – powiedział Arivald – i zatopił się nie tylko w rozważaniach, bo o ile pamiętam, zatopił też Dolinę Imssy, próbując zmienić bieg rzeki. Bractwo dokonało sporych wysiłków dyplomatycznych, aby nie zakazano naszej działalności w Pesterhardzie, z którego Regardiusz zrobił poligon swoich eksperymentów.

– Błędy zawsze się zdarzają – wzruszył ramionami Borrondrin – ale w moim wypadku prawdopodobieństwo ich zaistnienia jest prawie żadne. Krullg mówi… – urwał nagle.

– Krullg? – powtórzył łagodnym tonem Arivald. – Któż to taki? – i poczuł, że zbliżył się do sedna sprawy. Ogarnął go lekki niepokój.

Borrondrin się zmieszał.

– Mam za długi język – mruknął niezadowolony. – No cóż… – westchnął – ta kula, Arivaldzie. Ta, którą i ty masz…

– Kula Gorgha – rzekł Arivald.

– No właśnie. Odkryłem, iż może służyć nie tylko nam dwóm, którzy jesteśmy do niej dostrojeni, do porozumiewania się między sobą. W wyniku systematycznych badań znalazłem jej dodatkową

możliwość. Pomaga mi łączyć się z kimś, kto nazywa się Krullgiem i kto prawdopodobnie istnieje w świecie podobnym do naszego, lecz oddzielonym jakąś barierą czy umiejscowionym w nieco innej rzeczywistości…

– Hm – chrząknął Arivald, nie bardzo wiedząc, co o tym sądzić. – Chciałbym i ja z nim porozmawiać. Inne wymiary, inne rzeczywistości, inne plany astralne nigdy nie zostały dobrze zbadane i sam wiesz, że raczej odradza się wnikania w te sprawy.

– Konserwatyzm! – warknął Borrondrin, stukając w pierś Arivalda palcem. – Najwyższy czas zmienić ten godny pożałowania stan rzeczy. Możemy uzyskać niezwykłe informacje i zdolności, kontaktując się z innymi wymiarami…

– Pod warunkiem że nie kontaktujemy się z umarłymi – powiedział wolno Arivald.

– Bzdura! – Borrondrin strzepnął dłońmi. – Myślisz, że nie poznałbym świata umarłych? To jedna z podstawowych nauk w Akademii: jak nie dać się omamić i nie popaść w przypadkową nekromancję. Krullg żyje, tak jak ja czy ty, tyle że w innym świecie. Przyznam, że wygląda dość, hm… oryginalnie, ale z pewnością nie przypomina ani umarłych, ani nieumarłych. Jest istotą z krwi i kości.

– Chcę z nim porozmawiać – rzekł stanowczo Arivald. – Dlaczego nalegał, abyś znajomość z nim zachowywał w tajemnicy, co?

– Właśnie dlatego – wzruszył ramionami Borrondrin – aby jakiś przewrażliwiony czarodziej nie zaczął szukać dziury w całym.

– Ja nie szukam dziury w całym, Borrondrinie. Obawiam się, że mam nadzieję znaleźć raczej całość pośród dziur.

– Chcesz mnie obrazić? – Borrondrin zacisnął szczęki. – Pamiętaj, to mój dom, moje eksperymenty i moją tylko sprawą jest, co tu robię!

– Zamknij się – rzekł spokojnie, ale stanowczo Arivald. – Wszystko, co czynimy, jest sprawą Bractwa i podlegamy mu we wszystkim. Czyżbyś już o tym zapomniał? A może…

– Bractwa, tak – przerwał mu Borrondrin – ale nie przemądrzałego czarodzieja, który wtyka nos w nie swoje sprawy. A teraz, Arivaldzie…

Arivald wyciągnął pergamin z pełnomocnictwem od Harbularera. Borrondrin rzucił tylko okiem i zaklął.

– Intrygi, jak zwykle. Kopanie dołków pod tymi, co nie idą jak stado baranów. Jakież to upokarzające!

– Jeżeli nie wytłumaczysz się przede mną, będę musiał cię zabrać do Silmaniony. Razem z kulą Gorgha – powiedział Arivald. – Przykro mi, ale sam do tego doprowadziłeś.

– Zabrać mnie? – Borrondrin uśmiechnął się złośliwie, ale nagle machnął dłonią. – Zresztą nie mam nic do ukrycia. Pokażę ci wszystko, pytaj, o co zechcesz, a potem wynoś się do Silmaniony i

dajcie mi wszyscy spokojnie pracować. Co za ludzie! – stuknął pięścią w stół. – A ja cię miałem za przyjaciela.

– Jestem twoim przyjacielem i przyjechałem, żeby ci pomóc. Nikt nie chce, abyś napytał sobie biedy…

– Wieczorem – przerwał mu znowu Borrondrin. – Kula ma najlepszy rezonans między dziesiątą a drugą w nocy. Przyjdź do mojego gabinetu, a wszystko ci pokażę. Będziesz mógł zdać dokładną relację Harbularerowi. I może się wreszcie ode mnie odczepicie.

Wstał, głośno szurając krzesłem, i wyszedł, nie raczywszy nawet spojrzeć na Arivalda.

– Nerwus, co? – miauknął Mazgiller spod stołu.

Arivald wyczarował mu miseczkę śmietanki.

– Bywa – powiedział.

– Widziałem go – pochwalił się Mazgiller, mlaszcząc głośno.

– Kogo? – zapytał Arivald nieuważnie, zajęty własnymi myślami.

– Tego w kuli.

– O! – Czarodziej pochylił się nad kotem. – I co?

– Moim zdaniem obrzydliwy – odparł Mazgiller – ale nic nie rozumiałem, bo gadali w jakimś dziwnym języku. Głos też miał obrzydliwy.

– Zobaczymy wieczorem. – Arivald nałożył sobie jeszcze jedną bezę. – Chcesz? – zapytał pod stół.

– Pewnie – rzekł Mazgiller. – Posiedź tu jeszcze trochę – poprosił. – Wreszcie robi jakieś zjadliwe żarcie, bo przedtem – machnął łapą – próbował mi nawet dawać suchary. Paskudztwo. Czy kot może jeść suchary? Czy ja wyglądam na marynarza, co? A porządki diabli wzięli – zmienił temat. – Specjalnie się z tobą pokłócił, żeby dzisiaj nie pracować. Zamknie się w swoim pokoju i będzie udawał obrażonego. Taki on już jest.

– Nie sądzę.

– Nie sądzisz, że co? – Mazgiller zręcznym ruchem łapy wytarł śmietanę z wąsów.

– Żeby udawał. Sądzę, że naprawdę jest zły.

– Może tak, może nie, może tylko kocham cię – zaśpiewał ochryple Mazgiller i zaśmiał się równie ochryple. – Chyba pójdę się przespać. Wieczorem może być ciekawie.

– Tak – rzekł do siebie Arivald, kiedy kot już odszedł. – Wieczorem na pewno będzie ciekawie. Co ja jednak zrobię, jeżeli okaże się, że ten Krullg jest umarłym? Albo co gorsza nieumarłym? Czy starczy mi sił, aby przeciwstawić się im obydwu?

Miał bardzo krytyczne podejście do własnej znajomości magii, choć i tak umiał już wielokroć więcej, niż kiedy przybył do Silmaniony. Wydawało się cudem, że nikt w Tajemnym Bractwie się nie zorientował, iż magiczne umiejętności Arivalda są poniżej

poziomu najmniej zdolnego magistranta. Ale do tej pory sprzyjało mu szczęście, zbieg pomyślnych okoliczności, przypadek czy jakkolwiek by to nazwać. Poza tym miał w sobie rzeczywiście ogromną moc. Ale teoretycznych i praktycznych zdolności nadal mu brakowało.

Czas do wieczora spędził na przypominaniu sobie sekwencji zaklęć służących do walki z istotami z Zaświata i z bólem musiał przyznać, że przypomniał sobie niewiele. Szperał i szukał odpowiednich formuł również w bibliotece Borrondrina, ale ciężko w niej było cokolwiek odszukać. Na wszelki wypadek założył więc na szyję talizman Krzyżokoła, który chronił przed nieumarłymi w równym stopniu jak tarcza przed pociskiem z balisty, ale za to dodawał otuchy. W końcu, kiedy nadszedł wieczór, czarodziej zastukał do drzwi gabinetu Borrondrina.

– No – rozległ się zachęcający głos gospodarza i Arivald nacisnął klamkę.

Borrondrin w stroju służbowym (niebieski płaszcz w srebrne gwiazdy i kapelusz z szerokim rondem) siedział przed kulą Gorgha.

– Siadaj – rzekł niezbyt grzecznym tonem – i zachowuj się przyzwoicie. Nie wiem, jak Krullg zareaguje na twoją obecność.

Arivald usiadł i przyjrzał się Borrondrinowi krytycznie.

– Dawno już nie prasowałeś płaszcza, prawda? – zapytał. – Elegancja ubioru nigdy nie była twoją mocną stroną.

Dopiero teraz zauważył zielone oczy błyszczące spod łóżka. Mazgiller musiał wkraść się wraz z nim niepostrzeżenie.

– Dobra, dobra, daruj sobie, zaczynamy – zniecierpliwił się Borrondrin.

Nakrył kulę dłońmi i zaczął mamrotać jakieś zaklęcia, których sensu ani treści Arivald nie potrafił rozszyfrować. Kula zaczęła stopniowo jaśnieć czerwonym światłem. Wtedy Borrondrin zdjął z niej dłonie i wykonał kilka zupełnie niezrozumiałych sekwencji różdżką, stale coś pomrukując. Nagle kula błysnęła oślepiająco.

– Kto wzywa Wielkiego Krullga? – rozległ się potężny, basowy głos przemawiający w pewnym antycznym i zapomnianym języku, który Arivald poznał zupełnie przypadkowo wiele lat temu (siedział bowiem w jednej celi z profesorem antycznej lingwistyki i z nudów uczył się od niego przeróżnych dialektów). – Kto ośmiela się zakłócać spokój Tego, co Panuje nad Istotą Wszechrzeczy?

– Odznaczając się przy tym wybitną skromnością – dodał cicho Arivald. Nie na tyle cicho, by Borrondrin nie usłyszał tych słów i nie obdarzył go karcącym i pełnym wyrzutu spojrzeniem.

– To ja, o dostojny i wszechmądry Krullgu – rzekł pokornie, jednocześnie dając znak Arivaldowi, by nie śmiał się odezwać.

– Ach, Borrondrin, ten mały czarodziej z katarem! Czy błagasz Wielkiego Krullga o moc i naukę?

– O tak, dostojny Krullgu.

W kuli pojawiła się twarz. Przypominała nieco ludzką, ale taką, z której zdarto skórę, odsłaniając żywe mięso. Poza tym miała bardzo wydatne kości policzkowe, a na środku czoła coś w rodzaju pustego oczodołu.

– A kim jest ten z wielkim nochalem? Mówiłem, żebyś nikogo nie przyprowadzał! – wrzasnął Krullg.

Arivald wstał. Jak zwykle, kiedy dochodziło już co do czego, był spokojny i opanowany.

– Lepiej powiedz, kim ty jesteś, paskudo – rzekł.

Krullg przez chwilę wpatrywał się w Arivalda (czarodziejowi wydawało się nawet, że ten pusty oczodół pośrodku czoła również się w niego wpatruje).

– Obraziłeś Wielkiego Krullga. Kara, która cię spotka, będzie tak przerażająca i tak straszliwa, iż…

– Przestań – polecił stanowczo Arivald – i zachowuj się jak człowiek kulturalny, choć zważywszy na twój wygląd, może to być niełatwe. Jestem przedstawicielem Tajnego Bractwa w Silmanionie, wysłannikiem Wielkiego Mistrza i Rady Czarodziei. Radzę ci, abyś był grzeczny i wyjaśnił, czemu mącisz w głowie temu biedakowi – wskazał palcem Borrondrina, który siedział załamany przebiegiem rozmowy.

– Hm – odchrząknął Krullg po chwili – wy dwaj dla mnie wyglądacie pewnie równie odpychająco, jak ja dla was. To bardzo niegrzecznie krytykować czyjś wygląd.

– A kto powiedział, że mam wielki nochal? – spytał oskarżycielskim tonem Arivald.

– A kto mnie nazwał paskudą? – natychmiast odparował Krullg. – W swoim kraju uchodzę za wybitnie przystojnego, a tu spotyka mnie taki afront.

– No cóż – sapnął Arivald – przyjmij moje wyrazy ubolewania. Rzeczywiście, kiedy przyglądam się uważniej, widzę w tobie jakiś urok.

– Aha, prymitywny i gwałtowny urok, tak mówią. Masz oko, czarodzieju. Wybaczam ci i z kolei stwierdzam, że twój nos musi świadczyć po prostu o wyjątkowym charakterze.

Arivald pogładził się po nosie.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób – rzekł – ale może rzeczywiście jest trochę przy duży?

– Skąd! – zaprotestował Krullg. – Raczej godny i dostojny.

– Wiesz – rzekł czarodziej – wydajesz się bardzo sympatyczną osobą, a przy tym wybitnym znawcą ludzkiej fizjonomii. Cieszę się, iż mogliśmy się spotkać dzięki Borrondrinowi.

– Hm, i ja jestem zadowolony, spotykając kogoś o tak

wyrafinowanym poczuciu estetyki. Nie każdy na pierwszy rzut oka potrafiłby mnie scharakteryzować jako kogoś pełnego dzikiego i prymitywnego uroku.

Arivald nie widział powodu, aby przypominać Krullgowi, że to on sam siebie tak nazwał.

– W czym mogę ci pomóc, czarodzieju? – odezwał się Krullg z kuli.

– Arivaldzie, jeśli łaska. Przybyłem po prostu, aby zobaczyć, z kim spotyka się mój przyjaciel. Przyznam, że podejrzewaliśmy go o nieświadomą nekromancję.

Krullg wybuchnął gromkim śmiechem.

– Czy ja wyglądam na kogoś z Zaświata? U nas też zakazano nekromancji.

Wyglądasz jak połeć surowej cielęciny, pomyślał nieco złośliwie Arivald, ale był już całkiem uspokojony. Krullg z pewnością nie był ani umarłym, ani nieumarłym. Albo potrafił się rewelacyjnie maskować.

– Dzielę się z tym małym, zakatarzonym czarodziejem moją głęboką wiedzą na temat magii użytkowej. Miło znowu mieć ucznia.

– Znowu? – bardzo łagodnie spytał Arivald.

Krullg zmieszał się, na ile oczywiście trafnie można było coś odczytać z jego twarzy.

– Od pewnego czasu nie zajmuję się już pracą dydaktyczną – wyjaśnił po chwili. – Poświęciłem się nauce. Ale ta odmiana dobrze mi robi.

– Byłeś więc profesorem magii u siebie w kraju. A właśnie, gdzie jest ten kraj?

– Trudno wyjaśnić. – Krullg potarł palcami brodę. Arivald pierwszy raz zobaczył jego dłoń. Miała trzy palce, każdy zakończony krótkim, okrągłym paznokciem brązowego koloru.

– Zawsze są kłopoty z tymi światami obok – kontynuował Krullg. – Można by to zbadać, ale takie badania wymagałyby całych tygodni obliczeń zespołu specjalistów. Sądzę jednak, że jesteśmy obok, bo jak widać po waszym wyglądzie, zupełnie odmiennie przebiegała ewolucja.

Światy istniejące poza naszym światem dzieliły się na boczne i alternatywne. Alternatywne to po prostu nasz świat, w którym pewne wydarzenia miały zupełnie inny przebieg. I tak Arivald wiedział o pewnym miejscu, gdzie jego odpowiednik nadal był najemnym żołnierzem, a nawet kapitanem gwardii księcia Fessvery. Ale znał też świat, gdzie zginął w czasie walki z morribrondzkimi elfami w Zgniłym Lesie. Światy alternatywne były skrupulatnie badane przez czarodziei specjalizujących się w historii, ale dla przeciętnego człowieka, po początkowej fascynacji, przestawały być interesujące.

Światy obok były natomiast problemem o wiele bardziej złożonym. Niektórzy podejrzewali nawet, iż są to światy leżące na innych planetach (śmiała koncepcja Vigariusa nazywana Problematem Jedyności), inni uważali, że to ta sama Ziemia, tyle że z innego wymiaru. Jeszcze inni żądali zakazu jakichkolwiek tego typu kontaktów, określając je słowami „nekromancja i pochodne". Ale w tej chwili stanowili już mniejszość. Choć mniejszość wyjątkowo agresywną. Na szczęście nie należał do niej żaden z członków Rady Czarodziei i istniała nadzieja, że wszystko przycichnie samo z siebie. W każdym razie nic dziwnego, że zlokalizowanie świata obok sprawiało kłopot rodakom Krullga. Czarodzieje z Silmaniony też nie potrafili poradzić sobie z tym problemem. Arivald miał nadzieję, że Krullg może wiedzieć coś więcej, ale pewną szansę dawało stwierdzenie o pracy zespołu specjalistów. Widać tam magia stała jednak na wyższym poziomie (przynajmniej pod tym względem), bo silmaniońscy czarodzieje, nawet gdyby pracowali przez rok, nie byliby w stanie dojść do żadnych konkretnych rezultatów, gdyż nie istniały jeszcze po prostu odpowiednie narzędzia badawcze.

– Byłem sławnym profesorem – rzekł Krullg z pewną nostalgią w głosie. – Zjeżdżali do mnie uczniowie z całego świata. Na moje wykłady ustawiano się w kolejki o świcie.

– Imponujące – rzekł z podziwem Borrondrin.

– Rozmawiam teraz z Arivaldem, zakatarzony czarodzieju – rzekł wyniośle Krullg – więc nie życzę sobie uwag i komentarzy.

Borrondrin przygarbił się i nic już nie powiedział. Spojrzał na Arivalda wzrokiem, w którym mieszały się niechęć i podziw.

– I dlaczego zrezygnowałeś? – zainteresował się Arivald.

– Sława rodzi wrogów – rzekł sentencjonalnie Krullg – zawiść, małostkowość, te przywary pewnie są obecne i w waszym świecie. Oskarżono mnie o herezję – westchnął – ale to już dawne czasy.

– A cóż takiego zrobiłeś?

– Magia powinna służyć rozwojowi i ewolucji. U nas była nauką elitarną. Magia pod strzechy, czarodziej w każdej wsi – oto były moje hasła. Żądałem zmian, ingerencji w naturę. Szczególnie zajmowałem się magią rolną. Wyhodowałem warzywo, które od góry było pomidorem, a z dołu ziemniakiem. Kiedy zacząłem zmieniać i programować klimat, zabrali się do mnie.

– To przykre – rzekł Arivald, choć wywnioskował, że Krullg musiał narobić w swym świecie niezłego bałaganu.

– Ano przykre. Ale my, prorocy, nigdy nie jesteśmy doceniani przez ciemną tłuszczę. To my płoniemy na stosach, to nasze księgi się niszczy, nasze nazwiska wymazuje z lektur i encyklopedii. – Krullg spojrzał w górę z natchnionym wyrazem twarzy. – Ale nadejdzie jeszcze nasz czas! – zagrzmiał na koniec.

– Szczerze mówiąc, w naszym świecie podobna do twojej koncepcja znana jest pod nazwą herezji Regardiusza – powiedział Arivald – i jeżeli o mnie chodzi, nie widzę specjalnego sensu w radykalnych ingerencjach w Naturę. Aczkolwiek ziemniako-pomidory wydają mi się pomysłem bardzo interesującym. Pod warunkiem, rzecz jasna, że nadawały się do jedzenia.

– I to jak się nadawały! – Krullg oblizał wargi długim, wężowym językiem. Wyglądało to dość ohydnie. – Po prostu rozpływały się w ustach.

– Hm – czarodziej skubnął brodę – moglibyśmy wypróbować coś takiego. W ramach małego eksperymentu.

– Z przyjemnością! – zakrzyknął Krullg. – Nauczę was wszystkich potrzebnych formuł i zaklęć. Ale te pomidory to zaledwie drobiazg. Chociaż od czegoś trzeba zacząć.

– Zaraz! – Arivaldowi nagle coś się przypomniało. – A do czego był ci potrzebny „Necromanticon”?

– „Necromanticon”? – powtórzył Krullg ze zdziwieniem.

– Mnie był potrzebny – odważył się wtrącić do rozmowy Borrondrin. – Obok „Necromanticonu” zawsze leżała książka Dwejusza o stosowaniu nawozów. Jak nie znajdę „Necromanticonu”, to nie znajdę i jej.

– Nawozów? – Arivald otworzył szeroko oczy. – To ja jechałem taki szmat drogi, aby się dowiedzieć, iż „Necromanticon” nie jest ci potrzebny do eksperymentów? Że szukasz jakiejś książki o nawozach? O krowim łajnie?!

– A któż by eksperymentował z Medlokiem? – wzruszył ramionami Borrondrin. – Ja tej książki nawet nigdy nie przeczytałem.

Arivald przyglądał mu się chwilę, po czym pokiwał głową.

– I niech tak zostanie – rzekł w końcu.

Był jednocześnie zdziwiony, zadowolony i poruszony spotkaniem istoty z innego świata czy wymiaru. Doszedł do wniosku, iż kula to z pewnością jedno z największych odkryć Gorgha. Kontakt był wyraźny, długotrwały, nie przerywany żadnymi niespodziankami. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie udało się nikomu osiągnąć. Zwykle kontakt polegał jedynie na oglądaniu wybranych fragmentów przestrzeni. Tu było zupełnie inaczej. Poza tym Arivald naprawdę najbardziej cieszył się z faktu, iż podejrzenia względem Borrondrina okazały się niesłuszne. Borrondrin był jak zwykle nieco zwariowany, ale nie przekroczył żadnych barier, których przekraczać nie wolno. Powinien wprawdzie powiadomić Bractwo o nawiązaniu kontaktu i o niezwykłych właściwościach kuli, ale było to drobne przewinienie. W każdym razie drobne w porównaniu z podejrzeniami o nekromancję. Swoją drogą Borrondrin zapłaci za niesubordynację i trzymanie swych odkryć w tajemnicy. Bractwo zawsze twierdziło, iż czarodziej jest

zobowiązany dzielić się wiedzą z innymi (a przynajmniej z Radą) i bardzo nieżyczliwie spoglądano na wszelkie odstępstwa od tej reguły. „Indywidualizm tak, ale w rozsądnych granicach" – zwykł mawiać mistrz Harbularer i miał rację, gdyż zawodowa solidarność w dużej mierze stanowiła o potędze Bractwa z Silmaniony.

– Wróćmy do moich pomidorów – przypomniał Krullg.

– Ano właśnie – podjął Arivald – zaczynaj.

Nauka z istotą z innego wymiaru nie była taka prosta, jak mogłoby się wydawać. Reguły magiczne, pojęcia i formuły były diametralnie różne w tych dwóch światach. Ale Borrondrin zdołał już sporo poznać w trakcie swoich spotkań z Krullgiem i teraz to się przydawało. Arivald musiał przyznać, iż nauka była naprawdę przyjemnością. Krullg okazał się idealnym wykładowcą: spokojnym, rzeczowym i kiedy trzeba – dowcipnym. Czarodziej nie mógł wyjść ze zdumienia, jak może mylić pierwsze wrażenie. Przy kuli Gorgha spędzali z Borrondrinem długie wieczory, a potem zwykle aż do rana ćwiczyli nowe formuły oraz przyrządzali odpowiednie mikstury i ingrediencje. Sprzątanie oczywiście poszło w kąt, bo na nic nie było już czasu i Arivald dbał tylko o to, aby wyczarować Mazgillerowi przynajmniej dwie miseczki śmietany dziennie. Kocur jednak i tak był wściekły, gdyż nikt nie znajdował czasu, aby z nim porozmawiać, a kiedy próbował rozpoczynać miłą konwersację, niecierpliwie go przeganiano. Dlatego też czarno prorokował i od czasu do czasu z kąta dobiegało jego burczenie: „Zobaczycie, że nic dobrego z tego nie wyniknie". Wtedy zwykle Borrondrin ciskał w niego pantoflem, a to wcale nie poprawiało Mazgillerowi humoru.

Wreszcie po blisko dwóch tygodniach intensywnych przygotowań czarodzieje byli gotowi. Przyszykowali sadzonki, odprawili nad nimi odpowiednie rytuały, przygotowali specjalny zestaw nawozów, na który poszła taka ilość drogocennych preparatów, iż można byłoby pewnie za to kupić furę pomidorów. Sadzonki znalazły się w specjalnie przygotowanej szklarni i teraz wypadało tylko czekać. Według zapewnień Krullga ziemniako-pomidor miał dojrzeć po trzech dniach od momentu zasadzenia.

– Przejdziemy do historii! – radował się Borrondrin. Arivald był nastawiony nieco bardziej sceptycznie.

– Po pierwsze, nie wiadomo, czy to się da jeść, a po drugie, cena jednego krzaczka to w tej chwili równowartość dobrego konia. A koszta osobowe? Też uważasz, jak Krullg, że hasło „czarodziej w każdej wsi" powinno być realizowane? Kto będzie przygotowywał ziemię i sadzonki?

– Jesteśmy w fazie eksperymentów – burknął Borrondrin niezadowolony, że sprowadza go się na ziemię. – Co ty byś chciał, wszystko od razu?

Przez te trzy dni, kiedy czekali na warzywa, zabrali się znowu do porządków i tym razem także Borrondrin wykazywał pewien entuzjazm. Udało im się nawet znaleźć „Necromanticon" Medloka (podręcznika o nawożeniu nie było jednak obok) i Arivald za zgodą Borrondrina zapakował go do swego bagażu, by oddać niebezpieczną księgę do silmanionskiej biblioteki. Wreszcie nadszedł długo i niecierpliwie oczekiwany dzień. Wstali z samego rana i pognali natychmiast do szklarni, nawet nie jedząc śniadania. Roślinki wyglądały przepięknie. Z gałązek zwisały dorodne żółte, czerwone i zielone pomidory.

– Kop, zobaczymy, czy jest ziemniak – niecierpliwił się Borrondrin.

Arivald zagłębił szpadel w ziemi. I w tym momencie pomidory wrzasnęły. Nie tak naprawdę, ale w głowie Arivalda i Borrondrina.

– Nie ruszaj mnie! – to zdanie przebijało z całą mocą przez ich wrzask.

A potem jakaś niewiarygodna siła trzasnęła w mózg Arivalda i gdyby Borrondrin w tym samym momencie nie rzucił Mentalnej Tarczy Pafnucego (jednak Borrondrin, kiedy przychodziło co do czego, był sprawnym czarodziejem), to Arivald z pewnością straciłby przytomność. Obaj zrejterowali w popłochu ze szklarni.

– Co za licho? – zasapany Borrondrin z trudem łapał dech. – Ależ to miało siłę!

Arivald otarł pot z czoła i spojrzał na krzaki pomidorów, które teraz, z daleka, wyglądały całkiem normalnie.

– A to nas wrobił ten twój kumpel – powiedział.

– Mój kumpel… – obrażony Borrondrin już chciał zacząć się kłócić, ale nagle urwał. – Dobra, spalmy to paskudztwo. Cholera, moja szklarnia… Gotowy?

– Gotowy.

Jak na komendę wyjęli różdżki, wykonali idealnie zgraną sekwencję ruchów, wyrecytowali odpowiednie zaklęcie i przez parę minut trwali w skupieniu. Po chwili trawa wokół szklarni zajęła się niebiesko-różowym płomieniem. Było to jedno z najprostszych zaklęć bojowych, tak zwana Podpałka Treboniusza, i Arivald swojego czasu często stosował je do zapalania mokrego drewna. Zaklęcie działało krótko i na małą odległość, ale w tym wypadku powinno zdać egzamin. Powinno, a jednak nie zdało. Ogień po prostu zgasnął, zanim dopełznął do szklarni.

– Cholera – mruknęli Arivald i Borrondrin jednocześnie, bo wyczuli wyraźne zawirowanie Aury.

Pomidory potrafiły się obronić i potrafiły albo korzystać z Aury, albo chociaż ją zakłócać.

– No to porozmawiamy sobie z Krullgiem – rzucił Arivald

wściekle i ruszył w stronę domu.

Borrondrin pełen najgorszych przeczuć podreptał za nim. Krullg pojawił się w kuli jak zwykle po krótkiej chwili.

– I jak, smaczne? – spytał radosnym tonem.

– Nawet bardzo – warknął Arivald. – W coś ty nas wrobił? Te pomidory żyją i potrafią korzystać z magii. Co tu jest grane?

– Znowu! – westchnął Krullg. – Myślałem, że u was będzie inaczej. Właśnie dlatego miałem kłopoty. Moje pomidory rozmnożyły się i dopiero w bitwie pod Hzwwynizgh zostały ostatecznie pokonane. Sądziłem, że w waszym świecie może się udać.

– W bitwie? – spytał z niedowierzaniem Arivald, a Borrondrin tylko szeroko otworzył oczy.

– Ach, co to była za bitwa! – rozmarzył się Krullg. – Szarża ciężkozbrojnej konnicy załamała się, magiczny deszcz ognia został rozproszony i dopiero grad meteorów, wywołany przez stu dwudziestu dwóch najpotężniejszych magów królestwa, przyniósł nam zwycięstwo nad tymi krwiożerczymi pomidorami.

– On żartuje – mruknął Arivald do Borrondrina – ale to bardzo specyficzne poczucie humoru. Co mamy z nimi zrobić? – zwrócił się do Krullga. – Tylko serio.

– Jest pewna metoda, ale sami nie dacie rady. Potrzebujecie Wielkiego Krullga…

– Zaczyna się – mruknął Arivald.

– …i jego magicznej potęgi. No więc wydostańcie mnie stąd, a ja wam wtedy pomogę.

– Wydostańcie?

Krullg odsunął się od swojej kuli i wtedy czarodzieje zobaczyli, że pokój, w którym przebywa, to niewielka cela. Wyraźnie dostrzegli zakratowane okna i solidne żelazne drzwi. Sam Krullg okazał się natomiast jaszczuropodobną istotą z długim ogonem i kolczastym grzebieniem na plecach.

– Sto trzydzieści lat więzienia – westchnął – a minęło dopiero siedemnaście. Tak właśnie nagradza się w moim świecie proroków.

– No, ładnie – żachnął się Borrondrin – jeszcze się okazuje, że zadawaliśmy się z kryminalistą. Jestem chory. Mój Boże, znowu skoczyło mi ciśnienie, chyba się pójdę położyć…

– Cicho! – warknął Arivald, nie na żarty rozzłoszczony. – Poradzimy sobie bez ciebie, paskudo – zwrócił się do Krullga. – Nie uwierzę, że jakieś cholerne pomidory mogą się obronić przed zaawansowaną magią.

– Spróbować nie zawadzi – zgodził się beztrosko Krullg, nie reagując na epitet – tylko pośpieszcie się, bo one okropnie szybko się rozmnażają.

– Co to znaczy: okropnie szybko? – zmarszczył brwi Arivald.

– No, jutro będzie ich pięć do sześciu razy więcej. A może sześć do siedmiu, nie pamiętam. W każdym razie sporo. Już niedługo zaczną wypełzać.

– O matko! – Borrondrin położył dłoń na piersi.

– Nie ma się czym przejmować – pocieszył go Arivald. – Dzisiaj do popołudnia przygotujemy Wielki Pożar Firacego i będzie po wszystkim.

Wielki Pożar był już naprawdę solidnym zaklęciem, o skomplikowanym kodzie i trudnej do złamania strukturze. Wymagał kilku godzin solidnej pracy, ale efekty były zwykle ze wszech miar zadowalające. Firacy Długouch opracował go kilkaset lat temu i czar mimo swego wieku nadal cieszył się uznaniem. Zresztą Firacy stworzył jeszcze kilka nadzwyczaj użytecznych zaklęć, spośród których wyróżniało się to nazwane Zaporą Firacego. Można je było stosować w połączeniu z Wielkim Pożarem, bo przynajmniej czarodziej mógł być pewien, że nie ogarną go skutki Pożaru.

– Nie radzę – mruknął Krullg. – One mają potężne odbicie. Możecie oberwać swoim własnym czarem albo pożar zostanie przeniesiony gdzieś dalej. Mówię wam, potrzebujecie fachowca.

Arivald zgrzytnął zębami. Albo to była prawda, albo znowu jakieś krętactwo. Ale jeżeli te dziwne rośliny potrafiły odbijać magię, to skutki Wielkiego Pożaru rzeczywiście mogły być opłakane. I większości innych czarów również. A opracowanie odpowiedniej neutralizacji odbicia mogło zająć nawet kilka dni.

– Co za bezczelność! – wybuchnął Borrondrin. – Myślałem, że jesteś uczonym, a nie zwykłym szantażystą!

– Też byś poszedł na całość, byleby nie siedzieć stu trzydziestu lat w celi – stwierdził bez gniewu Krullg.

– Napytaliście sobie biedy – miauknął spod sekretery Mazgiller. – A mówiłem i ostrzegałem.

– Jeszcze mi ciebie tu brakuje! – krzyknął Borrondrin. – Wynocha!

Mazgiller zaśmiał się ochryple i umknął głębiej pod sekreterę.

– Co mamy robić? – spytał Arivald posępnie.

– Przeciągnę jednego z was do siebie, a potem wszystko już się ułoży.

– To znaczy?

– Zobaczycie – stwierdził tajemniczo Krullg.

– Może jednak spróbujemy sami? – spytał Borrondrin. – Jesteśmy, do cholery, jednymi z najlepszych magów na świecie!

Arivald wolał nie podnosić tego tematu. O swoich umiejętnościach miał bardzo sprecyzowaną opinię, choć nie zamierzał się z nikim nią dzielić.

– A może i najlepszymi – dodał po namyśle Borrondrin. – W

końcu daliśmy radę strzygoniom, a tu pomidory… – słowo „pomidory” wypowiedział takim tonem, jakby było wyjątkowo nieprzyzwoite.

– Daliśmy, jak daliśmy, ty głównie miałeś czkawkę – poprawił go Arivald. – A jaką mamy gwarancję, że znowu nas nie oszukasz? – zwrócił się do Krullga.

– Chcę się stąd wydostać. No to co, który przechodzi?

– Raz kozie śmierć – westchnął Arivald. – Co mam zrobić?

– Zastanów się jeszcze – rzekł bardzo zaniepokojony Borrondrin, choć odczuł pewną ulgę, że to nie on będzie uczestniczył w tym niesmacznym eksperymencie. Choć niby powinien, wszak przez niego była ta cała afera.

– Po prostu pomyśl, że chcesz się tu znaleźć. Reszta już należy do mnie – powiedział Krullg.

Arivald dotknął dłońmi kuli (była jakoś dziwnie ciepła i wilgotna) i przymknął oczy. Wyobraził sobie, że wnika do środka, przepływa przez kulę i wynurza się w obcym świecie. Wtedy poczuł, jakby ktoś szarpnął go za włosy. Bardzo boleśnie szarpnął. I już był w celi Krullga.

– Pełny sukces – zachwycił się Krullg. – Nic nie straciłem z dawnych umiejętności.

Arivald zakrztusił się, bo powietrze tu było nieco inne. Jakby oddychało się w pobliżu ogniska, dymem i żarem. Na dłuższą metę mogło to być bardzo nieprzyjemne. Poza tym w świecie Krullga było zdecydowanie cieplej, też jak przy mocno rozpalonym ognisku.

– I co teraz? – zapytał czarodziej, starając się oddychać ostrożnie i płytko wciągać powietrze.

Krullg nie odpowiedział, tylko prześlizgnął się w stronę drzwi (z uwagi na jego budowę anatomiczną słowo „prześlizgnął” było zdecydowanie bardziej odpowiednie niż „podszedł”) i zastukał w nie kułakiem. Po chwili usłyszeli kroki, trzask otwieranych zamków i na progu stanął ktoś podobny do Krullga, tylko dużo potężniejszy. Był ubrany w coś w rodzaju kolczugi, a w dłoni trzymał bardzo nieprzyjemnie wyglądającą broń, która przypominała rozwidloną kosę. Zobaczył Arivalda, sapnął zaskoczony i natychmiast z powrotem zatrzasnął drzwi. Potem znów usłyszeli jego kroki na korytarzu. Tyle że teraz biegł.

– Zaczęło się – rzekł Krullg uradowany.

Arivald usiadł na niewygodnym stołku (niewygodnym, bo przystosowanym do ciała Krullga) i postanowił za wszelką cenę zachować spokój, choćby nie wiem co. Nie czekali długo. Po kilku minutach drzwi znowu się otworzyły i do celi weszły dwie jaszczuropodobne istoty. W odróżnieniu od Krullga ich twarze były bardziej brązowe niż czerwone. Arivald domyślił się, że mogą być po prostu starsi. Jeden powiedział coś szybko w jakimś świszczącym

języku, a Krullg równie szybko odpowiedział.

– Nazywam się Hyagh – rzekł jaszczuropodobny tym samym dialektem, którego Borrondrin używał do porozumiewania się z Krullgiem – i jestem jednym z arcymagów Ryihalli, a to mój sekretarz Derranggulg. Wiemy, skąd pochodzisz, i serdecznie współczujemy ci, że dałeś się omamić temu przestępcy. Jeżeli tylko jesteśmy w stanie ci pomóc, zrobimy to.

Arivald nie mógł powstrzymać westchnienia ulgi. W kilku zdaniach wyjaśnił cały problem.

– Ty przeklęty potworze! – rozzłościł się Hyagh, patrząc pogardliwie na Krullga. – Mało kłopotów narobiłeś tutaj, żeby zabierać się jeszcze za obcy świat? Nie dość ci było wojny z krowowcami? – I zaczął wyjaśniać Arivaldowi: – Wyhodował kiedyś stworzenia, które miały dawać krowie mleko i mięso, a jednocześnie owczą wełnę. Rozmnażać się jak króliki i jeść niewiele więcej. Tyle że miały te same cechy co wasze pomidory. Wytępienie ich zajęło nam dwa lata.

– Dobrze, że spróbowaliśmy tylko z pomidorami. – Arivald z trudem przełknął ślinę. – Jaki jest na nie sposób?

– Tylko ten przestępca go zna – warknął arcymag. – To jego mieszanka. Czego chcesz, potworze, za zlikwidowanie tego kłopotu?

– Ciągle nazywają mnie potworem – poskarżył się Krullg – a czy ja robię to celowo, żeby komuś zaszkodzić? Sądziłem, że w odmiennym świecie ich złe cechy zanikną.

– Czasem głupota jest gorsza od złej woli. – Hyagh huknął pięścią w stół, jego ogon zatoczył niebezpieczne koło. – Dlaczego nie kazaliśmy cię stracić?

– Myślę, że to problem już nieaktualny – gładko odparł Krullg. – Przejdźmy do konkretów. Oto moje żądania…

Usłyszawszy to, Hyagh wysyczał coś gwałtownie i Krullg zbladł. Jego twarz z czerwonej stała się lekko różowa.

– Chciałbym otrzymać azyl w ich świecie – rzekł pojednawczym tonem – gwarancję, że nikt nie będzie mnie ścigał, i prawo do prowadzenie zajęć dydaktycznych.

– Bzzzdury! – syknął arcymag. Klasnął ogonem w podłogę i na ten sygnał do celi wszedł strażnik. – Wyprowadźcie go.

Kiedy Krullg wyszedł, arcymag spojrzał na Arivalda.

– Musisz wybierać. Możemy próbować wam pomoc, ale nie sądzę, byśmy szybko odgadli właściwy sposób na zlikwidowanie tych roślin. A będą się rozprzestrzeniać w potwornym tempie. Jeżeli zdecydujecie się skorzystać z pomocy Krullga, musicie dotrzymać obietnic. On jest doskonałym magiem i nawet jak go zabijecie, zdąży rzucić klątwę, która może narobić wam gorszych szkód niż te pomidory. Ale uważaj – stary jaszczur pokręcił głową – on potrafi wspaniale przekonywać do

swoich poglądów. Zarazi nimi tych, których dacie mu za uczniów, nauczy ich bardzo zaawansowanej magii i zmienią wasz kraj w pole doświadczalne. Nie wiem, co ci poradzić. Nie zawahałbym się wymusić na nim odkrycia tajemnicy torturami, ale z wielu powodów, o których nie czas tu mówić, mogłoby to nam wszystkim tylko zaszkodzić.

Arivald miał dość bujną wyobraźnię, więc potrafił wyobrazić sobie świat zapełniony ludźmi podobnie rozumującymi jak Krullg. Myśl, iż miałby żyć w tym świecie, wcale mu się nie podobała.

– Nie ukrywam, że pozbędziemy się go z przyjemnością – ciągnął arcymag. – Wydamy na niego zaoczny wyrok śmierci, ogłosimy, że uciekł bez naszej wiedzy i zgody, więc nie ośmieli się nigdy próbować powrotu. Zresztą wystarczy, jak zniszczycie tę kulę, przez którą go wezwaliście, i inne jej podobne. W waszym świecie to powinna być raczej rzadkość.

– Wiem o dwóch – rzekł Arivald.

– Z przeniesieniem was do twojego świata będzie nieco gorzej. Musimy skorzystać z pomocy innych magów. W zasadzie nie robimy tego nigdy. Jednym z naszych praw jest surowy zakaz ingerencji w sprawy światów będących obok. Ale jak widać, są wyjątki – dodał wydając z siebie coś na kształt westchnienia.

– Chyba nie mam innego wyjścia, jak zgodzić się na warunki Krullga – powiedział po chwili Arivald. – Ale myślę, iż powinniśmy sporządzić ścisły i dokładny kontrakt.

– O, z pewnością. Ale nie łudź się, że on zrezygnuje z prawa nauczania w waszym świecie. To jego obsesja. Zarażanie innych swoimi chorymi poglądami.

Arivald nie był zachwycony, że musi decydować o sprawie, która może wpłynąć na losy całego świata. Ale najgorszym lekarstwem na kłopoty jest chowanie głowy w piasek. Błąd został już popełniony i teraz należało tylko zminimalizować szkody, które mogły się pojawić. Krullgowi trzeba założyć wędzidło. Ale tak, by nie zdawał sobie sprawy, że właśnie je założono. Cały czas chodził też Arivaldowi po głowie pomysł, aby spróbować samemu zwalczyć tę plagę zesłaną przez Krullga. Lecz o swoich umiejętnościach magicznych miał dość kiepskie zdanie, a Borrondrina cenił tylko jako teoretyka. Z pewnością żaden z nich się nie nadawał do walki z umiejącymi czarować pomidorami. Gdyby byli tu Galladrin lub Velvelvanel, nie mówiąc już o rektorze Linealu czy samym Wielkim Mistrzu, wtedy można byłoby spróbować. A tak zostawało tylko negocjować z Krullgiem.

– Przyprowadźcie go – rozkazał Hyagh.

– I co? – zapytał Krullg, ledwo tylko wszedł.

– Otrzymujesz pozwolenie przeniesienia się do ich świata – rzekł arcymag – ale tu wydajemy na ciebie wyrok śmierci. Wróć, a zginiesz.

– Zgadzam się – odparł Krullg. – Trochę u nich zimno, ale się przyzwyczaję.

– Jakie stawiasz warunki? – arcymag zwrócił się do Arivalda.

– Twoje przybycie – rzekł czarodziej – nie może zakłócić funkcjonowania naszej Akademii. Wydamy zgodę, byś nauczał magii i swoich doktryn, ale otrzymasz grupę uczniów wyznaczonych przez Bractwo. Póki nie przekażesz im wszystkiego, co umiesz, nie będzie ci wolno wziąć następnych.

– Chcesz mi dać pewnie takich, których trzeba będzie gonić batem do nauki…

– Zaręczam, że będzie wręcz przeciwnie – wtrącił Arivald – oni będą po prostu marzyli, aby przejąć od ciebie całą wiedzę.

– …ale to mi i tak nie przeszkadza – kontynuował Krullg. – Potrafię zachęcić do nauki nawet kogoś, kto nigdy nie słyszał o magii albo się nią brzydzi. Zgadzam się.

– I oczywiście zlikwidujesz te cholerne pomidory, które pomogłeś nam stworzyć. Poza tym nie będziesz kreował żadnych nowych istot, warzyw, owoców czy zwierząt i w ogóle nie wolno ci będzie prowadzić żadnych eksperymentów bez zgody Rady Czarodziei. Jeżeli złamiesz warunki umowy, zmusimy cię do powrotu albo zgładzimy. Zważ też, że klątwa, jeśli takową rzucisz umierając, nie zadziała, kiedy postąpimy zgodnie z warunkami kontraktu.

– A jak cię odeślą, to my tu już na ciebie poczekamy – rzekł arcymag.

– Nie ma sprawy. – Krullg wydawał się lekko rozbawiony.

– To tyle – powiedział Arivald.

– Tyle? – arcymag przyjrzał się uważnie Arivaldowi. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Teraz mój sekretarz spisze kontrakt.

Spisanie kontraktu (w trzech językach), wyjaśnienie pewnych nieścisłości leksykologicznych i uzgodnienie szczegółów oraz niuansów zajęło im kilka godzin. W końcu umowa została podpisana i zaprzysiężona. Krullg, zadowolony z siebie, stukał ogonem w podłogę. Arivald spocony i z wyschniętą na wiór skórą twarzy (klimat był tu jednak straszliwy) czekał tylko, kiedy cała rzecz się skończy.

– Nie mogę się już doczekać – powiedział Krullg, jakby werbalizując myśli Arivalda.

Czarodziej był pewien, że Krullg spodziewał się surowszych warunków. Doskonale zdawał sobie sprawę, iż jaszczuropodobny mag absolutnie nie przejmował się zakazem przeprowadzania eksperymentów. Wiedział, że za to zabiorą się (z zapałem) jego nowi uczniowie. A tego, że nie wolno eksperymentować uczniom, w kontrakcie nie było. Gdyby nawet taki punkt się znalazł, Krullg nie podpisałby go, twierdząc (i w zasadzie słusznie), iż nie wolno mu podejmować zobowiązań w imieniu kogoś innego, zwłaszcza kiedy nie

wiadomo, kim ten ktoś inny będzie.

Wreszcie na dokumentach złożono ozdobne podpisy (podpis Krullga z wykwintnym zawijasem). Arcymag wysunął palec, godząc nim w pierś Krullga. Arivald nie wiadomo skąd wiedział, że jest to gest wyjątkowo obraźliwy.

– Pamiętaj – powiedział Hyagh i musiał słowa poprzeć jakimś wyjątkowo silnym czarem, bo atmosfera wyraźnie zgęstniała, a Krullg sprawiał wrażenie, jakby nie mógł nawet drgnąć. – Nigdy tu nie wracaj.

Arcymag opuścił dłoń i spojrzał na Arivalda.

– Teraz postaramy się was odesłać. To może być niezbyt przyjemne.

– Życie w ogóle bywa nieprzyjemne – odparł czarodziej, siląc się na dowcip, ale wcale nie było mu do śmiechu.

Operacja odsyłania trwała prawie siedem godzin i w końcowym etapie musiano zaangażować do niej trzydziestu trzech jaszczurczych magów (ta liczba miała w ich świecie jakieś ukryte znaczenie). Przez te siedem godzin Arivald czuł, po pierwsze, nieustające mdłości, a po drugie, ból w cebulkach włosów, tak jakby ktoś szarpał go za czuprynę. Bardzo silnie i w równomiernych odstępach czasu. Ale najgorsze było potworne swędzenie w miejscu, którego swędzenie jest zwykle objawem szkaradnej choroby, charakterystycznej dla ludzi niezbyt rozważnie korzystających z życiowych uciech. Żadne zaklęcia nie pomagały, co zresztą w tym obcym świecie było ich świętym prawem. Dodatkowymi atrakcjami były ciągłe, monotonne inkantacje jaszczurczych magów wypowiadane w ich świszczącej mowie oraz gęsty szarobrunatny dym z wyjątkowo śmierdzących kadzideł. I nagle, gdy kończyła się już siódma godzina tych męczarni, Arivald poczuł, jakby ten, który ciągnął go za włosy, znudził się zabawą i postanowił wyrwać je z korzeniami. Z trudem powstrzymał się od jęku, ale oczy zaszły mu łzami i potężnie kichnął. Kiedy z powrotem otworzył oczy, siedział na dywanie w pokoju Borrondrina, a obok rozpłaszczał się zmarnowany Krullg. Borrondrin siedział w fotelu (naprzeciw rozjarzonej szkarłatnym światłem kuli) i z głową zwieszoną na ramię smacznie pochrapywał. Arivald przez chwilę miał wielką ochotę trzepnąć go po tej głowie, ale udało mu się powstrzymać krwiożercze instynkty.

– Zi-zimno – zająknął się Krullg i zawinął po dywanie ogonem.

– Dobrze ci tak – nielitościwie odparł Arivald. – Wstawaj! – wcale nie łagodnie szarpnął kolegę za ramię.

Borrondrin zerwał się z obłędem w oczach, ale szybko wypowiedział Trzecie Posenne Gaudamiasza i ocknął się.

– Jaki ja miałem koszmar! – powiedział i obrócił się akurat po to, aby zobaczyć, jak Krullg wstaje z dywanu i zaczyna rozglądać się po

pokoju.

Borrondrin jęknął.

– Koszmar – powtórzył ironicznie Arivald. – Może by cię tak uszczypnąć?

Chwilę milczeli, a Borrondrin uciekał ze wzrokiem.

– Ty – rzucił Arivald w stronę Krullga – załatw te cholerne rośliny, póki nie jest za późno.

– Chcę płaszcz – zażyczył sobie ponuro jaszczurczy mag.

W przepastnej szafie Borrondrina udało się znaleźć ogromny płaszcz z futrzanym kołnierzem nadgryzionym przez mole, futrzaną czapkę uszankę (Krullgowi mieściła się na czubku głowy) i szal z wielbłądziej wełny z wzorami palm i piramid. Krullg otulił się i próbował parę razy powiedzieć jakieś zaklęcie, ale nie bardzo mu wychodziło.

– Nie mogę oddychać – poskarżył się w końcu. – Aż drapie w gardle z zimna.

– Pomidory – przypomniał Arivald i nagle przestraszył się, że tutaj sposoby Krullga nie zadziałają. A to już byłaby klęska.

– Masz tu jakąś wannę, zakatarzony czarodzieju? – zapytał Krullg.

Borrondrin ponuro skinął głową.

– A sól?

Borrondrin znowu ponuro skinął głową.

– Napełnij wannę i wsyp do niej wiadro soli – rozkazał Krullg. – I nie kichaj na mnie! – krzyknął, bo Borrondrin, kichając, nie zasłonił sobie twarzy. – Nie mam ochoty zarazić się jakimś waszym choróbskiem.

– Grzeczniej! – syknął Arivald zdziwiony, że Borrondrin poczłapał posłusznie w stronę drzwi.

Ale Borrondrin też miał już dość lekceważącego traktowania, nazywania go zakatarzonym czarodziejem i wydawania rozkazów w jego własnym domu. Otworzył drzwi, a przez nie wleciała ogromna żeliwna wanna i huknęła u stóp Krullga. Mag z innego świata odskoczył i próbował rzucić jakieś zaklęcie ochronne, ale znowu mu się nie udało. Po chwili nadleciało majestatycznie wiadro pełne soli i pozbyło się zawartości prosto na jego głowę. Arivald w duchu podziwiał siłę zaklęć Borrondrina. Musiał być naprawdę zły, skoro wszystko tak świetnie mu wychodziło. Krullg jakoś wstrzymywał się z wyrażaniem swojego podziwu. Borrondrin spokojnie zamknął drzwi, podszedł do wiadra i zaklęciem zebrał sól z podłogi, po czym wsypał ją do wiadra.

– Co dalej? – zapytał chłodno i Arivaldowi przypomniał się ten nieustraszony czarodziej, na dźwięk czkawki którego strzygonie ze Strzyżnego Lasu chowały się w najgłębsze dziury.

– Wsypać sól do wody i zamieszać – powiedział Krullg

niepewnym tonem.

– A dalej?

– Wylać roztwór na pomidory – rzekł Krullg. – I…?

– I już. Zwiędną.

– Cholerny oszust! – ryknął Borrondrin. – Sami byśmy na to wpadli.

– Ale po jakim czasie? – złośliwie zapytał Krullg. – Po rzuceniu ilu zaklęć bojowych? A wiesz, jakie one mają tempo rozmnażania? – Postarał się usadowić w fotelu. Udało mu się to osiągnąć po krótkiej pyskówce z zacnym meblem. – I tak zdradziłbym wam ten sposób. Rzadko popełniam błędy, ale nigdy nie wzdragam się przed ich naprawieniem. Nie naraziłbym was na wojnę z pomidorami.

– Bardzo ładnie z twojej strony – mruknął Arivald, ale co dziwne, uwierzył Krullgowi.

I nagle sposób, który wymyślił, aby go zneutralizować, wydał mu się zbyt okrutny. Lecz z drugiej strony, czy wiadomo, ile jeszcze błędów popełni Krullg i czy będzie potrafił je tak łatwo zlikwidować jak w tym wypadku?

Poradzenie sobie z problemem pomidorów zabrało im kilka minut. Pomidory najpierw próbowały zniszczyć lecącą wannę skoncentrowanym atakiem mentalnym, potem uderzyły zaklęciem Odbicia. Ale że wanna nie miała rozumu ani nie była czarem, nie wywarło to na niej najmniejszego wrażenia. Dostojnie rozlała osoloną wodę na pomidory, które wrzeszcząc próbowały uciec. Lecz nim zdołały odpełznąć, rozpoczął się proces więdnięcia. Czarodzieje słyszeli, jak wrzask pomidorów powoli zamiera, aż wreszcie cichnie raz na zawsze. Odetchnęli z ulgą.

Nie obyło się, oczywiście, bez strat. Pomidory zniszczyły szklarnię Borrondrina, zjadły wszystkie młodziutkie kalafiory i obgryzły roczne drzewko pomarańczy. Ale takie straty były do naprawienia.

– Czas na spłatę długu – zauważył wesoło Krullg, który nauczył się już tworzyć wokół swej osoby gorący mikroklimat i w związku z tym pozbył się płaszcza, szala i czapki. A w zamian zyskał dobry humor.

– Zgadza się – rzekł poważnie Arivald – musimy jechać do Silmaniony. Wielki Mistrz wyda ci patent zezwalający na nauczanie.

– To lubię! – Krullg zamiótł ogonem, o mały włos nie zbijając z nóg Borrondrina.

Wyjechali na drugi dzień. Borrondrin żegnał Arivalda z pewną ulgą, jako że czuł się winny całej tej afery, a sama obecność Arivalda była jak chodzący wyrzut sumienia. Poza tym miał szczerą chęć odpocząć po mrożących krew wydarzeniach. I tak wiedział, że jeszcze długo będą mu się śnić po nocach. Jednocześnie był zły na siebie, iż żegna Arivalda z ulgą, bo zdawał sobie sprawę z własnej

niewdzięczności. A znowu ta niewdzięczność znów budziła wyrzuty sumienia. I tak w kółko.

Mazgiller był szczerze niezadowolony z wyjazdu Arivalda, mimo że czarodziej zostawił w domu Borrondrina dość chytre i dobrze zakodowane zaklęcie, które przeraźliwym miauczeniem miało przypominać o wyczarowaniu codziennej miski śmietanki. Arivald był pewien, że Borrondrin będzie wolał wyczarować ten przysmak, niż trudzić się rozkodowywaniem zaklęcia lub wysłuchiwać cały dzień miauczenia. Mazgiller w dość godny sposób podziękował Arivaldowi, ale oczy błyszczały mu już nieprzyzwoitym łakomstwem.

– Byłem na uboczu wydarzeń – poskarżył się czarodziejowi na odchodne. – Stanowiłem jedynie zabawny rekwizyt w całej tej historii. A przecież mogłem okazać się zaklętym w kota złym czarodziejem, przez którego wszystko to się stało.

Arivald roześmiał się głośno.

– Lepiej być przyzwoitym kotem niż nieprzyzwoitym czarodziejem – rzekł. – Przynajmniej ja tak sobie to wyobrażam.

– Tak – mruknął nieprzekonany Mazgiller – ale może jestem wielkim magiem, który został zmieniony w kota i stracił pamięć?

– Nie słyszałem o podobnym przypadku – odparł rozbawiony Arivald.

– No cóż, wy, czarodzieje… – Mazgiller podrapał się za uchem. – Wpadnij jeszcze kiedyś.

– Pilnuj Borrondrina – poprosił Arivald, pomachał kocurowi ręką i wspiął się na siodło. – Do zobaczenia.

Wyprawa z Krullgiem nie była zbyt sympatyczna, bo jaszczuropodobny mag narzekał ciągle, a to na pogodę, a to że musi iść piechotą (żaden koń nie chciał go wziąć na grzbiet), a to że gospody są nędzne i jedzenie ohydne, a to że budzi niezdrowe zainteresowanie tłuszczy. Arivald nie chciał już tłumaczyć Krullgowi, że wyjaśniał ludziom, iż Krullg jest nowym eksponatem do zoo w Silmanionie. Rozsądnie uważał, że Krullgowi niespecjalnie by się to spodobało.

Wieść o wiedzionym przez silmanionskiego maga dziwnym stworze dotarła do Bractwa jeszcze przed przybyciem Arivalda.

Znano tam jego dziwactwa i dlatego wśród magów zapanował lekki niepokój. Czarodziej od razu poprosił o audiencję u Harbularera i krótko wyjaśnił całą sytuację.

– Coś ty zrobił! – Wielki Mistrz był naprawdę przerażony. – Ten kontrakt to tragedia!

– Znajdziemy mu bardzo mało zdolnych uczniów – rzekł Arivald.

– Nie ma tak mało zdolnych, aby dobry mag nie potrafił ich nauczyć choćby podstaw. I tym gorzej! Coś ty zrobił! – powtórzył.

Nalał sobie kieliszek wina (jak zwykle był to jakiś stary, paskudny

sikacz, ale za to sprzedawany na wagę złota).

– Pozwoliłem sobie zaprosić w twoim imieniu pewnego gościa – powiedział Arivald.

– Co za gościa? – Harbularer patrzył w ścianę martwym wzrokiem. Zastanawiał się zarówno nad tym, co zrobić z Krullgiem, jak i co zrobić z Arivaldem.

Arivald klasnął w dłonie i do komnaty wszedł służący.

– Poproś Dundina – rzekł.

Po chwili do komnaty wszedł potężny krasnolud o siwej brodzie zaplecionej w dwa zatknięte za pas warkocze. Bujną czuprynę miał nasączoną orzechową farbą i zaczesaną w koński ogon. Nosił prosty skórzany kubrak, ale za to na palcach lśniły mu złote pierścienie z wyjątkowo dużymi rubinami. A z piersi zwisał złoty łańcuch o tak grubych ogniwach, że było aż dziwne, jak krasnolud radzi sobie z jego dźwiganiem. Był to Dundin Krzywousty (przydomek Krzywoustego dano mu po bitwie pod Hurraldin, gdzie gizarma kobolda rozcięła mu wargę i policzek), handlowiec i przemytnik, nieoficjalny przywódca wszystkich silmaniońskich krasnoludów, z którego zdaniem liczono się też (i to poważnie liczono) w klanach.

– Witajcie, panie czarodzieju – skłonił lekko głowę – i wy, panie czarodzieju – obrócił się w stronę Arivalda.

– Może wina? – zaproponował Arivald. Dundin spojrzał na karafkę.

– Raczej nie – odparł grzecznie.

Krasnoludy również znały nieporównane zalety Harbulararerowego wina. Choć wino robione przez Arivalda, przyzwoity trunek z winogron, pomarańczy, cytryn i soku z pigwy, który nigdy nie leżakował dłużej niż rok, piły z prawdziwą przyjemnością.

– Siadaj, proszę. – Arivald wskazał krasnoludowi krzesło. – Długo obradowaliśmy i myśleliśmy nad tym, jak ułożono świat, iż tak szlachetna rasa jak twoja, Dundinie, nie potrafi korzystać z sił magicznych.

– Hm? – krasnoluda ciężko jest zwykle zadziwić, ale Arnoldowi to się udało.

– Z odległego świata… – Arivald zamachał dłońmi, aby pokazać, jak bardzo jest odległy ten świat – sprowadziliśmy największego czarodzieja. I teraz chcę spytać, Dundinie, czy wyświadczycie nam tę łaskę i wyznaczycie krasnoludy, które mogłyby poznać magię? Pomyśl, może nastąpić chwila, że będziemy potrzebowali doborowych wojowników potrafiących korzystać z magii. A któż jest lepszym wojownikiem od krasnoluda? Któż jest mężniejszy i silniejszy? Dysponując mocą, będziecie obrońcami naszego świata!

Dundin patrzył na czarodzieja szeroko otwartymi oczami, a potem przeniósł wzrok na Harbularera, jakby chciał powiedzieć: Oszalał, ale

może ty mi powiesz, o co chodzi?

– Tak, tak – rzucił Wielki Mistrz. – To wyśmienity, doskonały pomysł, nad którym radziliśmy niedawno.

Dundin nadal siedział osłupiały, ale mimo osłupienia natychmiast zaczął myśleć, jakie wyciągnąć korzyści z propozycji. Bo krasnoludy miały to do siebie, że nawet jeśli zaproponowało im się mieszek złota, pytały, ile dostaną za jego przyjęcie. Nauka magii była dzikim, nigdy nie spełnionym i starannie ukrywanym (na głos krasnoludy mówiły o niej z lekką ironią, a czarodziei traktowały co najwyżej jak równych sobie) marzeniem każdego krasnoluda.

– Mamy dużo pracy, potrzeba nam wielu rąk do roboty – zaczął narzekać Dundin. – Naprawdę nie wiem, czy coś da się zrobić. Wyślę wiadomość do krewniaków w górach, może znajdą jednego lub dwóch chętnych, ale nie liczyłbym na to zbytnio.

– No cóż, trudno – rzekł Arivald. – Tym bardziej to przykre, iż rozumiem, że nie będziecie mieli również górników dla naszej nowej kopalni w Soitech. A szkoda, bo zamierzaliśmy ją wam wydzierżawić…

– Spisaliśmy już wstępne porozumienie z Ragnarem Kilofem – gładko skłamał Harbularer.

– Z Ragnarem? – prawie krzyknął krasnolud. – Z tym gnojkiem? Przecież on nie wie nawet, jak wydrążyć uczciwy chodnik!

Ragnar Kilof był człowiekiem i głównym udziałowcem lub dzierżawcą kilkunastu kopalń. I jednym z najgroźniejszych rywali krasnoludów.

– Tak, no cóż… – Arivald wstał, dając Dundinowi do zrozumienia, że audiencja właśnie się skończyła.

– Wpadłem na pewien pomysł – rzekł krasnolud pośpiesznie.

– Aby zachęcić mych krewnych do studiowania tej ciężkiej i niewdzięcznej dziedziny, jaką jest magia, sam dam im dobry przykład i wezmę udział w kilku pierwszych zajęciach. – Wypiął dumnie pierś.

– No, być może. Zastanowimy się jeszcze, ale nie chcielibyśmy wam przeszkadzać w innych pilnych zajęciach. – Arivald nadal stał i Dundin nerwowo kręcił pierścieniami na palcach, bo dobre wychowanie kazało już odejść, a strach przed zaprzepaszczeniem takiej szansy nakazywał zostać.

– Pokryjemy oczywiście koszta utrzymania i przygotowań – stwierdził Dundin, a Harbularer przez chwilę myślał, że musiał się przesłyszeć.

– Hm… – Arivald zrobił znudzoną minę.

– Stoi, panie czarodzieju? – krasnolud wyciągnął ogromne łapsko.

– Trzydziestu uczniów – rzekł Arivald. – Płacicie pensje, przygotowujecie szkołę i tak dalej. Zgoda?

– Zgoda! – Dundin zrobił minę, jakby został ciężko oszukany.

Krullg obejrzał zbudowaną przez krasnoludy szkołę (która nie była filią silmaniońskiej Akademii, lecz tworem poniekąd nieoficjalnym), trochę ponarzekał (jednak z bardzo chytrym i przebiegłym wyrazem twarzy), ale rozpromienił się, kiedy zobaczył uczniów. Na osoby tak żądne wiedzy, tak zapalone do pracy i potrafiące poświęcić dla niej każdą chwilę (nawet kosztem snu i posiłków) jeszcze w swej długiej karierze nie trafił. Był zachwycony i wiele sobie obiecywał.

– Zawojujemy świat, chłopaki – mówił, a krasnoludy przytakiwały mu poważnie, kiwając brodami.

Galladrin, zwany Panienką, przyjechał do Silmaniony pewnego dżdżystego i wietrznego wieczoru. Jako mieszkający najbliżej krasnoludzkiej szkoły magii, został zobowiązany do sprawowania dyskretnej kontroli nad Krullgiem i jego uczniami. Arivald wiedział już o jego przyjeździe i czekał z solidnym dzbanem pomarańczowego wina, mając nadzieję, że nie trafił na jeden z licznych (choć niezwykle krótkich) okresów abstynencji w życiu Galladrina. Czekał trochę niespokojny, choć sam fakt, iż Galladrin przyjeżdżał dopiero po pół roku, świadczył, że nic strasznego się nie działo. Ale niepokój gdzieś tam jednak na samym dnie serca pozostawał i Arivald zadawał sobie pytanie, co będzie, jeżeli nie okazał się tak sprytny, jak to sobie wyobrażał.

– Drogi Arivaldzie! – zawołał Galladrin, wpadając do pokoju czarodzieja.

Płaszcz miał mokry i poplamiony błotem, bo jak zwykle nie zniżył się do używania powozu i całą drogę przebył konno.

– Witaj, Panienko. – Arivald serdecznie uściskał Galladrina, z którym od dawien dawna łączyła go serdeczna przyjaźń.

– Wińsko – ucieszył się Galladrin i Arivald, słysząc głośny gulgot (kiedy Panienka przechylał do ust dzban), był już pewien, że zapowiada się wesoły wieczór. Chyba żeby nie, oczywiście.

– I co? – Arivald nie miał na tyle samozaparcia i cierpliwości, aby stopniowo przechodzić do właściwego tematu.

– Co z czym? – Galladrin zmrużył oczy.

– Nie wygłupiaj się, tylko mów.

– Ach, nasz pokraczny przyjaciel. Wiesz, co powiedziała Lea, kiedy go zobaczyła?

Lea była żoną Galladrina (Panienka był pod tym względem jednym z niewielu wyjątków wśród czarodziei), która najpierw sprawiała wrażenie rozsądnej dziewuszki, ale potem dała mu się przekabacić na wegetarianizm. Arivald zawsze mawiał, że w wegetarianizmie jest coś z choroby umysłowej. Oczywiście nie mówił tego przy Lei, bo bardzo ją lubił i wiedział, że sprawiłby jej ogromną przykrość. Arivald był od zawsze (a właściwie od czasu kiedy uratował

jej rodzinę z rąk Cudaka z Cudakowego Lasu) największym bohaterem Lei. Zawsze kiedy mowa była o czarodziejach i magii, dziewczyna opowiadała historię Arivalda, który zwyciężył złego Cudaka, wcześniej rozprawiając się z jego krwiożerczym smokiem. To wszystko czasem złościło Galladrina, ale miał na tyle duże poczucie humoru (i na tyle lubił Arivalda), że sam jeszcze budował upiększone wersje tej historii.

– Może opinię żony powtórzysz mi później – rzekł Arivald.

– Wieści są niewesołe – powiedział poważniejąc Galladrin. Arivald poczuł pod sercem zimne ukłucie strachu.

– Nie! – jęknął z niedowierzaniem.

– Krullg wiele ich nauczył. – Galladrin dopiero teraz rozpiął płaszcz. Jak zwykle miał pod nim jedną ze swoich atłasowych bluz, a u pasa elegancki sztylet ze złotą rękojeścią. Zawsze starał się dobrze wyglądać.

– A więc jednak – szepnął Arivald.

– Jednak – głuchym głosem, jak echo, powtórzył Galladrin. – Stało się to, czego się obawialiśmy. „Trzeci traktat" Tirrina jest już makulaturą.

„Trzeci traktat" Tirrina nosił podtytuł „O krasnoludach" (pierwszy mówił o elfach, a drugi o ludziach. Tirrin chciał napisać czwarty, o koboldach, ale nim zdołał to zrobić, koboldy go zjadły. Dlatego „Czwarty traktat" słusznie nazywano niedokończonym) i był najpotężniejszym kompendium wiedzy na temat tej rasy. Późniejsze dzieła, takie jak „Górskie Plemię" autorstwa Shalloga czy „Lud z Gór Finneasa" (nie mówiąc już o apokryficznej powieści „Mleko krasnoludów" Andreasa Puffera) nawet w małym stopniu nie wyczerpywały tematu. Tirrin dokonał wszechstronnej analizy krasnoludzkiego języka i obyczajów, a w siódmym rozdziale udowodnił (za pomocą bardzo skomplikowanych wzorów), że żaden krasnolud nie jest w stanie przyswoić nawet najprostszej magii. Tirrinowi wierzono, gdyż był naukowcem pełnym pasji i dobrych chęci. Wprawdzie krasnoludy go oskarżały, iż jego miłość wiedzy była tak wielka, że na kilku krasnoludach dokonał wiwisekcji, ale powszechnie uważano to za oszczerstwa. W każdym razie w silmaniońskiej Akademii wisiał wstrząsający obraz Tyrneusza zatytułowany „Męczennik za wiedzę", na którym przedstawiono Tirrina w kotle z wrzącą wodą (i obłożonego warzywami). Tirrin przechylał się nad krawędzią kotła, a jeden z koboldów łapczywie obgryzał mu dłoń. Obraz był bezczelnie kłamliwy (koboldy nigdy nie jadały ludzi inaczej niż na surowo, więc nie miałyby powodu gotować go w kotle), ale i tak przyniósł malarzowi popularność.

A teraz Krullg za pomocą działań praktycznych obalił tezy nieśmiertelnego Tirrina. Jaki stanie się świat z krasnoludami, które opanowały zasady magii? To było po prostu nie do uwierzenia. A

znając krasnoludy, mogło być również nie do wytrzymania.

– Co się stanie z naszym światem? – spytał Arivald nieco bezradnie i poczuł się chyba pierwszy raz od wielu lat bardzo, bardzo stary.

– Tak. – Galladrin opuścił głowę.

– Czego się nauczyły?

– Czekałem na to pytanie – głosem jak szczęk łopaty grabarza o krawędź grobowca rzekł Galladrin. – Nauczyły się tego – podniósł głowę i pstryknął palcami.

Spomiędzy jego palców wydobył się mały, zimny płomyczek. Był to słynny Robaczek Świętojański Parvusa. Dawał mniej więcej tyle samo światła co świeczka z krótkim knotem. Czar słynny dlatego, iż Parvus po ciosie gobliniej maczugi w głowę zapomniał wszystkich czarów oprócz tego jednego. A mimo to (a raczej dzięki temu) wyprowadził z moczarów Thirlongu oddziały księcia Sammala. Czar słynny też z tego powodu, że był pierwszą magiczną sztuczką, jakiej uczyli się najmłodsi (czyli czteroletni) uczniowie Akademii. Wykucie go na pamięć zajmowało co tępszym około dwóch godzin.

– Galladrin, ja cię zamorduję!!! – wrzasnął Arivald. Ciężar spadł mu z serca.

Panienka roześmiał się głośno.

– Pół roku nauki, aby poznać Parvusa. Wyobrażasz sobie? Kiedy nauczą się Rozniecania albo Boskiej Jasności? Za pięć lat, za dziesięć?

– Spytaj lepiej, jak długo będzie żył Krullg – rzekł Arivald. – Kto wie, może za sto, dwieście lat wyuczy ich tak, że będą umieć tyle co…

– Sześciolatkowie – dokończył Galladrin, po czym uniósł dzban pomarańczowego wina. – Za krasnoludy, Arivaldzie – powiedział uroczystym tonem. – Za krasnoludy!

Jacek Piekara

***